

Horowitz Anthony

DOM JEDWABNY

Przełożył

Maciej Szymański

mojego starego przyjaciela,

Jejjreya S. Josepha

Podziękowania

Dziękuję Lee Jacksonowi, który pomógł mi w pracach przygotowawczych. Jego strona internetowa www.victorianlondon.org jest znakomitym (i darmowym) źródłem wiedzy dla każdego, kto interesuje się tą epoką. Dwie książki, które szczególnie pomogły mi w przygotowaniach, to *London in the 19th Century* Jerry'ego White'a oraz *Life in Victorian Britain* Michaela Patersona, choć przyznam, że czerpałem fakty także z prac autorów z epoki, takich jak George Gissing, Charles Dickens, Anthony Trollope, Arthur Morrison i Henry Mayhew. Dziękuję też Towarzystwu Sherlocka Holmesa, które (dotychczas) okazywało mi wyrozumiałość i wsparcie, a zwłaszcza jednej jego członkini - doktor Marinie Stajic, która w Izbie Gmin dzieliła się ze mną wiedzą z dziedziny toksykologii sądowej. Mój agent - „agent roku” - Robert

Kirby wpadł na pomysł, żeby napisać tę książkę, a Malcolm Edwards z wydawnictwa Orion okazał niebywałą cierpliwość, potrzebowałem bowiem ośmiu lat na skończenie pracy. I wreszcie, ponad wszystko, docenić muszę geniusz Arthura Conan Doyle'a, z którego dziełami zetknąłem się po raz pierwszy jako szesnastolatek i który natchnął mnie do podjęcia własnej pracy twórczej. Pisanie niniejszej powieści sprawiło mi wiele radości i mam nadzieję, że udało mi się nawiązać do tradycji oryginału.

Przedmowa

Rozmyślałem często o osobliwym splocie wydarzeń, który na długie lata związał mnie z jedną z najniezwykłych postaci moich czasów. Gdybym miał w sobie naturalną skłonność do filozofowania, zapewne zastanawiałbym się też, w jakim stopniu każdy z nas kontroluje własny los i czy kiedykolwiek jesteśmy w stanie przewidzieć dalekosiężne skutki czynów, które w danej chwili wydają nam się najzupełniej banalne.

Oto przykład: mój kuzyn Arthur, który polecił mnie na młodszego chirurga w Piątym Pułku Fizylierów z Northumberland, uważał, że służba ta będzie dla mnie cennym doświadczeniem, jednak w żaden sposób nie mógł przewidzieć, iż zaledwie miesiąc później zostaną wysłani do Afganistanu. W owym czasie konflikt, który nazwano później drugą wojną brytyjsko-afgańską, jeszcze się nie rozpoczął. A cóż można powiedzieć o Ghazim, który pod Maiwandem jednym ruchem palca posłał kulę wprost w moje ramię?

Wszak bez wątpienia pragnął, bym stał się jednym z dzie-
więciu setek brytyjskich i indyjskich żołnierzy, którzy tego
dnia oddali życie. On jednak chybił, a ja, choć ciężko ranny,
zostałem ocalony przez Jacka Murraya, lojalnego i szlachet-
nego ordynansa, który niósł mnie przez dwie mile wrogiego
terytorium, ku brytyjskim liniom.

We wrześniu tegoż roku Murray poległ pod Kandaha-
rem i nie doczekał chwili, gdy odesłano mnie na rekonwa-

11

lescencję do kraju, gdzie w małym hołdzie dla jego zasług
poświęciłem kilka miesięcy cokolwiek hulaszczej egzysten-
cji na obrzeżach londyńskiej socjety. Gdy czas ten dobiegł
końca, poważnie zastanawiałem się nad przeprowadzką na
południowe wybrzeże; była to niejako konieczność, moje
oszczędności kurczyły się bowiem w zastraszającym tem-
pie. Zasugerowano mi też, że morskie powietrze zapewni
mi zdrowie. Jednakże ciekawszym wyjściem wydało mi się
poszukanie tańszego mieszkania w Londynie. Niewiele bra-
kowało, a zamieszkałbym przy Euston Road, pod jednym
dachem z pewnym maklerem, lecz nasza wstępna rozmowa
nie potoczyła się po mojej myśli. Wkrótce podjąłem decyzję:
osiądę w Hastings, miejscu być może mniej rozrywkowym
niż Brighton, za to o połowę tańszym. Spakowałem rzeczy
osobiste, gotów do wyjazdu.

I tak oto dochodzimy do wątku Henry'ego Stamforda,
może nie bliskiego przyjaciela, ale znajomego, który był
moim asystentem, gdy praktykowałem w szpitalu Święte-

go Bartłomieja. Gdyby nie pił do późnej nocy, pewnie nie cierpiałby na ból głowy, a gdyby nie cierpiał na ból głowy, raczej nie wzięłby dnia urlopu w laboratorium chemicznym, w którym teraz pracował. Tak się jednak złożyło, że pokręciwszy się nieco w okolicy Piccadilly Circus, postanowił ruszyć przez Regent Street w stronę East India House Arthura Liberty'ego, by kupić upominek dla małżonki. Zaiste dziwna to myśl, ale gdyby tylko obrał inny kierunek marszu, nie wpadłbym na niego, wychodząc z baru Criterion, i w rezultacie być może nigdy nie poznałbym Sherlocka Holmesa. Albowiem, jak już niegdyś pisałem, to właśnie Stamford zasugerował, że mógłbym dzielić mieszkanie z człowiekiem, którego miał za analityka chemicznego, pracującym wówczas w tym samym co on szpitalu. On też przedstawił mnie Holmesowi, który, jak się okazało, eksperymentował w poszukiwaniu metody izolowania śladów krwi. Nasze pierwsze spotkanie było dziwne, niepokojące i z całą pewnością niezapomniane... Doprawdy, trafna to zapowiedź tego, co miało nas razem spotkać.

12

Był to punkt zwrotny w moim życiu. Nigdy wcześniej nie miałem ambicji literackich. Gdyby ktoś mi zasugerował, że moja pisanina trafi kiedy do druku, roześmiałbym się w głos. A przecież mogę dziś powiedzieć, całkiem szczerze i bez pochlebiania sobie, że zyskałem nawet pewną sławę dzięki mej kronice przygód prawdziwie wielkiego człowieka. Niemałym zaszczytem było dla mnie i to, że poproszo-

no mnie o wygłoszenie kilku słów podczas mszy żałobnej w opactwie westminsterskim, choć - z całym szacunkiem - odmówiłem. Holmes często drwił z mego stylu pisarskiego, toteż nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że jeśli tylko stanę na ambonie, zaraz zjawi się u mego boku, by zza grobu łagodnie wykpić każde słowo elegii.

Zawsze uważał, że w swych relacjach niepotrzebnie wyolbrzymiam jego talenty i nadzwyczajne płody jego błyskotliwego umysłu. Wyśmiewał styl pisania, w którym rozwiązanie zagadki pojawiało się na ostatnich stronicach, chociaż on gotów był przysiąc, że znał je od pierwszych akapitów. Niejeden raz oskarżał mnie o prostacki romantyzm i nie cenił mojego rzemiosła wyżej niż wypocin pierwszego lepszego pismaka z Grub Street. Ja jednak sądzę, że nie był w tym całkiem sprawiedliwy. Zналиśmy się tyle lat, ale nigdy nie widziałem, by Holmes przeczytał choć jedną dobrą powieść - nie liczę, rzecz jasna, literatury sensacyjnej najgorszego sortu - i wiem, że choć nie mam wybitnego daru narracji, to gotów jestem stwierdzić, że moje teksty zdały egzamin i że mój druh nie napisałby ich lepiej. Sam Holmes zresztą wprost przyznał mi rację, gdy wreszcie wziął pióro do ręki, by własnymi słowami opisać osobliwą sprawę Godfrey'a Emswortha. Epizod ów znany jest jako „Wyblakłe oblicze”, a ja wyznać muszę, że już samemu tytułowi daleko jest do ideału, jeszcze nigdy bowiem nie widziałem wyblakłej twarzy.

Jak już wspomniałem, moje próby literackie zyskały pe-

wien rozgłos, ale przecież nie sława była moim celem. Po-
przez splot życiowych przypadków, który opisałem wyżej,
dane mi było stać się kronikarzem sukcesów najlepszego

13

detektywa-konsultanta na świecie i przedstawić je zachwy-
conej publiczności w aż sześćdziesięciu odsłonach. Dla mnie
jednak po stokroć cenniejsza była wieloletnia przyjaźń z ich
głównym bohaterem.

Oto mija rok, odkąd znaleziono Holmesa martwego w je-
go domu w Downs. Wielki umysł zgasł na zawsze. Gdy się
o tym dowiedziałem, uświadomiłem sobie, że utraciłem nie
tylko najbliższego towarzysza i przyjaciela, ale także, pod
wieloma względami, przyczynę mego istnienia. Dwa mał-
żeństwa, troje dzieci, siedmioro wnucząt, udana kariera
w medycynie, Order of Merit przyznany mi w 1908 roku
przez Jego Wysokość Króla Edwarda VII - dla niejednego
człowieka byłoby to wszystko nie lada osiągnięciem. Ale nie
dla mnie. Po dziś dzień tęsknię za Holmesem i nieraz zdaje
mi się na jawie, że słyszę jego tak dobrze mi znane słowa:
„Gra rozpoczęta, Watsonie!”.

Słyszę je jednak daremnie, nigdy już bowiem nie zanurzę
się w mrok i wirującą mgłę na Baker Street, ściskając w dłoni
mój wierny, wojskowy rewolwer. Często myślę i o tym, że
Holmes czeka na mnie gdzieś tam, po drugiej stronie wiel-
kiego cienia, który ogarnie kiedyś każdego z nas. Wyznam,
że i ja wyczekuję tej chwili. Jestem sam. Stara rana dokucza
mi niezmiernie, a śledząc z oddali straszliwą, bezrozumną

wojnę toczącą się na kontynencie, czuję, że nie pojmuję już tego świata, w którym przyszło mi żyć.

Dlaczego więc po raz ostatni sięgam po pióro, by obudzić wspomnienia, które być może lepiej byłoby pozostawić w zapomnieniu? Niewykluczone, że czynię to wyłącznie dla siebie. Może wzorem wielu innych starców, których życie dobiega końca, poszukuję ukojenia? Pielęgniarki, które o mnie dbają, twierdzą, że pisanie to forma terapii i że pomoże mi oddalić fale przygnębienia, które ogarnia mnie od czasu do czasu. Jest jednak i inna przyczyna.

Przygody, które nazwałem „Człowiek w kaszkiecie” oraz „Dom Jedwabny”, to bodaj najbardziej sensacyjne epizody w karierze Sherlocka Holmesa, ale w swoim czasie po prostu nie mogłem ich opisać - z powodów, które wkrótce staną się

dla czytelnika całkiem oczywiste. Nie mogłem ich też przedstawić osobno, jako że ich zagmatwane intrygi łączą się ze sobą niepodzielnie. Z drugiej jednak strony zawsze chciałem je opisać, by kanon przygód Holmesa nareszcie stał się kompletny. Przypominam w tym względzie chemika, który poszukuje upragnionej formuły, a może raczej filatelistę, który dopóty nie będzie dumny ze swego katalogu, dopóki nie zdobędzie ostatnich dwóch czy trzech brakujących uniikatów. Nic na to nie poradzę. Kolekcja musi być pełna.

Gdy piszę, że wcześniej nie było to możliwe, wcale nie chodzi o powszechnie znaną niechęć Holmesa do taniej sławy. o nie; wydarzenia, które zamierzam opisać, były po prostu

zbyt potworne, zbyt szokujące, by moją relację można było wydać drukiem. I wciąż takie są. Nie przesadzam bynajmniej, gdy sugeruję, że ich ujawnienie mogłoby wręcz rozetrwać tkankę naszego społeczeństwa, a dziś, w dobie wojny, nie godzę się podjąć takiego ryzyka. Kiedy więc skończę pisać - a miejmy nadzieję, że wystarczy mi sił - wyślę rękopis wprost do skarbcza w Cox and Co. w Charing Cross, gdzie przechowuję i inne prywatne papiery. Polecę następnie, by nikt nie otwierał go przez kolejnych sto lat. Niepodobna wyobrazić sobie, jak będzie wtedy wyglądał świat, jak potoczy się rozwój rodzaju ludzkiego, ale być może moi przyszli czytelnicy będą bardziej oswojeni ze skandalem i korupcją niż współcześni. To im dedykuję ostatni portret pana Sherlocka Holmesa oraz całkiem nowy obraz świata z tamtych lat. Lecz dość już energii zmarnowałem na własne sprawy. Dawno już powinienem otworzyć drzwi mieszkania przy Baker Street 221B i wkroczyć do salonu, w którym tak wiele przygód miało swój początek. I oto widzę blask oszklonej latarni i siedemnaście stopni wiodących na górę. Jakże dalekie się wydają, jak dawno nie odwiedzałem tego miejsca! Tak. To on, z fajką w dłoni. Odwraca się ku mnie. Uśmiechnięty. „Gra rozpoczęta...”

1

Marszand z Wimbledonu

Grypa to rzecz przykra - zauważył Sherlock Holmes - ale z pewnością masz rację, sądząc, że z pomocą twojej żony

dzieciak wkrótce wróci do zdrowia.

- Mam taką nadzieję - odrzekłem i umilkłem, spoglądając nań w zdumieniu szeroko otwartymi oczyma. Filiżanka herbaty zawisała w połowie drogi do moich ust, lecz zaraz odstawiłem ją na stolik z taką mocą, że omal nie spadła ze spodka. - Na Boga, Holmesie! - wykrzyknąłem. - Czytasz w moich myślach. Słowo daję, nie wypowiedziałem ani jednego zdania na temat dziecka i jego choroby. Wiesz, że moja żona wyjechała - łatwo to wydedukować, skoro w ogóle się tu zjawiłem. Jednakże nie wspomniałem jeszcze o przyczynie jej nieobecności i pewien jestem, że w moim zachowaniu nie było niczego, co mogłoby się stać dla ciebie wskazówką.

Słowa te padły w jednym z ostatnich dni listopada roku 1890. Bezlitosna zima przypuściła wczesny atak na Londyn, mróz zdawał się ścinać nawet płomyki gazowych latarni, a ich wątył blask tonął w nieskończonych tumanach mgły. Ludzie sunęli chodnikami niczym duchy, z pochylonymi głowami i zasłoniętymi twarzami, a dorożki mijały ich w pośpiechu, jakby koniom spieszno było do ciepłej stajni. Miło było siedzieć w domu, przy kominku, wdychając znajomą woń tytoniu w poczuciu, że wszystko - a zwłaszcza kompletny chaos przedmiotów, którymi otaczał się mój przyjaciel - jest na swoim miejscu.

17

Z radością przyjąłem zgodę Holmesa, gdy telegraficznie powiadomił go, że chciałbym zatrzymać się u niego na

krótko. Moja praktyka mogła przez jakiś czas egzystować bez mnie. Byłem sam. Co więcej, zamierzałem czuwać przy moim przyjacielu, póki nie wróci do sił. Holmes bowiem celowo głodził się przez trzy dni i trzy noce, nie przyjmując ani wody, ani pokarmu, aby przekonać pewnego wyjątkowo okrutnego i mściwego złoczyńcę, że jest bliski śmierci. Podstęp udał się nadzwyczajnie i przestępca był teraz w zręcznych rękach inspektora Mortona z Yardu. Ja jednak niepokoiłem się o kondycję Holmesa i uznałem, że należy być przy nim, póki jego organizm nie zacznie działać normalnie.

Z przyjemnością patrzyłem więc, jak zasiada do wielkiego talerza babeczek z fiołkowym miodem i śmietanką, biszkoptu oraz herbaty - wszystko to przyniosła nam na tacy niezawodna pani Hudson. Holmes istotnie wracał do sił: zagłębiony w wielki fotel w dość swobodnej pozie i ubrany w szlafrok ogrzewał stopy przy palenisku. Jak zawsze był osobnikiem o szczupłej, by nie rzec wychudłej fizjonomii, smukłym nosie i bystro spoglądających oczach, ale teraz przynajmniej jego cera przybierała na powrót zdrową barwę, a głos i zachowanie mego przyjaciela wskazywały nieomylnie, że prawie wrócił do siebie.

Powitał mnie ciepło, a gdy siadałem naprzeciwko niego, ogarnęło mnie osobliwe uczucie - jakbym właśnie ocknął się ze snu. Było tak, jak gdyby wydarzenia ostatnich dwóch lat nigdy nie zaszły, jakbym nie spotkał mojej ukochanej Mary, nie poślubił jej i nie przeniósł się wraz z nią do nowego domu w Kensington, nabytego za pieniądze ze sprzeda-

ży peret z Agry. Poczuję się znowu jak kawaler dzielący z Holmesem mieszkanie oraz emocje towarzyszące rozwiązywaniu kolejnej zagadki.

Przyszła mi do głowy myśl, iż być może on wolałby, żeby tak właśnie było. Holmes rzadko wypowiadał się na temat moich spraw rodzinnych. Gdy brałem ślub, przebywał za granicą, i już wtedy zastanawiałem się, czy to aby na pewno zbieg okoliczności. Nieuczciwością byłoby twierdzić, że

18

temat mego ożenku był dla nas tabu, ale panowało między nami milczące porozumienie - po prostu nie rozmawialiśmy o nim. Holmes widział przecież, jak bardzo jestem szczęśliwy i zadowolony z nowego życia, a naturalna szczodrość charakteru nie pozwalała mu odczuwać zazdrości. Gdy stałem się w jego mieszkaniu, spytał, rzecz jasna, o zdrowie pani Watson, ale nie domagał się szczegółowych informacji, a ja nie spieszyłem się z ich zdradzaniem - tym bardziej więc zdumiała mnie jego słowa.

- Patrzysz na mnie jak na sztukmistrza! - zauważył ze śmiechem Holmes. - Wnoszę stąd, że porzuciłeś lekturę dzieł Edgara Allana Poe.

- Masz na myśli jego detektywa, Dupina? - spytałem.

- I jego metodę śledczą, którą nazwał wnioskowaniem.

Jego zdaniem możliwe było odczytanie najskrytszych myśli danej osoby, nawet gdy ta nie wypowiedziała ani słowa. Wystarczyła mu ponoć analiza jej ruchów czy choćby drgnienia brwi. W swoim czasie koncept ten zrobił na mnie wielkie

wrażenie, lecz zdaje mi się, że ty nim wzgardziłeś...

- I zapewne zaraz za to zapłacę - przytaknąłem. - Ale czy poważnie chcesz mi wmówić, Holmesie, że obserwując moje zachowanie nad talerzem ciastek, wydedukowałeś prawdę o chorym dziecku, którego nawet nie znasz?

-I nie tylko to - odparł Holmes. - Powiem ci jeszcze, że właśnie wróciłeś z okolic wiaduktu Holborn i że opuściliście dom w pośpiechu, a mimo to spóźniliście się na pociąg. Być może przyczyną tego wszystkiego jest fakt, że brakuje wam w tej chwili służącej.

- O nie, Holmesie! - wykrzyknąłem. - Tego już za wiele!

- Czyżbym się mylił?

- Nie. Masz słuszność, co do joty. Ale jak to możliwe...?

- Sprawa jest oczywista: obserwacja i dedukcja, wzajemnie się uzupełniająca. Gdybym ci wyjaśnił szczegóły, przekonałbyś się, że to dziecinnie proste.

Mimo wszystko nalegam, abyś to uczynił.

Zgoda. Skoro byłeś tak miły i zjawiałeś się z wizytą, chyba nie mogę ci odmówić - odrzekł Holmes i ziewnął dys-

19

kretnie. - Zacznijmy może od okoliczności twojego przybycia. Jeśli mnie pamięć nie myli, zbliża się druga rocznica waszego ślubu, czyż nie?

- W rzeczy samej, Holmesie. To już pojutrze.

- Jest to zatem dość niezwykła pora na rozstanie z żoną.

Jak sam powiedziałaś, fakt, że postanowiłeś zostać u mnie na dłużej, sugeruje, iż miała bardzo poważny powód, by

wyjechać. Jakież to powód? O ile pamiętam, panna Mary Morston - bo takie dawniej nosiła nazwisko - przybyła do Anglii z Indii i nie miała tu ani rodziny, ani przyjaciół. Na-
jęła się więc do pracy jako guwernantka; jej opiece powie-
rzono syna niejakiej pani Cecilowej Forrester z Camberwell.
Naturalnie właśnie tam się poznaliśmy. Pani Forrester by-
ła bardzo łaskawa dla swej guwernantki, wsparła ją w po-
trzebie, toteż wyobrażam sobie, że i dziś łączą je bliskie sto-
sunki.

- W rzeczy samej.

- Wobec tego, jeśli ktokolwiek mógł skłonić twoją żonę
do opuszczenia domu, to najprawdopodobniej właśnie ona.
Ciekawe zatem, jaka mogła być przyczyna nagłego wezwa-
nia. W tak chłodne dni nietrudno skojarzyć, że chodzi o cho-
robę dziecka. Nie wątpię bowiem, że przyjazd dawnej gu-
wernantki wielce podniósłby chłopca na duchu.

- Dziewięciolatka imieniem Richard - uzupełniłem. - Ale
skąd pewność, że chodzi o grypę, a nie rzecz zgoła poważ-
niejszą?

- Gdyby rzecz była poważniejsza, niewątpliwie sam
chciałbyś zbadać chorego.

- Jak dotąd twoje rozumowanie było pod każdym wzglę-
dem logiczne - przyznałem. - Ale nie wyjaśniło mi jeszcze,
w jaki sposób odgadłeś, że właśnie w tym momencie moje
myśli zwróciły się ku tym sprawom.

- Wybacz mi, drogi Watsonie, ale jesteś dla mnie jak otwar-
ta księga, a każdy twój ruch jest jak przewrócenie kolejnej

karty. Gdy tak siedziałeś, popijając herbatę, zauważyłem, że zerkasz ukradkiem na gazetę leżącą tuż obok, na stoliku. Dostrzegłeś nagłówek i wtedy sięgnąłeś, by odwrócić gazetę

20

na drugą stronę. Dlaczego? Może wzburzyło cię doniesienie o katastrofie kolejowej w Norton Fitzwarren sprzed kilku tygodni? Dziś opublikowano pierwsze wyniki śledztwa w sprawie śmierci dziesięciorga pasażerów. To oczywiste, że akurat taki artykuł najmniej pragnąłbyś przeczytać wkrótce po tym, jak odwiozłeś żonę na dworzec kolejowy.

- Istotnie, przypomniał mi o jej wyjeździe - przytaknąłem. - Skąd jednak myśl o chorobie dziecka?

- Gdy tylko przełożyłeś gazetę, twoje spojrzenie padło na dywan tuż obok biurka i wtedy spostrzegłem wyraźnie, że uśmiechasz się do siebie. To oczywiste, wszak właśnie tam kładłeś zawsze swą torbę lekarską i twierdzę, że właśnie to skojarzenie przypomniało ci o przyczynie wyjazdu żony.

- Wszystko to tylko domysły, Holmesie - broniłem się. - Wspomniałeś na przykład o wiadukcie Holborn. A przecież mogłem odwiedzić dowolny z londyńskich dworców.

- Dobrze wiesz, że nie pochwalam zgadywanek. Niekiedy należy łączyć punkty dowodów delikatną linią wyobraźni, ale to nie to samo. Pani Forrester mieszka w Camberwell. Londyńska Kolej Chatham i Dover utrzymuje regularne połączenia właśnie z dworca przy wiadukcie Holborn. Uznałbym to za logiczny punkt wyjścia, nawet gdybyś nie ułatwił mi zadania, stawiając walizkę przy drzwiach. Tak się

bowiem składa, że i z mojego fotela widać doskonale kwit przechowalni bagażu na stacji Holborn.

- A pozostałe fakty?

- Mówisz o tym, że zostaliście bez służącej i że w pośpiechu wyszedłeś z domu? Dowodem na jedno i drugie jest smuga czarnej pasty na twoim lewym mankencie. Czyściłeś buty, Watsonie, i to dość pobieżnie. Co więcej, w pośpiechu zapomniałeś rękawiczek...

- Pani Hudson przyjęła ode mnie płaszcz. Możliwe, że wzięła i rękawiczki.

- Wobec tego, dlaczego uściśnąłem na powitanie tak zimną dłoń? Nie, Watsonie, każdy szczegół twej wizyty zdradza oznaki dezorganizacji.

- Nie pomyliłeś się w żadnym detalu - przyznałem. -

21

Zdradź mi jednak, Holmesie, rozwiązanie ostatniej zagadki.

Skąd pewność, że moja żona spóźniła się na pociąg?

- Gdy tylko wszedłeś, poczułem od twojego ubrania mocną woń kawy. Czy piłybyś ją, wiedząc, że wkrótce wpadniesz do mnie na herbatę? Uznałem więc, że spóźniliście się na pociąg i byliście zmuszeni pozostać na stacji dłużej, niż się spodziewałeś. Zostawiłeś więc walizkę w przechowalni bagażu i poszedłeś z żoną do kawiarni. Może do Lockharta? Podobno serwują tam nadzwyczajną kawę.

Milczeliśmy przez krótką chwilę, a potem wybuchnąłem śmiechem.

- No cóż, Holmesie - rzekłem wreszcie - widzę, że nie ma

powodu niepokoić się o twoje zdrowie. Jesteś równie niesamowity jak zawsze.

- Zagadka była banalna - odparł detektyw, leniwym ruchem dłoni zbywając komplement. - Ale niewykluczone, że za chwilę staniemy przed ciekawszym wyzwaniem. Trzasnęły frontowe drzwi, jeżeli się nie mylę...

I rzeczywiście, po chwili zjawiała się po raz drugi pani Hudson, prowadząc ze sobą nieznanego nam mężczyznę, który wkroczył do salonu tak, jakby z tremą wychodził na scenę londyńskiego teatru. Ubrany był dość oficjalnie, w ciemny frak, koszulę ze stójką i białą muchą oraz kamizelkę. Na ramiona zarzucił czarny płaszcz, a na nogach miał skórzane buty. W jednej dłoni ścisnął białe rękawiczki, a w drugiej palisandrową laskę o srebrnej gałce i końcówce. Miał zaskakująco długie włosy, zaczesane do tyłu ponad wysokim czołem; nie nosił ani brody, ani wąsów. Błada cera i nieco zbyt pociągła twarz nie pozwalały nazwać go prawdziwie przystojnym. Oceniałem, że może mieć trzydzieści pięć wiosen, choć powaga w zachowaniu, a także wyraźna niechęć do wizyty, którą postanowił nam złożyć, zdecydowanie dodawały mu lat. Natychmiast przypomniałem sobie pewien typ pacjentów, których przyjmowałem: nie byli w stanie uwierzyć, że podupadają na zdrowiu, póki nie przekonały ich o tym wyraźne objawy. To właśnie oni zawsze chorowali najciężej, śmiertelnie. I z równą niechęcią

stanął przed nami ów gość. Zatrzymał się tuż za progiem

i rozglądał niespokojnie, a tymczasem pani Hudson wręczyła memu przyjacielowi jego wizytówkę.

- Pan Carstairs - przeczytał Holmes. - Proszę, zechce pan spocząć.

-Proszę wybaczyć, że zjawiam się w taki sposób... niespodziewany i niezapowiedziany - odezwał się Carstairs tonem raczej wytwornym i oschłym, wciąż unikając spojrzenia nam prosto w oczy. - Prawdę mówiąc, w ogóle nie zamierzałem tu przyjść. Mieszkam w Wimbledonie, nie-daleko parku. Wybieram się dziś do opery, choć nie mam szczególnej ochoty na Wagnera. Właśnie wracam z klubu, gdzie spotkałem się z moim księgowym, którego znam od lat i uważam dziś za swego przyjaciela. Gdy opowiedziałem mu o swoich kłopotach, o poczuciu osaczenia, które czyni moje życie tak straszliwie trudnym, wspomniął mi o panu i poradził, bym zasięgnął pańskiej opinii. Tak się składa, że klub znajduje się w pobliżu, więc uznałem, że najlepiej będzie udać się wprost do pana.

- Z radością poświęcę panu uwagę - odparł Holmes.

- A kim jest ten dżentelmen? - spytał gość, spoglądając na mnie.

- To doktor John Watson, mój najbliższy doradca. Zapewniam, że z czymkolwiek przychodzi pan do mnie, może pan o tym mówić i w jego obecności.

- Doskonale. Jak pan już wie, nazywam się Edmund Carstairs, a z zawodu jestem marszandem. Współposiadam galerię sztuki Carstairs i Fitch przy Albemarle Street, działa-

jącą od sześciu lat. Specjalizujemy się w dziełach wielkich mistrzów, głównie z końca ubiegłego i z początku tego wieku, takich jak Gainsborough, Reynolds, Constable i Turner. Ich obrazy, z pewnością doskonale panu znane, osiągają dziś najwyższe ceny. W tym tygodniu sprzedałem na przykład dwa portrety van Dycke'a; prywatny nabywca zapłacił za nie dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Nasza spółka radzi sobie doprawdy znakomicie, mimo licznej konkurencji nowych - i, ośmielę się dodać, mniejszych - galerii przy

23

sąsiednich ulicach. Przez lata budowaliśmy reputację statecznych i solidnych marszandów. Wśród naszych klientów wielu jest arystokratów, toteż zakupione u nas dzieła zdobią dziś ściany najprzedniejszych rezydencji kraju.

- Przedstawi pan swego współnika, pana Fincha?

- Tobias Finch jest starszy ode mnie, ale jesteśmy równorzędnymi partnerami w firmie. Jeśli w czymkolwiek się różnimy, to chyba jedynie w tym, że Tobias jest znacznie ostrożniejszy i bardziej konserwatywny. Ja na przykład bardzo się interesuję nowościami z kontynentu - mam tu na myśli przede wszystkim malarzy znanych dziś jako impresjonistes, choćby takich jak Monet czy Degas. Ledwie tydzień temu zaoferowano mi pejzaż nadmorski Pissarra, moim zdaniem przepiękny i pełen barw. Niestety, mój współnik był odmiennego zdania. Dla niego tego typu prace to bohomyzy, lecz choć prawdą jest, że z bliska niektóre kształty wydają się niewyraźne, to przecież nie o to chodzi - ja jednak

nie umiem tego wytłumaczyć panu Finchowi. Jednak nie zamierzam nudzić was wykładem o sztuce, panowie. Rzecz w tym, że jesteśmy dość tradycyjną galerią i - przynajmniej na razie - taką pozostaniemy.

Holmes skinął głową.

- Proszę kontynuować.

- Panie Holmes, dwa tygodnie temu zauważyłem, że jestem obserwowany. Ridgeway Hall, bo taką nazwę nosi mój dom, stoi przy wąskiej alejce, na której końcu znajdują się domy biedoty - to nasi najbliżsi sąsiedzi. Wokół nas ciągną się łąki należące do gminy, a z gotowalni mam widok na park. I właśnie stamtąd we wtorkowy poranek spostrzegłem człowieka stojącego na lekko rozstawionych nogach, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Natychmiast uderzył mnie nadzwyczajny bezruch tej postaci. Mężczyzna stał za daleko, bym mógł zobaczyć wyraźnie jego twarz, ale powiedziałbym, że wyglądał na obcokrajowca. Miał na sobie płaszcz z wywatowanymi ramionami, zdecydowanie nie angielskiego kroju. Powiem więcej, w zeszłym roku byłem w Ameryce i gdybym miał zgadywać, rzekłbym, że właśnie

24

stamtąd przybył ów nieznajomy. Ale najbardziej uderzyło mnie - z przyczyn, które za chwilę wyjaśnię - to, że człowiek ten miał na głowie charakterystyczną, płaską czapkę, nazywaną przez niektórych cyklistówką albo kaszkietem. Ów szczegół, a także specyficzna postawa nieznajomego z początku przykuły moją uwagę, a zaraz potem wypro-

wadziły mnie z równowagi. Przysięgam, że nawet strach na wróble nie stałby tak nieruchomo jak on. Kropił deszcz niesiony wiatrem ponad łąką, a on nic sobie z tego nie robił. Wpatrywał się w okno mego domu. Powiadam panu, jego ciemne oczy przewiercały mnie na wskroś. Wytrzymałem ich spojrzenie przez minutę, może dłużej, a potem poszedłem na śniadanie. Zanim jednak zacząłem jeść, posłałem pomywacza, żeby sprawdził, czy ów człowiek jeszcze tam jest. Chłopak zameldował mi, że już go nie ma.

- Osobliwy przypadek - zauważył Holmes. - Nie wątpię, że Ridgeway Hall to piękny gmach. Ktoś, kto zwiedzał okolicę, mógł uznać go za godzien uwagi.

- I ja o tym pomyślałem. Jednakże kilka dni później ujrzałem nieznanego po raz drugi, w Londynie. Właśnie wyszliśmy z żoną z teatru Savoy, a on stał po drugiej stronie ulicy, ubrany w ten sam płaszcz i kaszkiet. Być może, panie Holmes, nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby nie to, że i tym razem stał absolutnie nieruchomo wśród tłumu przechodniów, niczym skała pośrodku bystrego nurtu rzeki. Niestety, i tam nie dostrzegłem wyraźnie jego twarzy, bo choć stał w pełnym blasku ulicznej latarni, cień daszka przesłaniał jego rysy niczym welon. Możliwe, że celowo wybrał to miejsce.

- Mimo wszystko jest pan pewny, że to ten sam człowiek?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Czy pańska żona także go widziała?

- Nie. A ja nie chciałem jej niepokoić, wspominając o tej

sprawie. Powóz już na nas czekał; natychmiast odjechaliśmy.

- Nadzwyczaj ciekawe - mruknął Holmes. - W zachowaniu owego człowieka całkiem brakuje sensu. Staje pośrodku łąki albo tuż pod latarnią. Z jednej strony czyni więc wszyst-
25

ko, by go dostrzeżono, z drugiej zaś - nie próbuje nawiązać z panem kontaktu.

- Owszem, spróbowałem - odparł Carstairs. - I to już następnego dnia, gdy wcześniej wróciłem do domu. Mój przyjaciel Finch został w galerii, zajęty katalogowaniem kolekcji rysunków i akwafort Samuela Scotta. Nie potrzebowałem mnie, a ja czułem się nieswojo, wspominając owego nieznanego obserwatora, dlatego tuż przed piętnastą byłem już z powrotem w Ridgeway Hall. I dobrze się stało, ponieważ intruz właśnie zbliżał się do frontowych drzwi mojego domu. Zawołałem, a wtedy odwrócił się i mnie zobaczył. Puścił się biegiem w moją stronę i byłem pewny, że zaatakuje - uniosłem nawet laskę w obronnym geście. On jednak nie uciekł się do przemocy. Zatrzymał się tuż przede mną i wtedy dopiero zobaczyłem jego twarz: wąskie usta, ciemnobrązowe oczy oraz siną, świeżą bliznę po kuli, przecinającą jego prawy policzek. Wyraźnie czułem alkohol w jego oddechu. Nie powiedział ani słowa, tylko uniósł w górę liścik i wcisnął mi go do ręki. A potem, zanim zdążyłem go zatrzymać, uciekł.

- Cóż to za liścik? - spytał Holmes.

- Mam go tu.

Marszand wyjął kwadratowy arkusz papieru złożony na

czworo i wręczył go Holmesowi, który ostrożnie rozłożył wiadomość.

- Podasz mi lupę, Watsonie? - Gdy ją dostał, zwrócił się znów do Carstairsa: - Nie było koperty?

-Nie.

- Moim zdaniem to niezwykle znaczący fakt. Ale spójrzmy...

Na kartce widniało tylko pięć słów, napisanych dużymi literami.

KOŚCIÓŁ MATKI BOŻEJ. JUTRO. POŁUDNIE.

- To angielski papier - zauważył Holmes. - Choć może intruz pochodził z zagranicy. Zauważ, Watsonie, że pisał dużymi literami. Jak sądzisz, dlaczego?

- Aby ukryć własny charakter pisma - odrzekłem.

26

- Możliwe. Jednakże, skoro nigdy wcześniej nie korespondował z panem Carstairsem i raczej na pewno nie napisze doń ponownie, wydaje się, że kwestia charakteru pisma nie ma tu żadnego znaczenia. Liścik był złożony, gdy go panu wręczono, panie Carstairs?

- Nie, chyba nie. Sam go później złożyłem.

- Z każdą chwilą sytuacja staje się jaśniejsza. Ten kościół, o którym pisze nieznajomy, pod wezwaniem Matki Bożej...

Rozumiem, że to w Wimbledonie?

- Tak, przy Hothouse Lane - odparł Carstairs. - Ledwie o kilka minut spacerem od mojego domu.

-I w tym posunięciu brakuje logiki, nie sądzi pan? Nie-

znajomy mężczyzna chce z panem porozmawiać. Informuje o tym, wręczając panu liścik, ale się nie odzywa. Ani jednym słowem.

- Przypuszczam, że chciał pomówić ze mną na osobności. Tak się złożyło, że parę minut później z domu wyszła moja żona, Catherine. Wcześniej stała przy oknie w jadalni, skąd świetnie widać podjazd, i była świadkiem całego zdarzenia. Spytała: „Kto to był?”. Odpowiedziałem, że nie mam pojęcia. „A czego chciał?” Wtedy pokazałem jej list. Orzekła, że pewnie chodzi o pieniądze. „Przyjrzałam mu się zza szyby. Podejrzany jegomość. W zeszłym tygodniu na łąkach obozowali Cyganie, to pewnie jeden z nich. Edmunde, nie możesz tam pójść”. „Nie martw się, moja droga”, odpowiedziałem. „Nie zamierzam spotykać się z tym człowiekiem”.

- Uspokoił pan żonę - mruknął Holmes - a następnie stanął się pan w kościele o wyznaczonej porze.

-W rzeczy samej. Zabrałem ze sobą rewolwer, ale nie zastałem tam nieznajomego. Nasz kościół jest raczej zaniedbany i panował w nim nieprzyjemny chłód. Przez godzinę spacerowałem po kamiennej posadzce, nim powróciłem do domu. Od tamtej pory intruz już się nie odezwał i nie pojawił, ale jakoś nie mogę o nim zapomnieć.

Ponieważ zna pan nieznajomego - uzupełnił mój przyjaciół.

27

- Tak jest, panie Holmes. Trafił pan w sedno. Rzeczywi-

ście, przypuszczam, że znam tożsamość tego osobnika, wyznaję jednak, że nie bardzo pojmuję tok rozumowania, który przywiódł pana do takiego wniosku.

- Moim zdaniem to prawie oczywiste - odparł Holmes. -

Widział go pan tylko trzy razy. Wyznaczył panu spotkanie, ale się nie pojawił. Z pańskiej opowieści absolutnie nie wynika, by człowiek ten stanowił zagrożenie, mimo to rozpoczął pan swą wizytę od wyznania o kłopotach, o poczuciu osaczenia, a na spotkanie z tajemniczym mężczyzną wybrał się pan pod bronią. Przypomnę tylko, że wciąż jeszcze nie wyjaśnił nam pan znaczenia pewnego detalu: kaszkietu.

- Wiem, kim jest ten człowiek. Wiem, czego chce. I przeraża mnie to, że podążył za mną do Anglii.

- Z Ameryki?

-Tak.

- Panie Carstairs, pańska historia jest niezmiernie interesująca i jeśli tylko ma pan dość czasu, nim rozpocznie się spektakl operowy, albo jeśli jest pan skłonny darować sobie uwerturę, chyba byłoby najlepiej, gdyby zechciał pan opowiedzieć nam ją do końca. Wspomniał pan, że przed rokiem odwiedził Amerykę. Czy to wtedy poznał pan człowieka w kaszkiecie?

- Nigdy go nie spotkałem. Ale to z jego powodu wybrałem się do Nowego Świata.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zapalił fajkę?

Na pewno? Zatem proszę zabrać nas w tę podróż i opowiedzieć o sprawach, które zawiodły pana aż za Atlantyki.

Zawsze sądziłem, że ktoś taki jak marszand raczej nie ma wrogów. Pan jednak, jak się zdaje, sprawił sobie groźnego oponenta.

- W rzeczy samej. Mój przeciwnik nazywa się Keelan Odonaghue i jak mi Bóg miły, żałuję, że to nazwisko w ogóle dotarło do moich uszu.

Holmes sięgnął po perski pantofel, w którym trzymał zapas tytoniu, i zaczął nabijać fajkę. Edmund Carstairs zaś zaczerpnął tchu i opowiedział nam taką oto historię...

28

2

Gang Kaszkietów

Osiemnaście miesięcy temu przedstawiono mnie niezwykłemu dżentelmenowi, Corneliusowi Stillmanowi, który właśnie w Londynie kończył długą podróż po Europie.

Mieszkał na Wschodnim Wybrzeżu Ameryki i był jednym z tych, których nazywają tam bostońskimi braminami - członkiem jednej z najlepiej sytuowanych i najbardziej szanowanych rodzin. Zbił majątek dzięki kopalniom miedzi w Calumet i Hecli; inwestował też w linie kolejowe i telefonię. W młodości pragnął ponoć zostać artystą, a jednym z powodów jego podróży po Europie była chęć odwiedzenia muzeów i galerii Paryża, Florencji, Rzymu i Londynu.

Jak wielu zamożnych Amerykanów, miał w sobie wielce chwalebne poczucie obywatelskiej odpowiedzialności.

Kupił więc ziemię w Back Bay pod Bostonem i rozpoczął tworzenie galerii sztuki, którą nazwał Partenonem i pragnął

wypełnić najwspanialszymi dziełami zakupionymi podczas podróży po świecie. Poznałem go na kolacji i szybko przekonałem się, że jest istnym wulkanem energii i entuzjazmu. Ubierał się raczej staromodnie, nosił brodę i monokl, ale był zarazem człowiekiem ogromnej wiedzy, znającym doskonale francuski i włoski, a nawet trochę mowy dawnych (, reków. Od innych obywateli odróżniała go także świetna orientacja w sztuce oraz estetyczna wrażliwość. Proszę mnie nie brać za szowinistę, panie Holmes, to sam Cornelius Stillman opowiedział mi o niedoskonałościach życia kulturalne-

29

go, z którym się stykał, dorastając. O tym na przykład, jak w jego kraju pokazywano wybitne dzieła sztuki tuż obok rzekomych wybryków natury, takich jak syreny czy karty. Zdarzyło mu się nawet być widzem spektaklu, w którym akty dramatu Szekspira przedzielono popisami linoskoczków i akrobatów. Tak w owym czasie wyglądało życie kulturalne Bostonu. Partenon zaś, wedle Stillmana, miał być zgoła inny. Godzien swej nazwy, miał być świątynią sztuki i cywilizacji.

Nie posiadałem się z radości, gdy pan Stillman zgodził się odwiedzić moją galerię przy Albemarle Street. Spędziliśmy z panem Finchem wiele godzin w jego towarzystwie, prezentując mu nasz katalog oraz najświeższe nabytki z aukcji, w których uczestniczyliśmy regularnie w całym kraju. Stało się na tym, że pan Stillman kupił od nas prace Romneya, Stubbsa i Lawrence'a, a także serię czterech pejzaży Johna

Constable'a, będących dumą naszej kolekcji. Namalowane w 1806 roku, przedstawiały widoki naszej Krainy Jezior i wyraźnie różniły się od kanonu dzieł tego artysty. Emanowały nadzwyczajną głębią nastroju i ducha, a pan Stillman obiecał nam, że zostaną wystawione w specjalnie dla nich przygotowanym pomieszczeniu, przestronnym i dobrze oświetlonym. Opowieść nie byłaby kompletna, gdybym nie zaznaczył, że zainkasowałem przy tym znaczną kwotę. Jak zauważył pan Finch, była to niewątpliwie najbardziej udana transakcja w naszym życiu.

Teraz pozostało nam jedynie dostarczyć dzieła do Bostonu. Zostały starannie zapakowane i umieszczone w skrzyni, którą wysłaliśmy statkiem linii White Star z Liverpoolu do Nowego Jorku. Dodać muszę, że było to zrządzenie losu, w którym w owej chwili nie dopatrywaliśmy się niczego szczególnego, a dziś wspomnienie o nim prześladowuje nas nieustannie. Otóż pierwotnie zamierzaliśmy nadać obrazy wprost do Bostonu, na pokładzie RMS Adventurer. Spóźnił się jednak o kilka godzin i stąd pojawiła się konieczność wyboru innego statku. Nasz agent, bystry młodzieniec James Devoy, odebrał przesyłkę w Nowym Jorku i wraz z nią

30

udał się w liczącą sto dziewięćdziesiąt mil podróż pociągiem kursującym na linii Boston-Albany.

Obrazy jednak nigdy nie dotarły do miejsca przeznaczenia.

Wiele gangów działało wówczas w Bostonie, a zwłaszcza w południowej części miasta - w Charlestown i Somersville.

Większość tworzyli przybysze z Irlandii, którzy nadawali im wymyślne nazwy, jak choćby Martwe Króliki czy Czterdziestu Złodziei. To doprawdy smutne, że powitani z otwartymi ramionami w tym wspaniałym kraju, odwdzięczają się bezprawiem i gwałtem, ale tak właśnie jest i miejscowa policja nie jest w stanie ani powstrzymać, ani doprowadzić gangsterów przed oblicze sprawiedliwości. Jedną z najbardziej aktywnych i najniebezpieczniejszych grup przestępczych była znana jako Gang Kaszkietów, a dowodzili nią irlandzcy bliźniacy - Rourke i Keelan O'Donaghue z Belfastu. Opiszę panu tych diabłów najlepiej jak umiem, odegrają bowiem kluczową rolę w mojej opowieści.

Byli nierozłączni. Przyszli na świat jako bliźniacy, lecz Rourke nabrał z czasem bardziej imponującej postury - miał szerokie bary, wypukłą pierś i potężne pięści, którymi zawsze był gotów posłużyć się w bójce. Podobno jako szesnastolatek gołymi rękami zatłukł na śmierć człowieka, z którym grał w karty. Brat zaś zawsze stał w jego cieniu, był drobniejszy i spokojniejszy. Odzywał się tak rzadko, że plotkowano nawet, iż jest niemy. Rourke nosił brodę, Keelan się golił. Obaj nosili kaszkiety i stąd wzięła się nazwa ich gangu. Podobno każdy z nich miał inicjały bliźniaka wytatowane na ramieniu; byli absolutnie nierozłączni, w każdym aspekcie życia.

Co się zaś tyczy pozostałych członków gangu, to myślę, że nie będzie pan chciał o nich wiedzieć nic więcej, gdy usłyszy pan ich przydomki. Byli wśród nich na przykład Frank

„Wściekły Pies” Kelly i Patrick „Brzytwa” Maclean. Był też niejaki „Duch”, którego bano się jak istoty nie z tego świata. Parali się wszelkimi znanymi ludzkości formami przestępczości ulicznej, napadali, rabowali i przekupywali. O dziwo jednak, najbiedniejsi mieszkańcy Bostonu darzyli ich wiel-

31

ką estymą, zupełnie nie dostrzegając, jakim wrzodem na ciele lokalnej społeczności jest ta banda. Uważali gang braci O'Donaghue za bojowników buntujących się przeciwko bezlitosnemu systemowi. Nie muszę chyba wspominać o tym, że od zarania dziejów ludzkiej cywilizacji znany jest motyw dzielnych bliźniąt. Weźmy choćby Romulusa i Remusa, Apolla i Artemidę czy Kastora i Polluksa, o których po kres czasu przypominać nam będzie na nocnym niebie gwiazdozbiór Bliźniąt. Niestety, jakaś część tego etosu przylgnęła i do braci O'Donaghue. Wierzono, że nigdy nie zostaną schwytani i że każdy czyn ujdzie im na sucho.

Ja zaś nic nie wiedziałem o Gangu Kaszkietów - nawet o nim nie słyszałem - gdy wysyłałem z Liverpoolu skrzynię z obrazami. Tak się złożyło, że w tym samym czasie bandyci zdobyli informację, że za kilka dni z American Bank Note Company w Nowym Jorku do oddziału Massachusetts First National Bank w Bostonie przewieziony zostanie pokaźny ładunek gotówki. Chodziło ponoć o sto tysięcy dolarów. Przesyłka miała zostać nadana pociągiem linii Boston-Albany. Niektórzy twierdzą, że to Rourke był mózgiem gangu. Inni uważają, że to Keelan miał naturalny talent strategicz-

ny. Tak czy inaczej, razem postanowili zatrzymać pociąg, nim dotrze do celu, i zniknąć z gotówką.

Na zachodzie Ameryki, w Kalifornii czy Arizonie, napady na pociągi są wciąż jeszcze plagą, ale tak zuchwałe przestępstwo we wschodniej, bardziej cywilizowanej części kraju wydawało się nie do pomyślenia. Dlatego też pociąg wyruszył z dworca Grand Central w Nowym Jorku z zaledwie jednym uzbrojonym strażnikiem w wagonie pocztowym. Banknoty umieszczono w sejfie. Nieszczęściem nasze obrazy, zapakowane w skrzynię, podróżowały tym samym wagonem. Nasz agent, James Devoy, jechał w przedziale drugiej klasy. Jak zawsze gorliwy w swej pracy, postarał się o miejsce jak najbliżej wagonu pocztowego.

Gang Kaszkietów zorganizował napad nieopodal Pittsfield, w miejscu, gdzie tor wznosi się dość stromo ku mostowi nad rzeką Connecticut. Jest tam tunel długi na dwa tysiące stóp i zgodnie z kolejowymi przepisami maszynista ma obowiązek sprawdzić hamulce u wylotu. Pociąg sunął więc bardzo wolno, wyłaniając się spod ziemi, toteż Rourke i Keelan O'Donaghue bez trudu wskoczyli na dach jednego z wagonów. Stamtąd przeszli przez tender i, ku zdumieniu maszynisty oraz hamulcowego, nagle pojawili się w kabinie lokomotywy z bronią w ręku.

Rozkazali zatrzymać pociąg na leśnej polanie, otoczonej wysokim i gęstym sosnowym lasem, który ukrył przed światem ich zbrodniczy czyn. Kelly, Maclean i pozostali członkowie gangu już czekali z końmi i zapasem dynamitu, który

skradli z placu budowy. Wszyscy byli uzbrojeni. Gdy pociąg zatrzymał się na miejscu, Rourke ogłuszył maszynistę rewolwerem, a Keelan, który nie wyrzekł ani słowa, wyjął linę i przywiązał hamulcowego do metalowego wspornika. Reszta bandytów weszła do pociągu. Polecili pasażerom pozostać na miejscach, a sami udali się wprost do wagonu pocztowego, gdzie jęli mocować u drzwi ładunki wybuchowe.

James Devoy widział, co się święci, i zapewne rozpaczał już nad konsekwencjami napadu, choć musiał być świadom, że to nie obrazy Constable'a skusiły rabusiów. W końcu bardzo niewielu ludzi wiedziało o ich istnieniu, a nawet gdyby któryś z bandytów przypadkiem poznał się na wartości tych dzieł, i tak nie mógłby ich nikomu sprzedać. Podczas gdy inni pasażerowie kulili się ze strachu, Devoy wstał z kanapy z zamiarem paktowania z gangiem - tak przynajmniej rozumie jego postępek. Zanim jednak zdołał wypowiedzieć choćby słowo, Rourke O'Donaghue odwrócił się ku niemu i wystrzelił. Trzy kule, które utkwily w piersi Dévoya, sprawiły, że skonał w kałuży własnej krwi.

Tymczasem w wagonie pocztowym strażnik musiał usłyszeć odgłos palby i wyobrażam sobie, jakie przerażenie budziły w nim ruchy bandytów tuż za ścianą. Czy otworzyłby drzwi, gdyby tego zażądali? Nigdy się tego nie dowiemy. Chwilę później potężna eksplozja wstrząsnęła wagonem, rozrywając ścianę. Strażnik zginął na miejscu. Droga do sejfu stała otworem.

Do otwarcia go wystarczył drugi, mniejszy ładunek. I w tym momencie bandyci przekonali się, że wprowadzono ich w błąd. Do Massachusetts First National Bank wysłano ledwie dwa tysiące dolarów; być może była to nawet fortuna dla tych włóczęgów, ale spodziewali się nieporównywalnie większej kwoty. Tak czy owak, zrabowali banknoty przy wtórze dzikich okrzyków radości, za nic mając podwójne morderstwo, którego się dopuścili, a także fakt, iż wybuch kompletnie zrujnował cztery płótna warte dwadzieścia razy więcej niż pieniądze z sejfów, a także kilka innych. Brytyjska kultura poniosła niepowetowaną stratę. Ani na chwilę nie zapominam, że młody i gorliwy w swej pracy młodzieniec stracił życie, ale skłamałbym, gdybym rzekł, że z mniejszą rozpaczą opłakuję utratę tych obrazów.

Finch i ja z przerażeniem wysłuchaliśmy nowin o tym, co zaszło. W pierwszej chwili dano nam nadzieję, że płótna zostały skradzione. Zaiste, byłby to dla nich nie najgorszy los, ktoś bowiem mógłby przynajmniej napawać się jeszcze ich urodą, a i dla nas istniałaby szansa na ich odzyskanie. Stało się jednak inaczej - nieszczęsny przypadek, niewłaściwy moment, beztroski wandalizm w pogoni za garścią gotówki! Jakże gorzko żałowaliśmy, że właśnie tą, a nie inną drogą wyekspediowaliśmy te dzieła. Jakże się obwinialiśmy. Skutki finansowe także były niebagatelne. Pan Stillman wprowadził wpłacił pokaźną zaliczkę, lecz zgodnie z umową to na nas spoczywała pełna odpowiedzialność za ich dostarczenie. Całe szczęście, że ubezpieczyliśmy przesyłkę u Lloydów,

inaczej nasza galeria już by nie istniała, ja zaś musiałbym poświęcić majątek na zwrot długu. Należało też rozwiązać kwestię rodziny Jamesa Dévoya - teraz dopiero dowiedziałem się, że miał żonę i małe dziecko. Ktoś musiał zadbać o jego bliskich.

I właśnie dlatego postanowiłem udać się do Ameryki.

Wyjechałem z Anglii niemal natychmiast i dotarwszy najpierw do Nowego Jorku, spotkałem się z wdową Devoy, by solennie obiecać jej odszkodowanie. Nie poznałem dotąd słodsze go i bardziej urodziwego malca niż jej dziewięcio-

34

letni syn. Następnie pojechałem do Bostonu, a stamtąd do Providence, gdzie Cornelius Stillman wybudował swą letnią rezydencję. Muszę powiedzieć, że nawet długie godziny spędzone w towarzystwie tego człowieka nie przygotowały mnie na to, co ujrzałem. Shepherd's Point jest potężnym gmachem w stylu francuskiego chateau, zaprojektowanym przez słynnego architekta Richarda Morrisa Hunta. Same ogrody rozciągają się na trzydziestu akrach, wewnątrz zaś urządzono z większym przepychem, niż potrafiłem sobie wyobrazić. Stillman nalegał, by osobiście oprowadzić mnie po swej posiadłości, i powiadam panom, że tej przechadzki nigdy nie zapomnę. Przepiękne drewniane schody prowadzące do Sali Głównej, biblioteka mieszcząca pięć tysięcy tomów, szachy należące niegdyś do Fryderyka Wielkiego, kaplica z zabytkowymi organami, na których grał kiedyś I'urcell... Zanim dotarliśmy do piwnicy, w której znalazło

się miejsce dla basenu pływackiego i kręgielni, byłem wyczerpany. A te dzieła sztuki! Nim weszliśmy do salonu, zdążyłem wypatrzeć na ścianach prace Tycjana, Rembrandta i Velazqueza. I właśnie wtedy, gdy podziwiałem bogactwo, wręcz nieograniczone środki należące do mego gospodarza, w mojej głowie narodził się pewien pomysł.

Gdy zasiedliśmy do wieczerzy przy wielkim antycznym stole bankietowym, a murzyńscy służący w strojach w stylu kolonialnym wnieśli potrawy, wspomniałem o pani Devoy i jej dziecku. Stillman zapewnił mnie, że choć nie są oni mieszkańcami Bostonu, zadba o to, by władarze miasta objęli ich opieką. Zachęcony jego reakcją, poruszyłem temat gangu Kaszkietów i spytałem, czy mój gospodarz mógłby jakoś pomóc w wymierzeniu bandytom sprawiedliwości, Jako że bostońska policja nie czyniła żadnych postępów w sprawie. Zasugerowałem też, by w miarę możliwości zaoferował znaczącą nagrodę za informacje o miejscu pobytu przestępców i jednocześnie zatrudnił prywatnych detektywów, którzy mieliby ich zatrzymać w naszym imieniu. Tym sposobem moglibyśmy pomścić śmierć Jamesa Devoya i zarazem ukarać bandytów za zniszczenie pejzaży Constable'a.

35

Stillman z entuzjazmem podchwycił mój pomysł. „Ma pan rację, Carstairs!”, zawołał, z impetem grzmocąc pięścią w stół. „Właśnie tak zrobimy. Pokażę włóczęgom, że najczarniejszym dniem ich życia był ten, w którym postanowili wykiwać Corneliusa T. Stillmana!” Zwykle nie przemawiał

takimi słowy, ale tego wieczoru zdążyliśmy osuszyć flaszkę wyjątkowo dobrego clareta i mój gospodarz czuł się już nadzwyczajnie rozluźniony. Nalegał nawet, by samodzielnie ponieść koszt najęcia detektywów i ufundować nagrodę, choć uczciwie proponowałem swój udział. W końcu uścisnęliśmy sobie dłonie, a Stillman zaproponował, bym został u niego do czasu, aż sprawy zostaną dopięte. Z radością przyjąłem zaproszenie. Sztuka jest całym moim życiem - jestem wszak nie tylko marszandem, ale i kolekcjonerem - a skarbów zgromadzonych w domu Stillmana było dość, bym całymi miesiącami mógł żyć tam jak w transie.

Sprawy potoczyły się jednak szybciej. Pan Stillman skontaktował się z agencją Pinkertona i zatrudnił niejakiego Billa McParlanda. Nie zostałem zaproszony na spotkanie z nim, mój gospodarz był bowiem jednym z tych ludzi, którzy lubią działać samotnie i własnymi sposobami. Znałem jednak reputację McParlanda na tyle dobrze, by mieć pewność, że to dla bandytów groźny przeciwnik, który nie spocznie, póki Gang Kaszkietów nie wpadnie w jego ręce. W tym samym czasie „Boston Daily Advertiser” zamieścił ogłoszenia, w których zaoferowano znaczącą sumę stu dolarów za wszelkie informacje, które przyczynią się do ujęcia Rourke'a i Keelana O'Donaghue oraz ich współników. Z zadowoleniem stwierdziłem, że pan Stillman umieścił i moje nazwisko pod treścią ogłoszenia, choć przecież, jak wspominałem, sam wyłożył pieniądze.

Kolejnych kilka tygodni spędziłem w Shepherd's Point

i w samym Bostonie, nader urokliwym i szybko rozrastającym się mieście. Kilka razy odwiedziłem też Nowy Jork, by spędzić choć parę godzin w Metropolitan Museum of Art. Gmach tej instytucji prezentuje się fatalnie, za to kolekcja jest imponująca. Nie zapomniałem też o wizycie u pani Devoy

36

i jej syna. I właśnie podczas mojego pobytu w Nowym Jorku otrzymałem telegram od Stillmana, który nalegał, bym natychmiast powrócił. Hojna nagroda okazała się skutecznym środkiem. McParland zdobył informacje, dzięki którym wokół Gangu Kaszkietów zacisnęła się sieć.

Wróciłem czym prędzej i zatrzymałem się w hotelu przy School Street. Tam właśnie już pierwszego wieczoru Cornelius Stillman opowiedział mi całą historię.

Donos pochodził od właściciela spelunki w South Endzie, mało eleganckiej części Bostonu, zamieszkaanej w dużej części przez irlandzkich imigrantów. Melina bliźniaków O'Donaghue mieściła się właśnie tam, w wąskiej kamienicy opodal brzegu Charles River. Był to ponury, zaniedbany, trzypiętrowy budynek o dwunastu ciasnych izbach i tylko jednej toalecie na każdej kondygnacji. Nieczystości pływały w korytarzach otwartymi rynsztokami, a fetor udawało się stłamsić tylko dzięki dymowi z węgla drzewnego, spalane-
go w setce maleńkich palenisk. Piekielne to miejsce pełne było wrzeszczących dzieci, pijanych mężczyzn oraz bełkoczących, na wpół szalonych kobiet, lecz na jego tyłach, w do-
budówce wzniesionej z desek i nielicznych cegieł, bliźniacy

znaleźli w miarę bezpieczne schronienie. Keelan zajmował jeden pokój, a drugi Rourke dzielił z dwoma ze swych ludzi. W trzecim gnieździł się pozostali.

Pieniądze zrabowane z pociągu dawno się rozeszły, głównie na alkohol i hazard. Tego wieczoru, gdy zaszło słońce, bandyci zgromadzili się wokół piecyka, pijąc dżin i grając w karty. Nikt nie stanął na warcie. Byli pewni, że żadna z mieszkających po sąsiedzku rodzin nie ośmieli się donieść na nich, a bostońska policja już dawno przestała się interesować sprawą kradzieży dwóch tysięcy dolarów. Dlatego też nie mieli pojęcia, że do kamienicy zbliża się McParland z kilkoma uzbrojonymi ludźmi.

Agenci Pinkertona otrzymali polecenie wzięcia bandytów żywcem, jeśli tylko będzie to możliwe, ponieważ Stillman wierzył, że sąd w majestacie prawa wymierzy im sprawiedliwy, surowy wyrok. Poza tym budynek pełen był niewin-

37
nych ludzi, toteż należało za wszelką cenę uniknąć otwartej wymiany ognia. Gdy jego ludzie zajęli pozycje, McParland sięgnął po tubę i przemówił do bandytów. Jeśli jednak miał nadzieję, że Gang Kaszkietów potulnie odda się w jego ręce, to grad kul, które już po chwili pomknęły w jego stronę, odarł go ze złudzeń. Bliźniacy dali się zaskoczyć, lecz nie zamierzali poddać się bez walki. Istna kaskada ołowiu runęła w stronę ulicy; strzelano nie tylko z okien, ale i z dziur wybitych w ścianach. Dwaj detektywi z agencji Pinkertona polegli, a sam McParland został ranny, lecz pozostali dali z siebie

wszystko, odważnie waląc w stronę budynku ze swych szczęściotrzałowców. Niepodobna wyobrazić sobie, jak musiała wyglądać ta scena, gdy setki kul rwały cienkie drewno na strzępy. Bandyci nie mieli się gdzie ukryć.

Gdy bitwa dobiegła końca, w zadymionej izbie znaleziono porwane kulami zwłoki pięciu ludzi. Jednemu udało się uciec. W pierwszej chwili wydawało się to niemożliwe, lecz informator McParlanda upierał się, że w melinie przebywał cały gang; zresztą i podczas walki dało się dostrzec sześciu strzelców. Przebadano więc dokładniej kryjówkę bandytów i wtedy zagadka się wyjaśniła. Jedna z desek podłogowych była luźna. Gdy ją zdjęto, oczom detektywów ukazał się wąski kanał, łączący się dalej, pod ziemią, z rurą odprowadzającą ścieki aż do rzeki. Tą właśnie drogą umknął Keelan Odonaghue, choć niewątpliwie z szalonym trudem wcisnął się w rurę mogącą pomieścić ledwie dziecko. Żaden z agentów Pinkertona nie podjął się powtórzenia tego wyczynu. McParland poprowadził kilku nad rzekę, ale w kompletnej ciemności poszukiwania okazały się bezowocne. Gang Kaszkietów został zniszczony, lecz jednemu z przywódców udało się zbiec.

Taki oto przebieg wydarzeń opisał mi Cornelius Stillman, gdy siedzieliśmy późnym wieczorem w hotelu. Proszę jednak nie sądzić, że to już koniec historii.

Pozostałem w Bostonie jeszcze tydzień, po cichu żywiąc nadzieję, że detektywom uda się pochwycić Keelana O'Donaghue. Wykielkowała bowiem wówczas w mojej głowie

pewna niepokojąca myśl - choć może i była tam od samego początku, a dopiero wtedy przebiła się do mej świadomości. Otóż, jak już mówiłem, w owym przeklętym ogłoszeniu znalazło się moje nazwisko. Innymi słowy, Stillman podał do publicznej wiadomości fakt, iż byłem współfundatorem nagrody i jednym z tych, którzy wysłali zbrojny oddział przeciwko Gangowi Kaszkietów. Z początku uznawałem to za miły gest, mając na względzie wyłącznie poczucie obywatelskiego obowiązku. Był to także pewien zaszczyt - zostałem skojarzony z wybitnym człowiekiem. Teraz jednak dotarło do mnie, że skoro poległ jeden z bliźniaków, a drugi pozostał przy życiu, to mogę stać się celem zemsty, zwłaszcza przebywając w okolicy, w której nawet najgorsi przestępcy mogli liczyć na wsparcie i podziw pobratymców. Od tej chwili za każdym razem, gdy wychodziłem lub wracałem do hotelu, towarzyszył mi narastający niepokój. Nie zapuszczałem się też w mniej bezpieczne rejony miasta. Nigdy nie wychodziłem nocą.

Keelan O'Donaghue nie został schwytany, choć z drugiej strony niektórzy podejrzewali, że nie przeżył bitwy - ranny mógł skonać gdzieś z upływu krwi, ukryty pod ziemianiczym szczur. A może utonął? Stillman najwyraźniej wmówił sobie właśnie taką wersję wydarzeń, nim spotkałem się z nim po raz ostatni; w końcu był jednym z tych, którzy nigdy nie przyznają się do porażki. Ja zaś kupiłem bilet powrotny do Anglii na SS Catalonia, statek należący do linii

(unard. Żałując, że nie spotkam się już z panią Devoy i jej dzieckiem, bo brakowało mi czasu na powrót do Nowego Jorku, wymeldowałem się z hotelu. I właśnie miałem wejść po trapie na pokład, gdy dotarła do mnie wiadomość: młodociany sprzedawca gazet wykrzyczał mi to, o czym pisano na pierwszej stronie.

Cornelius Stillman został zastrzelony podczas spaceru po rosarium, w ogrodach swej rezydencji w Providence. Drżącą ręką sięgnąłem po gazetę, zapłaciłem i przeczytałem reportaż. Atak nastąpił poprzedniego dnia, a zabójcą był najpewniej młody człowiek w marynarce z diagonalu, apaszce

39

i kaszkiecie, którego widziano, jak uciekał z miejsca zbrodni.

Poszukiwania mordercy już trwały i miały objąć całą Nową Anglię, gdyż ofiarą był jeden z bostońskich braminów - nikt nie zamierzał szczędzić sił ni środków, by doprowadzić do zatrzymania sprawcy. Według gazety w dochodzeniu brał udział także Bill McParland - była w tym fakcie pewna ironia, ponieważ na krótko przed śmiercią Stillmana doszło między nimi do kłótni. Stillman odmówił wypłacenia agentom Pinkertona połowy umówionego wynagrodzenia, twierdząc, że zadanie zostanie uznane za wykonane, dopiero gdy odnajdzie się trupa ostatniego członka gangu. Trup zaś najwyraźniej miał się doskonale, nikt bowiem nie wątpił, z czyjej ręki zginął Stillman.

Przeczytawszy gazetę, ruszyłem dalej po trapie. Poszedłem prosto do mojej kabiny i pozostałem tam aż do osiem-

następnie, kiedy to potężny ryk syren obwieścił podniesienie cum - Catalonia wypłynęła z portu. Dopiero wtedy odważyłem się powrócić na pokład, by z głęboką ulgą pożegnać oddalający się Boston.

Oto, moi panowie, cała historia zaginionych obrazów Constable'a oraz mojej wizyty w Ameryce. Naturalnie opowiedziałem memu wspólnikowi, panu Finchowi, o tym, co się wydarzyło. Moja żona także wie już o wszystkim. Nigdy jednak nie wspominałem o sprawie nikomu innemu, a minął już ponad rok. I dopóki za oknem mojego domu w Wimbledonie nie pojawił się człowiek w kaszkiecie, sądziłem - i modliłem się o to - że już nigdy nie będę musiał do niej wracać.

Tytoń w fajce Holmesa wypalił się na długo przed tym, nim marszand zakończył swoją relację. Teraz mój przyjaciel słuchał w bezruchu, zaplótłszy na brzuchu szczupłe palce, z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy. Wreszcie na długą chwilę zapadła cisza. W kominku obłamało się rozżarzone polano i sypnęło iskrami. Chyba dopiero trzask ognia wyrwał Sherlocka z zamyślenia.

40

- Na jaką to operę wybierał się pan dziś wieczór? - spytał Holmes.

Było to bodaj ostatnie pytanie, jakiego się spodziewałem. Wydało mi się tak niezmiernie banalne w obliczu tego, co przed chwilą usłyszeliśmy, że zacząłem się zastanawiać, czy aby mój druh nie stara się być celowo nieuprzejmy.

Podobna myśl musiała zaświtać w głowie Edmunda Carstairsa. Wyprostował się odruchowo, spojrzął na mnie, a potem znowu na Holmesa.

- Chcę posłuchać Wagnera, ale... czy żaden z faktów, które przed chwilą ujawniłem, nie zrobił na panu najmniejszego wrażenia? - spytał z emfazą.

- Wręcz przeciwnie, to fascynująca historia i muszę pochwalić pana za to, w jak przejrzysty sposób i z jaką dbałością o szczegóły została nam przedstawiona.

- Ten człowiek w kaszkiecie...

- Pan najwyraźniej wierzy, że to Keelan O'Donaghue. Sądzi pan, że podążył pańskim śladem do Anglii, żeby się zemścić?

- A czy istnieje inne wyjaśnienie?

-Z marszu mógłbym pewnie przedstawić kilka całkiem sensownych. Zawsze jednak uważałem, że żadna interpretacja ciągu zdarzeń nie jest możliwa, póki nie wykluczą jej wszystkie zgromadzone dowody, a nawet i wtedy nie należy zbyt szybko wyciągać ostatecznych wniosków. W tym przypadku - owszem, jest możliwe, iż właśnie ten młody człowiek przebył Atlantyk, by trafić do pańskiego domu w Wimbledonie. Ktoś mógłby jednakże spytać: dlaczego potrzebował ponad roku, by odbyć tę podróż? I w jakim celu miałby zapraszać pana na spotkanie w kościele? Dlaczego nie zastrzelił pana na miejscu, skoro przybył tu właśnie z takim zamiarem. Jeszcze dziwniejsze jest to, że nie stawił się w umówionym miejscu.

Próbuje mnie zastraszyć.

Z powodzeniem.

Istotnie - przyznał Carstairs i skinął głową. - Czy mam rozumieć, że nie może mi pan pomóc, panie Holmes?

41

- W tym momencie nie bardzo rozumiem, jaką pomoc mógłbym panu zaoferować. Kimkolwiek jest ów nieproszony gość, na razie nie udzielił nam żadnej wskazówki co do tego, gdzie moglibyśmy go odnaleźć. Gdyby jednak zjawił się ponownie, z przyjemnością udzielię panu wsparcia. Teraz zaś proszę w spokoju zachwycać się operą. Nie uważam, by ten człowiek zamierzał pana skrzywdzić.

Holmes był jednak w błędzie, a przynajmniej wskazywały na to wydarzenia następnego dnia. Wtedy bowiem człowiek w kaszkiecie wykonał kolejny ruch.

3

W Ridgeway Hall

r Velegram dostarczono nam następnego ranka, gdy siedzieliśmy razem przy śniadaniu.

odonaghue pojawił się znowu tej nocy. włamano się do mojego sejfu; wezwałem policję. Może pan przyjechać?

I podpis: Edmund Carstairs.

- Co o tym wszystkim sądzisz, Watsonie? - spytał Holmes, rzucając depezę na stół.

- Wydaje się, że intruz powrócił wcześniej, niż się spodziewałeś - odrzekłem.

- Nic podobnego. Przewidywałem mniej więcej taki ruch.

Od początku miałem wrażenie, że tak zwany człowiek w kaszkiecie bardziej interesuje się Ridgeway Hall niż właścicielem tej posiadłości.

- Spodziewałeś się włamania? - jęknąłem. - Ależ Holmesie, dlaczego nie uprzedziłeś pana Carstairsa? Mogłeś przynajmniej delikatnie zasugerować mu, że istnieje zagrożenie.

- Słyszałeś przecież, co mówiłem, Watsonie. Bez dalszych dowodów nie miałem na co liczyć, teraz jednak nieproszony gość okazał się szczodry i zaoferował nam pomoc. Najprawdopodobniej sforsował okno. Musiał zatem przejść przez warzywnik, może przez rabaty, a następnie zostawić błotniste ślady na dywanie. Dzięki temu dowiemy się czegoś przynajmniej o jego wzroście, wadze i profesji; być może porusza się w osobiwy sposób. Nie wykluczam, że w swej uprzejmo-

43

ści zechciał też upuścić jakiś drobny przedmiot. Jeśli ukradł biżuterię, zapewne spróbuje ją sprzedać. Jeśli pieniądze, to i one gdzieś się muszą pojawić. Teraz mamy przynajmniej jakiś ślad, którym możemy podążyć. Zechciałbyś podać mi marmoladę? Pociągi do Wimbledonu kursują bardzo często.

Zakładam, że wybierzesz się ze mną?

- Naturalnie, Holmesie. O niczym innym nie marzę.

- Znakomicie. Czasem się zastanawiam, skąd wezmę energię potrzebną do podjęcia kolejnego śledztwa, gdy zabraknie mi pewności, że w swoim czasie szeroka publiczność będzie mogła przeczytać szczegółową relację.

Zdążyłem się już przyzwyczaić do takich docinków i wie-

działem, że wskazują jedynie na dobry humor mojego przyjaciela, toteż i tym razem nie zareagowałem. Wkrótce potem, gdy Holmes wypalił poranną porcję tytoniu fajkowego, włożyliśmy płaszcze i wyszliśmy z domu. Odległość dzieląca nas od Wimbledonu nie była zbyt wielka, mimo to dotarliśmy na miejsce dopiero o jedenastej. Podejrzywałem, że pan Carstairs stracił już nadzieję na nasze przybycie.

Od pierwszego wejrzenia zrodziło się we mnie przekonanie, że Ridgeway Hall to klejnocik architektury i nader stosowna siedziba dla prawdziwego kolekcjonera dzieł sztuki, zapewne dumnie prezentującego swe zbiory we wnętrzu. Za dwiema symetrycznie rozmieszczonymi bramami posiadłości, połączonymi niewysokim murkiem, zaczynał się wysypany żwirem podjazd w kształcie podkowy, prowadzący pośród pięknie utrzymanych trawników wprost do drzwi frontowych. Skrzydła bram osadzono w zdobionych kolumnkach, zwieńczonych kamiennymi lwami, których uniesione groźnie łapy ostrzegały przybyszów, by dobrze się zastanowili, zanim wejdą. Sam budynek stał w pewnym oddaleniu i nazwałbym go willą w klasycznym stylu georgiańskim. Biały, na planie kwadratu, cieszył oko eleganckimi oknami po obu stronach wejścia. Symetria sięgała zresztą i dalej, aż do drzew, które - choć należały do różnych, wyłącznie szlachetnych gatunków - posadzono w jednym porządku, tak by przeciwległe skrzydła ogrodu były dla siebie lustrzanymi odbiciami. I byłbym może pozostał

w owym radosnym przekonaniu, gdyby w ostatniej chwili nie popsuła mi wrażenia włoska fontanna, która - chociaż sama w sobie piękna, ozdobiona kupidynami i delfinami igrającymi w kamieniu pokrytym migoczącą w słońcu warstewką lodu - wzniesiona została w niewłaściwym miejscu. Nie sposób było patrzeć na nią i nie czuć wewnętrznej potrzeby przeniesienia jej o dwa albo trzy jardy w lewo. Jak się okazało, policja zdążyła już przybyć na miejsce i wybyć. Drzwi otworzył nam służący, schludnie ubrany i ponury. Poprowadził nas szerokim korytarzem, którego ściany - pomiędzy drzwiami do licznych pokoi - ozdobione były obrazami, miedziorytami, zabytkowymi lustrami i gobelinami. Rzeźba przedstawiająca pastuszkę wspartego na kijku stała na niewielkim stoliku o giętych nóżkach. Elegancki zegar stojący z białymi i złotymi zdobieniami dostrzegłem na samym końcu holu; jego subtelne tykanie niosło się echem w cichym domu. Wprowadzono nas wreszcie do salonu. Carstairs siedział na szeslongu, zajęty rozmową z kobietą o kilka lat odeń młodszą. Miał na sobie czarny surdut, srebrną kamizelkę oraz pantofle z lakierowanej skóry. Długie włosy schludnie zaczesał do tyłu. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że właśnie przegrał partyjkę brydża. Raczej trudno byłoby uwierzyć, że spotkało go większe nieszczęście. Na nasz widok poderwał się jednak na równe nogi.

A jednak panowie przybyli! Jeszcze wczoraj mówił pan, że nie ma powodu, bym się obawiał człowieka, którym

moim zdaniem jest Keelan O'Donaghue, a ten dzisiejszej nocy włamał się do mojego domu. Zabrał pięćdziesiąt funtów trochę biżuterii z sejfów. Gdyby nie to, że moja żona tak marnie sypia i zdołała przyłapać włamywacza na gorącym uczynku, Bóg jeden wie, co by się mogło stać.

Spojrzałem z zainteresowaniem na damę siedzącą obok niego. Była nadzwyczaj atrakcyjną, drobnej budowy osobką, mniej więcej trzydziestoletnią. Od razu zrobiły na mnie wrażenie jej bystre, inteligentne oblicze oraz pewność siebie

45

widoczna w każdym ruchu. Pani Carstairs miała jasne włosy, upięte w ciasny kok z tyłu głowy i przyznam, że to uczesanie świetnie podkreślało delikatne, kobiece rysy jej twarzy.

Choć miała za sobą ciężką noc, bez trudu dostrzegłem, że nie brak jej poczucia humoru: zdradziły mi to błyski w jej osobliwych, ni to zielonych, ni to niebieskich oczach, a także figlarność ust, gotowych w każdej chwili złożyć się do uśmiechu. Na policzkach wypatrzyłem jasne piegi. Żona marszanda miała na sobie prostą suknię z długimi rękawami, bez żadnych zdobieć. Na szyi nosiła sznur pereł. Było w jej postawie coś, co niemal natychmiast kazało mi skierować myśli ku mojej najdroższej Mary. Zanim jeszcze pani Carstairs otworzyła usta, by przemówić, nie miałem wątpliwości, że jest podobnego charakteru: że cechują ją wrodzona niezależność oraz silne poczucie obowiązku związane z osobą mężczyzny, którego wybrała na życiowego partnera.

- Może byłoby dobrze, gdyby zaczął pan od przedstawie-

nia nas - zauważył Holmes.

- Naturalnie. Oto moja żona, Catherine.

- A to zapewne pan Sherlock Holmes. Jestem panu bardzo wdzięczna za tak szybką reakcję na nasz telegram. To ja powiedziałam Edmundowi, żeby go wystął. Upierałam się, że pan przyjedzie.

- O ile się nie mylę, spotkała panią bardzo niepokojąca przygoda - odparł Holmes.

- Istotnie. Było tak, jak opisał panu mój mąż. Ocknęłam się tej nocy i spojrzałam na zegar - było dwadzieścia po trzeciej. Mamy pełnię, księżyc mocno świecił przez okno. W pierwszej chwili zdawało mi się, że to jakiś ptak mnie zbudził, może sowa. Lecz nagle usłyszałam nowy dźwięk, dochodzący wyraźnie z wnętrza domu. Pomyślałam, że dzieje się coś niedobrego. Wstałam więc, włożyłam szlafrok i zesłam na parter.

- To było niemądre z twojej strony, moja droga - wtrącił Carstairs. - Przecież on mógł cię skrzywdzić.

- Jakoś nie czułam się zagrożona. Przyznam szczerze, nawet nie przyszła mi do głowy taka możliwość, żeby obcy

46

człowiek szukał czegoś w naszym domu. Sądziłam, że to pan albo pani Kirby, a może nawet Patrick. Widzi pan, ja nie do końca ufam temu chłopcu. Tak czy owak, zajrzałam przelotnie do salonu i stwierdziłam, że nic się tam nie dzieje.

I wtedy coś mnie tknęło: postanowiłam podejść jeszcze do gabinetu.

- Wzięła pani ze sobą lampę? - spytał Holmes.

- Nie. Wystarczył mi blask księżyca. Uchyliłam drzwi i spostrzegłam postać, zarys sylwetki. Ktoś kucał na podokienniku, trzymając coś w dłoni. Zobaczył mnie i oboje zamarliśmy, spoglądając na siebie ponad dywanem. W pierwszej chwili nawet nie krzyknęłam, byłam zbyt wstrząśnięta. A potem on, jak mi się zdawało, po prostu wypadł z okna. Usłyszałam, jak miękko ląduje na trawie, i w tym momencie jakby uwolniłam się z zaklęcia. Krzyknęłam, wszczynając alarm.

- Za chwilę przyjrzymy się sejfowi i reszcie gabinetu - rzekł Holmes. - Najpierw jednak, pani Carstairs, pozwolę sobie zauważyć, że sądząc po akcencie, jest pani Amerykanką. Od dawna są państwo małżeństwem?

- Pobraliśmy się z Edmundem już prawie półtora roku temu.

- Chyba powinienem panom wyjaśnić, w jakich okolicznościach poznałem Catherine - powiedział Carstairs. - Zwłaszcza że kwestia ta łączy się bezpośrednio z historią, którą opowiedziałem wczoraj. Nie zrobiłem tego wcześniej tylko dlatego, że wydała mi się nieistotna.

- Każdy szczegół jest istotny - odparł Holmes. - Często przekonuję się, że najdrobniejszy detal sprawy okazuje się tym najistotniejszym.

- Poznaliśmy się na pokładzie Catalonii, tego dnia, kiedy wypłynęła z bostońskiego portu - wyjaśniła Catherine Carstairs.

- Podróżowałam samotnie, oczywiście jeśli nie

liczyć dziewczyny, którą zatrudniłam do towarzystwa. Za-
uważyłam Edmunda, gdy wyszedł na pokład, i natychmiast
wyczułam, że przydarzyło mu się coś strasznego - miał to
wypisane na twarzy, widziałam strach w jego oczach. Tego
47

wieczoru jedynie minęliśmy się w tłumie, oboje samotni.
Lecz potem, szczęśliwym zrządzeniem losu, zostaliśmy po-
sadzeni obok siebie przy kolacji.

- Nie wiem, jak przetrwałbym podróż, gdyby nie Cathe-
rine - podjął opowieść Edmund Carstairs. - Zawsze byłem
raczej nerwowym osobnikiem, a teraz, dotknięty stratą bez-
cennych płócien, śmiercią Corneliusa Stillmana, straszliwą
przemocą... Jak dla mnie było tego za wiele. Naprawdę
nie czułem się dobrze, gorączkowałem. I wtedy Catherine
wzięła mnie w opiekę, a moje uczucie do niej zaczęło kieł-
kować, ledwie wybrzeże Ameryki zniknęło za horyzontem.
Muszę wyznać, że zawsze wyśmiewałem koncepcję „miło-
ści od pierwszego wejrzenia”, panie Holmes. Owszem, czy-
tywałem o niej w tanich powieściach, ale nigdy w nią nie
wierzyłem. Aż do czasu, gdy sam jej doświadczyłem. Gdy
przybijaliśmy do angielskiego portu, wiedziałem już, że oto
odnalazłem kobietę, z którą pragnę spędzić resztę życia.

- A jaka była, jeśli wolno spytać, przyczyna pani wizyty
w Anglii? - spytał Holmes, zwracając się do żony Carstairsa.

- Przez krótki czas byłam mężatką w Chicago, panie
Holmes. Mój mąż handlował nieruchomościami, lecz choć
jego firmę powszechnie szanowano, a on sam regularnie by-

wał w kościele, to nigdy nie był dla mnie dobry. Miał fatalny temperament i zdarzały się nawet chwile, w których obawiałam się o swoje bezpieczeństwo. Miałam niewielu przyjaciół, a on czynił wszystko, by tak już pozostało. W ostatnich miesiącach naszego małżeństwa praktycznie więził mnie w domu, być może obawiając się, że mogłabym świadczyć przeciwko niemu. I wtedy, całkiem niespodziewanie, zachorował na gruźlicę i zmarł. Niestety, dom i większość majątku zapisał swoim siostrze. Została mi jedynie skromna kwota, nie miałam ani przyjaciół, ani szczególnego powodu, by pozostać w Ameryce. Wyjechałam więc. W Anglii chciałam zacząć od nowa... - Spuściła głowę i dodała z pokorą w głosie: - Nie spodziewałam się, że osiągnę cel tak szybko, że odnajdę szczęście, którego przez tak długi czas brakowało w moim życiu.

48

- Wspomniała pani o dziewczynie, która towarzyszyła pani na pokładzie Catalonii - wtrącił Holmes.

- Najęłam ją w Bostonie. Wcześniej nigdy się nie spotkałyśmy. Zwolniłam ją ze służby wkrótce po przybyciu do Anglii.

Z korytarza dobiegło dźwięczne bicie zegara. Holmes zerwał się z fotela z uśmiechem na twarzy, pełen energii i podniecenia, które tak dobrze znałem.

- Nie traćmy już ani chwili! - zawołał. - Chciałbym teraz zbadać sejf oraz pokój, w którym stoi. Powiadają państwo, że skradziono pięćdziesiąt funtów. Biorąc pod uwagę

okoliczności, trzeba stwierdzić, że nie jest to wielka kwota.

Sprawdźmy więc, czy złodziej coś pozostawił.

Zanim jednak wykonaliśmy jakikolwiek ruch, do salonu weszła kobieta, o której już na pierwszy rzut oka mogłem powiedzieć jedno: choć niewątpliwie mieszkała pod jednym dachem z państwem Carstairs, była całkowicie inna niż Catherine. Przeciętnej urody, bez uśmiechu, ubrana na szaro. Ciemne włosy nosiła ciasno spięte na karku. Na szyi miała srebrny krzyżyk, a dłonie zaplotła jakby do modlitwy. Sądząc po ciemnych oczach, bladej cerze i kształcie warg, musiała być spokrewniona z Carstairsem. Nie miała w sobie teatralności brata, była raczej jak sufler wiecznie pozostający w cieniu i czekający, aż główny aktor zapomni swojej kwestii.

- Co znowu? - spytała nieprzyjaźnie. - Najpierw wtargnęli do mojego pokoju policjanci, żeby zadać mi absurdalne pytania, na które w żaden sposób nie potrafiłabym odpowiedzieć. A teraz widzę, że to jeszcze nie wszystko. Czy mamy zaprosić cały świat, żeby pogwałcił naszą prywatność?

- Elizo, to pan Sherlock Holmes - wydukał zbity z tropu Carstairs. - Mówiłem ci, że konsultowałem się z nim wczoraj. I wiele ci z tego przyszło! Nie potrafię panu pomóc, tyle mi niej więcej usłyszałeś. Wspaniała konsultacja, Edmundzie, bez dwóch zdań. A we śnie wszystkich nas ktoś mógł pomordować.

Carstairs spojrział na nią z czułością i irytacją zarazem.

- To moja siostra, Eliza - powiedział.

- Mieszka pani w tym domu? - spytał Holmes.

- Jestem tolerowana - odpowiedziała cierpko siostra. -

Mam pokój na poddaszu, gdzie spędzam większość czasu, ku zadowoleniu wszystkich. Zatem owszem, mieszkam tu, ale nie jestem częścią tej rodziny. Mógłby pan równie dobrze porozmawiać ze służbą.

- Elizo, przecież wiesz, że to niesprawiedliwe - zaproponowała pani Carstairs.

Holmes spojrział na jej męża.

- Może zechce mi pan powiedzieć, ile osób przebywa w tym domu?

- Poza mną i Catherine rzeczywiście jest jeszcze Eliza, która faktycznie mieszka na ostatnim piętrze. Mamy też Kirby'ego, lokaja i złotą rączkę w jednej osobie. To właśnie on wpuścił panów do domu. Jego żona pracuje tu jako gospodyni; oboje mieszkają na dole. Mają młodego bratanka, Patricka, który niedawno przyjechał tu z Irlandii. Jest kuchennym i załatwia dla nas drobne sprawunki. Mamy też pomywaczkę imieniem Elsie oraz woźnicę i stajennego, ale ci dwaj mieszkają na co dzień w wiosce.

- Spore gospodarstwo i dość ruchliwe - ocenił Holmes. -

Ale przecież mieliśmy się przyjrzeć sejfowi.

Tylko Eliza Carstairs pozostała w salonie, my zaś ruszyliśmy korytarzem w stronę gabinetu marszanda. Z pokoju tego, położonego głęboko na tyłach domu i ładnie ume-

blowanego, rozciągał się widok na ogród i dalej, na ozdobną sadzawkę. Biurko stało pomiędzy oknami przybrzanyymi aksamitnymi zasłonami, a wokół rzeźbionego kominka wisiały na ścianach pejzaże, które - sądząc po jaskrawych barwach i niemal przypadkowych plamkach farby - musiały należeć do szkoły impresjonizmu, o której opowiadał nam Carstairs. Całkiem solidny sejf stał w kącie gabinetu. Był otwarty.

- Czy w takim stanie go pan zastał? - spytał Holmes.

- Policja już go badała - odpowiedział Carstairs. - Uzna-

50

łem jednak, że lepiej będzie pozostawić go w takim stanie aż do pańskiego przybycia.

- Całkiem słusznie - pochwalił go Holmes, spoglądając na stalową szafę. - Wydaje się, że nie użyto siły do otwarcia zamka, a to oznacza, że sprawca miał klucz - zauważył.

- Początkowo istniał tylko jeden klucz, który noszę przy sobie nieustannie - odparł Carstairs. - Jednakże sześć miesięcy temu kazałem Kirby'emu wykonać kopię. Catherine trzyma tu swoją biżuterię, więc kiedy wyjeżdżam - proszę pamiętać, że uczestniczę w aukcjach w całym kraju, a czasem i na kontynencie - chciała mieć do niej dostęp.

Pani Carstairs, która wraz z nami weszła do gabinetu, stała dotąd milcząca przy biurku. Teraz uniosła ręce w górę.

- Zgubiłam go - powiedziała.

- Kiedy to się stało?

- Naprawdę nie umiem powiedzieć, panie Holmes. Może

miesiąc temu, a może jeszcze wcześniej. Rozmawiałam już o tym z Edmundem. Parę tygodni temu chciałam otworzyć sejf i nigdzie nie mogłam znaleźć klucza. Po raz ostatni używałam go w moje urodziny, czyli w sierpniu. Nie mam pojęcia, co się z nim potem stało. Zazwyczaj nie jestem aż tak nieuważna.

- Czy to możliwe, że został skradziony?

- Trzymałam go w szufladce obok łóżka. Nikt nie wchodzi do mojej sypialni, prócz służby. O ile mi wiadomo, klucz nie mógł zniknąć z domu.

Holmes spojrzał na Carstairsa.

- Nie wymienił pan sejfu.

- Nosilem się z takim zamiarem, ale przyszła mi do głowy myśl, że nawet jeśli klucz został przypadkowo upuszczony gdzieś w ogrodzie czy nawet w wiosce, to i tak nikt nigdy nie odgadnie, do którego zamka pasował. Jeśli zaś, co bardziej prawdopodobne, zawieruszył się gdzieś wśród drobiazgów mojej żony, to prawie niemożliwe jest, by wpadł w niepowołane ręce. Tak czy inaczej, nie mamy pewności co do tego, czy to właśnie kluczem Catherine otwarto sejf.

Może Kirby wykonał dwie kopie?

51

- Jak długo u pana służy?

- Sześć lat.

- I nigdy nie dał panu powodu do skargi?

- Najmniejszego.

-A ten kuchenny, Patrick? Pańska żona chyba nie darzy

go zaufaniem.

- Nie lubi go, bo chłopak jest bezczelny i czasem trochę zbyt szczwany. Mieszka z nami zaledwie od kilku miesięcy, a przyjęliśmy go wyłącznie na prośbę pani Kirby która bardzo chciała pomóc mu w znalezieniu pracy. Chętnie za niego zaręczy, a i ja muszę przyznać, że nie mam powodu podejrzewać go o nieuczciwość.

Holmes wyjął lupę i uważnie obejrzał sejf, koncentrując się zwłaszcza na zamku.

- Powiada pan, że skradziono trochę klejnotów - rzekł po chwili. - Należały do pańskiej żony?

- Nie. Właściwie zginął tylko szafirowy naszyjnik, należący do mojej nieżyjącej matki. Trzy grupy kamieni w złotej oprawie. Przypuszczam, że złodziej wiele na nim nie zarobi, za to dla mnie wielka jest wartość sentymentalna tego naszyjnika. Matka mieszkała z nami jeszcze kilka miesięcy temu, kiedy to... - Carstairs urwał, a wtedy żona podeszła do niego i położyła dłoń na jego ramieniu. - Doszło do wypadku, panie Holmes. Matka miała w swoim pokoju piecyk gazowy. Jakimś sposobem płomień został zdmuchnięty, a wtedy udusiła się we śnie.

- Była w sędziwym wieku?

- Sześćdziesiąt dziewięć lat. Zawsze spała przy zamkniętym oknie, nawet latem. Gdyby nie ten nawyk, pewnie jeszcze by żyła.

Holmes podszedł do okna. Dołączyłem do niego, gdy przyglądał się badawczo podokiennikowi, ościeżnicy i ra-

mie. Jak to miał w zwyczaju, komentował na głos swoje spostrzeżenia - niekoniecznie na mój użytek.

- Brak okiennic - zaczął. - Okno ma zamek, znajduje się w pewnej odległości od ziemi. Najwyraźniej otwarto je z zewnątrz, przemocą. Widać drzazgi, co tłumaczyłoby nocne odgłosy zasłyszane przez panią Carstairs. - Umilkł i przez chwilę miałem wrażenie, że dokonuje jakichś obliczeń. - Jeśli można, chciałbym teraz porozmawiać z państwa lokajem, Kirbym. Potem zajrzę do ogrodu, choć jestem niemal pewny, że miejscowi policjanci zdążyli już zdeptać wszelkie ślady, z których mógłbym odczytać cenne wskazówki. Czy pochwalili się państwu wstępными wnioskami ze śledztwa?

- Inspektor Lestrade zajrzał do nas na krótko przed pańm przybyciem.

- Co takiego? Był tu Lestrade?

- Tak. Nie wiem, jakie jest pańskie zdanie o nim, panie Holmes, ale wedle mojej oceny pracował starannie i skutecznie. Zdążył już ustalić, że pewien mężczyzna mówiący z amerykańskim akcentem odjechał dziś o piątej rano pierwszym pociągiem z Wimbledonu do stacji London Bridge. Sądząc po jego stroju oraz po tym, że miał bliznę na prawym policzku, jesteśmy pewni, że to ten sam człowiek, którego widziałem opodal domu.

- Zapewniam, że jeśli to Lestrade prowadzi śledztwo, mogą państwo liczyć na błyskawiczne rozwiązanie sprawy, choć być może będzie ono z gruntu fałszywe! Miłego dnia, panie Carstairs. Miło było panią poznać, pani Carstairs.

chodźmy, Watsonie...

Wycofaliśmy się na korytarz i wróciliśmy do drzwi frontowych, gdzie czekał już na nas Kirby. Nie wydawał mi się zbyt przyjacielski, gdy nas witał, ale może po prostu uznał nas za kolejną przeszkodę w nienagannym funkcjonowaniu domu. Teraz także spoglądał na nas twardo z nad swej kwadratowej szczęki i widać było, że należy do tych ludzi, którzy nie wypowiadają więcej słów, niż jest to absolutnie niezbędne. Na szczęście okazał się nieco bardziej przystępny, gdy Holmes zaczął mu zadawać pytania. Potwierdził, że pracuje i mieszka w Ridgeway Hall od sześciu lat. Pochodził z kiarnstaple, jego żona zaś z Dublinu. Holmes zapytał też, czy dom bardzo się zmienił, odkąd zaczęli służyć.

53

- O tak, proszę pana - padła odpowiedź. - Starsza pani Carstairs była bardzo surowa. Nie wahała się upominać nas, gdy robiliśmy coś choćby odrobinę nie po jej myśli. Młoda pani Carstairs jest zupełnie inna, taka pogodna. Moja żona nazwała ją powiewem świeżego powietrza.

- Ucieszyliście się, gdy pan Carstairs się ożenił?

- Byliśmy zachwyceni, proszę pana, a także zaskoczeni.

- Zaskoczeni?

- Może nie powinienem o tym gadać, sir, ale wcześniej pan Carstairs nigdy nie wykazywał zainteresowania tymi sprawami, był całkowicie oddany swojej rodzinie i pracy.

Pani Carstairs pojawiła się na horyzoncie jak grom z jasnego nieba, ale wszyscy jesteśmy zdania, że wyszło to domowi

na dobre.

- Byłeś w domu, gdy zmarła starsza pani Carstairs?

- Tak jest, proszę pana. I wyznam, że po części obwiniam i siebie. Starsza pani bardzo lękała się przeciągów i dlatego kazała mi uszczelnić wszelkie szpary, którymi chłodne powietrze mogło się dostać do jej pokoju. I właśnie z tej przyczyny gaz nie mógł ujść. Dopiero rankiem Elsie znalazła panią Carstairs w pokoju pełnym trującego oparu... Okropna sprawa.

- A czy kuchenny Patrick mieszkał już wtedy w domu?

- Przyjechał tydzień wcześniej. Jeśli mam być szczery, straszny był to początek jego służby.

- To twój bratanek, jak rozumiem.

- Bratanek żony, proszę pana.

- Z Dublinu?

-W rzeczy samej. Nie było mu łatwo wdrożyć się do ciężkiej pracy. Mieliśmy nadzieję, że zapewnimy mu dobry start w życie, ale do dziś nie nauczył się zachowania, które przystoi chłopakowi zatrudnionemu w takim miejscu. Nie podoba nam się zwłaszcza to, jak się odnosi do pana domu. Choć może być i tak, że to tragedia starszej pani tak na niego wpłynęła. W końcu nie taki zły z niego chłopak; mam nadzieję, że z czasem jednak wyjdzie na ludzi.

54

- Dziękuję, Kirby.

- Drobiazg, proszę pana. Mam tu pański płaszcz i rękawiczki...

W ogrodzie Holmes poczynął sobie wyjątkowo dziarsko. Maszerował po trawniku, wdychając głęboko chłodne, przedpołudniowe powietrze i wyraźnie radując się krótką ucieczką od miasta - mgły Baker Street zostawiliśmy wszak daleko w tyle. W owym czasie niektóre zakątki Wimbledonu żywo przypominały posiadłości na głębokiej prowincji. Widzieliśmy owce skulone ciasnym stadkiem na zboczu pagórka, opodal kolonii prastarych dębów. W najbliższej okolicy stało ledwie kilka domów i obu nas uderzył zadziwiający spokój tego pejzażu, a także osobliwa właściwość tamtejszego światła, w którym wszystkie kontury wydawały się znacznie ostrzejsze niż zwykle.

- Fascynująca sprawa, nie sądzisz, Watsonie? - zawołał mój przyjaciel, gdy szliśmy w stronę ścieżki.

- Moim zdaniem całkiem trywialna - odpowiedziałem. - Zaginęła kwota pięćdziesięciu funtów i stary naszyjnik. Doprawdy nie nazwałbym tego najtrudniejszą próbą w twojej karierze, Holmesie.

- A mnie nurtuje właśnie kwestia tego naszyjnika, po tym, co usłyszeliśmy o tym domu. Przypuszczam jednak, że ty już masz rozwiązanie sprawy...

- Zgaduję, że kluczem do niej jest stwierdzenie, czy nieproszonym gościem rzeczywiście był bliźniak z Bostonu.

- A gdybym cię zapewnił, że to niemal na pewno nie był on?

- Wtedy odrzekłbym, nie po raz pierwszy zresztą, że mnie zadziwiasz.

Mój drogi, stary Watsonie. Jak dobrze jest mieć cię przy boku... Ale oto dotarliśmy do miejsca, w którym zjawił się wczoraj nasz intruz.

Stanęliśmy w miejscu na skraju ogrodu, gdzie ścieżka spotykała się z uliczką. Po drugiej stronie zaczynały się już łąki należące do gminy. Chłodna aura oraz dobrze utrzy-

55
ny trawnik stworzyły pospołu doskonałe płótno, na którym odmalowały się - i zastygły - wszystkie ślady poczynione w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Tędy, jeśli się nie mylę, nadszedł nasz staranny i skuteczny Lestrade - rzekł Holmes, wskazując na jeden z niezliczonych tropów.

- W żaden sposób nie da się stwierdzić, że to właśnie jego ślady - zaproponowałem.

- Czyżby? Otóż długość kroku wskazuje, że był to człowiek wzrostu mniej więcej pięciu stóp i sześciu cali - Lestrade spełnia to kryterium. Miał na nogach buty o kwadratowych noskach, a takie często nosi nasz inspektor.

Jednakże dowodem ostatecznym jest fakt, iż trop ten prowadzi w kompletnie niewłaściwym kierunku, omijając wszelkie istotne znaki - któż inny mógłby się tak popisać, jeśli nie Lestrade? Jak się zaraz przekonasz, wszedł i wyszedł bramą po prawej stronie. To całkiem naturalne, zbliżając się bowiem uliczką do domu, właśnie ją napotykasz jako pierwszą. Równie oczywiste jest jednak i to, że nasz intruz dostał się tu drugą bramą.

- Dla mnie są one identyczne, Holmesie.
- Co do tego masz zupełną rację, lecz brama po lewej lepiej się nadaje na dyskretne wejście, a to za sprawą niesymetrycznego położenia fontanny. Gdybyś chciał niezauważenie dostać się do domu, uczyniłbyś to właśnie tędy, i jak się za chwilę okaże, znajdziemy tam tylko jeden trop... Halo! A cóż my tu mamy? - Holmes przykucnął i podniósł z ziemi niedopałek. - To amerykański papieros, Watsonie - rzekł po chwili, pokazując mi go. - Nie mam wątpliwości, znam ten tytoń. Zauważ też, że w sąsiedztwie nie ma ani śladu popiołu.
- Jest niedopałek, ale nie ma popiołu?
- To oznacza, że choć intruz starał się pozostać niewidoczny, to jednocześnie nie czał się zbyt długo w tym miejscu. Nie sądzisz, że to znaczący fakt?
- Rzecz działa się w środku nocy, Holmesie. Może od razu
- 56
- zauważył, że dom jest pogrążony w mroku. Nie musiał się bać, że ktoś go zobaczy.
- Mimo to... - Ruszyliśmy po śladach wiodących przez trawnik, ku bocznej ścianie budynku i oknu gabinetu - ..szedł równym krokiem. Mógł zatrzymać się przy fontannie, żeby się upewnić, czy jest bezpieczny, ale tego nie zrobił. - Holmes przyjrzał się z bliska oknu, które uprzednio badał od strony pokoju. - Musiał to być człowiek o nieprzeciętnej sile.
- Chyba nie jest zbyt trudno sforsować takie okno?

- Istotnie, Watsonie. Zważ jednak, jak wysoko jest umieszczone. Widać tu miejsce, w które zeskoczył, gdy wykonał zadanie. Dwa pokaźne zagłębienia w trawie. Nie ma jednak ani śladu drabiny czy choćby krzesetka ogrodowego. Możliwe więc, że oparł czubek buta o szczelinę w murze. Zaprawa jest luźna, widać krawędzie cegieł. To oznacza, że musiał zawisnąć na jednej ręce, a drugą wyważyć okno. Wypada też zadać sobie pytanie, czy to czysty zbieg okoliczności, że wybrał akurat ten pokój, w którym znajduje się sejf.

To chyba jasne, że zaszedł dom z mniej widocznej strony, nie ryzykując, że ktoś go zauważy? A kiedy już tu był, przypadkiem wybrał to okno.

Wobec tego dopisało mu nadzwyczajne szczęście. -

Holmes zakończył oględziny. - Odnalezienie naszyjnika z trzema grupami szafirów w złotej oprawie nie powinno być trudne, a skoro tak, to trafimy i do sprawcy. Lestrade przynajmniej potwierdził nam, że intruz pojechał pociągiem do Londynu. Uczynimy tak samo. Do stacji nie mamy daleko, a dzień jest całkiem przyjemny. Możemy pójść pieszo.

Wróciliśmy przed dom na podjazd. Zanim jednak dotarliśmy do ulicy, otworzyły się frontowe drzwi rezydencji Ridgeway Hall i podbiegła ku nam kobieta - Eliza Carstairs, siostra pana marszanda. Na ramiona zarzuciła gruby szal, którego końce przyciskała kurczowo do piersi, a w jej oczach i twarzy smaganej kosmykami ciemnych włosów widać było rozterkę.

Tanie Holmes! - zawołała, zatrzymując się przed nami.

- Panna Carstairs.

- W domu byłam wobec pana nieuprzejma, proszę mi wybaczyć. Muszę panu powiedzieć, że nic nie jest takie, jakie się wydaje, i jeśli nam pan nie pomoże, jeśli nie zdejmie pan klątwy, którą rzucono na to miejsce, wszyscy tu będziemy zgubieni.

- Błagam, panno Carstairs, proszę się opanować.

- To wszystko przez nią! - Siostra marszanda uniosła rękę ku domowi, prostując palec w oskarżycielskim geście. - Przez Catherine Marryat, bo tak brzmi jej nazwisko po pierwszym mężu. Upolowała Edmunda w chwili, gdy był praktycznie bezbronny. Zawsze miał wrażliwą naturę, już jako chłopiec, dlatego jego nerwy nie mogły znieść ciężkich doświadczeń w Bostonie. Był wyczerpany, chory i rzeczywiście potrzebował opieki. To dlatego rzuciła się na niego. Ale czy miała do tego prawo? Będąc nikim, przybłądą z Ameryki, bez pensa przy duszy? Tam, na oceanie, gdy całe dnie spędzali razem na pokładzie, uwiła wokół niego sieć tak gęstą, że gdy wreszcie wrócił do domu, było już za późno. Nie zdołałyśmy odwieść go od podjętego zamiaru.

- Sama potrafiłaby pani wziąć go w opiekę.

- Kocham go tak, jak kochać może jedynie siostra. Matka darzyła go równie mocnym uczuciem. I proszę ani przez chwilę nie wierzyć, że jej śmierć była następstwem nieszczęśliwego wypadku. Jesteśmy szanowaną rodziną, panie Holmes. Mój ojciec, który przybył do Londynu z Manchesteru, parał się najpierw sprzedażą reprodukcji, a potem

otworzył galerię przy Albemarle Street. Niestety zmarł, gdy byliśmy jeszcze dość młodzi, mimo to przez lata udawało nam się jakoś żyć we troje w idealnej harmonii. Gdy Edmund obwieścił nam z pełnym przekonaniem, że ożeni się z panią Marryat, gdy wdał się z nami w spór i nie chciał usłuchać głosu rozsądku, złamał matce serce. Naturalnie pragnęła, by kiedyś znalazł żonę, tylko jego szczęście było dla nas naprawdę ważne. Ale jak mógł się związać właśnie z tą kobietą? Z awanturką zza oceanu, którą ledwie pozna-

58

łącznie jego majątkiem i pozycją, błogim bezpieczeństwem, które mógł jej zaoferować? Moja matka zabiła się sama, panie Holmes. Nie umiała żyć w hańbie, unieszczęśliwiona tym przeklętym małżeństwem. Odkręciła więc kurek i leżała na łóżku tak długo, aż gaz spełnił swoje zadanie, rzucając ją w litościwy niebyt.

- Czy matka wspominała pani o swoim zamiarze? - spytał Holmes.

- Nie musiała. Doskonale wiedziałam, o czym myśli, i wcale się nie zdziwiłam, gdy znaleziono ją martwą. Dokończyła wyboru. Od chwili, gdy zjawiła się Amerykanka, ten dom przestał być przyjaznym miejscem, panie Holmes. A teraz ta nowa historia o intruzie, który włamał się do domu, żeby ukraść naszyjnik, najdroższą pamiątkę po mamie, świeć, Panie, nad jej duszą. Dla mnie to tylko część wielkiego, podstępного planu. Skąd pewność, że ów rabuś

szukał zemsty na moim bracie, a nie przybył tu za sprawą jego żony? Siedziałyśmy razem w salonie, gdy się pojawił po raz pierwszy. Ja także widziałam go przez okno. Może to > jej stary znajomy, który podążył jej śladem aż tutaj? A może ktoś więcej? Moim zdaniem to dopiero początek, panie Holmes. Dopóki trwa to małżeństwo, dopóty żadne z nas nie jest bezpieczne.

- Pani brat sprawia wrażenie zadowolonego - zauważył dość obojętnie Holmes. - Ale to nie ma znaczenia. Co, pani zdaniem, miałbym uczynić? Mężczyzna ma prawo wybrać sobie żonę bez błogosławieństwa matki. I jeśli chodzi o ścisłość, bez błogosławieństwa siostry.

Może pan zbadać jej przeszłość.

To doprawdy nie moja sprawa, panno Carstairs.

Eliza Carstairs spojrzała na niego z pogardą.

Czytałam o pańskich dokonaniach, panie Holmes - rzekła po chwili. - Zawsze jednak uważałam, że jest w tych relacjach sporo przesady. Wydawał mi się pan, przy całej bystrości umysłu, osobnikiem zupełnie nierozumiejącym rozterek ludzkiego serca. Teraz wiem, że moje podejrzenia były słuszne.

59

To powiedziawszy, panna Carstairs obróciła się na pięcie i wróciła do domu.

Holmes odprowadził ją wzrokiem i zaczekał, aż zamknęła za sobą drzwi.

- Osobliwe - mruknął. - Ta sprawa z każdą chwilą staje

się ciekawsza i bardziej złożona.

- Pierwszy raz w życiu słyszałem kobietę przemawiającą z taką furią - wtrąciłem.

- Święte słowa, Watsonie. Ja tymczasem zaczynam dostrzegać w tej sytuacji wielkie niebezpieczeństwo i dlatego zadaję sobie pytanie... - Holmes urwał, spoglądając na fontannę, na kamienne posąжки i zamrożony krąg wody. - Czy pani Catherine Carstairs potrafi pływać?

4

Nieformalne siły policyjne

Następnego ranka Holmes zaspał, a ja siedziałem samotnie w salonie, czytając Męczeństwo człowieka pióra Winwooda Leade'a, książkę, którą mój druh polecał mi niejedynym razem, ja zaś, wyznając, brnąłem przez nią z niemałym trudem. Dostrzegalem natomiast wątki, dla których tak upodobał sobie treść tego dzieła: nienawiść autora do „bezczywności i głupoty”, jego nabożny stosunek do „boskiego intelektu” oraz sugestię, że „w naturze człowieka leży rozumować od wnętrza ku zewnątrz”. Holmes mógłby śmiało podpisać się pod tymi przemyśleniami, a ja, przeczytawszy książkę i odłożywszy ją na bok, miałem przynajmniej satysfakcję, że oto nieco lepiej rozumiem umysł wielkiego detektywa. Z poranną pocztą przyszedł list od Mary. Sprawy w Camberwell nie wyglądały źle: Richard Forrester nie był na tyle chory, by nie entuzjasmować się powrotem dawnej guwernantki, a moja żona najwyraźniej z wielką przyjemnością dotrzymywała towarzystwa matce chłopca, która traktowała ją - całkiem słusznie

z resztą - raczej jak osobę równą sobie, a nie byłą pracownicę.

Właśnie sięgnąłem po pióro, by jej odpisać, gdy nagle odezwał się głośny dzwonek u drzwi frontowych, a zaraz potem rozległ się na schodach tupot wielu stóp. Doskonale pamiętałem ten dźwięk, zatem nie byłem zaskoczony, gdy kilku małych uliczników wpadło do pokoju i ustawiło się w mniej więcej równym szeregu, słuchając głośniejszych komend najwyższego i najstarszego z nich.

61

- Wiggins! - zawołałem, przypomniawszy sobie jego nazwisko. - Nie spodziewałem się, że jeszcze cię zobaczę.

- Pan Holmes przysłał nam wiadomość, proszę pana, że wzywa nas w strasznie pilnej sprawie - odpowiedział Wiggins. - A kiedy pan Holmes wzywa, my zawsze przychodzimy!

Sherlock nazwał ich swego czasu oddziałem policyjnych sił brygady Baker Street, kiedy indziej zaś mówił, że to Nieregularni. Trudno sobie wyobrazić bardziej obdartą bandę smarkaczy, w wieku od ośmiu do piętnastu lat, pokrytych brudem od stóp do głów i ubranych w stroje tak niemiłosiernie połatane, że nie sposób było odgadnąć, ile pokoleń dzieci nosiło je wcześniej. Sam Wiggins miał na sobie marynarkę dorosłego, z której wycięto środkową część, by na powrót zszyć ze sobą górę i dół. Niektórzy z chłopców przyszli boso. Tylko jeden, jak zauważyłem, wyróżniał się spośród nich nieznacznie lepszym ubraniem, był też jakby lepiej odżywiony. Zastanawiałem się, jakież to bezecne czyny - może

okradał domy, a może kieszenie przechodniów? - pozwoliły mu nie tylko przetrwać, ale i nieźle prosperować, przynajmniej na tle pozostałych uliczników. Nie mógł mieć więcej niż trzynaście lat, a przecież, jak wszyscy jego towarzysze, był już prawie dorosły. Dzieciństwo jest wszakże pierwszą wartościową monetą, z której ubóstwo okrada dziecko.

Chwilę później w salonie stał się Sherlock Holmes w towarzystwie pani Hudson. Od razu zauważyłem, że nasza gospodyni jest wzburzona i nie zamierza trzymać języka na wodzy.

- Tego nie zniosę, panie Holmes. Już panu mówiłam: to jest szanowany dom, a pan sprasza tu tych obdartusów. Bóg jeden wie, jakie choróbka mi tu przywloką i ile sztućców i obrusów wyniosą.

- Proszę się nie denerwować, moja pocziwa pani Hudson - odpowiedział ze śmiechem Holmes. - Wiggins! Już ci mówiłem: nie życzę sobie takich najść. W przyszłości będziesz się u mnie meldował sam. Ale teraz, skoro już jesteście w komplecie, bardzo uważnie wysłuchajcie moich poleceń.

62

Naszym celem jest Amerykanin, mężczyzna po trzydziestce który nosi niekiedy kaszkiet. Ma dość świeżą bliznę na prawym policzku i chyba możemy założyć, że pierwszy raz jest w Londynie. Wczoraj wysiadł na stacji London Bridge, mając przy sobie złoty naszyjnik z trzema grupami szafirów, który - to chyba oczywiste - zdobył nielegalnym sposobem, jak sądzicie, gdzie mógł spróbować go spieniężyć?

- W Fullwood's Rents! - zawołał jeden z chłopców.

- U Żydów przy Petticoat Lane! - wykrzyknął inny.

- Nie! Lepszą cenę dostanie w piekielnych chatach - zasugerował trzeci. - Ja bym poszedł na Flower Street albo Field I .me.

- W lombardach! - wtrącił lepiej ubrany chłopak, na którego wcześniej zwróciłem uwagę.

- W lombardach - zgodził się Holmes. - Jak ci na imię, chłopcze?

- Ross, proszę pana.

- Masz zadatki na detektywa, Ross. Człowiek, którego szukamy, jest tu po raz pierwszy i dlatego nie zna ani Flower Street, ani FullwoocLs Rents, ani jeszcze bardziej tajemniczych zakątków miasta, w których z takim upodobaniem szukacie kłopotów. Pójdzie natomiast w najbardziej oczywiste miejsce, bo symbol trzech złotych kulek jest znany na całym świecie. I dlatego tam właśnie zaczniecie. Wsiadł na London Bridge i możemy przyjąć, że wybrał hotel lub pensjonat położony w pobliżu tej stacji. Odwiedzicie wszystkie lombardy w okolicy, opisując właścicielom człowieka oraz klejnot, który usiłował sprzedać. - Holmes sięgnął do kieszeni. - Stawka taka sama jak zwykle: po szylingu dla każdego i gwinea dla tego, który znajdzie to, czego szukam.

Wiggins rzucił komendę i nieformalne siły policyjne odma szero wały w wielkim zgiełku, odprowadzone bacznyym spojrzeniem pani Hudson, która z pewnością zamierzała spędzić resztę poranka na liczeniu sztuków. Gdy tylko

chłopcy zamknęli za sobą drzwi, Holmes klasnął w dłoń
i opadł na fotel.

I cóż ty na to, Watsonie? - spytał.

63

- Nie masz, jak mi się wydaje, żadnych wątpliwości co do
tego, że wkrótce złapiemy tego O'Donaghue.

- Jestem niemal pewny, że wkrótce odnajdziemy człowie-
ka, który włamał się do Ridgeway Hall - odparł.

- Nie sądzisz, że Lestrade też przesłucha właścicieli lom-
bardów?

- Jakoś w to wątpię. Ta prosta myśl z pewnością nie zaświ-
ta w jego głowie. My zaś mamy przed sobą cały dzień i nic
specjalnego do roboty, może więc - skoro spóźniłem się na
śniadanie - pójdziemy razem na lunch do Café de l'Europe
opodal Haymarket Théâtre? Wbrew nazwie serwują tam an-
gielskie potrawy, i to pierwszej jakości. Potem zaś chciałbym
odwiedzić galerię Carstairsa i Fitcha przy Albemarle Street.
Może zawarcie znajomości z panem Tobiasem Finchem wyj-
dzie nam na dobre... Pani Hudson, gdyby Wiggins powrócił,
proszę go tam skierować. Lecz teraz, Watsonie, musisz mi
powiedzieć, jak ci się podobało Męczeństwo człowieka. Widzę,
że nareszcie skończyłeś.

Zerknąłem na książkę, leżącą jak gdyby nigdy nic na
stoliku.

- Holmesie...?

- Używałeś reklamy papierosów jako zakładki. Obserwo-
wałem jej mozolny pochód od pierwszej do ostatniej stro-

ny, a teraz spoczęła obok, nareszcie wyzwolona od tej męki.

Chętnie poznam twoje przemyślenia. Pani Hudson, czy byłaby pani tak miła i zechciała podać nam herbatę?

Wyszedszy z domu, ruszyliśmy w stronę Haymarket. Mgła zdążyła się już unieść i choć wciąż było bardzo zimno, zanościło się na piękny dzień. Tłumy ludzi przelewały się przez bramy domów towarowych, a uliczni sprzedawcy ciągnęli swe wózki i głośno zachwalali towary. Przy Wimpole Street spora gromada ludzi zebrała się wokół katarzyniarza, starego Włocha. Przy dźwiękach rzewnej, neapolitańskiej melodii uwijali się wśród wzruszonych słuchaczy oszuści, szukając naiwnych ofiar. Niemal na każdym rogu ulicy widać było

64

ulicznych artystów, których dziwnym trafem nikt nie próbował przegonić. Zjedliśmy w Café de l'Europe wyborny placek nadziewany mięsem dzikiego ptactwa i być może to właśnie wprowadziło Holmesa w doskonały humor. Nie rozmawialiśmy o sprawie, a przynajmniej nie wprost. Pamiętam, że snuł rozważania o naturze malarstwa i jego potencjalnej przydatności do rozwiązywania zagadek kryminalnych.

- Pamiętasz, jak Carstairs opowiadał nam o czterech zaginionych pracach Constable'a? - spytał. - Były to pejzaże krainy Jezior, namalowane na początku wieku, kiedy to artysta przeżywał okres głębokiego przygnębienia. Olej na płótnie staje się więc kluczem do psychiki człowieka. Kiedy ktoś wiesza takie dzieło we własnym salonie, możemy się sporo dowiedzieć o stanie jego umysłu. Zwróciłeś może

uwagę na obrazy zdobiące Ridgeway Hall?

- Sporo francuskich. Pejzaż Bretanii, widok na most nad Sekwaną... Moim zdaniem doskonałe prace.

- Podziwiałeś je zatem, ale niczego się z nich nie dowiedziałeś.

- Masz na myśli osobowość Edmunda Carstairsa? Widać, że przedkłada wieś ponad miasto. Pociąga go niewinność wieku dzieciennego. Lubi się otaczać kolorami. Sądzę, że istotnie można co nieco wnioskować o jego charakterze na podstawie obrazów, którymi udekorował swój dom... Ale z drugiej strony, nie możemy być pewni, że wszystkie obrazy wybrał sam Carstairs. Może jego żona albo świętej pamięci matka?

Całkiem słusznie.

Poza tym nawet mężczyzna, który morduje własną żonę, może mieć i łagodniejszą stronę duszy, przejawiającą się choćby w doborze dzieł sztuki. Zapewne pamiętasz sprawę rodziny Abernetty. Horace Abernetty, o ile pamiętam, z upodobaniem wieszał na ścianach wizerunki miejscowych roślin. A przecież był to wyjątkowy brutal i osobnik ze wszech miar godzien pogardy.

Skoro już o tym mowa, to ja zapamiętałem akurat to, że w większości były to rośliny trujące.

65

-A co powiesz o mieszkaniu przy Baker Street, Holmesie? Będziesz się upierał, że gość w twoim salonie dowie się wiele o twojej psychice, kontemplując obrazy wiszące na

ścianach?

- Nie, za to dowie się sporo o poprzednim lokatorze. Zapewniam cię bowiem, Watsonie, że w moim mieszkaniu nie ma bodaj jednego obrazka, który nie znajdowałby się tam w chwili, gdy zjawiłem się tam po raz pierwszy. Naprawdę i z całą powagą wyobrażasz sobie, że poszedłem do galerii, żeby kupić ten portret Henry'ego Warda Beechera, który stał nad twoją półką z książkami? Wielce szanowny obywatel, to oczywiste, a jego poglądy na niewolnictwo i bigoterie są ze wszech miar godne propagowania, ale daję ci słowo, że jego podobizna to spadek po moim poprzedniku. Ja tylko postanowiłem zostawić ją w spokoju.

- Zatem i portret generała Gordona nie jest twoim nabytkiem?

- Nie jest. Choć przyznaję, że oddałem go do naprawy i ponownego oprawienia po tym, jak przypadkowo wpakowałem weń kulę. Uczyniłem to jednak pod naciskiem pani Hudson. A wiesz, że mógłbym nawet napisać monografię na ten temat? „Wykorzystanie dzieł sztuki w praktyce detektywistycznej”.

- Holmesie, uparcie starasz się uczynić z siebie bezduszną maszynę - odrzekłem, śmiejąc się z cicha. - Nawet arcydzieło impresjonizmu nie jest dla ciebie niczym więcej niż tylko dowodem rzeczowym, który warto wykorzystać w pogoni za przestępcą. Być może właśnie zachwyty nad sztuką potrzeba, byś nabrał nieco ludzkiego charakteru. Na legam, żebyś wybrał się ze mną do Akademii Królewskiej.

- Mamy już w planie wizytę w galerii Carstairsa i Fitcha, Watsonie, i chyba na razie mi to wystarczy. Kelner, deska serów. I kieliszek mozelskiego dla mojego przyjaciela, jak sądzę. Porto jest zbyt ciężkie na popołudnie.

Niewielki dystans dzielący nas od galerii pokonaliśmy spacerowym krokiem. Muszę wyznać, że niezmierną satysfakcję dawały mi te chwile cichego towarzystwa i czułem

66

się jednym z najszcześliwszych londyńczyków, mogąc najpierw gawędzić, a następnie w milczeniu przechadzać się u boku osoby tak wybitnej jak Sherlock Holmes. Dochodziła czwarta i zaczynało już szarzeć, gdy dotarliśmy do galerii, która, nawiasem mówiąc, nie mieściła się przy samej Albemarle Street, tylko nieco w głębi, w starej wozowni. Gdyby nie nader dyskretna tabliczka ze złotym napisem, trudno byłoby dostrzec siedzibę świątyni sztuki. Za niskimi drzwiami ujrzeliśmy dość ponure wnętrze, wyposażone w dwie kanapy i stolik, a przyozdobione tylko jednym obrazem stojącym na sztaludze - była to łąka z dwiema krowami, namalowana przez holenderskiego artystę Paulusa Pobera. Już od progu posłyszeliśmy podniesione głosy dwóch mężczyzn, dobiegające z sąsiedniego pokoju. Rozpoznałem jeden z nich: należał do Edmunda Carstairsa.

- To doskonała cena - mówił właśnie. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, Tobiasie. Te prace są jak dobre wino, ich wartość może jedynie wzrosnąć.

- Nie, nie, nie! - odpowiedział z naciskiem inny, znacznie

bardziej piskliwy głos. - On je nazywa morskimi pejzażami. Owszem, widzę tam morze, ale bardzo niewiele ponadto. Jego ostatnia wystawa była porażką, więc teraz salwuje się ucieczką do Paryża, lecz i tam, jak słyszę, jego reputacja gwałtownie marnieje. To strata pieniędzy, Edmundzie.

- Sześć obrazów Whistlera...

- Sześć obrazów Whistlera, których nigdy nie sprzedamy!

Stojąc wciąż przy drzwiach frontowych, teraz dopiero zatrzasnąłem je - z nieco większą siłą, niż było to konieczne.

Miałem nadzieję, że będzie to wystarczający sygnał naszej obecności, i nie pomyliłem się. Dysputa urwała się nagle, a po chwili zza zasłony wyszedł siwowłosy dżentelmen w nie-nagannie skrojonym ciemnym ubraniu, koszuli ze stójką i w obowiązkowej muszce. Złoty łańcuszek lśnił na jego kamizelce, a pince-nez wykonane z tego samego kruszcu tkwiło na czubku jego nosa. Mężczyzna miał zapewne co najmniej sześćdziesiąt lat, ale poruszał się sprężystym krokiem, a każdy jego ruch emanował swoistą nerwową energią.

67

- Pan Finch, jak sądzę - zaczął Holmes.

- Tak jest, łaskawy panie. To moje nazwisko. A pan to...?

- Sherlock Holmes.

- Holmes? Mam wrażenie, że nigdy się nie spotkaliśmy, a jednocześnie to nazwisko brzmi jakoś znajomo...

- Pan Holmes! - zawołał Carstairs, wchodząc do pokoju. Kontrast między dwoma współnikami był uderzający: pierwszy z nich, stary i pomarszczony, zdawał się należeć

do poprzedniej epoki, po drugim zaś, młodszym i wymuszonym, widać było jeszcze oznaki gniewu i frustracji, bez wątpienia ślady zakończonej przed chwilą rozmowy, której mimowolnie zostaliśmy świadkami. - Pan Holmes jest detektywem, o którym ci opowiadałem - wyjaśnił swemu wspólnikowi.

- Ach, tak, tak. Oczywiście, już kojarzę. Przedstawił mi się przed chwilą.

- Nie spodziewałem się, że tu pana zobaczę - rzekł Carstairs.

- Przyszedłem, bo ciekaw byłem miejsca, w którym pan pracuje - wyjaśnił Holmes. - Mam jednak także kilka pytań do pana, dotyczących agentów Pinkertona, których zatrudniliście w Bostonie.

- Cóż za okropna sprawa! - wtrącił Finch. - Chyba do kresu moich dni nie otrząsnę się z szoku po stracie tych obrazów. To najstraszniejsza klęska w całej mojej karierze. Jaka szkoda, że nie sprzedaliśmy wtedy paru z tych twoich Whistlerów, Edmundzie. Wyleciałyby w powietrze i nikt nawet by po nich nie westchnął! - Miałem wrażenie, że gdy staruszek się rozgada, żadna siła już go nie zatrzyma. - Handel dziełami sztuki to szacowne zajęcie, panie Holmes. Wśród naszych klientów nie brakuje arystokratów. Wolałbym, żeby żaden z nich nie dowiedział się o tym, że z naszymi interesami wiążą się jakieś strzelaniny i morderstwa! - Finch umilkł nagle, spoglądając z niechęcią na nieproszonego gościa, który stanął zniemacka w drzwiach. Od razu rozpoznałem Wig-

ginsa, z którym widzieliśmy się rankiem, lecz dla właściciela galerii jego wizyta równała się bezczelnej napaści. - Precz

68

stąd! Wynoś się natychmiast! - wykrzyknął. - Nie masz tu czego szukać.

- Proszę się nie obawiać, panie Finch - odezwał się

Holmes. - Ja znam tego chłopaka. O co chodzi, Wiggins?

- Znaleźliśmy go, panie Holmes! - zawołał podniecony

Wiggins. - Tego typu, którego pan szuka. Widzieliśmy go na własne oczy, Ross i ja. Właśnie mieliśmy wejść do lombardu przy Bridge Lane - Ross go zna, bo sam tam często łązi - gdy drzwi otwierają się i proszę: stoi przed nami jegomość we własnej osobie, z siną blizną na twarzy. - Chłopak narysował linię palcem na swoim policzku. - Ale to ja pierwszy go poznałem. Nie Ross.

- Gdzie jest teraz podejrzany? - spytał Holmes.

- Poszliśmy za nim do pensjonatu, proszę pana. Obaj dostaniemy po gwinei, jeśli tam pana zaprowadzimy?

- Skończę z wami, jeśli tego nie zrobicie - odparł Holmes. -

Przecież wiesz, Wiggins, że zawsze grałem z wami uczciwie.

Powiedz no, gdzie ten pensjonat?

- W Bermondsey, proszę pana. Pensjonat pani Oldmore.

Ross powinien tam teraz być. Zostawiłem go na czatach, a sam drałowałem aż tutaj, żeby pana znaleźć. Jeśli typek, którego pan szuka, wyjdzie z pensjonatu, Ross pójdzie za nim. Jest nowy w tej robocie, ale to spryciarz jakich mało.

Pójdzie pan tam ze mną, panie Holmes? Może weźmie pan

powóz? Mogę pojechać z panem?

- Możesz usiąść z woźnicą. - Holmes odwrócił się teraz ku mnie i zobaczywszy ściągnięte brwi oraz napięcie w jego twarzy, wiedziałem od razu, że koncentruje całą energię na czekającym nas zadaniu. - Musimy natychmiast ruszać - orzekł. - Szczęśliwym zbiegiem okoliczności podejrzany właśnie wpadł w nasze ręce. Nie możemy pozwolić, by się nam wymknął.

- Pojadę z panami - obwieścił Carstairs.

- Panie Carstairs, dla pańskiego bezpieczeństwa...

- Widziałem tego człowieka. To ja opisałem go panu i jeśli ktoś może orzec, czy ci chłopcy poprawnie go zidentyfikowali, to właśnie ja. Poza tym bardzo pragnę wreszcie za-

69

mknąć tę sprawę, panie Holmes. Jeśli ten człowiek jest tym, za kogo go uważam, to przybył tu przez wzgląd na mnie i ze wszech miar słuszne będzie to, bym właśnie ja doprowadził nasze porachunki do końca.

- Nie mamy czasu na spory - odparł Holmes. - Niech i tak będzie. Pojedziemy we trzech. A teraz nie traćmy już ani chwili.

Wybiegliśmy z galerii - Holmes, Wiggins, Carstairs i ja - zostawiając za sobą ostupiałego pana Fincha. Szybko znaleźliśmy wolną dorożkę i wskoczyliśmy do środka. Woźnica spojrział pogardliwie na Wigginsa, który wdrapał się na kozioł, ale po chwili ustąpił, a nawet oddał mu kawałek koca, by się okrył. Trzasnął bicz i ruszyliśmy z taką werwą, jakby

nasz pośpiech dziwnym sposobem udzielił się koniom. Było już niemal ciemno, a im bliżej nocy, tym szybciej topniał mój pogodny i swobodny nastrój. Miasto znowu wydawało mi się zimne i wrogie. Klienci sklepików i uliczni artyści powrócili do domów, a ich miejsce zajęli przedstawiciele zgoła innego gatunku: zaniedbam mężczyźni i krzykliwie ubrane kobiety; dla nich mrok był naturalnym środowiskiem do prowadzenia interesów, które, nawiasem mówiąc, miały w sobie własną dozę mroku.

Minęliśmy Blackfriars Bridge; na moście wiatr był najbardziej lodowaty i ciął skórę jak nóż. Holmes nie odezwał się ani słowem, odkąd wyszliśmy z galerii, i miałem wrażenie, że w jakiś sposób przeczuwa, co się wkrótce wydarzy. Naturalnie nigdy by się nie przyznał do czegoś takiego, a gdybym ośmielił się zasugerować, byłby poirytowany. Przecież nie jest żadnym wróżbitą! Dla niego liczył się wyłącznie intelekt, usystematyzowany zdrowy rozsądek, jak to kiedyś określił. A przecież byłem świadom czegoś, co nie miało logicznego uzasadnienia; czegoś, co można by nawet nazwać ingerencją siły nadprzyrodzonej. Czy się to Holmesowi podobalo czy nie, fakt pozostaje faktem: on już wtedy wiedział, że wydarzenia tego wieczoru będą punktem zwrotnym, po którym jego życie - nasze życie - już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

70

Pensjonat pani Oldsmore kusił pokojem i salonikiem każdego, kto gotów był wyłożyć trzydzieści szylingów za ty-

dzień. Był też dokładnie takim przybytkiem, jakiego można się było spodziewać za podobne pieniądze: nędznym, zaniedbanym budynkiem z wychodkiem dobudowanym / jednej strony i ceglana kotłownią z drugiej. Stał dość blisko rzeki, toteż powietrze było wilgotne i zalatywało mułem.

W izbach paliły się lampy, lecz brud okrywał szyby tak grubą warstwą, że niewiele światła wydostawało się na zewnątrz. Ross, towarzysz Wigginsa, czekał na nas, trzęsąc się z zimna mimo grubej warstwy gazet, którymi wypchał swoją marynarkę. Gdy Holmes i Carstairs wysiedli z dorożki, zauważyłem, że coś go strasznie przeraziło. Jego oczy wypełnił strach, a twarz wydawała się trupio blada w blasku ulicznej latarni. Zły czar przysł, gdy Wiggins zeskoczył na chodnik i chwycił go za ramię.

- Wszystko gra, chłopie! - zawołał Wiggins. - Obaj dostaniemy po gwinei. Pan Holmes obiecał.

- Opowiedz mi, co się działo, odkąd zostałeś tu sam - polecił Holmes. - Czy człowiek, którego rozpoznaliście, wychodził z pensjonatu?

- Kim są ci panowie? - Ross wskazał najpierw na Carstairsa, a potem na mnie. - Marynarze czy gliniarze? I po co tu przyjechali?

- Spokojnie, Ross - odezwałem się. - Nie musisz się nas obawiać. Nazywam się John Watson, jestem lekarzem.

Widziałeś mnie dziś rano, gdy przyszedliście na Baker Street. A to pan Carstairs, właściciel galerii sztuki przy Albemarle Street.

Nie zrobimy ci krzywdy.

- Albemarle Street w Mayfair? - Chłopak był tak skostnia-
ły, że ani na chwilę nie przestawał dzwonić zębami. Natu-
ralnie mali londyńscy ulicznicy wiedzieli, co to ciężka zima,
ale ten, biedaczysko, stał tu samotnie od co najmniej dwóch
godzin.

- Widziałeś coś? - spytał Holmes.

- Nic nie widziałem - odpowiedział Ross. Jego głos wyraż-
nie się zmienił, podobnie jak zachowanie: miałem wrażenie,

71

że nagle stara się coś przed nami ukryć. Nie po raz pierwszy
przyszło mi do głowy że wszystkie dzieciaki pokroju Rossa
zdecydowanie przedwcześnie osiągnęły coś na kształt doro-
słości. - Stałem tu, czekałem na was. Facet nigdzie nie łąził.

I nikt tam nie wchodził. Tylko zmarzłem na kość.

- Masz tu obiecane pieniądze. Ty też weź, Wiggins. -

Holmes wypłacił chłopcom umówioną kwotę. - A teraz
lećcie do domu, na dziś zrobiliście wystarczająco dużo. -

Wiggins i Ross schowali monety i razem pobiegli w mrok;
ten ostatni tylko raz obejrzał się przez ramię. - Proponuję
wejść do środka i spotkać się z tym człowiekiem - ciągnął
Holmes. - Bóg mi świadkiem, że nie zamierzam stać na mro-
zie ani chwili dłużej niż to konieczne. Ten chłopak, Watso-
nie... Nie masz wrażenia, że kłamał?

- Z całą pewnością wydarzyło się coś, o czym nie chciał
nam powiedzieć - zgodziłem się.

- Miejmy nadzieję, że nie przyszło mu do głowy zdradzić
nas. Panie Carstairs, nalegam, proszę trzymać dystans. Nie

jest zbyt prawdopodobne, by nasz cel posunął się do użycia przemocy, ale też przyszliśmy tu raczej nieprzygotowani. Wierny rewolwer doktora Watsona spoczywa niewątpliwie w szufladzie gdzieś w Kensington, troskliwie zawinięty w szmatkę. Ja również jestem nieuzbrojony. Musimy zdać się na siłę umysłu. Chodźmy.

We trzech wkroczyliśmy do pensjonatu. Kilka stopni wiodło ku frontowym drzwiom, za którymi znajdował się ogólnodostępny, słabo oświetlony hol z nagą podłogą i drzwiami w bocznej ścianie, za którymi znajdował się ciasny kantorek. Siedział tam na drewnianym krześle na wpół śpiący starszy mężczyzna. Ocknął się, gdy stanęliśmy na progu.

- Bóg z wami, łaskawi panowie - wymamrotał. - Oferujemy porządne, pojedyncze łóżka po pięć szylingów za noc...

- Nie szukamy noclegu - wpadł mu w słowo Holmes. - Ścigamy człowieka, który niedawno przybył z Ameryki.

Na policzku ma siną bliznę. Sprawa jest nadzwyczaj pilna i jeśli nie chce pan przysporzyć sobie kłopotów z prawem, radzę powiedzieć nam szybko, gdzie możemy go znaleźć.

72

Portier nie miał zamiaru przysparzać kłopotów ani sobie, .mi nam.

- Jest tu tylko jeden Amerykanin - powiedział. - Z pewnością chodzi panom o pana Harrisona z Nowego Jorku.

Mieszka na tym piętrze, w pokoju na końcu korytarza. Przyszedł jakiś czas temu i pewnie zasnął, bo nie dochodzą stamtąd żadne dźwięki.

- Numer pokoju? - spytał Holmes.

- Sześć.

Ruszyliśmy natychmiast w głąb pustego korytarza, którego ściany usiane były drzwiami tak gęsto, iż ukryte za nimi pokoje musiały być niewiele większe od szaf. Zawory gazowych lamp przykręcono tak mocno, że musieliśmy iść niemal po omacku. Pokój numer sześć istotnie znajdował się na samym końcu korytarza. Holmes uniósł pięść, by zapukać, ale nagle cofnął się o krok, gwałtownie nabierając powietrza. Spojrzałem w dół i zobaczyłem stróżkę płynu - niemal czarnego w półmroku - wypływającą spod drzwi i tworzącą już małą kałużę tuż przy listwie. Usłyszałem cichy okrzyk Carstairsa i zobaczyłem, jak cofa się odruchowo, zasłaniając dłonią oczy. Portier obserwował nas z przeciwległego końca korytarza, jak gdyby spodziewał się strasznej sceny, która za chwilę otworzy się przed naszymi oczami.

Holmes przekręcił gałkę. Drzwi były zamknięte. Bez jednego słowa naparł na nie barkiem, a wtedy tandetny zamek ustąpił z trzaskiem. Zostawiwszy Carstairsa na korytarzu, weszliśmy do pokoju i w jednej chwili przekonaliśmy się, że sprawa, która do tej pory wydawała nam się dość banalna, nagle przybrała znacznie poważniejszy obrót. Okno było otwarte, a pokój splądrowany. Mężczyzna, którego poszukiwaliśmy, leżał skulony, z nożem wbitym w bok szyi.

5

Lestrade przejmuje sprawę

Całkiem niedawno widziałem się z George'em Lestra-

de'em - po raz ostatni, jak się wkrótce okazało.

Nigdy nie wrócił do pełni zdrowia po ranie postrzałowej, którą zadano mu w toku śledztwa w sprawie dziwacznych morderstw, przez prasę popularną nazwanych „zabójstwami w Clerkenwell” (choć jednego z nich dokonano w sąsiednim Hoxton, inne zaś okazało się samobójstwem). Gdy się spotkaliśmy, naturalnie już od dawna był na emeryturze, więc znalazł czas, by mnie odszukać i odwiedzić w domu, do którego niedawno się wprowadziłem. Spędziliśmy na wspominkach całe popołudnie. Moi wierni czytelnicy zapewne nie będą zdziwieni, gdy im zdradzę, że naszą rozmowę zdominował wątek Sherlocka Holmesa. Poza tym uważałem, że są dwie sprawy, za które należą się inspektorowi przeprosiny. Po pierwsze, w swych relacjach nigdy nie pisałem o nim zbyt miłymi słowy. Weźmy choćby określenia takie, jak człowiek „o szczurzej twarzy” albo „podobny do fretki”. Każdy przyzna, że nie było w nich wiele ciepła, jednak na swoją obronę muszę rzec, że były trafne - wszak sam Lestrade zażartował kiedyś, że kapryśna Matka Natura dała mu aparycję bandyty, a nie policjanta, przez co zresztą nieraz zastanawiał się, czy nie stałby się znacznie zamożniejszy, gdyby wybrał tę pierwszą profesję. Także Holmes mawiał często o sobie, że jego wrodzony talent do otwierania zamków i fałszowania dokumentów pozwoliłby mu zostać równie sprawnym przestępcą jak detektywem. Zabawnie jest pomyśleć, że w innym świecie ci dwaj mogliby skutecznie

działać po niewłaściwej stronie prawa.

Największą jednak niesprawiedliwość uczyniłem Lestrade'owi tym, że wielokrotnie negowałem jego inteligencję i umiejętności śledcze. Trzeba uczciwie powiedzieć, że i Sherlock Holmes wypowiadał się o nim lekceważąco, ale pamiętajmy, że mój przyjaciel był jednostką tak wyjątkową, obdarzoną tak wybitnym intelektem, że właściwie nikt w całym Londynie nie mógł z nim konkurować. Dlatego też Holmes traktował z góry niemal wszystkich funkcjonariuszy stołecznej policji, których spotkał, być może z wyjątkiem Stanleya Hopkinsa, choć jego wiara w tego młodego stróża prawa była niekiedy poddawana ciężkiej próbie. Krótko mówiąc, przy Holmesie nie liczył się żaden detektyw, ja sam zaś, towarzysząc mu częściej niż ktokolwiek inny, musiałem niekiedy przypominać sobie, że nie jestem kompletnym idiotą. Lestrade był jednak pod wieloma względami dość zdolnym człowiekiem. Gdyby moi czytelnicy zechcieli zajrzeć do kronik tamtych dni, przekonaliby się, że zakończył sukcesem wiele spraw, że prowadził dochodzenia w sposób wielce niezależny i że prasa zawsze pisała o nim z wielkim uznaniem. Nawet Holmes szanował jego nieustępliwość. Nie zapominajmy i o tym, że odchodząc na emeryturę, był już zastępcą komisarza departamentu śledczego Scotland Yardu (nawet jeśli jego reputacja w sporej części opierała się na sprawach, które rozwikłał Holmes, a za które laury zgarnął Lestrade). Inspektor wyjawiał mi podczas naszej długiej i przyjemnej rozmowy, że obecność Sherlocka Holmesa czę-

sto go przytłaczała i być może dlatego nie działał całkiem tak skutecznie, jak potrafił. Cóż, dziś już nie ma go między nami, ale z pewnością nie miałby mi za złe, że zdradzam jego sekrety, a zarazem oddaję mu sprawiedliwość. Nie był złym człowiekiem. Ja zaś przyznam, że doskonale wiem, co czuł.

Tak czy inaczej, to właśnie inspektor Lestrade przybył następnego ranka do pensjonatu pani Oldmore. I nie da się

76

ukryć, że jak zawsze był blady, miał jasne, podkrążone oczy oraz ogólny wygląd szczura, któremu kazano się wystroić na lunch w Savoyu. Zaraz po tym, jak Holmes zaalarmował konstabli patrolujących pobliskie ulice, pokój w pensjonacie został zamknięty. Policyjna warta trwała na posterunku aż do rana, kiedy to przy dziennym świetle można było zacząć porządne śledztwo w budynku i jego otoczeniu.

- Proszę, proszę, pan Holmes - rzekł lekko zirytowany Lestrade. - Mówiono mi w Wimbledonie, że się tam pana spodziewają. I oto znowu pojawia się pan na scenie.

- Obaj podążaliśmy tropem tego nieszczęśnika, który dokonał żywota w hotelowej izbie - odparł Holmes.

Lestrade spojrział na zwłoki.

- Istotnie, wydaje się, że to ten, którego szukaliśmy. -

Holmes nie odpowiedział, a inspektor spojrział na niego surowo. - W jaki sposób pan go odnalazł?

- To absurdalnie proste. Dzięki pańskim znakomitym metodom śledczym wiedziałem, że wrócił pociągiem na stację

London Bridge. Dlatego też moi agenci rozpoczęli poszukiwania właśnie w tej okolicy, a dwóm z nich dopisało szczęście: spotkali go na ulicy.

- Zapewne ma pan na myśli ten gang uliczników, którzy przybiegają na każde pańskie skinienie. Na pańskim miejscu trzymałbym się od nich z daleka, panie Holmes. Nie wyniknie z tego nic dobrego. Gdy nie pracują dla pana, zajmują się kradzieżami, to banda kieszonkowców. Nie znalazł pan może naszyjnika?

- Nie było go w zasięgu wzroku, ale też nie miałem dotąd okazji do bardziej drobiazgowego przeszukania.

- Może więc dobrze będzie od tego zacząć.

I rzeczywiście, Lestrade przystąpił do działania. Pokój był naprawdę skromny, całe jego wyposażenie stanowiły wystrzępione zasłony, pleśniejący dywan oraz łóżko, które sprawiało wrażenie bardziej wyczerpanego niż ktokolwiek, kto zechciałby na nim zasnąć. Na ścianie wisiało pęknięte lustro, a w kącie stała szafka z brudną umywalką i samotną, bezkształtną bryłką mydła. Pejzaż za oknem nie zachwycał:

77

ponad wąskim zaułkiem można było podziwiać jedynie ceglany mur sąsiedniego budynku. Tamiza, choć niewidoczna, zaznaczała swoją obecność bardzo wyraźnie - wilgocią i przykrą wonią. Rozejrzawszy się, Lestrade przystąpił do oględzin trupa, ubranego dokładnie tak, jak opisał nam go Carstairs na samym początku: w płaszcz sięgający kolan, grubą kamizelę i koszulę zapiętą pod szyję. Cały strój zalany był krwią.

Narzędzie zbrodni zostało wbite aż po rękojeść, rozcinając po drodze tętnicę szyjną. Jako lekarz wiedziałem, że śmierć była niemal natychmiastowa. Lestrade przejrzał kieszenie zabitego, ale niczego nie znalazł. Teraz, gdy mogłem się bliżej przyrzyć człowiekowi, który nachodził Carstairsa w Ridgeway Hall, stwierdziłem, że mógł mieć nieco ponad czterdzieści lat, był dobrze zbudowany, miał szerokie barki i muskularne ramiona. Jego krótko przystryżone włosy zaczynały już siwieć. Najbardziej charakterystycznym detalem jego aparycji była jednak blizna, biegnąca od kącika ust przez cały policzek i dalej, tuż obok oka. Widać było, że raz już człowiek ów był bliski śmierci. Za drugim razem miał mniej szczęścia.

- Czy to absolutnie pewne, że to ten sam osobnik, który narzucił się panu Edmundowi Carstairsowi? - spytał Lestrade.

- W rzeczy samej, to on. Carstairs go rozpoznał.

- Był tutaj?

- Tak, przez chwilę. Niestety, musiał natychmiast wyjść. -

Holmes uśmiechnął się pod nosem, a ja przypomniałem sobie, jak to razem musieliśmy zapakować Edmunda Carstairsa do dorożki i odesłać do Wimbledonu. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na zwłoki i już był bardzo bliski omdlenia. Zrozumiałem wtedy, w jakim stanie musiał być wcześniej, na pokładzie Catalonii, po dramatycznych przejściach z Gangiem Kaszkietów w Bostonie. Możliwe, że przejawiał podobną wrażliwość, jaka cechowała niektórych artystów tworzących obrazy z jego kolekcji. Tak czy owak, krew

i brud zaułków Bermondsey nie były dla niego.

-A oto kolejny dowód, jeśli go pan potrzebuje - dodał

Holmes, wskazując na kaszkiet leżący na łóżku.

78

Lestrade zainteresował się tymczasem paczką papierosów na stoliku. Podniósł ją, by odczytać markę.

- „Old Judge”...

- Zapewne doczyta się pan zaraz, że zostały wyprodukowane przez firmę Goodwin and Company z Nowego Jorku.

Niedopałek takiego papierosa znalazłem przy Ridgeway Hall.

- Doprawdy? - zawołał z cicha zaskoczony Lestrade. -

Cóż - dodał po chwili - chyba możemy odrzucić teorię, że nasz amerykański przyjaciel padł ofiarą całkiem przypadkowego ataku? Choć przecież w tej okolicy nie brak podobnych przypadków, ten nieszczęśnik mógł po prostu wrócić do swojego pokoju i zaskoczyć kogoś podczas kradzieży.

Wywiązała się walka. Ktoś sięgnął po nóż. I tak się to skończyło...

- Moim zdaniem to mało prawdopodobne - odezwał się Holmes. - Byłoby to zbyt dużym zbiegiem okoliczności, gdyby człowiek, który niedawno przybył do Londynu, i to w złych zamiarach, nagle dokonał żywota w taki sposób. To, co zaszło w tym hotelowym pokoju, musi być bezpośrednim następstwem jego działań w Wimbledonie. Warto też zwrócić uwagę na pozycję ciała oraz kąt, pod jakim wbito nóż w szyję. Wydaje się, że napastnik czekał na swą ofiarę ukryty za drzwiami, w ciemnym pokoju, świeca bowiem nie paliła się,

gdy tu dotarliśmy. Amerykanin wszedł i został złapany od tyłu. Wystarczy na niego spojrzeć, by stwierdzić, że musiał być bardzo silny; na pewno potrafił walczyć. Tym razem jednak dał się zaskoczyć i stracił życie od jednego ciosu.

- Mimo to nie można wykluczyć motywu rabunkowego - nalegał Lestrade. - Pamiętajmy, że poszukujemy także naszyjnika i pięćdziesięciu funtów. Gdzież się podziały, skoro nie ma ich tutaj?

- Mam poważne powody przypuszczać, że znajdzie pan klejnot w lombardzie przy Bridge Lane. Nasz człowiek właśnie stamtąd wracał. Ktokolwiek go zabił, naturalnie zabrał gotówkę, ale moim zdaniem nie to było głównym motywem zbrodni. Być może powinien pan zadać sobie pytanie, co jeszcze zginęło z tego pokoju. Mamy tu zwłoki anonimowe-
79

go człowieka, Lestrade. Ja na przykład spodziewałbym się, że gość z Ameryki będzie miał przy sobie paszport albo list polecający, choćby po to, by mieć o czym rozmawiać z miejscowymi bankami. Portfela jednak nie widać. Wie pan, pod jakim nazwiskiem ten człowiek zameldował się w hotelu?

- Podał się za Benjamina Harrisona.

- Czyli za obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Za prezydenta? A, tak. Naturalnie, wiedziałem o tym. -

Lestrade zmarszczył brwi. - Bez względu na to, czyje nazwisko przybrał, i tak wiem, kim jest ten człowiek. To Keelan O'Donoghue, do niedawna mieszkaniec Bostonu. Widzi pan

ten ślad na jego twarzy? To rana od kuli. Proszę mi nie mówić, że i temu pan zaprzeczy!

Holmes odwrócił się ku mnie, a ja skinąłem głową.

-Rzeczywiście, to była rana od kuli - potwierdziłem. -

W Afganistanie widziałem wiele podobnych blizn. Według mnie ta ma najwyżej rok.

-A to akurat świetnie pasuje do historii, którą opowiedział mi Carstairs - podsumował triumfalnie Lestrade. -

Mam wrażenie, że tak oto dotarliśmy do końca tego niewesołego epizodu. O'Donaghue był ranny w strzelaninie w bostońskiej kamienicy. Po śmierci brata bliźniaka przybył do Anglii, żeby się zemścić. Dla mnie to proste jak drut.

- Nie byłoby ani trochę prostsze, nawet gdyby drut był tu narzędziem zbrodni - odparował Holmes. - Być może więc, Lestrade, zechce nam pan odpowiedzieć na banalne pytanie: kto miałby zabić Keelana O'Donaghue i w jakim celu?

- Cóż, najbardziej oczywistym podejrzanym wydaje się sam Edmund Carstairs.

- Tyle że pan Carstairs towarzyszył nam w chwili, gdy dokonano tu morderstwa. A ponieważ byłem świadkiem jego reakcji na widok zwłok, naprawdę nie sądzę, by miał w sobie dość odwagi i siły woli, żeby własnoręcznie zadać śmiertelny cios. Poza tym on nawet nie wiedział, gdzie się zatrzymała ofiara tej zbrodni. O ile nam wiadomo, nikt w całym Ridgeway Hall nie wiedział, a my zdobyliśmy tę informację w ostatniej chwili. Mógłbym też zadać panu pytanie,

dlaczego - skoro rzekomo mamy tu zwłoki Keelana O'Donaghue - na papierośnicy widnieją inicjały WM?

- Na jakiej papierośnicy?

- Na tej, która leży na łóżku, częściowo zasłonięta kołdrą.

Zapewne dzięki temu nie dostrzegł jej zabójca.

Lestrade sięgnął po papierośnicę i obejrzał ją pobieżnie.

- O'Donaghue był złodziejem - rzekł. - Nie ma powodu wierzyć, że nie ukraść i tego drobiazgu.

- Ale czy jest jakiś powód, dla którego miałby go ukraść?

Nie jest to cenny przedmiot. Zwykła blaszana puszka z monogramem naniesionym farbą.

Lestrade otworzył papierośnicę. Była pusta. Zamknął ją z traskiem.

- Wszystko to same domysły - stwierdził. - Kłopot z panem, Holmes, polega właśnie na tym, że zawsze znajdzie pan sposób, żeby skomplikować sprawy. Czasem się zastanawiam, czy nie czyni pan tego celowo. Jest tak, jak gdyby chciał pan, żeby przestępstwo okazało się godne pańskich umiejętności, jak gdyby musiało być wystarczająco niezwykle, by uznał je pan za godne przeprowadzenia śledztwa.

Człowiek, którego znaleźli panowie w tym pokoju, był Amerykaninem. Został ranny w strzelaninie. Widziano go raz na Strandzie i dwukrotnie w Wimbledonie. Jeśli rzeczywiście odwiedził lombard, o którym pan wspominał, to możemy być pewni, że jest właśnie tym złodziejem, który włamał się do sejfu Carstairsa. Od tego momentu łatwo już odtworzyć bieg wydarzeń. Nie wątpię, że O'Donaghue miał kontakty

z kryminalnym światem Londynu. Może nawet zwerbował tu kogoś do pomocy w wendecie. Doszło do kłótni. Miejscowy sięgnął po nóż. I oto mamy wynik!

- Jest pan tego pewny?

- Wystarczająco pewny.

- Cóż, zatem zobaczymy. W każdym razie nic już nie wyniknie z naszych dyskusji o sprawie tutaj. Być może właścicielka pensjonatu opowie nam coś ciekawego.

Niestety, pani Oldmore, która czekała już w kantorku zajętych wcześniej przez portiera, miała niewiele do powiedzenia. Była to siwowłosa kobieta o posępnej twarzy. Siedziała ciasno otulona własnymi ramionami, jakby się bała, że czymś się zarazi, jeśli choćby na chwilę zbytnio zbliży się do ścian budynku. Miała na głowie nieduży czepek, a na barkach futrzany kołnierz. Wzdrygnąłem się na samą myśl o tym, jakie to zwierzę było dawcą futra i w jaki sposób dokonało żywota. Śmierć głodowa wydawała mi się całkiem prawdopodobną przyczyną zgonu.

- Wynajął pokój na tydzień - powiedziała pani Oldmore. -

Zapłacił całą gwineę. Był Amerykaninem, niedawno zszedł na ląd w Liverpoolu. Tylko tyle mi powiedział, nic więcej.

Pierwszy raz był w Londynie. Tego akurat mi nie mówił, ale sama się domyśliłam, bo nie miał pojęcia, gdzie czego szukać. Wspomniał tylko, że ma się z kimś spotkać w Wimbledonie, i spytał, jak się tam dostać. „W Wimbledonie - odpowiedziałam. - To raczej droga okolica; sporo tam bogatych Amerykanów i pięknych domów”. Za to on raczej nie

wyglądał na bogacza - miał mało bagażu, ubranie znoszone, no i jeszcze ta paskudna blizna na twarzy. „Pojadę tam jutro - powiedział. - Mieszka tam ktoś, kto jest mi coś winien, i zamierzam odebrać dług”. Po głosie łatwo było poznać, że ma złe zamiary, więc powiedziałam sobie w duchu, że ten ktoś powinien teraz uważać. Spodziewałam się kłopotów, ale cóż mogłam począć? Gdybym odmawiała noclegu każdemu podejrzanemu klientowi, który zapuka do tych drzwi, musiałabym zamknąć interes. A teraz proszę - pan Harrison z Ameryki zamordowany! Pewnie i tego mogłam się spodziewać. Taki już jest ten świat, w którym przyszło nam żyć. Porządna kobieta nie może już poprowadzić pensjonatu bez krwi na ścianach i trupów na podłodze! Nie powinienam była osiedlać się w Londynie. Straszne to miejsce. Całkiem straszne!

Zostawiliśmy rozżaloną właścicielkę pensjonatu i rozstaliśmy się po chwili.

- Na pewno jeszcze na siebie wpadniemy, panie Holmes - rzekł na odchodnym Lestrade. - Gdyby mnie pan potrzebował, wie pan, gdzie mnie znaleźć.

82

- Gdybym rzeczywiście potrzebował kiedyś inspektora Lestrade'a - mruknął Holmes, gdy policjant oddalił się nieco - byłby to koniec świata. A tymczasem wejdźmy w ten zaułek, Watsonie. Sprawa jest prawie jasna, lecz musimy zająć się jeszcze jednym drobiazgiem.

Przeszliśmy przed frontem budynku i z głównej ulicy

zagłębiliśmy się w wąziutkie, usiane śmieciami przejście, biegnące tuż pod oknem pokoju, w którym zginął Amerykanin. Okno było doskonale widoczne, mniej więcej w połowie długości ściany. Stała pod nim drewniana skrzynka; bez wątpienia właśnie po niej wspiął się zabójca, włamując się do pokoju. Okno nie miało zamka i otwarcie go z zewnątrz nie było żadną sztuką. Holmes spojrział przelotnie na ziemię wokół skrzynki, ale żaden detal nie przykuł jego uwagi. Razem poszliśmy w głąb zaułka, aż do miejsca, w którym kończył się wysokim drewnianym ogrodzeniem. Dalej znajdowało się puste podwórze. Wróciliśmy na główną ulicę. Holmes rozmyślał nad czymś intensywnie i widziałem, że na jego bladej, szczupłej twarzy odmalowuje się z wolna niepokój.

- Pamiętasz tego chłopca, Rossa, ostatniej nocy... - spytał.

- Podejrzewałeś, że nie mówi prawdy.

-A teraz jestem tego pewny. Z miejsca, w którym stał, można obserwować i pensjonat, i zaułek, którego wylot, jak przed chwilą stwierdziliśmy, jest zamknięty. To oznacza, że zabójca mógł nadejść jedynie od strony ulicy, a Ross musiał go doskonale widzieć.

- Bez wątpienia wydawał się zmieszany. Ale jeśli zobaczył zabójcę, Holmesie, to dlaczego nie chciał nam o tym powiedzieć?

- Dlatego, że miał własne plany, Watsonie. W pewnym sensie Lestrade miał rację: ci chłopcy żyją na własny rachunek, nieledwie od dnia narodzin. Inaczej nie byłiby w stanie

przetrwąć. Gdyby na przykład Ross uznał, że w jakiś sposób może na tym zarobić, skumałby się choćby i z diabłem! Jest jednak w tym wszystkim coś, czego kompletnie nie pojmuję. Co takiego ten dzieciak mógł zobaczyć? Postać w blasku

83
gazowej latarni, biegnącą ulicą i znikającą w mroku. Może usłyszał krzyk ofiary? A chwilę później pojawił się ponownie morderca, tym razem oddalając się w pośpiechu w mrok. Ross zaś pozostał tu, na posterunku, a chwilę później my trzej dołączyliśmy do niego.

- On się bał - przypomniałem. - Wziął Carstairsa za policjanta.

- To było coś więcej niż strach. Powiedziałbym raczej, że chłopak był bliski paniki, ale uznałem... - Holmes uderzył dłonią w czoło. - Musimy go natychmiast odnaleźć i porozmawiać z nim. Mam nadzieję, że nie popełniłem śmiertelnego błędu.

Zatrzymaliśmy się w urzędzie pocztowym w drodze powrotnej na Baker Street. Holmes wysłał depeszę do Wigginsa, głównodowodzącego małej armii uliczników. Lecz odpowiedź nie nadeszła w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wkrótce potem otrzymaliśmy najgorszą z możliwych wieści.

Ross zniknął.

6

Szkoła dla Chłopców Chorley Grange

W roku 1890, w którym toczy się akcja tej opowieści, ponad

pięć i pół miliona ludzi zamieszkiwało obszar sześciuset mil kwadratowych znany jako Dystrykt Londyński Policji Metropolitannej. I jak to bywało od niepamiętnych czasów, terytorium to podzielili między siebie dwaj nieodłączni sąsiedzi: nędza i bogactwo. Dziś nachodzi mnie czasem myśl o tym, że skoro przez lata byłem świadkiem tak wielu głębokich przemian, może powinienem być bardziej szczegółowo opisywać wielki chaos miasta, w którym przyszło mi żyć - na przykład tak, jak uczynili to Gissing czy Dickens pół wieku wcześniej. Na swoją obronę mam jedynie to, że byłem biografem, a nie historykiem czy reporterem, moje przygody wówczas nieodmiennie prowadziły ku enklawom lepszego życia: pięknym domom, hotelom, prywatnym klubom, szkołom, urządcom. Prawdą jest, że klienci Holmesa pochodzili z rozmaitych klas, jednak - może pewnego dnia ktoś zamyśli się głębiej nad znaczeniem tego faktu - te najciekawsze sprawy, które starałem się utrwać w moich relacjach, niemal zawsze dotyczyły przestępstw dokonanych przez lepiej sytuowanych obywateli.

Teraz jednak nadszedł czas, bym rozwinął nieco temat niewesołego losu mieszkańców samego dna londyńskiego kotła, nazwanego przez Gissinga „światem piekielnym”, ponieważ tylko w taki sposób mogę uzmysłowić czytelnikom, że czekało nas zadanie nie do wykonania. Mieliśmy

85

bowiem odnaleźć dziecko, jednego bezradnego nędznika w istnym oceanie podobnych, a jeśli Holmes się nie mylił,

jeśli rzeczywiście groziło mu niebezpieczeństwo, to nie było ani chwili do stracenia. Od czego zacząć? Niełatwy to dylemat w mieście tak niespokojnym, którego mieszkańcy przemierzają się z domu do domu i z ulicy na ulicę w ruchu wręcz nieustannym, przez co rzadko kto ma okazję poznać więcej niż imię swego sąsiada. Winę za to ponoszą między innymi częste wyburzenia slumsów oraz gęsta sieć linii kolejowych, choć trzeba powiedzieć, że wielu londyńczyków po prostu czuje potrzebę nieustannych przeprowadzek. I zawsze byli w tym podobni do Cyganów - podążali za pracą, do której akurat mogli się nająć. Latem było to zbieranie owoców albo murarka, w chłodniejszej porze zbieranie złomu albo noszenie węgla. Czasem zatrzymywali się gdzieś na dłużej, ale gdy tylko kończyły się fundusze, brali nogi za pas i szukali nowego lokum.

Nie można jednak nie wspomnieć o najgorszej klątwie naszych czasów: o obojętności, przez którą dziesiątki tysięcy dzieci trafiają na ulice, by żebrać, kraść albo - jeśli nie są do tego zdolne - umierać po cichu. Nikomu nieznanym, niekochanym, nie mogły liczyć nawet na zainteresowanie rodziców, jeśli ci byli jeszcze wśród żywych. Były wśród tych dzieci takie, które dzieliły pokój wart trzy pensy za noc, jeśli było je na to stać, tłocząc się tam w warunkach niegodnych nawet zwierząt. Były i takie, które sypiały na dachach, w chlewach przy rynku Smithfield, w kanałach, a nawet, jak słyszałem, w dziurach wykopanych w ziemi na łąkach Hackney. Istniały jednak także - jak wkrótce napiszę - dobroczynne in-

stytucje, które starały się ulżyć niedoli małych biedaków, zapewnić im choćby odzież i wykształcenie. Instytucji tych było jednak zbyt mało, a dzieci zbyt wiele i dlatego u schyłku wieku Londyn miał poważne powody do wstydu.

Och, dalejże, Watsonie, dość już tego. Wracaj do meritum.

Holmes, gdyby żył, nigdy nie pozwoliłby ci na takie dygresje!

86

Od chwili, gdy opuściliśmy pensjonat pani Oldmore, Holmes nieustannie zdradzał oznaki zaniepokojenia. Przechadzał się nerwowo po salonie niczym niedźwiedź w klatce. Pa-lił niemal bez przerwy, a lunchu i kolacji prawie nie tknął, ja zaś z troską przyjąłem jego jedno lub dwa ukradkowe spojrzenia na piękną marokańską szkatułkę stojącą na kominku. Wiedziałem, że trzymał w niej strzykawkę, ale też zdumiałbym się niepomierne, gdyby mój przyjaciel, wbrew swoim zasadom, w samym środku prowadzonej sprawy dogodził sobie siedmioprocentowym roztworem kokainy, jak to niekiedy czynił z karygodnego nawyku. W nocy chyba w ogóle nie zdołał zasnąć. Było bardzo późno, gdy otworzyłem po raz ostatni oczy, słysząc, jak próbuje zagrać coś na swym stradivariusie. Muzyka była jednak urywana i pełna dysonansów; czułem, że nie jest w stanie włożyć w nią dość serca. Rozumiałem doskonale, co gnębi mojego przyjaciela - wspomniał przecież wcześniej o śmiertelnym błędzie. Zniknięcie Rossa sugerowało, że jego obawy się ziściły, a gdyby oczywiście tak było, to wiedziałem, że nigdy sobie tego nie

wybaczy.

Pomyślałem, że moglibyśmy wrócić do Wimbledonu. Z tego, co Holmes powiedział w hotelu, wynikało jednoznacznie, że historia człowieka w kaszkiecie dobiegła końca, że nadszedł czas pełnego wyjaśnienia zagadki, czyli jednej z tych jakże częstych scen, kiedy to nie mogłem przestać zachodzić w głowę, jakim cudem sam nie wpadłem na tak oczywiste rozwiązanie. Przy śniadaniu dostaliśmy jednak list od Catherine Carstairs, w którym informowała nas, że wyjechała wraz z mężem na kilka dni i że zatrzymają się u przyjaciół w Suffolk. Edmund Carstairs, człowiek wyjątkowo wrażliwej natury, potrzebował czasu na odzyskanie równowagi, a Holmes nigdy w życiu nie wyjaśniłby zagadki kryminalnej bez stosownej publiczności. Nasz wyjazd do Wimbledonu musiał więc poczekać.

Minęły jeszcze dwa dni, nim Wiggins powrócił na Baker Street 221B, tym razem samotnie. W swoim czasie odebrał depeszę od Holmesa (jakim sposobem - tego nie wiem, ni-

87

gdy bowiem nie znałem miejsca jego zamieszkania) i od tamtej pory prowadził poszukiwania Rossa, ale bez rezultatu.

- Przyjechał do Londynu pod koniec lata - rozpoczął swój raport Wiggins.

- Skąd przyjechał?

- Nie mam pojęcia. Kiedy go poznałem, dzielił już kuchnię w King's Cross z jakąś rodziną - dziewięć osób w dwóch izbach. Rozmawiałem z nimi teraz, ale nie widzieli go od

tamtej nocy przy hotelu. Nikt go nie widział. Moim zdaniem gdzieś się przyczaił.

- Wiggins, chcę, żebyś mi opowiedział, co się wydarzyło tamtego wieczoru - rzekł stanowczo Holmes. - Razem podążyliście śladem Amerykanina, od lombardu aż do hotelu. Zostawiłeś Rossa na straży, a sam pobiegłeś po mnie. Musiał spędzić samotnie ze dwie godziny.

- Sam chciał. Nie kazałem mu.

- Wcale tego nie sugeruję. W końcu wróciliśmy do niego razem: pan Carstairs, doktor Watson, ty i ja. Ross jeszcze tam był. Dałem wam obu pieniądze i pozwoliłem odejść. Zniknęliście razem.

- Tak, ale nie na długo - odparł Wiggins. - On poszedł w swoją stronę, a ja w swoją.

- Mówił coś ciekawego? W ogóle rozmawialiście?

- Ross był w dziwnym nastroju, to pewne. On coś wiedział...

- Przy hotelu? Powiedział ci, co to było?

- Widział człowieka, to wszystko. Właśnie to go tak trzępnęło. Ma dopiero trzynaście lat, ale zwykle wie, co jest grane. A tego wieczoru... Wie pan co? On był wstrząśnięty do głębi.

- Widział zabójcę! - nie wytrzymałem.

- Nie wiem, co widział, ale mogę panom powiedzieć, co jeszcze od niego usłyszałem. „Znam go i wiem, że mogę coś od niego wyciągnąć. Na pewno więcej niż jedną gwineę, którą dostałem od cholernego pana Holmesa”. Pan wybacz, ale to właśnie jego słowa. Myślę sobie, że był gotów ko-

gość przycisnąć.

- Coś jeszcze?

- Tylko tyle, że się strasznie spieszy Pobiegnął gdzieś i zniknął w ciemności. Nie wrócił do King's Cross. Nie mam pojęcia, gdzie przepadł. Wiem tylko, że nikt go nie widział od tamtej pory.

Holmes słuchał odpowiedzi Wigginsa z powagą, jakiej nigdy u niego nie zaobserwowałem. Teraz zaś podszedł do chłopaka i przykucnął przed nim. Wiggins wydawał się przy nim niezwykle mały. Niedożywiony, chorowity, o splątanych włosach i przekrwionych oczach, pokryty warstwą londyńskiego brudu, zapewne niczym nie wyróżniałby się z tłumu. Może właśnie dlatego tak łatwo było ignorować niedolę tych dzieci? Było ich tak wiele. Wszystkie jednakowe.

- Posłuchaj mnie, Wiggins - rzekł Holmes. - Mam wrażenie, że Ross znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie...

- Szukałem go! Zajrzałem w każdy kąt!

Nie wątpię. Teraz jednak musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o jego przeszłości. Co robił i gdzie bywał, zanim się poznaliście? Kim byli jego rodzice?

Nie miał rodziców. Pomarli dawno temu. I nigdy mi nie mówił, skąd jest, a ja nie pytałem. Jak pan myśli, skąd my się bierzemy? Czy to w ogóle ma znaczenie?

Pomyśl, chłopcze. Gdyby Ross naprawdę miał kłopoty, dokąd mógłby się udać? Gdzie mógłby szukać schronienia?

Wiggins pokręcił głową, ale po chwili jakby coś sobie przypomniał.

A znajdzie się dla mnie jeszcze jedna gwinea? - spytał.

Holmes zmierzył go spojrzeniem mocno zmrużonych oczu, a ja dostrzegłem, że z trudem nad sobą zapanował.

Tak nisko cenisz życie swojego towarzysza? - spytał surowo.

Nawet nie wiem, co znaczy „towarzysz”. Ross nic dla mnie nie znaczy, panie Holmes. Dlaczego miałbym się przejmować tym, czy przeżyje czy nie? Gdybym miał go już nigdy nie • spotkać, dwudziestu innych będzie gotowych zająć jego miejsce. - Holmes wciąż mierzył go gniewnym spojrzeniem.

Wiggins zmiękł po chwili. - No dobrze. Ktoś jednak o niego pytał, przynajmniej przez jakiś czas. Jest taki przytułek, który
89

go kiedyś przyjął. Chorley Grange przy drodze na Hamworth. Mają tam szkołę dla chłopców. Ross mówił mi kiedyś, że tam mieszkał, ale nienawidził tego miejsca i dlatego uciekł. I właśnie wtedy zatrzymał się przy King's Cross. Tak sobie myślę, że jeśli naprawdę się bał i gdyby naprawdę coś mu groziło, to może by tam wrócił. Lepszy znany diabeł, prawda?

Holmes wstał.

- Dziękuję, Wiggins - powiedział. - Chcę, żebyś go nadal szukał. Pytaj o niego każdego, kogo spotkasz. - Holmes wyjął z kieszeni monetę i wręczył ją chłopakowi. - A jeśli go znajdziesz, bez zwłoki przyprowadź go tutaj. Pani Hudson nakarmi was obu i zaopiekuje się wami do mojego powrotu.

Zrozumiałeś mnie?

- Tak jest, panie Holmes.

- To dobrze. Watsonie, zechcesz mi towarzyszyć, mam nadzieję? Pojedziemy koleją podziemną z Baker Street. Godzinę później wysiedliśmy z dorożki przed trzema niebrzydkimi budynkami ustawionymi dość blisko siebie wzdłuż wąskiej alejki, która pięła się stromo przez co najmniej pół mili, łącząc wioskę Roxeth z Hamworth Hill. Największy z nich, środkowy, przypominał nieco wiejską rezydencję w stylu angielskim, sprzed co najmniej stu lat. Miał dach kryty czerwoną dachówką i werandę biegnącą wzdłuż całego frontu, na poziomie pierwszego piętra. Ściana od strony drogi była porośnięta bluszczem, który być może latem wyglądał dostojnie, lecz teraz był nagi i kolczasty. Wokół budynków ciągnęły się pastwiska, sięgające aż po sad starych jabłoni. Trudno było uwierzyć, że jesteśmy tak blisko Londynu, powietrze było tu bowiem świeże, a wiejski pejzaż naprawdę atrakcyjny. A raczej byłby atrakcyjny, gdyby pogoda dopisała, ale podobał się nam zdecydowanie mniej w przenikliwym chłodzie i mżawce. Domy stojące po bokach musiały niegdyś służyć jako stodoły lub małe browary, ale niewątpliwie zaadaptowano je do celów szkolnych. Czwarty budynek stał po przeciwnej stronie alejki, otoczony pięknie zdobionym, metalowym ogrodzeniem z otwartą bramką. Wydawał się jednak opuszczony, bo nie

90

palily się w nim światła i nie było widać żadnego ruchu. Na drewnianej tablicy widniał napis: Szkoła dla Chłopców (Horley Grange. Sięgnąłem wzrokiem nieco dalej, ponad

belki, i dostrzegłem małą grupę chłopców atakujących szpadlami i motykami nieduży warzywnik.

Zadzwoniliśmy do frontowych drzwi i wkrótce otworzył nam mężczyzna w ponurym, ciemnoszarym garniturze.

Wysłuchał w milczeniu wyjaśnień Holmesa co do naszej tożsamości i celu wizyty, zanim rzekł:

- Doskonale. Zechcą panowie zaczekać tutaj...

Wpuścił nas do wnętrza i zostawił w dość surowym, wyłożonym drewnem holu. Ścian nie zdobiło nic poza srebrnym krzyżem i kilkoma portretami, tak wyblakłymi, że trudno było odgadnąć, kogo przedstawiają. W głąb domu ciągnął się długi korytarz z kilkorgiem drzwi. Wyobraziłem sobie, że znajdują się za nimi klasy, ale nie dobiegał stamtąd żaden odgłos. Pomyślałem więc, że miejsce to bardziej przypomina klasztor niż szkołę.

Gdy służący - jeśli ów człowiek rzeczywiście był służącym - powrócił, wraz z nim zjawił się niewysoki mężczyzna o okrągłej twarzy, który musiał wykonać trzy szybkie kroki, by nadążyć za jednym krokiem swego towarzysza, i być może dlatego dyszał ciężko, gdy stanął przed nami. Wszystko w nim było okrągłe. Przypominał mi śniegowego bałwana, takiego jak te, które o tej porze roku widuje się w Re-Whit's Park. Jedną kulą była jego głowa, a drugą pulchny korpus; prostotę jego twarzy można było bez trudu oddać za pomocą marchewki i paru węgielków. Miał mniej więcej czterdzieści lat i był łysy, jeśli nie liczyć odrobiny ciemnych włosów wokół uszu. Ubrany był jak duchowny, włącznie

z koloratką, która tworzyła kolejny krąg wokół jego tłustej szyi. Idąc ku nam, rozpromienił się i rozpostarł ramiona w powitalnym geście.

Pan Holmes! Cóż za zaszczyt dla nas. Wiele czytałem o pańskich dokonaniach. Najwybitniejszy detektyw-konsultant w całym kraju, właśnie tu, w Chorley Grange! Doprawdy niezwykła to okazja. A to zapewne doktor Watson. Czyty-

91

waliśmy niekiedy na lekcjach pańskie opowiadania. Chłopcy ją uwielbiają. Nie uwierzą, że panowie nas odwiedzili.

A może znajdą panowie chwilę, by do nich przemówić? Och, przepraszam, zapędziłem się. Proszę mi wybaczyć, panowie, ale z trudem panuję nad podnieceniem. Jestem wielebny Charles Fitzsimmons. Vosper powiada, że sprowadza tu panów poważna sprawa. Dodam przy okazji, że pan Vosper pomaga nam zarządzać tym przybytkiem, a także naucza matematyki i czytania. Proszę, panowie pozwolą do mojego gabinetu. Przedstawię panów mojej żonie. Może napijemy się razem herbaty?

Podążyliśmy za małym, krągłym człowieczkiem w głąb innego korytarza, minęliśmy drzwi i weszliśmy do pokoju zdecydowanie zbyt dużego i zbyt chłodnego na to, by być przytulnym, choć widać było, że ktoś podjął wysiłki w tym kierunku, wstawiając regały z książkami, kanapę i kilka krzeseł wokół kominka. Duże biurko, na którym piętrzyły się dokumenty, ustawiono tak, by rozciągał się zza niego widok na szerokie okna i dalej, na trawnik i sad. W korytarzu

było chłodno, ale nie tak jak w tym pokoju, choć w kominku palił się ogień. Czerwony blask i zapach płonącego węgla dawały iluzję ciepła i nic ponadto. Deszcz bębnił o szyby i spływał strumieniami na parapety, po drodze pozbawiając kolorytu pejzaż okolicznych pól. Choć było niezbyt późne popołudnie, równie dobrze mogła to być noc.

- Moja droga - zawołał nasz gospodarz. - Oto pan Sherlock Holmes i doktor Watson. Przybyli prosić nas o pomoc. Panowie pozwolą, że przedstawię im moją żonę Joannę? Do tej pory nie zauważyłem kobiety siedzącej w fotelu w najciemniejszym kącie pomieszczenia i zajętej studiowaniem tomu liczącego kilkaset stron, który ułożyła sobie na kolanach. Jeśli to właśnie była pani Fitzsimmons, to miałem przed sobą zaiste dziwną parę. Była to bowiem niewiasta nieprzeciętnego wzrostu i jeśli mnie wzrok nie mylił, o kilka lat starsza od małżonka. Ubrana była cała w czerni, a ściślej w satynową suknię opinającą szczelnie jej szyję, wąską w ramionach i przyozdobioną na ramionach jedynie taśmą

92

z koralikami. Włosy nosiła upięte w węzeł z tyłu głowy, palce jej dłoni wydały mi się wyjątkowo długie i szczupłe. Gdybym był małym chłopcem, pewnie przywodziłaby mi na myśl wiedźmę. Gdy tak przyglądałem się tej osobliwej parze, przyszła mi do głowy niezbyt grzeczna myśl: trudno się dziwić, że Ross postanowił stąd uciec. Gdybym był na jego miejscu, pewnie uczyniłbym to samo.

- Napiją się panowie herbaty? - spytała nobliwa dama. Jej

głos był równie cienki jak jej ciało, akcent zaś starannie wy-
studiowany.

- Nie chcemy sprawiać państwu kłopotu - odparł Holmes. -

Jak państwo wiedzą, sprowadza nas tu sprawa raczej pilnej
natury Szukamy chłopca, ulicznika, którego znamy jedynie
z imienia Ross.

- Ross? Ross? - Wielebny przez chwilę szperał w pamię-
ci. - Ach, tak! Biedny, mały Ross! Nie widzieliśmy go od
dłuższego czasu, panie Holmes. Przyjechał do nas, wyrwaw-
szy się z bardzo trudnego środowiska, ale to samo można
powiedzieć o większości naszych podopiecznych. Długo tu
nie zabawił.

Był trudnym i krnąbrnym dzieckiem - wtrąciła jego
żona. - Nie chciał stosować się do zasad. Podburzał innych
chłopców. Nie chciał się dopasować.

- Jesteś dla niego zbyt surowa, moja droga. Prawdą jest
jednak, panie Holmes, że Ross nigdy nie czuł wdzięczności
za pomoc, której próbowaliśmy mu udzielić. Nigdy też nie
podporządkował się panującym tu zasadom. Mieszkał tu le-
dwie przez kilka miesięcy, a potem uciekł. To było latem...
w lipcu albo sierpniu. Musiałbym sprawdzić w notatkach,
żeby mieć pewność. A czy wolno mi spytać, dlaczego go pa-
nowie szukają? Mam nadzieję, że nie narozrabiał.

Ależ skąd. Kilka nocy temu był świadkiem pewnych
wydarzeń w Londynie. Chciałbym się jedynie dowiedzieć,
co dokładnie widział.

Brzmi to nader tajemniczo, nieprawdaż, moja droga?

Nie będę jednak prosił o żadne szczegóły. Zresztą i tak nie wiemy, dokąd Ross się udał.

93

- W takim razie nie zabierzemy państwu więcej czasu. -

Holmes odwrócił się w stronę drzwi, a potem nagle jakby zmienił zdanie. - Choć może zanim się oddalimy, zechciałby pan opowiedzieć nam co nieco o waszej pracy. Czy szkoła Chorley Grange jest państwa własnością?

- Ależ skąd, panie Holmes. Moja żona i ja jesteśmy tu zatrudnieni przez Towarzystwo ku Poprawie Losu Dzieci Londyńskich - wyjaśnił, wskazując na portret arystokraty wspartego o kolumnę. - Oto założyciel tej organizacji, nieżyjący już sir Crispin Ogilvy. To on pięćdziesiąt lat temu nabył tę farmę i dzięki jego szczodrości jesteśmy w stanie ją utrzymać po dziś dzień. Mamy tu trzydziestu pięciu chłopców, wszyscy zostali zabrani z ulic Londynu i tym samym ocaleni przed marnym losem siły pociągowej lub zbieracza pakuł. Dajemy im wikt i dach nad głową, a co najważniejsze - dobre, chrześcijańskie wykształcenie. Uczą się tu nie tylko czytania, pisania i podstaw matematyki, ale także szewstwa, stolarstwa i krawiectwa. Na pewno zwrócili panowie uwagę na te pola dokoła. Mamy ich sto akrów, a to niemal wystarczy, żebyśmy produkowali dla siebie dość żywności. Chłopcy uczą się też hodowli świń i drobiu. Gdy ich stąd wypuszczamy, wielu wybiera nowe życie za oceanem, w Kanadzie, Australii albo Ameryce. Utrzymujemy kontakty z farmerami, którzy z przyjemnością powitają ich u siebie i pomogą wystartować w życie.

- Ilu mają państwo nauczycieli?

- Jest nas tylko czworo, nie licząc mojej żony, ale jakoś dzielimy się obowiązkami. Pana Vospera spotkali już panowie przy wejściu. Jest, jak mówiłem, nie tylko portierem, ale także nauczycielem matematyki i czytania. Jako że zjawili się panowie w porze lekcji, dwaj pozostali nauczyciele są teraz w klasach.

- W jaki sposób trafił tu Ross?

- Nie wątpię, że został znaleziony w którymś z przytułków albo w noclegowni. Nasze towarzystwo dysponuje wolontariuszami, którzy pracują w centrum i przyprowadzają do nas chłopców. Mogę popytać, jeśli pan chce, ale minęło sporo czasu, odkąd mieliśmy kontakt z Rossem, i szczerze

94

mówiąc, wątpię, by ktoś z naszych współpracowników mógł panu pomóc.

- Nie możemy przymuszać chłopców, by tu zostali - wtrąciła znowu pani Fitzsimmons. - Mimo to ogromna większość decyduje się na naukę, a z czasem mogą być dumni ze swoich osiągnięć, tak jak szkoła jest dumna z nich. Od czasu do czasu trafiają się jednak wichrzyciele, którzy nie są w stanie zdobyć się choćby na odrobinę wdzięczności.

- Musimy mieć wiarę w każde z tych dzieci, Joanno.

- Za miękkie masz serce, Charles. A oni to wykorzystują.

- Nie wolno nam winić Rossa za to, kim się stał. Jego ojciec pracował w rzeźni, zaraził się od chorej owcy i umarł powolną śmiercią. Matka się rozpiła, dziś także już nie żyje.

Przez jakiś czas Rossem opiekowała się starsza siostra, ale nie wiemy, co się z nią w końcu stało. A, tak! Już pamiętam. Wie pan, w jaki sposób Ross do nas trafił. Otóż został aresztowany za kradzież w sklepie. Sędzia jednak ulitował się nad nim i przekazał go pod naszą opiekę.

- Ostatnia szansa - mruknęła pani Fitzsimmons, kręcąc głową. - Aż się boję pomyśleć, co z niego teraz wyrośnie.

A zatem nie wiedzą państwo, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

Niezmiernie mi przykro, że stracił pan czas, przyjeżdżając tutaj, panie Holmes. Naprawdę nie mamy środków, by szukać tych spośród naszych podopiecznych, którzy wybierają ucieczkę. Zresztą, szczerze mówiąc, czy miałoby to jakikolwiek sens? „Wy mnie opuściliście i ja także was opuszczam”*. Czy zechciałby pan powiedzieć nam, czego konkretnie świadkiem był Ross i dlaczego tak bardzo zależy panu na tym, by go odnaleźć?

Podejrzewamy, że jest w niebezpieczeństwie.

Wszyscy bezdomni chłopcy są w niebezpieczeństwie. -

Naraz Fitzsimmons klasnął w dłonie, jakby znienacka przyszła mu do głowy świetna myśl. - A może pomogłaby panu

Krn 12,5; cytaty biblijne za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, w I c, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

95

rozmowa z jego dawnymi kolegami? Może któremuś z nich zdradził jakiś sekret, którym nie podzieliliby się z nami? Jeśli zechcą panowie mi towarzyszyć, przy okazji będę miał spo-

sobność pokazać im naszą szkołę i wyjaśnić bliżej, na czym polega nasza praca.

- Wielce to uprzejme z pańskiej strony, panie Fitzsimmons.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Opuściliśmy gabinet. Pani Fitzsimmons nie dotrzymała nam towarzystwa - pozostała w swoim fotelu w kącie pokoju, z głową pochyloną nad opasłym tomem.

- Muszą panowie wybaczyć mojej żonie - rzekł cicho wielbny Fitzsimmons. - Być może wydaje się nieco surowa, ale zapewniam panów, że ci chłopcy są całym jej życiem. Uczy ich religii, pomaga w praniu oraz pielęgnuje, gdy są chorzy.

- Nie mają państwo własnych dzieci? - spytałem.

- Być może nie wyraziłem się dość jasno, doktorze Watson. Mamy trzydzieścioro pięcioro własnych dzieci, albowiem wszystkich naszych wychowanków traktujemy tak, jakby byli z naszej krwi.

Fitzsimmons poprowadził nas z powrotem korytarzem, który zauważyłem już na początku wizyty, a potem weszliśmy do jednej z sal, mocno pachnącej skórą i świeżymi konopiami. Siedziało tu ośmiu, może dziewięciu chłopców, czystych, uczesanych i ubranych w fartuchy. W milczeniu skupiali uwagę na butach, które leżały przed nimi, a pan Vosper, którego wzięliśmy pierwotnie za służącego, patrzył im na ręce. Wszyscy wstali, gdy weszliśmy do izby, i zamarli w ciszy pełnej szacunku. Fitzsimmons z uśmiechem skinął

na nich dłonią.

- Siadajcie, chłopcy! Siadajcie! To jest pan Sherlock Holmes z Londynu, który przyjechał do nas z wizytą. Pokażcie mu, jacy jesteście pracowici. - Chłopcy wrócili do przerwanej pracy. - Wszystko w porządku, panie Vosper?

- Jak najbardziej, proszę pana.

- To dobrze. Bardzo dobrze! - Fitzsimmons wprost ema-

96

nował zadowoleniem. - Przed nimi jeszcze dwie godziny pracy, a potem godzina wolnego przed herbatą. Dzień w szkole kończy się o dwudziestej, modlitwą i ciszą nocną. Znowu ruszył przed siebie, energicznie przebiegając krótkimi nóżkami. Tym razem poprowadził nas w górę, by pokazać dormitorium, z lekka spartańsko urządzone, ale zdecydowanie czyste i przestronne. Łóżka ustawiono równiutko jak w koszarach, pozostawiając między nimi ledwie po kilka stóp odstępu. Zwiedziliśmy też kuchnię, jadalnię, warsztat, aż wreszcie trafiliśmy do klasy, w której trwała lekcja. Było to kwadratowe pomieszczenie z niewielkim piecykiem w kącie, z tablicą na jednej ścianie oraz z kawałkiem płótna na drugiej, ozdobionym haftowanym cytatem z pierwszego wersu psalmu. Na nielicznych półkach stały równym rzędem książki, a także liczydło i kilka drobniaków: szyszki, kamienie i kości zwierzęce, zapewne zebrane podczas wycieczek. Młody mężczyzna siedział przy biurku, zajęty sprawdzaniem zeszytu, obok stał mniej więcej dwunastoletni chłopiec i czytał swym kolegom na głos akapity

z mocno już podniszczonej Biblii. Umilkł, gdy tylko weszliśmy do sali. Piętnastu uczniów siedziało w trzech rzędach, słuchając w skupieniu, lecz poderwali się z szacunkiem na nasz widok, zwracając ku nam blade, poważne twarze.

- Siadajcie, proszę! - zawołał wielebny. - Przepraszam za to najście, panie Weeks. Czyżbym słyszał przed chwilą Księ-
r, v Hioba, Harry? „Nagi wyszedłem z łona matki i nagi tam
w róczę...”*

- Tak jest, sir.

- Doskonale. Świetny wybór tekstu. - Fitzsimmons skinął na nauczyciela, który jako jedyny pozostał na miejscu. Był to mężczyzna dobiegający trzydziestki, o dziwnej, jakby skrzywionej twarzy, o cienionej plątanią brązowych włosów, zwisającą cokolwiek krzywo po jednej stronie głowy. - Oto Robert Weeks, absolwent Balliol College. Pan Weeks robił nierę w mieście, lecz postanowił dołączyć do nas na rok,
97

by pomóc tym, którym szczęście nie dopisało tak jak jemu.

Pamięta pan tego chłopca, Rossa, panie Weeks?

- Rossa? To ten, który uciekł.

- Ten oto dżentelmen to sam pan Sherlock Holmes, znany detektyw. - W sali dały się słyszeć stłumione szepty; chłopcy najwyraźniej wiedzieli, kto przed nimi stoi. - Pan Holmes obawia się, że Ross mógł napytać sobie biedy.

- Nic dziwnego - mruknął pan Weeks. - Nie był łatwym dzieckiem.

- Kolegowałeś się z nim, Harry?

- Nie, sir - odpowiedział chłopiec z Biblią.

- No cóż, ktoś z tej klasy musiał zawrzeć z nim bliższą znajomość. Ktoś z nim rozmawiał? Kto z was mógłby nam pomóc odnaleźć Rossa? Jak pamiętacie, chłopcy, po jego odejściu sporo rozmawialiśmy. Pytałem was wszystkich, dokąd mógł się udać, ale nie potrafiliście udzielić mi żadnej wskazówki. Proszę, zastanówcie się nad tym raz jeszcze.

- Chciałbym jedynie pomóc waszemu koledze - dorzucił Holmes.

Przez chwilę panowała cisza, a potem jeden z chłopców siedzących w ostatnim rzędzie podniósł rękę do góry. Miał jasne włosy, był delikatnej budowy i moim zdaniem miał nie więcej niż jedenaście lat.

- To o panu są te wszystkie opowiadania? - spytał.

- Tak jest. A oto człowiek, który je pisze. - Rzadko się zdarzało, by Holmes przedstawiał mnie w taki sposób, i muszę wyznać, że byłem niezmiernie uradowany, usłyszawszy te słowa. - Czytałeś je?

- Nie, proszę pana. Za dużo tam długich słów. Ale czasem pan Weeks nam je czyta.

- No dobrze, wracajcie już do nauki - wtrącił Fitzsimons, gestem kierując nas w stronę wyjścia.

Ale chłopiec z ostatniego rzędu jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

- Ross ma siostrę, proszę pana - powiedział.

Holmes odwrócił się ku niemu.

- W Londynie?

- Tak myślę. Tak. Raz o niej mówił. Ma na imię Sally. Mówił też, że pracuje w pubie „Worek Gwoździ”.

W tym momencie na policzkach wielbnego Fitzsimmonsa wystąpiły czerwone plamy.

- Co z tobą, Danielu? - spytał gniewnie. - Dlaczego nie wspomniałeś mi o tym wcześniej?

- Bo zapomniałem, sir.

- Gdybyś nie zapomniał, moglibyśmy odnaleźć go już dawno i oszczędzić mu kłopotów, w które się teraz wpa-
kował.

- Przykro mi, sir.

- Nie będziemy już o tym rozmawiać. Chodźmy, panie Holmes.

We trzech pomaszzerowali w stronę frontowych drzwi szkoły. Holmes zapłacił dorożkarzowi za postój i z ulgą stwierdziłem, że powóz wciąż na nas czeka. Deszcz przybrał na sile.

- Może pan być dumny ze swojej szkoły - rzekł mój przyjaciel. - Zdumiewające, jak cisi i zdyscyplinowani wydają się tu uczniowie.

- Serdecznie panu dziękuję - odparł Fitzsimmons, znowu rozluźniony i czarujący. - Stosuję bardzo prostą metodę, panie Holmes: metodę kija i marchewki; i to dosłownie. Gdy chłopcy broją, każę ich chłostać. Jeśli jednak ciężko pracują i przestrzegają zasad, mogą jeść do syta i nie dzieje im się krzywda. W ciągu sześciu lat, odkąd pracujemy tu z żoną,

zmarło nam dwóch chłopców - jeden z powodu wrodzonej wady serca, a drugi na gruźlicę. Ale Ross był jedynym, który postanowił uciec. Jeśli go pan znajdzie - a jestem pewny, że tak właśnie będzie - mam nadzieję, że zdoła pan nakłonić go do powrotu. Życie tu nie jest tak ascetyczne, jak może się wydawać w ten ponury dzień. Gdy wychodzi słońce, a chłopcy mogą biegać do woli na świeżym powietrzu, Chorley Grangę staje się radosnym miejscem.

- Nie wątpię. Jeszcze jedno, ostatnie pytanie, panie Fitzsimmons. Ten budynek naprzeciwko... On także należy do szkoły?

99

- W rzeczy samej, panie Holmes. Gdy tu przybyliśmy, działała tam jeszcze mała wytwórnia powozów. Zaraz jednak dokonaliśmy adaptacji budynku do naszych potrzeb i dziś odbywają się tam występy. Czy wspominałem już, że wszyscy nasi uczniowie należą do orkiestry?

- Widzę, że niedawno odbył się koncert.

- Zaledwie dwa wieczory temu. Z pewnością zauważył pan liczne ślady powozów. Byłbym zaszczycony, gdyby chciał pan przyjść na następny recital, panie Holmes. I pan także, doktorze Watson. A może zechcieliby panowie zostać też dobroczyńcami naszej szkoły? Czynimy, co w naszej mocy, ale każdy datek przyjmujemy z wielką radością.

- Przemysliłmy to - odrzekł Holmes. Uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie. - Musimy jechać prosto do „Worka Gwoździ”, Watsonie - rzekł, gdy tylko wsiedliśmy do do-

rożki. - Nie mamy ani chwili do stracenia.

- Naprawdę sądzisz...?

- Ten chłopiec, Daniel, powiedział nam coś, czego nie zdradził swoim opiekunom, a uczynił to tylko dlatego, że wie, kim jesteśmy. Uznał, że naprawdę możemy pomóc jego przyjacielowi. Ten jeden raz, Watsonie, daję się prowadzić mojemu instynktowi, a nie intelektowi. Sam nie wiem, dlaczego czuję taki niepokój... Ejże, woźnico! Nie żałuj bata, musimy jak najszybciej dotrzeć na stację! I módlmy się, byśmy nie przybyli za późno.

7

Biała wstążka

Jakże inaczej mogły potoczyć się sprawy, gdyby nie istniały w Londynie dwa puby o nazwie „Worek Gwoździ”. Wiedzieliśmy tylko o tym, który mieści się przy Edge Lane, w samym sercu Shoreditch. Nie mieliśmy wątpliwości, że to całkiem prawdopodobne miejsce zatrudnienia dla osieroczonej siostry biednego ulicznika. Pojechaliśmy więc wprost do Shoreditch i stanęliśmy przed niedużym, zapuszczonym lokalem na rogu ulicy. Wnętrze cuchnęło starym piwem i dymem papierosowym; woń zdawała się sączyć wprost z desek i mebli. Właściciel był jednak w miarę uprzejmy. Wycierał wielkie łapska w fartuch, spoglądając na nas ponad barem.

- Żadna Sally tu nie pracuje - odparł, gdy przedstawiliśmy siebie i sprawę. - I nigdy nie pracowała. Dlaczego panowie sądzą, że powinna tu być?

- Szukamy jej brata, chłopca imieniem Ross.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie znam żadnego Rossa. Ale czy na pewno skierowa-
no panów we właściwe miejsce? Bo o ile wiem, istnieje też
„Worek Gwoździ” w Lambeth. Może tam powinni panowie
próbnąć szczęścia.

Natychmiast wybiegliśmy na ulicę i wkrótce znowu klu-
czyliśmy powozem po uliczkach Londynu. Dzień dobie-
gał jednak końca i gdy dotarliśmy do nędzniejszej części
Lambeth, było już niemal ciemno. Drugi „Worek Gwoździ”
prezentował się nieco korzystniej niż pierwszy, ale dla rów-

101

nowagi jego właściciel - ponury, brodaty jegomość ze zła-
manym i dramatycznie krzywo zrosniętym nosem - nie był
zbyt przyjaźnie nastawiony.

- Sally? - zagrział. - Niby jaka Sally?

- Znamy tylko jej imię - odpowiedział Holmes. - Wiemy
też, że ma młodszego brata imieniem Ross.

- Sally Dixon? To tej dziewczuchy szukacie? Faktycznie ma
brata. Znajdziecie ją na zapleczu, ale najpierw muszę wie-
dzieć, czego od niej chcecie.

- Chcemy jedynie porozmawiać - zapewnił go Holmes.

Znowu wyczułem w nim potężne napięcie, ową niepojętą
energię, która napędzała go w toku każdej sprawy. Nie było
nigdy człowieka, w którym narastałaby ona tym silniej, im
więcej napotykał przeszkód. Holmes przesunął po blacie
kilka monet. - To mała rekompensata za czas, który zmar-
nuje z nami.

- Nie trzeba - mruknął właściciel, ale przyjął pieniądze. -

No dobra. Szukajcie jej na podwórzu. Chociaż wątpię, że-
byście się od niej wiele dowiedzieli. Gadatliwa to ona nie
jest. Miałbym ciekawsze towarzystwo, gdybym zatrudnił
niemowę.

Brakowane podwórze na tyłach budynku było jeszcze mo-
kre i lśniące od deszczu. Pełno tam było śmiecia wszelkiej
maści; sterty pięturyły się pod każdą ze ścian, a ja zastanawia-
łem się daremnie, skąd się to wszystko wzięło. Dostrzegłem
zniszczone pianino, konika bujanego, klatkę dla ptaków, wra-
ki kilku rowerów, szczątki krzesel, ruiny stołów... Było tam
wszystko, ale niczego w całości. Po jednej stronie olbrzymia
sterta połamanych skrzynek, po drugiej stare worki po węglu,
wypchane Bóg jeden wie czym. Rozbite szkło, zwały papie-
ru, poskręcane strzępy metalu. A pośrodku tego wszystkiego,
bosa i w sukience zdecydowanie zbyt cienkiej na tę porę roku,
stała mniej więcej szesnastoletnia dziewczyna. Zamiatła tę
odrobinę wolnej przestrzeni między stertami śmieci, jakby
to czyniło komuś różnicę. Z miejsca rozpoznałem w jej twa-
rzy rysy młodszego brata. Miała jasne włosy i błękitne oczy;
powiedziałbym nawet, że była ładna. W ostro zarysowanych
102

kościach policzkowych widać było jednak także okrutny do-
tyk nędzy i życiowych przeciwności. Jej ręce były cienkie jak
patyki, a brud wżarł się głęboko w skórę dłoni i twarzy. Gdy
zerknęła na nas, na jej twarzy malowały się jedynie podejrz-
liwość i pogarda. Szesnaście lat! Jak musiało wyglądać życie,

które doprowadziło ją do takiego stanu?

Nie przestała pracować, gdy stanęliśmy przed nią. Zignorowała nas obu.

- Panna Dixon? - spytał Holmes. Miotła wciąż poruszała się miarowo, ani na sekundę nie gubiąc rytmu. - Sally? Teraz dopiero zatrzymała się i wolniutko uniosła głowę, by przyjrzeć się nam dokładniej.

- Tak?

Zauważyłem, że mocniej zacisnęła dłoń na trzonku miotły, jakby chciała użyć jej do obrony.

- Nie chcieliśmy cię wystraszyć, Sally - zapewnił ją prędko Holmes. - Nie mamy złych zamiarów.

- Czego chcecie? - W jej oczach pojawiły się błyski gniewu. Nie podeszliśmy zbyt blisko. Nie ośmieliliśmy się.

- Chcielibyśmy porozmawiać z twoim bratem, Rossem.

Dłonie zacisnęły się jeszcze mocniej.

- Kim jesteście?

- Jego przyjaciółmi.

- Czyżby z Domu Jedwabnego? Rossa tu nie ma. Nigdy go tu nie było. I nie znajdziecie go.

- Chcemy mu pomóc.

- Jasne, cóż innego mielibyście powiedzieć. A ja powiadam, że go tu nie ma. Wynoście się stąd! Niedobrze mi się robi na wasz widok. Wracajcie, skąd przyszliście.

Holmes spojrzał na mnie, a ja, w jak najlepszych zamiarach, zrobiłem jeden krok ku dziewczynie. Chciałem ją jakoś uspokoić, ale popełniłem fatalny błąd. Do dziś nie jestem

pewny, co się wydarzyło. Dostrzegłem gwałtowny ruch miotły i usłyszałem krzyk Holmesa. Zaraz potem dziewczyna machnęła ręką tuż przede mną i poczułem, że coś rozżarzonego do białości tnie moją pierś. Zachwiałem się i cofnąłem o krok, odruchowo przyciskając rękę do płaszcza. Gdy

103

spojrzałem w dół, spostrzegłem strużkę krwi między palcami. Byłem tak zaskoczony, że potrzebowałem chwili, by zrozumieć, że zostałem pchnięty nożem lub kawałkiem szkła. Dziewczyna wciąż stała przede mną, lecz nie wyglądała już jak wynędzniałe dziecko, tylko jak wściekłe, warczące dziko zwierzę. Jej oczy płonęły, a usta wykrzywiły się w dzikim grymasie. Holmes pospieszył mi z pomocą.

- Drogi Watsonie! - zawołał.

Usłyszałem za plecami jakiś szmer.

- Co tu się dzieje? - zagrzmiął właściciel pubu.

Z gardła dziewczyny wyrwał się jeszcze jeden wściekły warkot, nim obróciła się na pięcie i umknęła w stronę wąskiego, łukowato sklepionego przejścia, za którym była już tylko ulica.

Czułem ból, ale wiedziałem już, że mojemu życiu nic nie zagraża. Gruby płaszcz i surdut ochroniły mnie przed najgorszym; gdy wieczorem przemywałem i opatrywałem ranę, utwierdziłem się w przekonaniu, że to jedynie draśnięcie. Gdy teraz o tym myślę, przypominam sobie, że zdarzyło się raz jeszcze, dziesięć lat później, iż przebywając w towarzystwie Sherlocka Holmesa, zostałem ranny. Wiem, jak

dziwacznie to zabrzmiał, ale w pewien sposób jestem nawet wdzięczny obu napastnikom, dzięki nim bowiem przekonałem się, że moja skromna osoba coś jednak znaczy dla tego wielkiego człowieka. Dopiero w takich sytuacjach okazało się, iż jego prawdziwe uczucia wobec mnie nie są tak chłodne, jak się niekiedy wydawało.

- Watsonie?

- To nic, Holmesie. Draśnięcie.

- Co się stało? - spytał właściciel, spoglądając na moje zakrwawione dłonie. - Coś pan jej zrobił?

- Powinien pan raczej spytać, co ona mi zrobiła - odpowiedziałem jęśliwie, choć tak naprawdę, mimo głębokiego szoku, jakoś nie czułem gniewu wobec tego biednego, niedożywnego dziecka, które zaatakowało mnie ze strachu i niezrozumienia, tak naprawdę nie pragnąc wyrządzić mi większej krzywdy.

104

- Dziewczyna była przerażona - rzekł Holmes. - Jesteś pewny, że to nic poważnego, Watsonie? Wejdźmy do środka. Musisz spocząć.

- Nie, Holmesie. Zapewniam, że jest lepiej, niż na to wygląda.

- Dzięki Bogu. Musimy natychmiast znaleźć dorożkę. Panie gospodarzu, przyjechaliśmy tu przede wszystkim po to, żeby odnaleźć brata tej dziewczyny. Chłopak ma trzynaście lat, jasne włosy jak ona, jest oczywiście niższy, ale lepiej odżywiony.

- Chodzi panom o Rossa?

- Pan go zna?

- Już mówiłem. Pracował tu kiedyś razem z nią. Trzeba było od razu o niego pytać.

- Czy on tu jest?

- Nie. Przyszedł parę dni temu, potrzebował noclegu. Powiedziałem mu, że może dzielić pokój z siostrą, w zamian za pracę w kuchni. Sally mieszka pod schodami, przyjęła go tam. Ale więcej z tym chłopakiem kłopotów niż pożytku; nigdy go nie ma w pobliżu, kiedy jest potrzebny. Nie wiem, co kombinował, ale chyba miał na oku jakiś interes, tyle zrozumiałem. Wybiegł stąd na krótko przed panów przybyciem.

- Nie wie pan, dokąd mógł się udać?

- Nie. Dziewczyna pewnie wie. Ale teraz i ona przepadła.

- Muszę się zająć moim przyjacielem, ale gdyby któreś z nich wróciło, bardzo proszę, niech pan wyśle pilną wiadomość do mojego mieszkania, Baker Street 221B. I jeszcze mała kwota dla pana za fatywę... Chodźmy, Watsonie. Oprzyj się o mnie. Zdaje mi się, że nadjeżdża dorożka...

I tak oto dzień przygód zakończyliśmy, siedząc przy kominku i wzmacniając się odrobiną brandy z wodą sodową. Holmes zawzięcie ćmił fajkę, ja zaś korzystałem z chwili spokoju, by zastanowić się nad okolicznościami, które przywiodły nas do tej dziwnej sytuacji. Wydawało mi się bowiem, że niezwykle daleko odeszliśmy od pierwotnego celu śledztwa - od kwestii człowieka w kaszkiecie i jego zabójcy. Nawet jeśli Ross rzeczywiście go widział opodal pensjonatu

pani Oldmore, to jakim cudem mógł go rozpoznać? A jednak stało się tak, że to przypadkowe spotkanie podsunęło mu pomysł na szybki zarobek. Ale dlaczego zniknął tak nagle? Musiał zdradzić siostrze swoje zamiary; to dlatego tak się o niego bała. Miałem wrażenie, że wręcz spodziewała się naszej wizyty. Bo jeśli nie, to dlaczego miała przy sobie broń? I jeszcze te jej dziwne słowa: „Czyżby z Domu Jedwabnego?”. Gdy tylko wróciliśmy do domu, Holmes przejrzał wszelkie spisy instytucji i encyklopedie, od których ugięły się półki, ale nie znaleźliśmy ani śladu informacji na ten temat. Właściwie nie rozmawialiśmy o tym, co zaszło. Byłem wyczerpany i widziałem, że mój przyjaciel woli pozostać pograżony we własnych myślach. Musieliśmy czekać na to, co przyniesie nowy dzień.

A nowy dzień przyniósł nam konstabla policji, który zapukał do naszych drzwi krótko po śniadaniu.

- Inspektor Lestrade przesyła ukłony, sir. Jest przy Southwark Bridge i byłby niezmiernie wdzięczny, gdyby zechciał pan do niego dołączyć.

- W jakiej sprawie, konstablu?

- Chodzi o morderstwo, sir. I to wyjątkowo paskudne.

Włożyliśmy płaszcze i wyszliśmy natychmiast, by wkrótce przemknąć dorożką z Cheapside przez trzy żelazne łuki Southwark Bridge. Lestrade czekał na nas na południowym brzegu rzeki, wraz z grupką funkcjonariuszy zgromadzonych wokół czegoś, co z oddali wyglądało jak niewielka

kupka porzuconych szmat. Słońce świeciło intensywnie, ale znowu panował przenikliwy chłód, a nurt Tamizy, której fale biły miarowo o brzeg, nigdy nie wyglądał bardziej złowrogo. Zeszliśmy spiralnymi schodkami z szarego metalu z poziomu ulicy aż na pokryty błotem i drobnymi kamykami brzeg. Poziom wody był niski, jakby rzeka postanowiła cofnąć się w głąb koryta, zniesmaczona tym, co tu zaszło. Nieopodal zaczynało się nabrzeże dla małych parowców; kilku pasażerów czekało na swój rejs, bijąc w zmarznięte dłonie w białych chmurkach pary. Wydawało się, że należą do innego świata - tam, gdzie stali, było życie; tutaj jedynie śmierć.

106

- Czy to ten, którego panowie szukali? - spytał Lestrade. -

Ten chłopak spod hotelu?

Holmes skinął głową. Możliwe, że w tym momencie nie ufał własnemu głosowi.

Chłopiec został brutalnie pobity. Miał połamane żebra, ramiona, nogi i wszystkie palce dłoni. Spoglądając na te straszliwe obrażenia, wiedziałem od razu, że zadano je metodycznie, jedno po drugim, tak że śmierć była dla Rossa niezwykle długim tunelem bólu. Wreszcie, gdy męki dobiegły końca, ktoś poderżnął mu gardło tak bestialsko, że głowa omal nie została oddzielona od szyi. Widywałem już zwłoki, i współpracując z Holmesem, i za czasów służby w korpusie medycznym, ale nigdy jeszcze nie byłem świadkiem równie przerażającej sceny. Nie byłem w stanie pojąć, jak to możliwe, że ludzka istota może uczynić coś takiego trzynastoletniemu chłopcu.

- Fatalna sprawa - powiedział Lestrade. - Może mi pan o nim coś powiedzieć, panie Holmes? Pracował dla pana?

- Nazywał się Ross Dixon - odparł Holmes. - Bardzo niewiele o nim wiem, inspektorze. Proszę popytać w Szkole dla Chłopców Chorley Grange w Hamworth, ale przypuszczam, że i tam nie będą mieli wiele do powiedzenia, Był sierotą, ale miał siostrę; dziewczyna pracowała ostatnio w „Worku Gwoździ”, pubie w Lambeth. Możliwe, że ją pan tam zastanie. Dokonano już oględzin ciała?

- Tak. Kieszenie miał puste, ale znaleźliśmy coś osobliwego. Tylko diabli wiedzą, co to może oznaczać. Dla mnie to dość upiorny znak, tyle panu powiem.

Lestrade skinął głową i jeden z policjantów przyklęknął, by unieść nieco drobne, połamane ramię dziecka. Rękaw koszuli zsunął się, odsłaniając białą wstążkę zawiązaną wokół nadgarstka.

- Materiał jest nowy - powiedział Lestrade. - I z tego, co widzę, to bardzo dobrej jakości jedwab. Jak pan widzi, nie ma na nim śladów krwi ani brudu z Tamizy. Dlatego też twierdzę, że wstążkę zawiązano już po śmierci chłopca; najpewniej miał to być jakiś znak.

- Dom Jedwabny! - wykrzyknąłem.

107

- Co takiego?

- Słyszał pan o nim, Lestrade? - spytał Holmes. - Czy ta nazwa coś panu mówi?

- Nie. Dom Jedwabny? Może to jakaś fabryka? Pierwszy

raz słyszę.

-Za to ja chyba coś wiem... - Holmes wbił spojrzenie w daleki horyzont. W jego oczach widać było zgrozę i cień wyrzutów sumienia. - Biała wstążka, Watsonie! Widziałem już taką. Dziękuję - dodał, zwracając się do Lestrade'a - że wezwał mnie pan tutaj. Dziękuję za informację.

- Miałem nadzieję, że pomoże mi pan rozwiązać tę sprawę. W końcu niewykluczone, że to pańska wina.

- Wina? - Holmes drgnął jak użądłony.

-Ostrzegałem, żeby pan się nie zadawał z tymi dziećmi. To pan zatrudnił chłopaka. Kazał mu pan śledzić znanego bandytę. To prawda, że dzieciak mógł mieć własne pomysły, i pewnie to one sprowadziły mu na kark kłopoty.

Ale oto rezultat.

Nie wiem, czy Lestrade świadomie prowokował, ale widziałem wyraźnie, że jego słowa zrobiły wrażenie na Holmesie; obserwowałem go uważnie przez całą drogę powrotną na Baker Street. Siedział wciśnięty głęboko w kąt kabiny, prawie się nie odzywał i starannie unikał mojego wzroku. Wydawało się, że skóra rozciągnęła się nienaturalnie na jego policzkach, przez co wyglądał na jeszcze bardziej wychudłego niż zazwyczaj, a może i ciężko chorego. Nie próbowałem zagaic rozmowy. Wiedziałem, że nie potrzebuje mojego pocieszenia.

Przyglądałem się więc jedynie i czekałem, aż jego niebywały intelekt zacznie przetrawiać szczegóły fatalnego obrotu spraw.

- Możliwe, że Lestrade ma rację - rzekł wreszcie mój przyjaciel. - To prawda, że korzystałem z usług Nieregular-

nych z Baker Street bez głębszego zastanowienia czy współczucia. Bawiło mnie to, że mam przed sobą karny oddział ochotników, że mogę im czasem dać szylinga albo dwa... ale nigdy nie narażałem ich bezmyślnie na niebezpieczeństwo, Watsonie. Wiesz o tym, prawda? A jednak pada wobec mnie oskarżenie o dyletantyzm i muszę przyznać się do

108

winy. Wiggins, Ross i cała reszta nic dla mnie nie znaczyli, podobnie jak nic nie znaczą dla całego społeczeństwa, które kazało ich na wegetację na ulicach. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że moja postawa także przyczynia się do ich niedoli. Nie przerywaj mi! Czy pozwoliłbym, by taki chłopiec pełnił nocną wartę pod hotelem, gdyby był moim lub twoim synem? Logika wydarzeń wydaje się, niestety, nieubłagana. I Dzieciak zobaczył mordercę wchodzącego do hotelu. Obaj wiemy, jakie to na nim zrobiło wrażenie. Mimo to spróbował jakoś wykorzystać tę sytuację. Podjął próbę i poniósł śmierć. I za to muszę obwinie siebie.

A jednak... Jednak to nie wszystko! W jaki sposób Dom jedwabny pasuje do tej zagadki i cóż mamy sądzić o tej jedwabnej wstążce wokół nadgarstka nieszczęsnego chłopca? To jest sedno sprawy. I to jest kolejna moja wina. Dostałem ostrzeżenie! Taka jest prawda. Och, Watsonie, niekiedy zastanawiam się, czy nie powinienem porzucić tej profesji i poszukać szczęścia w innym zawodzie. Jest w końcu jeszcze kilka monografii, które planuję napisać. Zawsze też miałem ochotę zająć się hodowlą pszczół. Bo pewne jest jedno:

Jeśli sędzić po dotychczasowych moich osiągnięciach w tym śledztwie, nie zasługuję na miano detektywa. Zginęło dziecko. Sam widziałeś, jaki los je spotkał. Jak mam z tym żyć?

- Mój drogi druhu...

- Nic nie mów, Watsonie. Muszę ci coś pokazać. To było ostrzeżenie. Mogłem zapobiec temu, co się stało...

Dojechaliśmy na miejsce. Holmes natychmiast zniknął w bramie i wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie. Podążyłem za nim nieco wolniej, bo choć się nie skarżyłem, rana z dnia poprzedniego bolała mnie znacznie mocniej niż w chwili, gdy mi ją zadano. Gdy wszedłem do salonu, ujrzałem Holmesa, który właśnie sięgał po kopertę. Było to jedno z wielu dziwactw mego przyjaciela - choć zajmował niemiłosiernie zagracone mieszkanie, którego wnętrze nazwałbym wręcz chaosem, gdzie listy i dokumenty piętrzyły się w każdym kącie, on potrafił bez wahania wskazać miejsce, w którym znajdował się potrzebny mu przedmiot.

109

- Oto i ona! - zawołał. - Sama koperta niewiele nam mówi.

Widnieje na niej moje nazwisko, ale brak adresu. Dostarczył ją goniec. Ktokolwiek ją nadał, nie zadał sobie nawet trudu ukrycia własnego charakteru pisma, a ja rozpoznam go bez wysiłku. Zwróć uwagę na to greckie e w moim nazwisku.

Nieprędko umknie mi z pamięci taki zawijas.

- A co jest w środku? - spytałem.

- Sam zobacz - odparł, wręczając mi kopertę.

Otworzyłem ją i wzdrygnąłem się mimowolnie, wyjmując

ze środka krótki kawałek białej, jedwabnej wstążki.

- Co to znaczy, Holmesie? - spytałem.

- Zadawałem sobie to samo pytanie, gdy ją otrzymałem.

Dziś, z perspektywy ostatnich wydarzeń, wiem, że było to ostrzeżenie.

- Kiedy ją przysłano?

- Siedem tygodni temu. W owym czasie zajmowałem się dziwną sprawą właściciela lombardu, pana Jabeza Wilsona, którego zaproszono do...

- ...do Ligi Rudowłosych! - przerwałem mu, przypominawszy sobie sprawę, którą udało się szczęśliwie doprowadzić do finału.

- Właśnie. Jeśli kiedykolwiek istniała afera na trzy fajki opowiadania, to właśnie ta. Tak czy owak, gdy dostarczono kopertę, mój umysł zaprzętały inne sprawy. Zajrzałem do środka, zastanowiłem się nad znaczeniem zawartości, a potem odłożyłem przesyłkę i zapomniałem o niej. Teraz, jak widzisz, powróciła, żeby mnie pognębić.

- Ale kto mógł ją nadać? I w jakim celu?

- Nie mam pojęcia, lecz przez wzgląd na zamordowane dziecko mam zamiar się tego dowiedzieć. - Holmes wyciągnął rękę, by odebrać mi jedwabną wstążkę. Zaplótł ją między swymi kościstymi palcami i uniósł na wysokość oczu, przyglądając się jej tak, jakby była jadowitym wężem. - Jeśli przysłanie jej miało być dla mnie wyzwaniem, to niniejszym przyjmuję je - rzekł, a potem zamknął wstążkę w gwałtownie zaciśniętej pięści. - I powiadam ci, Watsonie,

że ten, kto ją przysłał, gorzko pożałuje swojego uczynku.

110

8

Kruk i dwa klucze

<Sealy nie wróciła do pracy ani wieczorem, ani następnego ranka. Trudno było się temu dziwić, skoro zaatakowała mnie i bez wątpienia obawiała się konsekwencji. Poza tym o śmierci jej brata pisały już gazety i choć nie padło w reportażach jego nazwisko, zapewne wiedziała, że to właśnie on został znaleziony pod mostem Southwark, ponieważ takie wieści szybko się w owym czasie rozchodziły, zwłaszcza w biedniejszych dzielnicach miasta. Złe nowiny były jak dym z ogniska: wkradały się szparami do wszystkich zatłoczonych izb i nawet najbardziej zapuszczonych piwnic; niematerialne i uporczywe, zostawiały brudny ślad na wszystkim, czego dotknęły. Właściciel „Worka Gwoździ” także wiedział już o śmierci Rossa, bo złożył mu wizytę inspektor Lestrade. Dlatego też tego dnia powitał nas jeszcze mniej przyjaźnie niż za pierwszym razem.

- Mało jeszcze mam przez was kłopotów? - spytał z niechęcią. - Może i nie miałem z tej dziewczyny świetnego kompana, ale zawsze to jednak para pracowitych rąk, więc nie cieszy mnie wcale, że zniknęła. Interes też na tym wszystkim ucierpi, bo wokół roi się od policji! Żałuję, że w ogóle licho tu panów przyгнаło.

- To nie my sprowadziliśmy kłopoty, panie Hardcastle - odparł Holmes, który tym razem zdążył przeczytać nad wej-

ściem nazwisko właściciela: Ephraim Hardcastle. - One już
111 były, a my jedynie przyszliśmy ich tropem. Całkiem moż-
ni

liwe, że to pan jako ostatni widział chłopca żywym. Rozma-
wialiście może, zanim wyszedł?

- Niby dlaczego mielibyśmy o czymś gadać?

- Mówił pan przecież, że chłopak miał na oku jakiś interes.

- Nic mi o nim nie wiadomo.

- Panie Hardcastle, ktoś go torturował i uśmiercił, łamiąc
kości jedną po drugiej. Poprzysiągłem sobie, że znajdę za-
bójcę i doprowadzę przed oblicze sprawiedliwości. Nie do-
konam tego, jeśli odmówi pan pomocy.

Gospodarz wolno skinął głową, a kiedy odezwał się po-
nownie, mówił już znacznie spokojniej.

- Niech i tak będzie. Chłopak pojawił się tu trzy noce
temu i opowiedział historyjkę o tym, jak pokłócił się ze swo-
imi sąsiadami. Potrzebował noclegu, póki nie uporządkuje
swoich spraw. Sally poprosiła mnie, żebym się zgodził, więc
się zgodziłem. Bo czemu nie? Widział pan podwórze. Są
tam całe góry śmieci, które trzeba uprzątnąć. Pomyślałem,
że chłopak może pomóc. I trochę popracował pierwszego
dnia, ale już po południu wyszedł, a gdy wrócił, wyglądał
na bardzo zadowolonego z siebie.

- Czy siostra знаła jego zamiary?

- Możliwe, ale nie zdradziła mi ich ani jednym słowem.

- Proszę mówić dalej.

- Niewiele więcej mogę dodać, panie Holmes. Widziałem

go jeszcze tylko raz, dosłownie parę minut przed panów przybyciem. Wszedł z ulicy do baru, akurat gdy niosłem baryłki. Spytał o godzinę, co tylko dowodzi tego, jak słabo go wykształcono, bo przecież wystarczy spojrzeć za zegar na wieży kościelnej po drugiej stronie ulicy, żeby wiedzieć.

- Wygląda na to, że był umówiony.

- Tak, to możliwe.

- Nawet pewne. Po cóż innego dzieciak taki jak Ross miałby pytać o godzinę, jeśli nie po to, by zjawić się o określonej porze w określonym miejscu, bo go o to poproszono? Wspominał pan, że spędził u siostry trzy noce.

- Dzielili pokój.

- Chciałbym tam zajrzeć.

112

- Policjanci już to zrobili. Przeszukali każdy kąt i nic nie znaleźli.

- Ja nie jestem policjantem. - Holmes położył na barze kilka szylingów. - To za fatygę.

- W porządku. Ale tym razem nie przyjmę pieniędzy. Pan tropi potwora i wystarczy mi, jeśli dotrzyma pan słowa. Nie chcę, żeby on jeszcze kogoś skrzywdził.

Pan Hardcastle poprowadził nas na zaplecze, a potem wąskim korytarzem między kuchnią a barem. Zeszliśmy do piwnicy, a tam gospodarz pubu zapalił świecę i wskazał nam maleńką komórkę ukrytą pod schodami. Ujrzyliśmy podłogę z nagich desek i ściany bez okien. To tutaj Sally, wyczerpana po długim dniu pracy, mogła przespać się

na materacu rozłożonym wprost na podłodze, przykryta kocem. Pośrodku tego prymitywnego posłania leżały dwa przedmioty. Jednym z nich był nóż, a drugim lalka, którą dziewczyna musiała ocalić z jakiegoś wysypiska śmieci. Spoglądając na jej potłamsane rączki i bladą twarzyczkę, mimo woli pomyślałem o Rossie, którego ciało potraktowano z równą obojętnością. W rogu pokoiku stało krzesło i maleńki stolik ze świeczką. Policjanci zapewne nie potrzebowali wiele czasu na przeszukanie tego pomieszczenia, jeśli bowiem nie liczyć lalki i noża, Sally nie posiadała nic więcej. Nic poza imieniem i nazwiskiem, co mogłaby nazwać własnym.

Holmes omiótł spojrzeniem ciasną izdebkę.

~ Po co nóż? - mruknął.

- Żeby się bronić - zasugerowałem.

- Broń potrzebną do obrony nosiła przy sobie; ty akurat wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Na pewno zabrała ją ze sobą. A ten drugi nóż jest prawie całkiem tępy.

- I skradziony z kuchni - wymamrotał Hardcastle.

- Warto się przyjrzeć tej świecy - dodał Holmes, mając na myśli tę niezapaloną, stojącą na stole. Sięgnął po nią, a potem przykucnął i w tej pozycji zaczął przesuwając się po podłodze. Potrzebowałem chwili, żeby pojąć, co robi: podążał za śladem kropelek wosku, niemal niewidzialnych dla ludzkiego oka.

113

On, rzecz jasna, zauważył je natychmiast. Doprowadziły go do kąta położonego najdalej od posłania.

- Przeniosła świeczkę aż tam... ale w jakim celu? Chyba że... Watsonie, poproszę o nóż. - Podałem mu go, a wtedy wcisnął ostrze w szczelinę między deskami podłogi. Jedna z nich była luźna i dała się podważyć. Wsunąwszy dłoń w otwór, wydobyl spod podłogi zwiniętą w kłębek chustkę. - Zechciałby pan, panie Hardcastle...

Gospodarz pubu podszedł bliżej ze swoją zapaloną świecą. Holmes rozwinął chustkę i w migotliwym blasku płomienia ujrzeliśmy kilka monet - trzy farthingi, dwa floreny, koronę, złotego suwerena oraz pięć szylingów. Dla dwojga ubogich dzieci był to istny skarb, ale które z nich było jego właścicielem?

- To własność Rossa - orzekł Holmes, jak gdyby czytał w moich myślach. - To ja dałem mu tego suwerena.

-Ależ mój drogi Holmesie! Skąd pewność, że to ta sama moneta?

Holmes uniósł ją do światła.

- Data jest ta sama, ale także wzór. Święty Jerzy jedzie na koniu, ale ma szramę na nodze; zauważyłem ją, gdy dawałem chłopakowi monetę. To część gwinei, którą Ross zarobił, pracując z Nieregularnymi, ale co z resztą?

-Dostał pieniądze od wujka - wymamrotał Hardcastle.

Holmes odwrócił się, by na niego spojrzeć. - Kiedy tu przyszedł i spytał, czy może zostać na noc, mówił, że zapłaci za pokój. Wyśmiałem go, a wtedy dodał, że wujek dał mu pieniądze. Nie uwierzyłem mu mimo to i odpowiedziałem, że może odpracować nocleg, sprząając podwórze. Gdybym wiedział, że

ma tyle forsy, zaproponowałbym mu porządny pokój na górze.

- Sprawa z wolna nabiera kształtu. Historia staje się spójna. Chłopak postanawia wykorzystać informację, którą zdobył dzięki czatowaniu pod pensjonatem pani Oldmore. Wyrusza na spotkanie, przedstawia się i wysuwa żądania. Zostaje zaproszony na spotkanie... w ustalonym miejscu i o ustalonym czasie. I właśnie wtedy zostaje zabity. Zdołał się jednak zabezpieczyć: cały swój majątek zostawił u siostry,

114

ona ukryła go pod podłogą. Co też musiała czuć, wiedząc, że nie będzie mogła go zabrać po tym, jak zmusiliśmy ją do ucieczki, Watsonie? Ostatnie pytanie, panie Hardcastle, zanim stąd odejdziemy. Czy Sally kiedykolwiek wspominała panu o Domu Jedwabnym?

- O Domu Jedwabnym? Nie, panie Holmes. Nigdy o nim nie słyszałem. A co mam zrobić z tymi monetami?

- Proszę je zatrzymać. Dziewczyna straciła brata. Straciła wszystko. Być może pewnego dnia wróci tu, potrzebując pomocy, a wtedy pan będzie mógł przynajmniej zwrócić jej własność.

Z „Worka Gwoździ” wyruszyliśmy wzdłuż Tamizy, z powrotem w stronę Bermondsey. Zapytałem Holmesa, czy zamierza ponownie odwiedzić pensjonat.

- Nie pensjonat, Watsonie - odparł. - Ale będziemy w pobliżu. Musimy znaleźć źródło zaskakującego bogactwa tego chłopca. Być może ta informacja pozwoli nam odpowiedzieć na pytanie, dlaczego został zamordowany.

- Dostał pieniądze od wujka - przypomniałem. - Ale skoro nie żyją jego rodzice, to jak odnajdziemy innych jego krewnych?

Holmes roześmiał się.

- Zaskakujesz mnie, Watsonie. Czy naprawdę aż tak obca ci jest mowa co najmniej połowy populacji Londynu? Każdego tygodnia tysiące robotników i pracowników dorywczych odwiedzają swoich wujków, czyli właścicieli lombardów.

Właśnie tam biedny Ross zdobył pieniądze. Pytanie brzmi: co takiego sprzedał za owe floreny i szylingi?

- I gdzie to uczynił - dodałem. - Przypuszczam, że tylko w tej części miasta działają setki takich przybytków.

- Z całą pewnością. Z drugiej jednak strony, być może przypomnisz sobie, że Wiggins, który wraz z Rossem podążał za naszym tajemniczym przybyszem z Ameryki od Uridge Lane aż do pensjonatu, wspominał, że Ross często bywał właśnie w tamtym lombardzie. Być może właśnie tam znajdziemy jego „wujka”.

Jakimż śmietniskiem złamanych obietnic i straconych na-
115

dziei okazał się ów lombard! Każda klasa społeczna, każda profesja, każdy typ ludzki był jakoś reprezentowany w jego brudnej witrynie; pamiątki niezliczonych życiorysów tkwiły tam niczym motyle przypięte szpilkami do dna szklanej gabloty. Ponad nimi wisiał drewniany szyld z nieodłącznym symbolem trzech złotych kulek na niebieskim tle. Umocowany na zardzewiałych łańcuchach, wcale nie kołysał się na

wietrze, jakby chciał zademonstrować, że tutaj nie ma miejsca na żaden ruch, że gdy ktoś pozostawi tu swój dobytek, nie odzyska go już nigdy. „Gotówka za kruszec, biżuterię, ubrania i wszelkie inne przedmioty”, napisano na afiszu poniżej. I rzeczywiście, nawet w jaskini Aladyna nie znalazłoby się tak różnorodnych skarbów. Brosze z granatami i srebrne zegarki, porcelanowe filiżanki i wazy, stojaki na pióra, tyżeczki i książki - wszystkie te dobra walczyły między sobą o miejsce na półkach, obok takich unikatów, jak żołnierzyk z mechanizmem zegarowym czy wypchana sójka. Po bokach wystawy wisiały płótna - od chusteczek, przez obrusy, aż po haftowane w jaskrawych kolorach narzuty. Cała armia szachowych figur trzymała straż nad polem bitwy pierścionków i bransolet ułożonych na zielonym suknie. Który z robotników poświęcił swe dłuta i piły, by napęlić brzuch piwem i kiełbaskami w ten weekend? Która z małych dziewczynek postanowiła żyć bez swej niedzielnej sukienki, by jej rodzice mogli kupić trochę jedzenia? Ta witryna nie była jedynie ilustracją ludzkiej degradacji. Ona ją opiewała. Łatwo było sobie wyobrazić, że właśnie to miejsce odwiedził Ross.

Widywałem już właścicieli lombardów w West Endzie i wiedziałem, że zazwyczaj mają w swych kantorach boczne drzwi, którymi można wśliznąć się do środka w nader dyskretny sposób. Tu jednak nie było takich luksusów, a to dlatego, że mieszkańcy Bridge Lane nie mieli skrupułów. Tylko jedne, otwarte drzwi prowadziły do lombardu. Połączyłem za Holmesem do ciemnego wnętrza, na spotkanie

z samotnym mężczyzną siedzącym na stołku. W jednej dłoni trzymał książkę, którą czytał, drugą zaś oparł na kontuarze i nieświadomie wykonywał palcami osobliwe ruchy, jakby

116

obracał w nich niewidzialny przedmiot. Był szczupłym, wręcz delikatnym jegomościem po pięćdziesiątce, o wąskiej twarzy, ubranym w koszulę zapiętą wysoko pod szyją, kamizelkę oraz szalik. Być może ta precyzja i troska o wygląd zewnętrzny sprawiły, że skojarzył mi się z zegarmistrzem.

- Czym mogę panom służyć? - spytał, tylko na chwilę odrywając wzrok od stronicy. Musiał jednak błyskawicznie nas otaksować, zaraz bowiem dodał: - Widzę, że panowie z bardziej oficjalną sprawą. Czyżby z policji? Jeśli tak, to niestety, nie mogę pomóc. Nic nie wiem o moich klientach. Taką mam zasadę, że nigdy nie zadaję im pytań. Jeśli zaś chcieliby panowie coś u mnie zastawić, na pewno zaoferuję dobrą cenę. W przeciwnym razie - żegnam.

- Nazywam się Sherlock Holmes.

- Ten detektyw? Czuję się zaszczycony. A cóż pana tu sprowadza, panie Holmes? Może chodzi o uroczy mały drobiazg, złoty naszyjnik z szafirami? Wypląciłem za niego pięć luntów, a zaraz potem wykupiła go policja, więc nic nie zyskałem. Pięć funtów, a przecież mógłbym dostać za niego dwa razy więcej, gdyby został w moich rękach. No, ale cóż począć. Wszyscy wędrujemy drogą ku bankructwu, tylko niektórzy z nas wysforowali się naprzód.

Wiedziałem, że właściciel lombardu kłamie przynajmniej

w jednej sprawie. Bez względu na to, ile był wart naszyjnik pani Carstairs, on nie zapłaciłby Rossowi za niego więcej niż parę pensów. Być może farthingi, które znaleźliśmy w pokoju pod schodami, pochodziły właśnie stąd.

- Naszyjnik nas nie interesuje - oznajmił Holmes. - Podobnie jak człowiek, który go tu przyniósł.

-I bardzo dobrze, gdyż człowiek, który go tu przyniósł, pewien Amerykanin, już nie żyje, a przynajmniej tak twierdzi policja.

-Ciekawi nas inny z pańskich klientów, a mianowicie chłopiec imieniem Ross.

- Słyszałem, że ów Ross także opuścił już ten padół łez.

No niechże pan sam powie: cóż za fatalny los, stracić dwa gołąbki w tak krótkim czasie.

117

- Ostatnio wypłacił pan Rossowi pieniądze, czyż nie?

- A kto panu tak powiedział?

- Zaprzecza pan?

- Nie zaprzeczam i nie potwierdzam. Mówię jedynie, że jestem bardzo zajęty i byłbym wdzięczny, gdyby panowie już sobie poszli.

- Jak pan się nazywa?

- Russell Johnson.

- Cóż, panie Johnson. Pozostaje mi jedynie złożyć panu pewną propozycję. Cokolwiek przyniósł panu Ross, ja to odkupię - i to za dobrą cenę - ale tylko pod warunkiem, że zagra pan ze mną uczciwie. Wiem o panu bardzo wiele,

panie Johnson, więc jeśli spróbuje pan skłamać, od razu się zorientuję. Wtedy wrócę z policjantami i wezmę wszystko, czego zapragnę, a pan nic na tym nie zyska.

Johnson uśmiechnął się, ale miałem wrażenie, że dostrzegam w jego twarzy melancholię.

- Nie wie pan o mnie absolutnie nic, panie Holmes.

- Nie? Wiem na przykład, że wychował się pan w zamożnej rodzinie i otrzymał dobre wykształcenie. Możliwe, że był pan dobrym pianistą, bo taką miał pan ambicję. Pański upadek był następstwem uzależnienia, zapewne od hazardu, być może od gry w kości. W tym roku siedział pan już w więzieniu za handel kradzionymi dobrami, a strażnicy uważali pana za raczej kłopotliwego pensjonariusza. Odsiedział pan wyrok co najmniej trzymiesięczny, lecz zwolniono pana w październiku i od tego czasu nieźle się panu powodzi.

Johnson po raz pierwszy spojrzął na Holmesa z autentycznym zaciekawieniem.

- Kto panu to wszystko powiedział?

- Nikt mi nie musiał nic mówić, panie Johnson. Wszystko to jest boleśnie wręcz oczywiste. A teraz, jeśli pan pozwoli, ponowię pytanie. Co przyniósł Ross?

Po chwili namysłu Johnson wolno skinął głową.

- Poznałem tego chłopca, Rossa, dwa miesiące temu - zaczął. - Był od niedawna w Londynie, mieszkał w King's Cross, a przyprowadziło go tu paru innych małych ulicz-

118

ników. Niewiele o nim wiem, może poza tym, że był nieźle

odżywiony i ubrany lepiej niż pozostali. Przyniósł mi męski zegarek kieszonkowy, bez wątpienia kradziony. Wpadał tu później jeszcze kilka razy, ale nigdy więcej nie przyniósł niczego tak cennego. - Johnson podszedł do gabloty, pogrzebał w niej chwilę, po czym wyjął zegarek w złotej kopercie, zawieszony na łańcuszku. - To właśnie ten. Dałem chłopakowi za niego tylko pięć szylingów, chociaż wart jest co najmniej dziesięć funtów. Mogę go panu sprzedać za tyle, ile za niego zapłaciłem.

- A w zamian?

- W zamian powie mi pan, skąd pan tyle o mnie wie. Jest pan detektywem, rozumiem, ale nie wierzę, że wprost z powietrza odczytał pan tyle informacji. Przecież znamy się ledwie chwilę.

- Rzecz jest tak prosta, że kiedy ją panu objaśnię, przekonana się pan boleśnie, jak marny ubił ze mną interes.

- A jeśli pan tego nie zrobi, nie zasnę.

- Zatem zgoda, panie Johnson. Dowodem starannego wykształcenia jest sposób, w jaki pan się wystawia. Zauważyłem też egzemplarz listów Flauberta do George Sand, w oryginale. Czytał pan tę książkę, kiedy weszliśmy. Tylko zamożne rodziny mogą zapewnić swoim dzieciom solidną naukę francuskiego. Poza tym przez długie godziny ćwiczył pan kiedyś na pianinie - palce pianisty doprawdy łatwo rozpoznać. To, że pracuje pan w takim miejscu, oznacza, że spotkała pana życiowa katastrofa oraz nagła utrata majątku i pozycji. Niewiele jest sposobów na osiągnięcie takiego stanu: alkohol, narko-

tyki, może grube błędy w interesach... Pan jednak wspominał o fatalnym losie i nazwał swoich klientów gołąbkami, w tych stronach często nazywa się tak początkujących hazardzistów, stąd też moje przypuszczenie co do pańskiego uzależnienia. Ponadto ma pan tik nerwowy, jak zauważyłem: zdaje się, że pańska dłoń chce nieustannie toczyć kości.

- A co z moim pobytem w więzieniu?

- Zafundowano panu coś, co jak miemam nazywa się fryzurą na teriera". Tak strzyże się skazanych. W pańskim

119

przypadku mamy do czynienia z mniej więcej ośmiotygodniowymi odrostami, zatem musiał pan zostać zwolniony we wrześniu. Potwierdza to zresztą barwa pańskiej skóry: ostatni miesiąc był nadzwyczaj ciepły i słoneczny, a pan najwyraźniej był już wtedy wolny. Na obu nadgarstkach ma pan ślady, które mówią mi, że w więzieniu nosił pan kajdany i próbował pan je rozerwać. Paserstwo to najbardziej oczywiste przestępstwo, jakiego może się dopuścić właściciel lombardu. Co się zaś tyczy tego przedsięwzięcia, to pańska dłuższa nieobecność zaznaczyła się choćby stanem wystawionych za szybą książek - są spłowiałe od słońca - a także ilością kurzu na półkach. Zauważyłem jednak również sporo innych przedmiotów - w tym ten zegarek - na których nie ma ani śladu kurzu. Dodano je do ekspozycji niedawno, a to świadczy o sporym ruchu w interesie.

Johnson podał mu nagrodę.

- Dziękuję, panie Holmes - rzekł. - Ma pan całkowitą

słuszność, i to we wszystkich sprawach. Rzeczywiście pochodzę z dobrej rodziny, z Sussex, i faktycznie miałem kiedyś nadzieję zostać pianistą. Gdy to okazało się niemożliwe, zacząłem studiować prawo, i pewnie prosperowałbym nieźle w tej dziedzinie, gdyby nie była tak potwornie nudna.

Wreszcie pewnego wieczoru znajomy wprowadził mnie do Klubu Francusko-Niemieckiego przy Charlotte Street. Nie przypuszczam, by panowie znali to miejsce. Nie ma tam nic ani szczególnie francuskiego, ani niemieckiego; właścicielem jest pewien Żyd. Od chwili, gdy zobaczyłem ten klub - jego nieoznaczone drzwi z małą kratką, zamalowane okna, ciemne schody prowadzące do jaskrawo oświetlonych pomieszczeń na górze - byłem zgubiony. Znalazłem tam podniecenie, którego tak bardzo brakowało w moim życiu. Zapłaciłem wpisowe wysokości dwóch funtów i sześciu pensów, a wtedy wprowadzono mnie w świat bakarata, ruletki, wszelkiego hazardu... i owszem, także kości. Wkrótce dni zaczęły mi się dłużyć w nieskończoność, bo wyczekiwałem wieczornej rozrywki. Nagle otoczyli mnie fantastyczni, nowi przyjaciele, zawsze cieszący się na mój widok - nie

120

muszę dodawać, że wszyscy, bez wyjątku, byli na garnuszkę u właściciela klubu, a ich zadaniem było wprowadzanie mnie w dobry nastrój, abym grał i grał... Czasem wygrywałem, ale częściej traciłem pieniądze. Pięć funtów jednej nocy. dziesięć następnej. Czy muszę dalej opowiadać? W pracy już się nie starałem. W końcu zostałem zwolniony. Resztki

oszczędności przeznaczyłem na otwarcie tego lombardu, sądząc naiwnie, że nowe zajęcie - choćby i najbardziej nikczemne i godne pogardy - pomoże mi oderwać umysł od gry. Jakże się myliłem! Nadal tam wracam, każdej nocy. Nie umiem się powstrzymać. Kto wie, co mnie czeka w przyszłości... Wstydzę się na samą myśl o tym, co by powiedzieli moi rodzice, gdyby mnie teraz zobaczyli. I jeśli coś mnie w tym wszystkim pociesza, to jedynie niezachwiana pewność, że nikogo na tym świecie nie obchodzi mój los. To bowiem oznacza, że nie mam powodu się wstydzić.

Holmes zapłacił za zegarek i razem wróciliśmy na Baker Street. Jeśli jednak sądziłem, że oznacza to koniec pracy, to bardzo się myliłem. Holmes bowiem już w dorożce przyrządził się dokładnie swemu nabytkowi. Był to naprawdę ładny zegarek z minutnikiem, zaopatrzony w biały, emaliowany cyferblat i złotą kopertę, a wyprodukowany przez firmę louchon & Co z Genewy. Nie było na nim ani nazwiska, ani żadnej inskrypcji, za to na rewersie Holmes znalazł grawerowany wizerunek ptaka siedzącego na skrzyżowanych kluczach.

- Herb rodzinny? - zasugerowałem.

- Błyskotliwe spostrzeżenie, Watsonie - odparł. - Jestem tego samego zdania. I mam nadzieję, że moja encyklopedia dostarczy nam bardziej szczegółowych informacji.

I rzeczywiście, z jej stronicy dowiedzieliśmy się, że kruk i dwa klucze to herb rodu Ravenshaw, jednej z najstarszych rodzin w królestwie, której siedziba znajduje się opodal wioski Coln St Aldwyn w Gloucestershire. Lord Ravenshaw,

który pełnił w rządzie funkcję ministra spraw zagranicznych, zmarł nie tak dawno, w osiemdziesiątym drugim roku.

Jego syn, czcigodny Alec Ravenshaw, był jedynym dziedzicem rodu i do niego należały teraz nie tylko wszelkie

121

włości, ale i tytuł. Byłem nieco rozczarowany, gdy usłyszałem, że Holmes chce natychmiast wyjechać z Londynu, lecz znałem go przecież doskonale i wiedziałem, że nieustanny ruch leży w jego naturze. Nawet nie próbowałem się spierać.

Nie brałem też pod uwagę możliwości pozostania w domu.

Gdy dziś myślę o tamtych dniach, uświadamiam sobie, że byłem równie wytrwały w pełnieniu obowiązków kronikarza, jak Holmes w ściganiu przestępców. Być może właśnie dlatego tak dobrze nam się razem pracowało.

Spakowałem rzeczy osobiste, szykując się do noclegu poza domem. Słońce zdążyło zająć, zanim znaleźliśmy sobie całkiem przyjemny zajazd. Zasiedliśmy do wieczerzy, by raczyć się udźcem jagnięcym w sosie miętowym i pin-tą całkiem przyzwoitego clareta. Nie pamiętam już, o czym rozprawialiśmy przy jedzeniu. Zdaje się, że Holmes pytywał o moją praktykę lekarską, a ja streściłem mu co bardziej intrygujące prace Miecznikowa z dziedziny teorii komórek. Mój przyjaciel zawsze żywo interesował się sprawami związanymi z medycyną i szeroko pojętą nauką, choć z drugiej strony - o czym już pisałem - starał się nie zaśmiecać pamięci informacjami, które z jego punktu widzenia nie miały żadnej materialnej wartości. Lepiej, by nie-

biosa miały w opiece śmiałka, który zechciałby spróbować konwersacji z Holmesem na temat polityki albo filozofii. Dziesięcioletek wiedziałby więcej o tych sprawach. Jedno tylko mogę powiedzieć o owym wieczorze: z całą pewnością nie dyskutowaliśmy o sprawie, nad którą pracowaliśmy, lecz nawet w trakcie swobodnej, beztroskiej rozmowy, którą prowadziliśmy w typowym dla nas stylu, dostrzegaliśmy chwilami pewną sztuczność w zachowaniu mego druha. Wciąż gnębiło go poczucie winy związane ze śmiercią Rossa.

Jeszcze przed śniadaniem Holmes wysłał wizytówkę do Ravenshaw Hall, prosząc o audiencję. Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Nowy lord Ravenshaw miał kilka spraw do załatwienia, ale z przyjemnością mógł spotkać się z nami o dziesiątej. Zjawiliśmy się na miejscu, gdy zegar na kościel-

122

nej wieży wybił równą godzinę. Pieszko pokonaliśmy podjazd do urokliwej, elżbietańskiej rezydencji z cotswoldzkiego kamienia, otoczonej trawnikami lśniącymi od porannego szronu.

Nasz znajomy, kruk z dwoma kluczami, objawił się znowu - tym razem w płaskorzeźbach obok głównej bramy oraz na portyku nad frontowymi drzwiami budynku. Powolna, piesza wędrówka z zajazdu do rezydencji była całkiem przyjemna, ale będąc już niemal u celu, zobaczyliśmy, że drzwi domu otworzyły się nagle, ktoś w niemałym pośpiechu wybiegł na podjazd, wskoczył do kabiny i z trzaskiem zamknął

drzwiczki. Woźnica strzelił z bata, konie poderwały się do biegu i chwilę później powóz minął nas z donośnym grzechotem kół. Ja jednak zdążyłem rozpoznać pasażera.

- Holmesie - rzekłem - ja znam tego człowieka!

- Ja również, Watsonie. To był pan Tobias Finch, nieprawdaż? Starszy wspólnik z galerii sztuki Carstairs i Finch przy Albemarle Street. Doprawdy osobliwy zbieg okoliczności, nie sądzisz?

- Bardzo, bardzo dziwny.

- Może powinniśmy poruszyć ten temat w rozmowie, ale z wielką delikatnością. Jeżeli bowiem lord Ravenshaw uznał za stosowne wyprzedać część rodzinnej kolekcji dzieł sztuki...

- Mógł też kupować nowe.

- Istnieje taka możliwość.

Użyliśmy dzwonka i po chwili lokaj wpuścił nas do środka. Minęliśmy hol i znaleźliśmy się w salonie zaiste godnym rezydencji barona. Ściany były częściowo pokryte boazerią, a ponad nią wisały portrety rodzinne. Strop znajdował się tak wysoko, że zapewne nikt z odwiedzających to domostwo nie ośmiał się podnieść głosu, aby nie powstało echo. Za wielodzelnymi oknami rozciągał się widok na ogród różany i stanowiący dlań tło rozległy park łowiecki. Niektóre krzesła i kanapy ustawiono wokół wielkiego, kamiennego kominka - tu znowu pojawił się rzeźbiony kruk - w którym trzaskał ogień na zielonych jeszcze szczapach drewna. Tam także stał lord Ravenshaw, grzejąc dłonie tuż przy paleni-

sku. Pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarł, nie było do końca pozytywne. Był to mężczyzna o siwych, zaczesanych do tyłu włosach i rumianej, nieszczególnie atrakcyjnej twarzy. Jego oczy były dość wylupiaście i przyszło mi na myśl, że może to być skutkiem anormalnej pracy tarczycy. Miał na sobie kurtkę do jazdy konnej i wysokie skórzane buty, a pod pachą trzymał szpicrutę. Zanim jeszcze się przedstawiliśmy, już sprawiał wrażenie zniecierpliwionego, jakby bardzo się dokądś spieszył.

- Pan Sherlock Holmes - powtórzył. - Tak, tak, zdaje się, że o panu słyszałem. Detektyw? Trudno mi sobie wyobrazić okoliczności, które mogłyby połączyć pańskie sprawy z moimi.

- Wierzę, że posiadam coś, co może być pańską własnością, lordzie Ravenshaw.

Gospodarz nie poprosił nas, byśmy usiedli. Holmes wyjął zegarek z kieszeni i zaniósł go lordowi.

Ravenshaw przez chwilę ważył go w dłoni, jakby wcale nie był pewny, czy to jego własność. Wreszcie go rozpoznał.

Był ciekaw, w jaki sposób Holmes wszedł w jego posiadanie.

Tak czy owak, ucieszył się z odzyskania zegarka. Nie wypowiedział ani jednego słowa, ale wszystkie te myśli i emocje odmalowały się kolejno na jego obliczu i odczytałem je bez trudu.

- No cóż, jestem panu niezmiernie wdzięczny - rzekł wreszcie. - Bardzo lubię ten zegarek. Dostałem go od siostry i prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś go zobaczę.

- Bardzo mnie ciekawi, w jakich okolicznościach pan go stracił, lordzie Ravenshaw.

- Wiem to dokładnie, panie Holmes. Otóż zdarzyło się to w Londynie, podczas lata. Wybrałem się do opery.

- Pamięta pan w jakim miesiącu?

- W czerwcu. Właśnie wysiadałem z powozu, gdy wpadł na mnie jakiś mały urwis. Miał dwanaście, może trzynaście lat. W pierwszej chwili nawet nie zwróciłem uwagi na to zdarzenie, ale podczas antraktu chciałem zerknąć na zegarek i oczywiście odkryłem, że zostałem okradziony.

124

- To naprawdę ładny zegarek i najwyraźniej cenny dla pana. Czy zgłosił pan ten incydent na policji?

- Nie bardzo rozumiem cel pańskich pytań, panie Holmes. I prawdę mówiąc, jestem lekko zdziwiony tym, że człowiek o pańskiej reputacji zadaje sobie tyle trudu - w koni od Londynu dzieli nas spory dystans - tylko po to, by zwrócić mi taki drobiazg. Mam rozumieć, że liczy pan na nagrodę?

- Ależ skąd. Ten zegarek jest elementem większego śledztwa, które prowadzę. Miałem nadzieję, że pomoże mi pan w jakiś sposób.

- Obawiam się, że będzie pan zawiedziony. Nie wiem nic więcej. Nie zgłosiłem kradzieży, wiedząc, że złodziei i innych łajdaków pełno jest na każdym rogu stolicy i wielce wątpliwe wydaje się, by policja mogła cokolwiek uczynić w mojej sprawie, zatem po co marnować jej czas? Jestem

panu niezmiernie wdzięczny za zwrot zegarka, Holmes,
a także z wielką chęcią zapłacę za pański czas i zwrócę koszty podróży. Lecz jeśli oczekuje pan czegoś więcej, nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć panom miłego dnia.

- Zatem ostatnie już pytanie, lordzie Ravenshaw - odparł całkiem spokojnie Holmes. - Gdy zbliżaliśmy się do pańskiego domu, wyszedł stąd pewien człowiek. Niestety, minęliśmy się w pewnej odległości, a ja jestem ciekaw, czy wzrok mnie nie myli. Czyżby był to mój stary przyjaciel, pan Tobias Finch?

- Przyjaciel? - Zgodnie z przypuszczeniami Holmesa lord Kavenshaw nie był zadowolony z faktu, że wizyta marszałka w jego domu przestała być tajemnicą.

- Powiedzmy: znajomy.

- Cóż, skoro już pan pyta, to potwierdzam: to był on. Nie jestem zainteresowany rozmową o sprawach rodzinnych, panie Holmes, ale jak pan być może wie, mój ojciec miał fatalny gust, jeśli chodzi o sztukę, i dlatego zamierzam pozbyć się przynajmniej części jego kolekcji. Rozmawiałem już z właścicielami kilku galerii w Londynie. Carstairs i Finch wydają się najbardziej dyskretni.

125

-A czy pan Finch wspominał panu może o Domu Jedwabnym?

Ciszę, która nastąpiła po zadaniu tego pytania, przerwał natychmiast - niczym wykrzyknik - trzask pękającego pola-
na w kominku.

- Mówił pan, że zada mi jedno, ostatnie pytanie, Holmes.

To było pytanie numer dwa, a ja mam już dość pańskiej impertynencji. Mam wezwać służbę czy wyjdą panowie z własnej woli?

- Niezmiernie się cieszę, że mogłem pana poznać, lordzie Ravenshaw.

- A ja jestem wdzięczny za zwrócenie mi zegarka, panie Holmes.

Cieszyłem się, że wreszcie wychodzimy z tego salonu, w którym czułem się jak w pułapce niepojętego bogactwa i uprzywilejowania. Gdy zesliśmy po schodach na ścieżkę wiodącą ku bramie posiadłości, Holmes zachichotał.

- Oto kolejna zagadka dla ciebie, Watsonie.

- Wydawał się niezwykle wrogo nastawiony, Holmesie.

- Miałem na myśli kradzież zegarka. Gdyby rzeczywiście został skradziony w czerwcu, Ross nie mógłby być sprawcą, bo jak obaj wiemy, przebywał wtedy w Szkole dla Chłopców Chorley Grange. Według Johnsona do lombardu trafił kilka tygodni temu, w październiku. Co zatem działo się z zegarkiem przez te cztery miesiące? Gdyby to Ross go ukradł, po co miałby przechowywać go przez tak długi czas?

Dotarliśmy już prawie do bramy, gdy nad naszymi głowami przeleciał czarny ptak - nie kruk, ale wrona. Odprowadziłem go wzrokiem i tknięty przecuciem odwróciłem głowę w stronę rezydencji. Lord Ravenshaw stał przy oknie, obserwując nas w marszu. Ręce wspierał na biodrach, a spojrzenie jego okrągłych, wyłupiastych oczu nie opusz-

czało nas ani na chwilę. I choć mogłem się mylić, dzieliła nas już bowiem całkiem spora odległość, wydawało mi się, że jego twarz wykrzywia grymas nienawiści.

9

Ostrzeżenie

Nic na to nie poradzę - rzekł Holmes, wzdychając z irytacją. - Będziemy musieli złożyć wizytę Mycroftowi.

Poznałem Mycrofta Holmesa, gdy poprosił nas o pomoc w sprawie swego sąsiada, greckiego tłumacza, który popadł w konflikt z parą niebezpiecznych przestępców. Aż do tamtej chwili nie miałem najblidszego pojęcia o tym, że Holmes ma o siedem lat starszego brata. Wyznam, że nawet nie wyobrażałem sobie, by w ogóle miał jakąkolwiek rodzinę. Może się to wydawać dziwne, że człowiek, którego całkiem rozsądnie mogłem nazwać moim najbliższym przyjacielem i z którym spędzałem setki godzin, ani razu nie wspomniał o swoim dzieciństwie, rodzicach, miejscu urodzenia i w ogóle o niczym, co dotyczyło jego życia przed erą Baker Street. Odpowiedź jest oczywista: taką miał naturę. Nigdy nie obchodził urodzin, ich datę poznałem dopiero z nekrologu. Wspomniał mi kiedyś, że jego przodkowie mieli posiadłość na wsi i że jest spokrewniony z pewnym dobrze znanym artystą, ale na ogół wolał udawać, że jego rodzina nigdy nie istniała, a cud jego intelektu rozkwitł na światowej scenie bez niczyjej pomocy. Gdy dowiedziałem się, że ma brata, Holmes stał się dla mnie nieco bardziej ludzki, ale tylko do chwili, gdy osobiście poznałem Mycrofta. Był on pod wieloma względami równie

osobliwą personą jak Sherlock: kawaler, niezależny, żyjący w stworzonym przez siebie świecie, którego centralnym punktem był Klub Diogenesa przy Pall Mall, gdzie można

127

go było zastać codziennie od szesnastej czterdzieści pięć do dwudziestej. Jeśli się nie mylę, miał mieszkanie w pobliżu tego lokalu. Klub Diogenesa, jak wiadomo, był miejscem spotkań najbardziej nietowarzyskich mężczyzn Londynu.

Jego członkowie nigdy ze sobą nie rozmawiali, gdyż było to zabronione we wszystkich pomieszczeniach prócz Sali Obcych, lecz nawet i tam konwersacje należały do rzadkości.

Pamiętam, że czytałem w gazecie o portierze, który w holu klubu życzył jednemu z członków miłego wieczoru - został natychmiast zwolniony. W sali jadalnej panowała atmosfera mniej więcej tak ciepła i swobodna jak w refektarzu klasztoru trapistów, choć trzeba powiedzieć, że dania były absolutnie znakomite, gdyż klub zatrudnił znanego francuskiego szefa kuchni. To, że Mycroft nie gardził tamtejszym wiktem, widać było po jego kształtach, zdecydowanie korpulentnych. Wciąż jeszcze mam przed oczami jego obraz: siedzi z trudem wciśnięty w fotel, z kieliszkiem brandy w jednej dłoni i z cygarem w drugiej. Spotkania z nim mocno mnie peszyły, dostrzegałem bowiem w Mycrofcie pewne cechy mojego przyjaciela - przede wszystkim jasnoszare oczy i wyraziste rysy twarzy - a jednocześnie wydawały się one zupełnie nie na miejscu, niejako przeszczepione w tę żywą górę mięsa. I wystarczyło, by odwrócił głowę, a już stawał

się całkiem obcym człowiekiem, w osobliwy sposób wysyłającym sygnał ostrzegawczy: trzymaj się ode mnie z daleka.

Zastanawiałem się niekiedy, jacy byli bracia Holmes w dzieciństwie. Czy kiedykolwiek bili się, razem czytali książki, kopali piłkę? Nie umiałem sobie tego wyobrazić, albowiem obaj przeistoczyli się w mężczyzn, o których skłonni jesteśmy myśleć, iż nigdy nie byli chłopcami.

Gdy Holmes po raz pierwszy opisał mi Mycrofta, nazwał go audytorem pracującym dla kilku różnych ministerstw.

W istocie jednak była to tylko połowa prawdy, a z czasem dowiedziałem się, że jego brat jest kimś znacznie ważniejszym i bardziej wpływowym. Mam tu na myśli, rzecz jasna, przygodę z planami Bruce'a-Partingtona - planami ściśle tajnego okrętu podwodnego, które skradziono z Admiralicji. To wła-

128

śnie Mycroft otrzymał zadanie ich odnalezienia. Przy tej okazji Holmes przyznał, że jego brat jest ważną figurą w kręgach rządowych, żywym archiwum tajnych informacji, człowiekiem, do którego zwracali się urzędnicy wielu ministerstw, gdy potrzebne były konkretne dane. Zdaniem Holmesa, gdyby Mycroft wybrał karierę detektywa, dorównałby mu, i może nawet - tu szczerość mego przyjaciela wprawiła mnie w zdumienie - przewyższyłby go umiejętnościami. Jednakże Mycroft Holmes cierpiał na pewną słabość charakteru. Był mianowicie typem odrobinę gnuśnym, to zaś sprawiało, że nie byłby w stanie rozwiązać żadnej zagadki kryminalnej z jednej prostej przyczyny: nie byłaby dla niego wystarczają-

co interesująca. Gdy słyszałem o nim po raz ostatni, otrzymał tytuł szlachecki i objął posadę kanclerza znanego uniwersytetu, a wkrótce potem odszedł na emeryturę.

- Jest w Londynie? - spytałem.

- Rzadko bywa gdziekolwiek indziej. Zawiadomię go, że odwiedzimy go w klubie.

Klub Diogenesa był jednym z mniejszych przy Pall Mail, i jego siedziba, z bogato zdobionymi, łukowatymi oknami i drobnymi balustradami, przypominała weneckie palazzo w stylu gotyckim. Zewnętrzna forma budynku sprawiała, że we wnętrzu panował półmrok. Za frontowymi drzwiami zaczynało się wprawdzie atrium, otoczone murami na całą wysokość gmachu, zamkniętymi od góry przeszkloną kopułą, to architekt dał upust fantazji, pakując do swego projektu tak liczne galeryjki, kolumny i klatki schodowe, że w rezultacie w stosunkowo mało światła docierało do wnętrza. Goście mieli wstęp wyłącznie na parter. Zgodnie z regulaminem tylko w dwa dni w tygodniu mogli towarzyszyć członkowi klubu w jadalni na piętrze, lecz w siedemdziesięcioletniej historii Diogenesa jeszcze nie zaszedł taki wypadek. Mycroft przyjął więc nas, jak zawsze, w Sali Obcych, gdzie dębowe półki ugięły się pod ciężarem niezliczonych książek, na postumentach stały marmurowe popiersia, a strzeliste okna odślaniały widok na drugą stronę Pall Mail. Nad kominkiem wisiał portret królowej, namalowany przez członka klubu, który ponoć obraził ją, umieszczając w tle pieska i ziemniak, choć przy-

znam, że ja sam nie pojmuję znaczenia tych symboli.

- Mój drogi Sherlocku! - zawołał Mycroft, zbliżając się do nas. - Jak się miewasz? Widzę, że ostatnio straciłeś na wadze, ale cieszę się, że wróciłeś do siebie.

- A ty masz za sobą gripę.

- Bardzo łagodną. Z przyjemnością przeczytałem twoją monografię o tatuażach. Pisana nocami, jeśli się nie mylę?

Czyżbyś cierpiał na bezsenność?

- Lato było nieprzyjemnie upalne. Nic mi nie mówiłeś, że sprawiłeś sobie papugę.

- Nie sprawiłem, tylko pożyczyłem, Sherlocku. Doktorze Watson, miło pana znowu widzieć. Wprawdzie nie widział pan żony od tygodnia, ale wypada powiedzieć: mam nadzieję, że jest w dobrym zdrowiu. Zdaje się, że właśnie wróciliście z Gloucestershire.

- A ty z Francji.

- Pani Hudson także podróżowała?

- Wróciła w zeszłym roku. Masz nową kucharkę.

- Poprzednia zrezygnowała z posady.

- Pewnie z powodu papugi?

- Zawsze była nerwowa.

Powyższa wymiana zdań dokonała się w takim tempie, że czułem się jak widz na turnieju tenisowym; moja głowa rytmicznie obracała się to w prawo, to w lewo. Mycroft skinął wreszcie dłonią, zapraszając nas na kanapę, a sam opadł ciężko na stojący obok szeslong.

- Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

tego chłopca, Rossa - rzekł z niespodziewaną powagą. -

Wiesz przecież, Sherlocku, że zawsze ci odradzałem korzystanie z usług tych dzieciaków z ulicy. Mam nadzieję, że to nie ty naraziłeś go na niebezpieczeństwo.

-Jeszcze za wcześnie, by stwierdzić to ponad wszelką wątpliwość. Rozumiem, że czytałeś relacje w gazetach?

- Oczywiście. Lestrade prowadzi śledztwo. On nie jest taki zły, Sherlocku. Co się zaś tyczy białej wstążki, to moim zdaniem jest to nader niepokojący motyw. W obliczu tego,

130

jak straszliwie bolesną i powolną śmierć zadano temu chłopcu, powiedziałbym, że to mocny sygnał ostrzegawczy. Podstawowe pytanie, które powinieneś sobie teraz zadać, brzmi: czy było to ostrzeżenie o charakterze ogólnym, czy też skierowane konkretnie do ciebie.

- Siedem tygodni temu przysłano mi podobną białą wstążkę. - Holmes przyniósł ze sobą kopertę, którą już widziałem.

Wyjął ją teraz i podał bratu, który obejrzał ją uważnie.

- Sama koperta niewiele nam mówi - rzekł po chwili Mycroft. - Wepchnięto ją w szczelinę skrzynki w pośpiechu; brzeg jest zgnieciony. Twoje nazwisko napisała osoba praworęczna, dobrze wykształcona. - Mycroft wyjął wstążkę. - To indyjski jedwab, choć zapewne sam już to stwierdziłeś. Został poddany działaniu światła, bo włókna są osłabione. Ma dokładnie dziewięć cali długości; to interesujący fakt. Materiał kupiono w dobrym sklepie, a następnie przecięto na dwa paski jednakowej długości - widać to po krawędziach,

z których jedna powstała po profesjonalnym cięciu nożycami ostrymi jak brzytwa, a druga jest dziełem zwyczajnego noża. Nic więcej nie potrafię powiedzieć, Sherlocku.

-I nie spodziewałem się więcej, bracie. Zastanawiałem się natomiast, czy potrafiłbyś wyjaśnić mi bliżej znaczenie tego symbolu. Czy słyszałeś kiedy o miejscu lub organizacji zwanej Domem Jedwabnym?

Mycroft pokręcił głową.

Ta nazwa nic mi nie mówi. Pasuje choćby i do sklepu. Powiem ci nawet, że o ile sobie przypominam, istnieje w Edynburgu zakład krawiectwa męskiego o takiej nazwie.

Może tam właśnie zakupiono tę wstążkę?

To mało prawdopodobne, jeśli weźmiemy pod uwagę okoliczności. Po raz pierwszy usłyszeliśmy tę nazwę od dziewczyny, która najpewniej spędziła całe życie w Londynie. Skojarzenie z nią wzbudziło w niej taki strach, że zaatakowała nożem Watsona, raniąc go w pierś.

Wielkie nieba!

Wspomniałem o Domu Jedwabnym w rozmowie z lordem Ravenshawem...

131

- Synem byłego ministra spraw zagranicznych?

- Tym właśnie. Odniosłem wrażenie, że zareagował na to silnym niepokojem, choć bardzo się starał tego nie okazać.

- No cóż, mogę poprosić o tę nazwę w twoim imieniu, Sherlocku. Czy nie sprawiłoby ci kłopotu zjawić się tu jutro o tej samej porze? Ja tymczasem zatrzymałbym ten drobiazg - do-

dał starszy z Holmesów, zwijając wstążkę w pulchnej dłoni.

Nie musieliśmy jednak czekać dwudziestu czterech godzin na wynik działań Mycrofta. Nazajutrz rano, mniej więcej o dziesiątej, usłyszeliśmy terkot kół na bruku. Holmes, który akurat stał przy oknie, spojrzął w dół, na ulicę.

- To Mycroft! - stwierdził.

Podszedłem do niego w samą porę, by zobaczyć, jak woźnica pomaga jego bratu wysiąść z landa. Natychmiast uświadomiłem sobie, że jest to znaczące wydarzenie, ponieważ Mycroft nigdy wcześniej nie odwiedzał nas przy Baker Street i jak pokazał czas, nie uczynił tego nigdy więcej. Holmes milczał, z wyrazem głębokiej powagi na twarzy.

Zrozumiałem, że w sprawie musiał pojawić się nowy, wyjątkowo złowrogi wątek, w przeciwnym razie nie doszłoby do tej zaskakującej wizyty. Minęło sporo czasu, zanim Mycroft dotarł na piętro. Schody prowadzące od drzwi frontowych w górę były wąskie i strome, zatem podwójnie nieodpowiednie dla człowieka o takiej tuszy. Gdy wreszcie stanął na progu, rozejrzał się szybko i zasiadł na najbliższym krześle.

- Zatem tutaj mieszkasz? - spytał.

Holmes skinął głową.

- Dokładnie tak wyobrażałem sobie to miejsce. Włącznie z pozycją kominka. Naturalnie ty siadasz zwykle po prawej stronie, a twój przyjaciel po lewej. Dziwne, jak nieodmienne poddajemy się schematom; jak pozwalamy, by sterowała nami przestrzeń, która nas otacza.

- Napijesz się herbaty?

- Nie, Sherlocku. Nie zabawię długo. - Mycroft wyjął kopertę i oddał bratu. - To należy do ciebie. Zwracam ci tę wstążkę i dołączam dobrą radę w nadziei, że zechcesz jej usłuchać.

- Mów dalej, proszę.

132

- Nie znalazłem odpowiedzi na twoje pytanie. Nadal nie mam pojęcia, czym jest Dom Jedwabny i gdzie można go znaleźć. Wierz mi, że chciałbym, by było inaczej, bo może wtedy miałbyś więcej powodów, by wziąć sobie do serca to, co za chwilę powiem. Musisz niezwłocznie przerwać to śledztwo. Nie wolno ci zadawać pytań na ten temat. Zapomnij o Domu Jedwabnym, Sherlocku. Nigdy nawet nie wypowiadaj tych słów.

- Przecież wiesz, że nie mogę tak postąpić.

- Znam twój charakter. I właśnie dlatego przebyłem sporą część Londynu, by się z tobą spotkać. Pomyślałem sobie, że jeśli zwyczajnie cię ostrzeżę, zamienisz tę sprawę w prywatną krucjatę, dlatego miałem nadzieję, że pojawiając się tu osobiście, uświadomię ci, jaką wagę mają moje słowa. Mogłem też poczekać do wieczora i wtedy oznajmić, że moje poszukiwania nie przyniosły rezultatu, a następnie pozwolić, byś kontynuował swoją misję. Jednak nie wolno mi było tego uczynić, ponieważ lękam się, że tym sposobem znajdziesz się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, podobnie jak doktor Watson. Pozwól, że ci wyjaśnię, co się wydarzyło od czasu naszego spotkania w Klubie Diogenesa. Otóż odwiedziłem jednego czy dwóch ludzi, których znam i którzy są związa-

ni z pewnymi ministerstwami. Wtedy jeszcze sądziłem, że kisto Dom Jedwabny musi się odnosić do jakiejś organizacji przestępczej, i miałem nadzieję, że dowiem się przynajmniej, czy policja lub któraś ze służb wywiadowczych prowadzi śledztwo przeciwko niej. Ludzie, z którymi rozmawiałem, nie potrafili mi pomóc - a przynajmniej tak twierdzili.

I wtedy spotkała mnie bardzo nieprzyjemna niespodzianka. Gdy rano wyszedłem z domu, czekał już na mnie powóz, który zawiózł mnie wprost do pewnego biura w Whitehall, gdzie doszło do spotkania. Kim był mój rozmówca, tego wyjawiać nie mogę, ale gdybym to uczynił, skojarzyłbyś tę postać od razu i wiedziałbyś, że blisko współpracuje z samym premierem. Dodam może jeszcze, że jest to człowiek, którego świetnie znam i którego mądrości oraz osądów nigdy bym nie zakwestionował. Nie był zachwycony tym spotka-

133

niem i od razu przeszedł do rzeczy: chciał wiedzieć, dlaczego wypytuję o Dom Jedwabny i co to ma znaczyć. Trzeba ci wiedzieć, Sherlocku, że zachowywał się wręcz wrogo wobec mnie i musiałem dobrze się zastanowić, zanim odpowiedziałem. Od razu postanowiłem nie wspominać o tobie, bo gdybym to zrobił, być może to nie ja pukałbym dziś do twoich drzwi. Co powiedziawszy, muszę nadmienić, że być może nic tym sposobem nie wskórałem, gdyż moje związki z tobą są rzeczą powszechnie znaną i być może już jesteś w kręgu podejrzanych. Tak czy inaczej, powiedziałem memu rozmówcy tylko tyle, że nazwę tę wymienił jeden

z moich informatorów, w nawiązaniu do sprawy morderstwa w Bermondsey - i stąd moja ciekawość. Wtedy zapytał o nazwisko owego informatora, a ja zmyśliłem je na poczekaniu, starając się stworzyć wrażenie, że sprawa jest całkiem banalna, a moje pytania nie miały głębszego znaczenia.

Odniosłem wrażenie, że rozluźnił się nieco, choć nadal zwracał się do mnie starannie wyważonymi słowami. Ujawnił, że policja istotnie prowadzi śledztwo w sprawie Domu Jedwabnego i właśnie dlatego wiadomość o moich dziwnych pytaniach dotarła do niego tak szybko. Sprawa jest ponoć w dość delikatnej fazie i moja nierozważna interwencja mogła wywołać niepożądane straty. Nie wydaje mi się, by choć jedno słowo z tego, co usłyszałem, było prawdą, ale udawałem, że biorę te wyjaśnienia za dobrą monetę, wyrażając żal, że niechcący wywołałem takie zaniepokojenie.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut, a potem znów przeprosiłem za marnowanie jego cennego czasu, wymieniliśmy pożegnalne uprzejmości i się oddaliłem. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, Sherlocku, że politycy tak wysokiego szczebla mają zadziwiający dar mówienia bez końca i jednocześnie nieujawniania żadnych konkretnych informacji. Przekaz, który odczytałem z pogawędki z owym dżentelmenem, jest następujący: Zostaw tę sprawę! Śmierć ulicznika, choć jest tragicznym zdarzeniem, nie ma absolutnie żadnego znaczenia w szerszym kontekście. Czymkolwiek jest Dom Jedwabny, jest to sprawa wagi państwowej. Władze wiedzą o jego istnieniu i pracują nad rozwiązaniem

problemu, ty zaś nie masz pojęcia, jak wielkie szkody możesz wyrządzić i jak głośny skandal wywołać, jeśli nie przestaniesz drążyć tej sprawy. Zrozumiałeś?

- Jaśniej nie dałoby się tego wyłożyć.

- A czy zastosujesz się do mojej rady?

Holmes sięgnął po papierosa. Trzymał go w palcach przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy warto zapalić.

- Tego nie mogę obiecać - rzekł wreszcie. - Czuję się odpowiedzialny za śmierć tego dziecka i jestem mu winien podjęcie wszelkich kroków, które pozwolą oddać zabójcę - lub zabójców - wymiarowi sprawiedliwości. Chłopak miał jedynie obserwować pensjonat, w którym nocował pewien mężczyzna. Jeśli jednak wykonując tę misję, dał się wciągnąć w spisek sięgający znacznie dalej, to obawiam się, że nie mam wyboru: muszę rozwikłać tę sprawę.

- Spodziewałem się, że tak właśnie mi odpowiesz, Sherlocku, i chyba muszę przyznać, że to chwalebne słowa. Pozwól jednak, że coś ci jeszcze rzeknę. - Mycroft wstał. Odniosłem wrażenie, że dokąds się spieszy. - Jeśli zignorujesz moją radę i pociągniesz to śledztwo dalej, a skutkiem tego znajdziesz się w niebezpieczeństwie - co uważam za całkiem możliwe - to nie będziesz mógł zwrócić się do mnie po wsparcie, ja bowiem nie zdołam ci pomóc. Sam fakt, że zaryzykowałem, zadając pytania w twoim imieniu, oznacza, że moje ręce będą teraz związane. Dlatego apeluję do ciebie: zastanów się jeszcze. To nie jest jedna z tych błahych spraw

rozwiązywanych doraźnie przed sądem policyjnym. Jeżeli rozdrażnisz niewłaściwych ludzi, może to oznaczać koniec twojej kariery... albo coś gorszego.

Wszystko zostało już powiedziane i wiedzieli o tym obaj bracia. Mycroft skłonił się nieznacznie i wyszedł, Holmes zaś pochylił się nad syfonem i zapalił papierosa.

- No cóż, Watsonie - rzekł. - Powiedz mi, co o tym wszystkim sądzisz?

- Mam szczerą nadzieję, że weźmiesz pod uwagę to, co powiedział Mycroft - zaryzykowałem.

- Już wziąłem.

- Tego się obawiałem.

135

Holmes parsknął śmiechem.

- Zbyt dobrze mnie znasz, stary. Teraz jednak muszę cię opuścić. Mam sprawę do załatwienia i jeśli się nie pośpieszę, nie zdążę na wieczorne wydanie.

To powiedziawszy, wybiegł z mieszkania, zostawiając mnie sam na sam z moimi obawami. Wrócił w porze lunchu, ale nic nie zjadł, co było nieomylną oznaką głębokiego zaangażowania w tę fazę śledztwa. Często widywałem go w takim stanie. Przypominał mi wtedy ogara, który pochwycił wyraźny trop - tak jak zwierzę bywa bez reszty owładnięte potrzebą wykonania zadania, tak i on pogrążał się niekiedy w pracy do tego stopnia, że zapominał o najbardziej podstawowych ludzkich potrzebach - jedzeniu, piciu czy spaniu. Sytuację rozjaśniło mi nieco wieczorne wydanie gazety.

Sherlock zamieścił ogłoszenie:

20 funtów nagrody

za informacje na temat domu jedwabnego.

Zapewniam pełną dyskrecję.

Zgłoszenia - Baker Street 221B.

- Holmesie! - wykrzyknąłem. - Postąpiłeś dokładnie odwrotnie, niż sugerował ci twój brat. Skoro koniecznie chciałeś kontynuować śledztwo, co jeszcze potrafię zrozumieć, mogłeś przynajmniej zadziałać nieco dyskretniej.

- Dyskrecja nam nie pomoże, Watsonie. Pora przejąć inicjatywę. Mycroft zamieszkuje świat ludzi szepczących w ciemnych pokojach. Sprawdźmy więc, jak owi ludzie zareagują na małą prowokację.

- Naprawdę sądzisz, że ktoś odpowie na ogłoszenie?

- Czas pokaże. Ale przynajmniej wykonaliśmy ruch w dobrą stronę i nawet jeśli nic z niego nie wyniknie, nic też na tym nie stracimy.

To były jego słowa. Holmes jednak nie wiedział jeszcze, z jakimi ludźmi mamy do czynienia i do czego są gotowi się posunąć, by chronić swoje sprawy. Wkroczył do istnego mścownika zła i wkrótce mieliśmy się o tym przekonać - w najgorszy z możliwych sposobów.

136

10

Bluegate Fields

'Ce., Watsonie! Zdaje się, że choć zarzuciliśmy przynętę na nieznane wody, będzie to udany połów! - Tymi słowy prze-

mówił do mnie Holmes kilka poranków później, stając przy oknie wykuszowym salonu, w bonzurce i z rękami wbitymi głęboko w kieszenie. Dołączyłem do niego natychmiast i spojrzałem w dół, na Baker Street i tłumy ludzi przesuwające się po obu stronach.

- Co masz na myśli? - spytałem.

- Nie widziałeś go?

- Widzę tu mnóstwo ludzi.

- Owszem. Ale w tak zimny poranek bardzo niewielu z nich ma ochotę zatrzymać się tu na dłużej. Tam! Patrzy w naszą stronę.

Człowiek, o którym mówił Holmes, opatulony był płaszczem i szalikiem, na głowie miał filcowy kapelusz z szerokim rondem, a dłonie ukrywał pod pachami, tak więc poza tym, że był to mężczyzna stojący nieruchomo, jakby się zastanawiał, czy ruszyć dalej, czy pozostać na miejscu, trudno mi było powiedzieć o nim coś więcej lub choćby dokładniej go opisać.

- Sądzisz, że zjawił się tu w odpowiedzi na nasze ogłoszenie? - spytałem.

- Już dwa razy przeszedł obok naszych drzwi - odrzekł Holmes. - Zauważyłem go po raz pierwszy piętnaście minut temu, przyszedł od strony Metropolitan Railway. Wrócił po

137

chwili i od tamtej pory prawie się nie rusza. Upewnia się, czy nie jest obserwowany. No, nareszcie się zdecydował! - Cofnięci o pół kroku, by nas nie zauważył, przyglądaliśmy

się, jak przechodzi na drugą stronę ulicy. - Zaraz tu będzie -
oznajmił Holmes, wracając do swego fotela.

I rzeczywiście, po chwili pani Hudson otworzyła drzwi,
by wprowadzić gościa. Gdy zdjął kapelusz, szalik i płaszcz,
ujrzeliśmy dość dziwnie wyglądającego młodzieńca, w któ-
rego twarzy i posturze dostrzegliśmy tak liczne sprzeczno-
ści, że moim zdaniem nawet Holmes nie przejrzałby ich od
razu. Jak powiedziałem, był to młodzieniec - niewątpliwie
nie miał jeszcze trzydziestu lat - zbudowany jak zawodowy
bokser, a jednak jego włosy były rzadkie, skóra poszarza-
ła, a usta spękane, przez co wydawał się znacznie starszy.
Jego drogie i modne ubranie było bardzo brudne. Zdradzał
oznaki zdenerwowania, ale też spoglądał na nas z pewno-
ścią siebie właściwą brutalom, nieomalże agresywnie. Stojąc
przed nim, czekałem, aż się odezwie, zupełnie bowiem nie
wiedziałem, czy mam do czynienia z arystokratą, czy może
z prostakiem ostatniego sortu.

- Proszę, niech pan spocznie - rzekł Holmes jak najbar-
dziej serdecznym tonem. - Spędził pan na ulicy sporo czasu
i mogę tylko mieć nadzieję, że się pan nie zaziębił. Może na-
piłby się pan gorącej herbaty?

- Wolałbym szklaneczkę rumu - odpowiedział mężczyzna.

- Niestety, nie mamy. Może brandy? - Holmes skinął na
mnie, a ja bez słowa napełniłem kieliszek zdrową porcją
trunku i podałem go przybyszowi.

Osuszył ją jednym haustem. Usiadł dopiero teraz, gdy na
jego policzkach pojawiły się lekkie rumieńce.

- Dziękuję - powiedział. Miał szorstki głos, ale znać było w nim wykształcenie. - Przyszedłem tu po nagrodę. A nie powinienem. Ludzie, z którymi mam do czynienia, podejrzęliby mi gardło, gdyby wiedzieli, że tu jestem, ale potrzebuję gotówki i to jest cała prawda. Dwadzieścia funtów pozwoli przepędzić demony na dłuższy czas, a moim zdaniem warto za to nadstawić karku. Ma pan pieniądze?

138

- Dostanie je pan, gdy wysłuchamy informacji - odparł mój przyjaciel. - Nazywam się Sherlock Holmes. A pan...?

- Powiedzmy, że Henderson, choć nie jest to moje prawdziwe nazwisko. Mnie tam wszystko jedno. Bo widzi pan, panie Holmes, muszę być bardzo ostrożny. Zamieścił pan ogłoszenie z pytaniem o Dom Jedwabny i teraz ten dom będzie pod stałą obserwacją. Każdy, kto tu przyjdzie lub stąd wyjdzie, będzie zapamiętany. Możliwe też, że pewnego dnia będzie pan musiał podać nazwiska wszystkich, którzy pana odwiedzili. Dopilnowałem, by nikt nie zobaczył mojej twarzy, zanim przestąpiłem próg tego domu. Na pewno pan zrozumie, jeśli z tej samej przyczyny zataję moją tożsamość.

- Mimo to będzie pan musiał co nieco opowiedzieć o sobie, zanim rozstanę się z obiecaną kwotą. Jest pan nauczycielem, prawda?

- Dlaczego tak pan sądzi?

- Ma pan ślad kredy na skraju mankietu, zauważyłem też plamkę czerwonego atramentu na wewnętrznej stronie pań-

skiego palca serdecznego.

Henderson - skoro już tak mieliśmy go nazywać -
uśmiechnął się przelotnie, odsłaniając pokryte nalotem i nie-
równe zęby.

- Przykro mi pana poprawiać, ale w istocie jestem urzęd-
nikiem celnym. Rzeczywiście używam kredy, ale do ozna-
czania skrzyń, zanim zostaną przeładowane na nabrzeże,
ich numery notuję zaś w dzienniku czerwonym atramen-
tem. Dawniej pracowałem w Chatham, ale dwa lata temu
przeniosłem się do Londynu. Sądziłem, że zmiana otoczenia
dobrze się przysłuży mojej karierze, lecz prawda jest taka, że
niemal doprowadziła mnie do ruiny. Cóż jeszcze mogę panu
powiedzieć o sobie? Pochodzę z Hampshire, moi rodzice
nadal tam mieszkają. Jestem żonaty, ale od pewnego czasu
nie widuję się z żoną. Jestem nędzarzem wśród nędzarzy
i choć mógłbym winić innych za moje nieszczęście, dosko-
nale wiem, że tak naprawdę sam sobie zgotowałem ten los.
Co gorsza, nie ma dla mnie drogi odwrotu. Za dwadzieścia

139

funtów sprzedałbym własną matkę, panie Holmes. Nie ma
takiego czynu, do którego bym się nie posunął.

- Lecz jaka jest przyczyna pańskiego upadku, panie Hen-
derson?

- Mógłby pan nalać mi jeszcze brandy?

Uczyniłem to, a wtedy na krótką chwilę zapatrzył się na
swój kieliszek.

- Opium - rzekł krótko i opróżnił szkło jednym hau-

stem. - Ot i cała moja tajemnica. Jestem uzależniony od opium. Dawniej używałem go dlatego, że lubiłem. Teraz nie mogę bez niego żyć. Moja historia nie jest długa. Zostałem w Chatham żoną, by urządzić się najpierw w tym mieście, a ściślej w Shadwell, niedaleko od miejsca, w którym miałem pracować. Zna pan tę okolicę? Mieszkają tam, rzecz jasna, głównie marynarze, a także pracownicy doków, Chińczycy, Hindusi oraz czarni. Doprawdy barwna to dzielnica i nie brakuje w niej pokus - choćby w pubach i szynkach - które wnet pomagają głupcom pożegnać się z gotówką. Mógłbym panu rzec, że byłem samotny i tęskniłem za rodziną. Mógłbym też wyznać, że byłem zbyt głupi, żeby spojrzeć w przyszłość. Co za różnica? Prawda jest taka, że dwanaście miesięcy temu po raz pierwszy dałem cztery pensy za odrobinę dziwnego, brązowego wosku z dna kadzi. Jakże niska cena, myślałem wtedy. Jak niewiele wiedziałem! Przyjemność, którą dała mi ta substancja, była nieziemska - nigdy wcześniej nie doświadczyłem czegoś podobnego. Poczuję się tak, jakbym do tej pory nie żył naprawdę. Naturalnie wróciłem po więcej. Najpierw po miesiącu, potem po tygodniu, potem nazajutrz, aż wreszcie zdawało mi się, że muszę tam bywać co godzinę. Nie umiałem już myśleć o pracy. Popełniałem błędy i wpadałem w bezrozumny szal, gdy mnie krytykowano. Prawdziwi przyjaciele opuścili mnie szybko, fałszywi zaś namawiali, bym palił coraz więcej. Moi zwierzchnicy dość szybko się zorientowali, w jakim jestem stanie. Zagrozili, że zwolnią mnie z pracy, ale było

mi już wszystko jedno. Pragnienie opium przepętnia mnie teraz w każdej sekundzie, nawet w tej chwili. Nie paliłem go

140

od trzech dni. Niech pan mi da nagrodę, abym znowu mógł zatonać we mgle niebytu.

Spoglądałem na tego człowieka z przerażeniem i litością, ale jednocześnie było w nim coś, co hamowało moje współczucie: wydawał się nieomal dumny z tego, kim się stał.

Henderson był chorym człowiekiem. Ulegał zniszczeniu, powoli i od wewnątrz.

Holmes także zachował powagę.

- Czy miejsce, w którym zaopatruje się pan w ten narkotyk, to Dom Jedwabny? - spytał.

Henderson roześmiał się.

- Naprawdę pan sądzi, że tak bym się bał i tak się zabezpieczał, gdyby Dom Jedwabny był zwykłą palarnią opium? - zawołał. - Czy pan wie, ile takich przybytków mieści się w Shadwell i Limehouse? Niektórzy mówią, że mniej niż dziesięć lat temu. Mimo to może pan stanąć tam na dowolnym skrzyżowaniu i udać się w dowolnym kierunku, i zawsze i bez trudu znajdzie pan palarnię. Jest „Mott's”, jest „Mother Abdullah's”, jest „Creer's Place”, jest „Yahee's”...

Podobno można kupić ten towar nawet nocą przy Haymarket i Leicester Square.

- Zatem czym jest Dom Jedwabny?

- Pieniądze!

Holmes zawahał się, a potem podał mu cztery bankno-

ty pięcioletnie. Henderson pochwycił je gwałtownym ruchem i pogładził czule. W jego oczach pojawił się nowy blask: śpiąca bestia uzależnienia znowu się ocknęła.

- Jak pan sądzi, skąd pochodzi opium dla Londynu, Liverpoolu, Portsmouth i wszystkich innych portów Anglii, a także Szkocji i Irlandii? Dokąd udają się Creer albo Yahee, gdy kończą im się zapasy? Gdzie jest centrum tej sieci, która oplata cały kraj? To właśnie jest odpowiedź na pańskie pytanie, panie Holmes. Otóż udają się do Domu Jedwabnego! Jest to kryminalna organizacja działająca na ogromną skalę i słyszałem - choć to tylko plotki, nic ponadto - że ma nader wysoko postawionych przyjaciół. Jej macki sięgają nie tylko do posterunków policji, ale i do gmachów ministerstw. Mó-

141

wimy o imporcie i eksporcie, panie Holmes, wartych wiele tysięcy funtów rocznie. Opium przychodzi tu ze wschodu. Trafia do centralnego magazynu, a stamtąd do odbiorców, oczywiście po odpowiednio wyższej cenie.

- Gdzie znajdę ten magazyn?

- W Londynie, ale nie wiem dokładnie gdzie.

- Kto kieruje organizacją?

- Niestety, nie mam pojęcia.

- Zatem nie pomógł nam pan zbytnio, panie Henderson.

I skąd mam mieć pewność, że powiedział mi pan prawdę?

- Mogę to udowodnić. - Henderson rozkaszał się nieprzyjemnie, a ja przypomniałem sobie, że spękane wargi i suchość w ustach to typowe objawy długotrwałego przyjmo-

wania narkotyków. - Od dawna jestem klientem „Creer's Place”. Lokal urządzono na chińską modłę, z obrazkami i wachlarzami na ścianach. Widuję tam czasem Azjatów - leżą razem, skuleni na podłodze. Ale człowiek, do którego należy ta palarnia, jest takim samym Anglikiem jak ja czy pan. Tyle że raczej nie chciałby pan spotkać równie wrednego łotra. Czarne oczy, głowa jak naga czaszka. Naturalnie będzie się uśmiechał i nazwie pana przyjacielem, gdy dostanie swoje cztery pensy, ale niech no tylko spróbuje pan poprosić go o przysługę albo wejdzie mu pan w drogę - bez zastanowienia każe pana zatłuc i porzucić gdzieś w rowie. Mimo to całkiem nieźle się z nim dogaduję. Niech pan nie pyta dlaczego. Ma tam mały kantorek obok głównej sali i czasem zaprasza mnie, żebym z nim zapalił... tytoń, nie opium. Lubi słuchać opowieści o życiu w dokach. I właśnie podczas jednej z takich rozmów usłyszałem po raz pierwszy o Domu Jedwabnym. Creer zatrudnia chłopców w charakterze gońców; przynoszą mu towar, ale także wyszukują nowych klientów w tartakach i składach węgla...

- Chłopców? - przerwałem mu. - Czy spotkał pan kiedy któregoś z nich? A może słyszał pan o chłopcu imieniem Ross?

- Oni nie mają imion, a ja z nimi nie gadam. A teraz radzę słuchać, co mam do powiedzenia! Byłem tam parę tygo-

142

dni temu, gdy przyszedł jeden z tych chłopaków, wyraźnie spóźniony. Creer był trochę pijany i raczej nie w humorze.

Złapał go, uderzył i rzucił nim o ziemię. „Gdzieś ty był?!", wrzeszczał. „W Domu Jedwabnym", odpowiedział goniec. „I co mi przyniosłeś?" Chłopak podał mu małą paczkę i wymknął się z pokoju. „Co to jest Dom Jedwabny?", spytałem. [właśnie wtedy Creer powiedział mi to, co przed chwilą panowie usłyszeli. Gdyby nie whisky, pewnie nie byłby taki gadatliwy, ale i tak, gdy tylko skończył mówić, uzmysłowił sobie, że popełnił błąd. Wpadł w gniew. Otworzył szafkę biurka i zanim się obejrzałem, wymierzył do mnie z pistoletu. „Dlaczego tak cię to interesuje?! - wykrzyczał. - Po co te wszystkie pytania?"

Zaskoczony i wystraszony, zapewniłem go, że wcale mnie ta sprawa nie obchodzi. Że po prostu chciałem podtrzymać rozmowę. „Podtrzymać rozmowę? To nie jest temat na rozmowę, przyjacielu. Spróbuj tylko kiedy pisnąć słowo o tym, co ci powiedziałem, a następnego dnia wyłowią twojego trupa z Tamizy. Zrozumiałeś? A jeśli ja cię nie zabiję, to oni to zrobią". Creer znowu się zamyślił. Opuścił lufę, a gdy się odezwał, jego głos brzmiał już łagodniej. „Możesz dziś zapalić za darmo - rzekł. - Dobry z ciebie klient. No i dobrze się znamy, ty i ja. Musimy się o siebie troszczyć. Zapomnij o całej tej rozmowie i nigdy do niej nie wracaj. Słyszałeś?" i na tym się skończyło. Rzeczywiście zapomniałem o sprawie, aż wreszcie zobaczyłem pańskie ogłoszenie i wtedy, naturalnie, wspomnienia wróciły. Gdyby Creer wiedział, że tu przyszedłem, z pewnością dotrzymałby słowa. Jeśli jednak chce pan odnaleźć Dom Jedwabny, powinien pan zacząć od

jego biura. On pana zaprowadzi dalej.

- Gdzie mam go szukać?

- W Bluegate Fields. Dom na rogu Milward Street - niski, zapuszczony, z czerwoną latarenką nad drzwiami.

- Będzie pan tam tej nocy?

- Jestem tam każdej nocy, panie Holmes. A dzięki pańskiej hojności będzie tych nocy wiele.

- Czy ten człowiek, Creer, wychodzi czasem z kantoru?

143

- Nawet często. Palarnia jest ciasna i wiecznie zadymiona, więc wychodzi, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Zatem możliwe, że zobaczymy się tam dziś wieczorem.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze i znajdę to, czego szukam, podwoję pańską nagrodę.

- Niech pan nikomu nie mówi, że się znamy. Proszę nie zauważać mojej obecności. I nie oczekiwać mojej pomocy, jeśli sprawy przybiorą zły obrót.

- Rozumiem.

- Wobec tego życzę powodzenia, panie Holmes. Naturalnie zależy mi na pańskim sukcesie przez wzgląd na mnie, nie na pana.

Zaczekaliśmy, aż Henderson zamknie za sobą drzwi, a wtedy Holmes odwrócił się ku mnie z błyskiem w oku.

- Palarnia opium! I to powiązana interesami z Domem Jedwabnym. Co o tym wszystkim sądzisz, Watsonie?

- Nie podoba mi się to ani trochę, Holmesie. Uważam, że powinieneś trzymać się z daleka od tego miejsca.

- Ha! Jestem pewny, że potrafię o siebie zadbać. - Holmes

podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyjął pistolet. -

Będę uzbrojony.

- W takim razie idę z tobą.

- Mój drogi Watsonie, absolutnie nie mogę się na to zgodzić. Choć jestem ci bardzo wdzięczny za troskę, muszę powiedzieć, że idąc tam razem, wcale nie wyglądalibyśmy na przypadkowych klientów, szukających w czwartkowy wieczór przytulnej palarni opium we wschodniej części Londynu.

- Mimo to, Holmesie, nalegam. Zostanę na zewnątrz, jeśli taka twoja wola. Na pewno znajdzie się jakaś kryjówka.

A gdybyś rzeczywiście potrzebował wsparcia, wystarczy jeden wystrzał, a przyjdę ci z pomocą. Możliwe, że Creer ma zbirów na swoje usługi. Poza tym, czy możemy ufać, że Henderson cię nie zdradzi?

- Masz słuszość. Cóż, zatem zgoda. Gdzie twój rewolwer?

- Nie zabrałem go ze sobą.

- Nie szkodzi, ja mam drugi. - Holmes uśmiechnął się z zadowoleniem. - Tej nocy złożymy wizytę w „Creer's Place” i zobaczymy, co zobaczymy.

144

Tej nocy na miasto opadła mgła najgęstsza bodaj od miesiąca. Gdyby był choć cień szansy na to, że mnie usłucha, zaproponowałbym Holmesowi odłożenie wyprawy do Bluegate Fields na później, ale po wyrazie jego bladej, jastrzębiej twarzy widziałem, że nie zdołam odwieść go od powziętego zamiaru. Wprawdzie nie wypowiedział się na ten temat, ale

wiedziałem, że śmierć Rossa bardzo mu ciąży. Dopóki zaś czuł się choć po części odpowiedzialny za to, co się wydarzyło, nie mógł spocząć w dążeniu do celu, a tym bardziej przejmować się zbytnio własnym bezpieczeństwem.

Czułem się osaczony, gdy dorożka zostawiła nas w zaułku opodal Limehouse Basin. Mgła, gęsta i żółtawa, snuła się ulicami, tłumiąc wszelkie dźwięki. Wydawała się złowroga jak dzikie zwierzę, które węszy w ciemności, szukając ofiary. Gdy zagłębialiśmy się w nią, miałem wrażenie, że wchodzimy prosto w jego paszczę. Szliśmy zaułkiem między murami z cegieł, ociekającymi wodą i tak wysokimi, że gdyby nie słaba poświata księżyca, nie widzielibyśmy nawet nocnego nieba. Z początku odgłos naszych kroków był jedynym, który dobiegał do naszych uszu, potem jednak uliczka stała się nieco szersza, a po chwili rozległo się rżenie konia i wkrótce cichy warkot silnika parowego. Szum płynącej gdzieś wody i przenikliwy płacz niemogącego zasnąć dziecka dobiegały do nas echem, jeszcze bardziej utrudniając orientację. Dotarliśmy nad brzeg kanału. Szczur albo podobny doń zwierzę uskoczył nam spod nóg i pośliznąwszy się na skraju ścieżki, z pluskiem wpadł w czarną toń. Rozległo się szczekanie psa. Minęliśmy barkę zacumowaną do kei. Z jej komina buchał dym, a zza kotar przesłaniających bulaje widać było wąskie smugi światła. Nieco dalej znajdował się suchy dok. Stojące tam statki, czekające na remont i ledwie widoczne w ciemności, przypominały plątaninę masztów i lin prehistoryczne szkielety. Skręciliśmy w następną przecznicę i mroczny

pejzaż znowu utonął we mgle, która zaraz zamknęła się za nami niczym kurtyna - gdy obejrzałem się przez ramię, miałem wrażenie, że przybyliśmy znikąd. Przed nami także ciągała się pustka i gdybyśmy za następnym krokiem mieli 7Ttinąć granicę świata, nawet byśmy o tym nie wiedzieli.

145

Wtem pojawiła się tuż przed nami jakaś kobieta - spostrzegłem jej pomarszczoną i ohydnie umalowaną twarz, krzykliwy kapelusik i szal z piór. Zapach, który ją otaczał, przypominał woń kwiatów marniejących w wazonie. Zaśmiała się z lekka i zniknęła we mgle. Wreszcie ujrzałem przed nami światła: okna pubu, od którego strony dobiegały stłumione tony muzyki.

Lokal nazywał się „Rose and Crown”. Szylt stał się czytelny, dopiero gdy stanęliśmy tuż pod nim. Dziwna to była budowla: niewielka, wzniesiona z cegieł trzymających się razem chyba tylko dzięki dość przypadkowej konstrukcji z desek. Całość wyglądała tak, jakby lada chwila miała się rozpaść. Ani jedno okno nie zostało osadzone prosto. Drzwi były tak niskie, że musieliśmy pochylić się mocno, by wejść do środka.

- Holmesie, błagam cię po raz ostatni, pozwól mi pójść z tobą.

- Nie, nie. Będzie znacznie lepiej, jeśli jeden z nas pozostanie w odwodzie. Jeśli się okaże, że przeciwnik na mnie czeka w gotowości, będziesz miał większe szanse przyjść mi z pomocą.

- Sądzisz, że Henderson kłamał?

- Jego historyjka wydała mi się wielce nieprawdopodobna.

- Zatem, na miłość boską, Holmesie...

- Nie mam całkowitej pewności, Watsonie. Dlatego muszę tam pójść. Przecież istnieje i taka możliwość, że Henderson mówił szczerą prawdę. Jeśli jednak jest to pułapka, musimy dać się w nią złapać. Zobaczymy, co z tego wyniknie. - Otworzyłem usta, by zaprotestować, ale przyjaciel nie dał mi dojść do słowa. - Dotknęliśmy spraw, które sięgają bardzo głęboko, stary druhu. To zaiste nadzwyczajny przypadek i z pewnością nie zbadamy go aż do dna, jeśli nie odważymy się podjąć ryzyka. Czekał na mnie przez godzinę. Proponuję, żebyś spróbował zaszyć się możliwie wygodnie tu, w tym pubie. Jeśli nie wrócę w wyznaczonym czasie, musisz podążyć moim śladem, zachowując największą ostrożność. Jeśli usłyszysz wystrzał, wkrocz natychmiast.

146

- Jak sobie życzysz, Holmesie.

Tymi słowami go pożegnałem, ale byłem pełen najgorszych przeczuć, gdy patrzyłem, jak przechodzi na drugą stronę ulicy i niknie z wolna we mgle i ciemności. Na chwilę jeszcze wychynął z mroku w blasku czerwonej latarni, na tle drzwi palarni opium. Z oddali dobiegło bicie zegara - naliczyłem jedenaście uderzeń. Zanim jeszcze wybrzmiało pierwsze z nich, Holmes zniknął na dobre.

Miałem na sobie gruby płaszcz, lecz mimo to było mi zbyt zimno, bym mógł wytrzymać godzinę na zewnątrz. Nie czu-

łem się zresztą zbyt pewnie, stojąc u drzwi pubu w środku nocy, zwłaszcza że mieszkańcy tych okolic należeli do najniższej warstwy naszego społeczeństwa i nie brakowało wśród nich przestępców. Pchnąłem więc drzwi „Rose and Crown” i znalazłem się w sali podzielonej na dwoje wąskim barem, z którego sterczały kraniki z piwem o kurkach z ręcznie malowanej porcelany. Na ścianie dostrzegłem dwie półki z całą kolekcją butelek. Ku mojemu zdziwieniu, w ciasnym wnętrzu biesiadowało piętnastu, może dwudziestu ludzi. Uciekając przed chłodem, gnieździli się ciasno przy stolikach, grając w karty, pijąc i paląc. Powietrze było gęste od dymu papierosowego i fajkowego; pachniało też silnie tłącym się torfem - woń dobiegała od strony żelaznego piecyka stojącego w kącie. Jeśli nie liczyć paru świec, był on jedynym źródłem światła w lokalu, ale skutek jego działania był całkiem niespodziewany: spoglądając na rozżarzoną bryłę torfu za grubym szkłem, miałem wrażenie, że jakimś sposobem wsysa światło do swego wnętrza, pochłania je i w zamian wypluwa jedynie popiół oraz dym, który kominem umykał w mrok nocy. Obok drzwi stało zdezelowane pianino, a przed nim siedziała kobieta, apatycznie uderzająca w klawisze. To właśnie była owa muzyka, którą słyszeliśmy na zewnątrz.

Podszedłem do baru, gdzie stary, siwowłosy mężczyzna chory na zaćmę podał mi szklanekę piwa za parę pensów. Stałem tam i nie umoczywszy nawet ust, starałem się odpędzić najgorsze wizje i w ogóle nie myśleć o Holmesie.

Większość otaczającego mnie towarzystwa stanowili marynarze i dokerzy; wielu z nich pochodziło z Hiszpanii i Malty. Żaden nie zwrócił na mnie uwagi, co zresztą nawet mnie ucieszyło. Nie byli zbyt gadatliwi i właściwie tylko ci, którzy grali w karty, wymieniali od czasu do czasu kilka słów. Raz po raz spoglądałem na ścienny zegar, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że minutowa wskazówka wlecze się złośliwie, kompletnie ignorując prawa fizyki. Często zdarzało mi się w życiu czekać - czasem z Holmesem, a czasem bez niego - czy to na bagnach opodal domu Baskerville'ów, czy na brzegu Tamizy, czy w ogrodach podmiejskich rezydencji. Nigdy jednak nie zapomnę tej pięćdziesięciminutowej wachty, którą trzymałem w ciasnej salce pubu, wsłuchany w trzask kart rzucanych z rozmachem na stół i w fałszywe tony pianina oraz wpatrzony w okryte mrokiem twarze pochylone nad szklankami, jakby mogły w nich odnaleźć odpowiedź na wielką zagadkę życia.

Minęło dokładnie pięćdziesiąt minut. Dziesięć minut przed północą ciszę przerwały nagle dwa strzały, a zaraz po nich rozległ się przeszywający dźwięk policyjnego gwizdka i krzyki wystraszonych ludzi. W jednej chwili znalazłem się na ulicy, pchnąwszy rozklekotane drzwi. Byłem wściekły na siebie - jak mogłem pozwolić, by Holmes wpakował nas w taką kabałę? Ani przez chwilę nie wątpiłem, że to on użył broni. Ale czy były to strzały ostrzegawcze, sygnał dla mnie, czy może naprawdę znalazł się w niebezpieczeństwie

i musiał się bronić? Mgła uniosła się nieco, mogłem więc puścić się biegiem na drugą stronę ulicy, ku drzwiom „Creer's Place”. Nacisnąłem klamkę - nie były zamknięte. Wyjąłem z kieszeni pistolet i wskoczyłem do środka.

Paląca woń opium uderzyła w moje nozdrza, podrażniła oczy i uderzyła do głowy - ból był tak ostry, że wolałem wstrzymać oddech, aby nie dać się zwalić z nóg samym oparom narkotyku. Stałem w wilgotnej, ciemnej salce urządzonej w stylu chińskim, z wzorzystymi dywanikami, czerwonymi lampionami i płachtami jedwabiu na ścianach - mniej więcej tak, jak opisywał to Henderson, którego oczywiście tam nie

148

zastałem. Czterej inni mężczyźni leżeli na materacach, a tuż obok nich, na niewysokich stolikach, spoczywały japońskie tace z lampami i specjalnymi fajkami do palenia opium, trzej z nich byli nieprzytomni, a może i martwi. Czwarty leżał swobodnie, podpierając brodę dłonią i spoglądając na mnie mętnym wzrokiem. Jeden materac był pusty.

Ktoś ruszył w moją stronę i wiedziałem od razu, że musi to być Creer. Był zupełnie łysy, jego skóra była biała jak papier i mocno rozciągnięta na czaszce, w której głębokich oczodołach błyszcząły czarne źrenice. Rzeczywiście wyglądał jak żywy trup. Zauważyłem, że chce coś powiedzieć, może zaatakować, ale widząc rewolwer w mojej dłoni, cofnął się o krok.

- Gdzie on jest? - spytałem.

-Kto?

- Dobrze wiesz kto!

Spojrzałem ponad jego ramieniem, na otwarte przejście w głębi salki i widoczny za nim korytarz, oświetlony lampą gazową. Zostawiłem Creera i chcąc wyjść z tego okropnego lokalu, zanim powalą mnie wyziewy opium, energicznie i uszyłem przed siebie. Jeden z nieszczęśników leżących na materacach zawołał nagle i wyciągnął ku mnie rękę w błagalnym geście, ale zignorowałem go. Na końcu korytarza znalazłem drzwi, a skoro Holmes żadną miarą nie mógł wydostać się z palarni frontowym wejściem, uznałem, że musiał pójść właśnie tędy. Pchnąłem skrzydło i poczułem na twarzy falę chłodnego powietrza. Znowu usłyszałem krzyki, a także stukot końskich kopyt i warkot kół powozu, a zaraz potem kolejny gwizd policjanta. Wiedziałem już, że zostaliśmy oszukani, że nasz plan się nie powiódł. Nie wiedziałem jednak, czego mam się spodziewać. Gdzie zniknął Holmes? Czy zdołali go skrzywdzić?

Pobiegłem wąską ulicą, pod łukowatym przejściem, a potem w bok - i znalazłem się na podwórzu. Zdążył się tam zebrać niewielki tłum, choć nie pojmowałem skąd, o tak późnej porze. Spostrzegłem mężczyznę w stroju wieczorowym, konstabla policji i dwóch innych ludzi - wszyscy czterej

149

przyglądali się czemuś w milczeniu, a żaden nie miał dość odwagi, by przejąć inicjatywę. Przepchnąłem się ku nim. Nigdy nie zapomnę tego widoku.

Ujrzałem dwie postacie. Jedną z nich była dziewczyna,

którą od razu rozpoznałem - i nie bez powodu, ledwie kilka dni wcześniej bowiem próbowała mnie zabić. Była to Sally Dixon, starsza siostra Rossa, ostatnio zatrudniona w pubie „Worek Gwoździ”. Postrzelono ją dwukrotnie, w pierś oraz w głowę. Leżała na bruku w kałuży płynu, który w ciemności wydawał się czarny, ale bez wątpienia był jej krwią. Zobaczyłem też mężczyznę, który spoczywał przy niej nieprzytomny, z ręką wyciągniętą przed siebie i dłonią zaciśniętą na kolbie pistoletu, z którego padły śmiertelne strzały. Był to Sherlock Holmes.

11

Aresztowanie

Nigdy nie zapomnę owej nocy i jej skutków.

Siedząc tu samotnie, dwadzieścia pięć lat później, pamiętam wyraźnie każdy, najmniejszy nawet detal tamtych wydarzeń. I choć czasem muszę wysilić umysł, by przez zniekształcającą soczewkę czasu dostrzec wyraźniej twarze dawnych przyjaciół i wrogów, wystarczy mi mrugnąć powiekami, by bez trudu przypomnieć sobie tych czterech: Harrimana, Creera, Acklanda, a nawet tego konstabla... jak mu było? Perkinsa! Faktem jest, że przeżyłem z Sherlockiem Holmesem mnóstwo przygód i często widywałem go w opresji. Zdarzało się nawet, że brałem go już za martwego, jeszcze niedawno obserwowałem, jak bezradny i półprzytomny rzekomo umiera na chorobę kulisów przywleczoną z Sumatry. Była też przygoda nad zatoką Poldhu w Kornwalii, gdzie zapewne poddałby się szaleństwu i autodestruk-

cji, gdybym go w porę nie wyciągnął z izby. Pamiętam też moje czuwanie przy nim w Surrey, gdy z ciemności wypełzła śmiertelnie niebezpieczna żmija bagienna. I jakże mógłbym zamknąć tę krótką listę, nie wspomniawszy o skrajnej rozpacz i poczuciu pustki, z którymi powróciłem samotnie znad wodospadu Reichenbach? A przecież wszystkie te doświadczenia bledną w porównaniu z tamtą nocą w Bluegate Fields. Biedny Holmes! Widzę go wciąż, jak z wolna odyskuje przytomność i spostrzega, że jest otoczony, aresztowany i pozbawiony możliwości wytłumaczenia sobie i wszyst-

151

kim innym tego, co się zdarzyło. Z pełną świadomością i bez przymusu wszedł w pułapkę. Teraz zbierał ponure żniwo.

Na miejscu pojawił się - nie wiadomo skąd - ów konstabl policji. Był młody i zdenerwowany, ale trzeba powiedzieć, że wykonał swoją robotę ze sprawnością godną pochwały. Najpierw upewnił się, czy dziewczyna nie żyje, a potem zajął się moim przyjacielem. Holmes wyglądał fatalnie. Błady był jak płótno, a jego oczy, choć otwarte, spoglądały na nas, nie widząc. Nie rozpoznał mnie w pierwszej chwili. Nie pomogło nam i to, że tak szybko zebrał się tłum - i tu znowu zadałem sobie pytanie: skąd i dlaczego tak szybko, w samym środku nocy? Były tam dwie kobiety, podobne do tej strasznej wiedźmy, którą minęliśmy nad kanałem, a towarzyszyli im dwaj marynarze wsparci o siebie i z daleka śmierdzący piwem. Jakiś Murzyn spoglądał na trupa szeroko otwartymi oczami. Dwaj pijani Maltańczycy z „Rose and Crown” przy-

stanęli obok niego. Zjawiło się nawet kilkoro dzieci, bosych i obdartych, ale zainteresowanych sceną, tak jakby rozegrała się specjalnie dla nich. Gdy przyglądałem się temu wszystkiemu, elegancko ubrany i rumiany rosy mężczyzna odezwał się podniesionym głosem, wymachując laską:

- Niech pan go aresztuje, konstablu! Widziałem, jak zastrzelił dziewczynę. Widziałem na własne oczy! - Mówił z silnym szkockim akcentem, który brzmiał w tej scenerii wręcz niedorzecznie. Pomyślałem, że uczestniczę w inscenizacji, a człowiek ten wdarł się z widowni na scenę. - Niech ją Bóg ma w opiece, biedactwo. On ją zamordował z zimną krwią.

- Kim pan jest? - spytał policjant.

- Nazywam się Thomas Ackland. Właśnie wracałem do domu. Widziałem wszystko doskonale.

Nie mogłem dłużej stać z boku. Odepchnąłem gapiów i przykleknąłem przy półprzytomnym przyjacielu.

- Holmesie! - zawołałem. - Holmesie, słyszysz mnie? Na miłość boską, powiedz mi, co tu zaszło!

Lecz on nie był w stanie odezwać się choćby słowem, ja zaś poczułem na sobie spojrzenie konstabla.

152

- Zna pan tego człowieka? - spytał.

- Naturalnie. To Sherlock Holmes.

- A kim pan jest?

- Nazywam się John Watson i jestem lekarzem. Konstablu, musi pan pozwolić mi zająć się przyjacielem. Bez wzglę-

du na to, jak oczywiste wydają się fakty, zapewniam pana, że on nie popełnił żadnej zbrodni.

- To nieprawda. Ja widziałem, jak zastrzelił tę dziewczynę.

Widziałem, zginęła z jego ręki. - Ackland zbliżył się o krok.

- Ja także jestem lekarzem - ciągnął - i potrafię stwierdzić na pierwszy rzut oka, że ten człowiek jest pod wpływem opium.

Widać to po jego oczach i po oddechu. Nie trzeba chyba szukać innego motywu tej podłej, bezdusznej zbrodni.

Czyżby miał rację? Holmes rzeczywiście leżał nieruchomo i nie był w stanie mówić. Niewątpliwie pozostawał pod wpływem jakiegoś narkotyku, a jeśli wziąć pod uwagę fakt, że ostatnią godzinę spędził w lokalu Creera, trudno było sugerować, że w grę może wchodzić specyfik inny od wymienionego przez Acklanda. Jednakże było w tej szybkiej diagnozie coś, co mnie zdziwiło. Spojrzałem z bliska w oczy Holmesa i choć musiałem przyznać, że źrenice były nieco rozszerzone, to zdecydowanie brakowało w nich błysku, którego się spodziewałem. Sprawdziłem jego puls. Był wolny, zbyt wolny, a to oznaczało, że mój przyjaciel dopiero budził się z głębokiego snu i na pewno nie był zdolny do takiego wysiłku, jakim musiał być pościg za młodą dziewczyną, nie mówiąc o zadaniu jej śmierci. A zresztą - od kiedy to opium może być przyczyną gwałtownych zachowań? Owszem, może wzbudzać euforię, głęboko rozluźniać, uwalniać od fizycznego bólu. Nigdy jednak nie słyszałem, by pod wpływem tego narkotyku ktoś dopuścił się przemocy. Poza tym, gdyby nawet Holmes uległ atakowi przemożnej

paranoi, to czy miałby powód, by zabić akurat tę jedną nie-
szczęsną osobę, którą tak bardzo chciał odnaleźć i ochronić?

A skoro już o niej mowa, to skąd właściwie wzięła się w tym
miejscu? I wreszcie wątpiłem nawet w to, by Holmes potrafił
strzelić tak celnie, będąc pod wpływem opium. Nie byłby

153

w stanie nawet unieść broni i utrzymać w bezruchu. Wy-
daje się, że serwuję tu długi wywód w obronie przyjaciela,
lecz w rzeczywistości potrzebowiałem ledwie sekundy na
uświadomienie sobie tych faktów, a to dzięki mojemu zawo-
dowemu doświadczeniu oraz głębokiej znajomości psychiki
oskarżonego.

- Towarzyszył pan tej nocy temu człowiekowi? - indago-
wał konstabl.

-Tak, ale rozstaliśmy się na krótko. Zostałem w „Rose
and Crown”.

-Aon?

- On... - urwałem. Akurat tą jedną informacją nie mogłem
się podzielić z policjantem. - Mój przyjaciel jest słynnym de-
tektywem i prowadzi sprawę. Wkrótce przekona się pan, że
jest doskonale znany Scotland Yardowi. Niech pan wezwie
inspektora Lestrade'a, on za niego poręczy. Rozumiem, że
sytuacja wygląda fatalnie, ale na pewno da się ją jakoś ina-
czej wytłumaczyć.

- Nie ma innego wytłumaczenia - wtrącił znowu doktor
Ackland. - Wyszedł z za tamtego węgła chwiejnym krokiem.
Dziewczyna stała na ulicy, żebrała. On zaś wyjął pistolet

i zastrzelił ją.

- Ma krew na ubraniu - zgodził się konstabl z pewnym wahaniem. - Musiał być blisko w chwili, gdy zginęła. A kiedy ja wbiegłem na to podwórze, w zasięgu wzroku nie było nikogo innego.

- Widział pan moment wystrzału? - spytałem.

- Nie. Ale zjawiłem się chwilę potem. Nikt stąd nie uciekał.

- On to zrobił! - wrzasnął ktoś z tłumu, a zawtórował mu pomruk akceptacji, podchwycony zaraz przez dzieci, zachwycone tym, że podczas nocnego spektaklu mają miejsca w pierwszym rzędzie.

- Holmesie! - zawołałem znowu, klękając ponownie i próbując podtrzymać w dłoniach jego głowę. - Czy możesz mi już powiedzieć, co się zdarzyło?

Nie zareagował. Chwilę później poczułem, że ktoś podszedł do nas i stanął nade mną, tuż obok szkockiego lekarza.

154

- Proszę wstać - rozległ się głos zimny jak ta noc.

- To mój przyjaciel... - zacząłem.

- A to jest miejsce zbrodni i nie ma pan tu czego szukać.

Proszę wstać i się usunąć. Dziękuję. A teraz, jeśli któryś z zebranych widział coś istotnego, niech poda konstablowi swoje nazwisko i adres. Wszyscy pozostali mają wrócić do domów. Wy, malcy, znikajcie stąd, zanim was wszystkich aresztuję. Konstablu? Jak się pan nazywa? Perkins! Pan dowodzi akcją?

- Tak jest.

- To pański rewir?

- Tak jest.

- Zdaje się, że dotychczas całkiem nieźle panu idzie.

Proszę mi powiedzieć, co pan widział i co pan wie. Tylko zwięźle. To cholernie zimna noc i im prędzej skończymy, tym szybciej będziemy w łózkach. - Przez chwilę słuchał w milczeniu relacji konstabla, z której nie dowiedziałem się niczego nowego. Wreszcie pokiwał głową. - Doskonale, konstablu Perkins. Niech pan się zajmie tymi ludźmi. Proszę zapisać ich dane. Od tej chwili ja przejmuję dowodzenie.

Nie opisałem jeszcze tego człowieka i teraz, gdy o nim myślę, trudno mi to uczynić, był to bowiem, mówiąc wprost, osobnik o najbardziej gadziej fizjonomii, jaką kiedykolwiek widziałem. Miał oczy zdecydowanie zbyt małe w stosunku do twarzy, wąskie usta i skórę tak gładką, że nieomal pozbawioną faktury. Najbardziej charakterystycznym szczegółem jego aparycji była gęsta grzywa w kolorze nienaturalnej wręcz bieli, a może raczej zupełnie bezbarwna. Mężczyzna ów przy tym wcale nie był stary - mógł mieć trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Jego fryzura ostro kontrastowała z odzieżą, to jest czarnym płaszczem, czarnymi rękawiczkami i czarnym szalikiem. Choć nie był szczególnie solidnej postury, była w nim jakaś pewność siebie, a nawet arogancja, której świadkiem byłem chwilę wcześniej, gdy bezceremonialnie przejął kontrolę nad sytuacją. Mówił dość cicho, ale z emfazą, która nie pozostawiała wątpliwości co do tego, że przywykł do posłuchu. Najbardziej jednak zirytowała

mnie jego obojętność, jego brak chęci do nawiązania z kimkolwiek emocjonalnego kontaktu. Chyba właśnie w tym najmocniej przypominał mi węża. Od chwili, gdy odezwałem się do niego po raz pierwszy, miałem wrażenie, że wiję się wokół mnie. Był jednym z tych ludzi, którzy patrzą przez nas albo ponad nami, ale nigdy na nas. Jeszcze nigdy nie spotkałem osobnika, który tak by nad sobą panował, żyjąc w świecie, w którym wszyscy inni mogą być jedynie przechodniami, bez prawa zbytniego zbliżania się.

- Zatem pan jest doktorem Watsonem? - spytał.

- Tak.

- A to jest Sherlock Holmes! Cóż, szczerze wątpię, abyśmy mieli kiedyś przeczytać o tej awanturze w jednej z pańskich sławetnych kronik. No, chyba że będzie nosiła tytuł „Przygoda szalonego palacza opium”. Pański kolega był dziś w „Creer's Place”?

- Prowadzi śledztwo.

- Za pomocą fajki i igły, jak się wydaje. Powiedziałbym, że to dość nieortodoksyjna metoda śledcza. Jest pan wolny, doktorze Watson. Tej nocy nic już pan nie zdoła. A mamy tu nie byle jaką sprawę! Ta dziewczyna miała szesnaście, może siedemnaście lat.

- Nazywała się Sally Dixon. Pracowała w pubie w Shore-ditch zwanym „Workiem Gwoździ”.

- Zatem była znana napastnikowi?

- Pan Holmes nie jest żadnym napastnikiem!

- Chciałby pan, żebyśmy tak sądzili. Niestety, są tu świadkowie, którzy mają odmienny punkt widzenia - odparował, spoglądając z ukosa na Szkota. - Pan jest lekarzem?

- Tak jest.

- I widział pan, co się tu wydarzyło?

-Już o tym mówiłem konstablowi. Dziewczyna żebrała tu, na tej ulicy. Ten człowiek wyszedł z tamtego budynku. Sądziłem, że jest pijany albo szalony. Przybiegł za dziewczyną na ten placyk i zabił ją strzałami z rewolweru. Sprawa jest oczywista.

- Czy pańskim zdaniem pan Holmes jest w wystarczająco
156

dobrym stanie, bym mógł go zabrać na posterunek w Holborn?

- Nie może chodzić, ale nie ma powodu, dla którego nie mógłby odbyć tej podróży powozem.

- Dorożka jest już w drodze. - Białowłosa mężczyzna, do tej pory anonimowy, podszedł niespiesznie do Holmesa, który wciąż leżał na bruku, usiłując przezwyciężyć słabość.

- Słyszysz mnie pan, panie Holmes?

- Tak. - To było pierwsze słowo mojego przyjaciela.

-Jestem inspektor Harriman. Aresztuję pana za zamordowanie tej oto młodej kobiety, Sally Dixon. Nie ma pan obowiązku zeznawać, ale jeśli pan zechce, radzę pamiętać, że zostanie to zapisane i może być później użyte jako dowód przeciwko panu. Zrozumiał pan?

- To potworne! - wykrzyknął. - Powiadam panu prze-

cież, że Sherlock Holmes nie ma absolutnie nic wspólnego z tą zbrodnią. Pański świadek łże. To jakiś spisek...

- Jeżeli nie chce pan zostać aresztowany za utrudnianie czynności służbowych, a być może także pozwany za zniesławienie, radzę zachować rozsądek i milczeć. Będzie pan miał okazję wypowiedzieć się przed sądem. A tymczasem proszę, żeby się pan oddalił i pozwolił mi w spokoju wykonywać obowiązki.

- Czy pan nie ma pojęcia, kim jest ten człowiek i do jakiego stopnia policja tego miasta, a nawet tego kraju, jest jego dłużniczką?

- Wiem doskonale, kim jest, i nie uważam, by to w czymkolwiek zmieniło jego położenie. Mamy zabitą dziewczynę. Narzędzie zbrodni tkwi w jego ręku. Mamy świadka. To chyba wystarczy na początek śledztwa? Dochodzi północ, i ja nie zamierzam sprzeczać się z panem całą noc. Jeżeli chciałby pan zgłosić skargę na moje zachowanie, może pan to zrobić rano. Słyszę, że powóz już nadjeżdża. Zawieźmy tego człowieka do celi, a tę biedną dziewczynę do kostnicy. Nie mogłem uczynić nic więcej. Stałem więc i patrzyłem, jak konstabl Perkins wraca i z pomocą lekarza unosi Holmesa do pionu, po czym holuje go w stronę powozu. Rewolwer

157

wyjęty z jego dłoni został zawinięty w szmatkę i również zabrany. W ostatniej chwili, gdy układali Holmesa na siedzeniu, odwrócił się ku mnie i nasze oczy się spotkały. Z ulgą spostrzegłem, że pojawiła się w nich iskra życia. Działanie

narkotyku, który przyjął lub który mu podano, zaczynało ustępować. Na podwórzu pojawiło się kilku nowych policjantów. Ułożyli Sally na noszach i wynieśli na ulicę. Doktor Ackland uściskał dłoń Harrimanowi, podał swoją wizytówkę i się oddalił. Zanim się obejrzałem, zostałem sam we wrogiej, podłej dzielnicy Londynu. Przypomniałem sobie, że wciąż mam w kieszeni rewolwer, który dał mi Holmes. Zacisnąłem na nim dłoń i przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że być może powinienem być użyć go, by ocalić przyjaciela. Mógłbym sterroryzować Harrimana i pozostałych, a Holmesa wynieść na ramieniu... Tyle że tym sposobem nie pomógłbym żadnemu z nas. Istniały inne metody walki. Z tą myślą w głowie i z dłonią na zimnej stali rewolweru odwróciłem się i pospieszyłem w stronę domu.

Wczesnym rankiem pojawił się u mnie gość i muszę przyznać, że był to właśnie ten człowiek, którego najbardziej potrzebowałem: inspektor Lestrade. Wszedł nagle, przerywając mi śniadanie, a ja pomyślałem w pierwszej chwili, że przynosi dobrą nowinę: Holmes został zwolniony i wkrótce tu przybędzie. Wystarczyło wszakże jedno spojrzenie na jego oblicze, bym wyzbył się nadziei. Był ponury, nie uśmiechnął się ani razu, a sądząc po jego oczach, wstał bardzo wcześnie lub w ogóle nie spał tej nocy. Nie pytając o pozwolenie, usiadł za stołem tak ciężko, że nie byłem pewny, czy znajdzie w sobie dość siły, aby powstać.

- Zje pan śniadanie, inspektorze? - spytałem.

- Bardzo dziękuję, doktorze Watson. Rzeczywiście po-

trzebuję czegoś na wzmocnienie. Cóż za historia! Powiem wprost, że wierzyć się nie chce. Przecież to Sherlock Holmes, na Boga! Czy ci ludzie już nie pamiętają, ile dobrego zdołał dla Scotland Yardu? Jak mogą go podejrzewać! A z drugiej

158

strony, doktorze Watson, sprawa wygląda paskudnie. Naprawdę paskudnie.

Nalałem mu herbaty do filiżanki, którą pani Hudson przyniosła dla Holmesa, nie wiedząc, rzecz jasna, co się wydarzyło ostatniej nocy. Lestrade zaczął pić, siorbiąc głośno.

- Gdzie jest teraz Holmes? - zapytałem.

- Zatrzymali go na noc przy Bow Street.

- Widział go pan?

- Nie pozwolili mi! Gdy tylko dowiedziałem się o sprawie, natychmiast tam pojechałem. Ale ten człowiek, Harriman, to istny dziwak, bez dwóch zdań. Większość z nas, detektywów ze Scotland Yardu, a przynajmniej ci równi rangą, stara się trzymać razem, na ile to możliwe. Ale nie on. On zawsze chodził własnymi ścieżkami. Nie ma przyjaciół ani rodziny, o ile mi wiadomo. Trzeba przyznać, że zna się na swojej robocie, ale choć często mijamy się na korytarzu, to nigdy nie wypowiedziałem doń więcej niż kilku słów, a on nigdy jeszcze nie odpowiedział. Tak się składa, że i dziś rano widziałem się z nim przelotnie i poprosiłem o pozwolenie na odwiedzinę u pana Holmesa, myśląc w duchu, że przynajmniej tyle mogę zrobić dla pańskiego przyjaciela. Niestety, Harriman minął mnie bez słowa. Odrobina zwyczajnej

uprzejmości chyba by mu nie zaszkodziła, ale cóż... Taki właśnie jest człowiek, któremu musimy stawić czoło. W tej chwili przesłuchuje Holmesa. Wiele bym dał, żeby znaleźć się teraz w tej celi i być świadkiem pojedynku umysłów, jakich często się nie spotyka. O ile mi wiadomo, Harriman już wydał w sumieniu wyrok, ale oczywiście cała ta sprawa jest jakimś nonsensem i dlatego przychodzę tutaj, w nadziei, że rzuci pan na nią trochę światła. Był pan tam ostatniej nocy?

- Tak, byłem w Bluegate Fields.

-Czy to prawda, że pan Holmes odwiedził palarnię opium?

- Poszedł tam, ale nie po to, żeby się oddawać ohydnyemu praktykom.

- Nie? - Spojrzenie Lestrade'a popłynęło ku kominkowi, a ściślej ku marokańskiej szkatułce, w której spoczywała

159

strzykawka z igłą. Byłem ciekaw, skąd inspektor Scotland Yardu wie o słabostce mojego przyjaciela.

- Zna pan Holmesa wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie - skarciłem go. - On nadal pracuje nad sprawą śmierci człowieka w kaszkiecie i tego chłopca, Rossa. To dlatego wybrał się do wschodniego Londynu.

Lestrade wyjął i otworzył notatnik.

- Lepiej niech mi pan powie, doktorze Watson, jakie postępy poczynili panowie w tym śledztwie. Skoro mam walczyć w obronie pana Holmesa, a może to być zaiste wielka bitwa, to im więcej będę wiedział, tym lepiej. Proszę nie po-

mijać żadnych szczegółów.

Doprawdy dziwnie się czułem, Holmes zawsze bowiem uważał się za konkurenta policji i w normalnych okolicznościach nigdy nie dzielił się z funkcjonariuszami tym, co udało mu się ustalić w śledztwie. Tym razem jednak nie miałem wyboru - zdałem Lestrade'owi relację ze wszystkich wydarzeń, do których doszło przed śmiercią Rossa i po niej, poczynając od naszej wizyty w Szkole dla Chłopców Chorley Grange i odnalezienia Sally Dixon w pubie „Worek Gwoździ”. Opowiedziałem też o jej ataku na mnie, o odkryciu skradzionego zegarka kieszonkowego, o dziwnej rozmowie z lordem Ravenshawem oraz o decyzji Holmesa o zamieszczeniu ogłoszenia w wieczornych gazetach. Wreszcie streściłem wizytę człowieka, który przedstawił się jako Henderson, a następnie doprowadził nas do „Creer's Place”.

- Był urzędnikiem celnym?

- Tak nam powiedział, inspektorze Lestrade, ale obawiam się, że była to konfabulacja, podobnie jak cała reszta jego historii.

- Możliwe, że jest niewinny. Nie wie pan przecież, co się wydarzyło w lokalu Creera.

- To prawda, że nie było mnie przy tym, lecz to samo można powiedzieć o Hendersonie, a jego nieobecność wcale mi się nie podoba. Przemyślałem dobrze całą sytuację i wierzę, że celowo zastawiono na Holmesa pułapkę, by raz na zawsze zakończyć prowadzone przezeń śledztwo.

- W takim razie czym naprawdę jest Dom Jedwabny? Po co ktoś miałby podejmować aż taki wysiłek, by utrzymać w sekrecie jego prawdziwą naturę?

- Tego nie wiem.

Lestrade pokręcił głową.

- Jestem pragmatykiem, doktorze Watson, i muszę panu powiedzieć, że według mnie oddaliliśmy się zadziwiająco od punktu wyjścia - od sprawy trupa w hotelu. Był nim, o ile nam wiadomo, Keelan O'Donaghue, wyjątkowy łajdak, który okradał banki w Bostonie, a następnie przybył do Anglii, by zemścić się na marszandzie z Wimbledonu, panu Carstairsie. Jak niby mamy połączyć z tym zdarzeniem śmierć dwojga dzieci, kwestię białej wstążki, pojawienie się tajemniczego Hendersona oraz całą resztę faktów?

- Właśnie tego Holmes starał się dokonać. Czy mogę się z nim zobaczyć?

- Harriman prowadzi tę sprawę. Do czasu postawienia panu Holmesowi formalnych zarzutów nikt nie ma prawa z nim rozmawiać. Dziś po południu pański przyjaciel stanie przed sądem policyjnym.

- Musimy tam pojechać.

- Oczywiście. Na pewno pan wie, doktorze Watson, że w tej fazie nie ma mowy o przesłuchiowaniu świadków obro-ny, lecz mimo to spróbuję przemówić w obronie pana Hol-mesa i zaświadczyć o jego nieskazitelnym charakterze.

- Czy pozostanie przy Bow Street?

- Tylko chwilowo. Jeżeli bowiem sędzia uzna, że zarzuty

są poważne - a nie wyobrażam sobie, by mógł postąpić inaczej - to z pewnością pan Holmes trafi do więzienia.

- Do którego?

- Tego nie wiem, doktorze Watson, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go chronić. Tymczasem zaś zapytam: czy jest ktoś, do kogo mogą panowie zwrócić się o pomoc? Wyobrażam sobie, że tacy dwaj dżentelmeni mają wpływowych przyjaciół, zwłaszcza że udało się panom rozwiązać wiele, jak to się mówi, delikatnych spraw. Czy mógłby pan poprosić o wstawiennictwo któregoś z byłych klientów pana Holmesa?

161

W pierwszej chwili pomyślałem o Mycroftcie. Naturalnie nie wspomniałem o nim, ale w duchu analizowałem tę ewentualność, zanim jeszcze zasugerował ją Lestrade. Czy zechciałby mnie przyjąć? Ostrzegał nas przecież, tu, w tym salonie, twierdząc jednocześnie, że jeśli zignorujemy jego rady, będzie bezsilny. Mimo to postanowiłem udać się raz jeszcze do Klubu Diogenesa, gdy tylko pojawi się ku temu sposobność. Ten plan musiał jednak poczekać na realizację przynajmniej do czasu doraźnej rozprawy przed sądem policyjnym. Lestrade wstał.

- Zajadę tu o czternastej - powiedział.

- Dziękuję, inspektorze Lestrade.

- Na razie nie ma za co, doktorze Watson. Może się okazać, że w żaden sposób nie potrafię pomóc. Jeśli kiedykolwiek istniała sprawa wyglądająca na z góry przesądzoną, to ta jest właśnie taka. - Ze zgrozą przypomniałem sobie, że

w podobnym tonie wypowiedział się ostatniej nocy inspektor Harriman. - Mój kolega chce postawić pana Holmesa przed sądem za morderstwo i moim zdaniem powinien się pan przygotować na najgorsze.

12

Dowody w sprawie

Nigdy wcześniej nie uczestniczyłem w rozprawie przed sądem policyjnym, a mimo to, gdy zbliżaliśmy się z Lestrade'em do masywnego i surowego gmachu przy Bow Street, poczułem się dziwnie znajomo, jakby moja wizyta tu była całkiem naturalną kolejną rzeczą, na dodatek nieuniknioną. Inspektor musiał dostrzec wyraz mojej twarzy, bo uśmiechnął się smutno.

- Pewnie nie spodziewał się pan, że przyjdzie panu stawić się w takim miejscu, nieprawdaż, doktorze Watson? - Odpowiedziałem, że najwyraźniej czyta w moich myślach. -

- Cóż, trudno w takiej chwili nie pomyśleć o wszystkich tych ludziach, którzy trafili tu dzięki wam, to jest dzięki panu i panu Holmesowi.

Nie mogłem mu odmówić racji. Tu realizowano kolejny etap procedury, którą tak często wszczynaliśmy wobec przestępców. To stąd trafiali do Old Bailey, a czasem i na szubienicę. Dziwnie się czuję dziś, u schyłku mojej pisarskiej kariery, gdy myślę o tym, że każda z moich relacji niezmiennie kończyła się zdemaskowaniem albo aresztowaniem przestępcy, potem zaś - niemal bez wyjątku - zawsze przyjmowałem po prostu, że jego dalszy los nie zacieka

czytelników. Zostawiałem sprawców własnemu losowi, jak gdyby wyłącznie popełnione występki usprawiedliwiały ich istnienie; jakby z chwilą, gdy zostały ujawnione, przedstawiali oni być istotami ludzkimi o bijących sercach i złamanych duszach. Ani razu nie analizowałem strachu i rozpacz, uczuć, które musiały im towarzyszyć, gdy mijali te wahadłowe drzwi i wędrowali ponurymi korytarzami. Czy któryś z nich zapłakał kiedy, czując skruchę, albo pomodlił się o zbawienie? A może niektórzy walczyli do samego końca? Nie dbałem o to. Nie było to częścią mojej opowieści.

Teraz jednak, gdy sięgam pamięcią do tego lodowatego grudnia, kiedy to Holmes osobiście musiał stawić czoło potężnej maszynie, którą zwykle sam uruchamiał, odnoszę wrażenie, że byłem dla nich niesprawiedliwy. Nawet dla tak okrutnych złoczyńców jak Culverton Smith i dla tak przebiegłych jak Jonas Oldacre. Opowiadania, które pisałem, nazywane są dziś detektywistycznymi. Tak się złożyło, że mój detektyw był najwybitniejszym ze wszystkich.

W pewnym jednak sensie definiowali go właśnie ci ludzie, przeciwko którym występował, a ja odrzucałem ich nazbyt łatwo. Wkraczając do siedziby sądu policyjnego, czułem, że powracają do mojej pamięci z wielką siłą, i niemal słyszałem ich wołanie: „Witaj. Teraz jesteś jednym z nas”.

Sala rozpraw była kwadratowa i pozbawiona okien. Wypożyczono ją w drewniane ławy i barierki, a na ścianie naprzeciwko wejścia umieszczono królewski herb. Pod nim właśnie

zasiadał sędzia - sztywny, starszawy jegomość, pasujący zachowaniem do reszty wnętrza, też bowiem nieco drewniany. Tuż przed nim znajdowało się podwyższenie ogrodzone balustradą, na które wprowadzano aresztowanych, jednego po drugim, w tempie tak szybkim, że ferowane mechanicznie wyroki wydawać się mogły obserwatorowi wręcz monotonne. Przybyliśmy z Lestrade'em zbyt wcześnie i zajmując miejsce na galerii dla publiczności, przyglądaliśmy się, jak fałszerz, włamywacz i oszust kolejno otrzymują nakaz przedłużonego aresztu w oczekiwaniu na proces. Sędzia jednak potrafił też okazać współczucie. Czeladnik, którego oskarżono o awanturowanie się w stanie upojenia alkoholowego - w jego osiemnaste urodziny - został odesłany do domu, a jego sprawę zanotowano w Księdze Zarzutów Odrzuconych. Dwoje dzieci - ośmio- lub dziewięcioletnich - które przyłapano na

164

żebractwie, przekazano do Misji przy Sądzie Policyjnym, z zaleceniem oddania ich w opiekę towarzystwa The Waifs and Strays, do sierocińca doktora Barnarda albo pod skrzydła Towarzystwa ku Poprawie Losu Dzieci Londyńskich. Dziwnie się poczułem, usłyszawszy tę ostatnią nazwę, znałem bowiem tę organizację jako współpracującą z Chorley Grange, szkołą dla chłopców, którą odwiedziłem z Holmesem.

Kolejne sprawy załatwiano w równym rytmie, lecz nagle Lestrade szturchnął mnie dyskretnie i wtedy uświadomiłem sobie, że atmosfera w sali staje się jakby cięższa. Wolne dotąd miejsca dla policjantów i urzędników sądowych zapełniały

się stopniowo, a woźny - pulchny, podobny do sowy osobnik w czarnej szacie - podszedł w pewnej chwili do sędziego i zaczął wyjaśniać mu coś półgłosem. Zaraz potem pojawili się i zajęli miejsca na ławach dwaj mężczyźni, których od razu rozpoznałem. Jednym z nich był doktor Ackland, a drugim rumiany jegomość, który stał w tłumie opodal „Creer's Place”, ale w tamtej chwili nie zapadł mi szczególnie w pamięć. Za nimi usiadł sam Creer (Lestrade mi go wskazał), nerwowo wycierający ręce w nogawki, jakby chciał je osuszyć. Zrozumiałem, że wszyscy trzej będą świadkami w sprawie. I wreszcie wprowadzono Holmesa, odzianego w to samo ubranie, które miał na sobie w chwili aresztowania, i tak niepodobnego do siebie, że gdybym nie wiedział lepiej, mógłbym pomyśleć, iż zamaskował się celowo, by zaskoczyć mnie tak, jak to niegdyś z upodobaniem czynił. Bez wątpienia nie spał minionej nocy. Przesłuchiwano go długo i wolałem nie myśleć o wszystkich niegodnych praktykach, którymi go upokarzano, zapewne doskonale znanych zwykłym przestępcom. Na co dzień wychudły, teraz wydawał mi się wręcz wycieńczony, choć gdy prowadzono go do ławy oskarżonych, odwrócił się i zerknął na mnie, a wtedy dostrzegłem w jego oczach błysk, który świadczył o tym, że walka nie jest skończona. Przypomniał mi tym jednym spojrzeniem, że najbardziej niebezpieczny staje się wtedy, gdy przeciwności piętrzą się na jego drodze. Lestrade, siedzący obok mnie, wyprostował się nieco i mruknął coś pod nosem.

Był rozgniewany i oburzony niesprawiedliwym położeniem.

Holmesa - tej strony jego charakteru jeszcze nie znałem.

Na scenie pojawił się otyły i niewysoki prawnik o mięsistych ustach i ciężkich powiekach. Wkrótce stało się jasne, że przyjmie rolę oskarżyciela, choć bardziej pasowałoby mu miano pogromcy bestii, gdyby wziąć pod uwagę sposób, w jaki wykonywał swoje obowiązki, traktując salę sądową jak cyrk prawa.

- Oskarżonym jest znany detektyw - zaczął. - Pan Sherlock Holmes zdobył sławę dzięki serii opowiadań, które - choć tandetne i sensacyjne - uznać należy za przynajmniej częściowo oparte na faktach. - Oburzyły mnie te słowa i może nawet zaprotestowałbym, gdyby Lestrade nie poklepał mnie uspokajająco po ramieniu. - To powiedziawszy, muszę dodać, że jest w Scotland Yardzie paru mniej zdolnych funkcjonariuszy, którzy czują się jego dłużnikami, pomógł im bowiem w wykonywaniu obowiązków służbowych swymi celnymi sugestiami i spostrzeżeniami. - Na te słowa z kolei Lestrade skrzywił się z niesmakiem. - Jednakże nawet najlepsi z ludzi miewają swoje demony, a w przypadku pana Holmesa owym demonem jest opium, za którego sprawą zmienił się z przyjaciela prawa w zwykłego bandytę. Nie podlega dyskusji fakt, że ostatniej nocy, tuż po jedenastej, pan Holmes odwiedził palarnię opium w Limehouse, znaną jako „Creer's Place”. Moim pierwszym świadkiem jest właściciel tego lokalu, Isaiah Creer.

Creer zajął miejsce na podium dla świadków. W tej uprosz-

czoney procedurze nie wymagano odeń przysięgi. Z miejsca, w którym siedziałem, widziałem jedynie tył jego głowy, biały i bezwłosy, przechodzący niżej w nagi kark tak płynnie, że trudno było dostrzec między nimi granicę. Zachęcony przez oskarżyciela, wygłosił następującą przemowę:

Istotnie, oskarżony wszedł do jego lokalu - prywatnego i legalnego, wysoki sędzie, gdzie dżentelmeni mogą oddawać się swemu hobby wygodnie i bezpiecznie - krótko po dwudziestej trzeciej. Prawie się nie odzywał. Zażądał dawki narkotyku, zapłacił i natychmiast zaczął palić. Pół godziny

166

później poprosił o drugą porcję. Pan Creer zaniepokoił się jego stanem, gdyż pan Holmes - którego nazwisko ujawnione zostało, rzecz jasna, dopiero później, wysoki sędzie, wówczas zaś był klientem zupełnie anonimowym - wydawał się silnie pobudzony. Pan Creer zasugerował mu, że przyjęcie drugiej dawki może być nierozsądne, i właśnie z tego powodu doszło do ostrego sporu. Chcąc uniknąć niestosownej sceny oraz zachować spokój, z którego słynie jego lokal, właściciel zgodził się wydać oskarżonemu drugą dawkę, za stosowną opłatą, ma się rozumieć. Pan Holmes wypalił fajkę po raz drugi, a wtedy jego delirium osiągnęło tak niepokojącą postać, że Creer posłał gońca po policjanta, obawiając się, że może dojść do zakłócenia porządku. Naturalnie próbował przemówić do pana Holmesa głosem rozsądku, uspokoić go jakoś, ale bez rezultatu. Tocząc wokół błędnym wzrokiem, wzburzony pan Holmes upierał się, że w salce lokalu otacza-

ją go sami wrogowie, że jest ścigany i że jego życie jest w niebezpieczeństwie. Wreszcie wyjął rewolwer i w tym momencie pan Creer stanowczo zażądał odeń opuszczenia palarni.

- Obawiałem się o swoje życie - wyznał przed sądem. -

Myślałem tylko o tym, żeby go jakoś przepędzić. Teraz jednak widzę, że popełniłem błąd, że powinienem był zatrzymać go aż do nadejścia posiłków w osobie konstabla Perkinsa. Gdy wypuściłem go na ulicę, był niepoczytalny, nie wiedział, co robi. Widywałem już takie przypadki, wysoki sędzie. To prawdziwa rzadkość, zupełnie wyjątkowy skutek uboczny działania narkotyku. Nie mam wątpliwości, że gdy pan Holmes zastrzelił tę nieszczęsną dziewczynę, był głęboko przekonany, iż powala jakieś groteskowe monstrum. Gdybym od początku wiedział, że jest uzbrojony, Bóg mi świadkiem, w ogóle nie dałbym mu opium!

Drugi świadek, rumiany mężczyzna, którego wcześniej wypatrzyłem, całkowicie potwierdził wersję przedstawioną przez Creera. Był to flegmatyczny i przesadnie wyrafinowany osobnik, typ niewątpliwie arystokratyczny, swym zbyt długim nosem wciągający zwyczajne powietrze z wyraźnym niesmakiem. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, a ubra-

167

ny był wedle najnowszej mody. Nie przedstawił żadnych dodatkowych faktów, a jedynie niemal słowo w słowo powtórzył opowieść Creera. Leżał sobie, jak twierdził, na materacu w głębi salki, lecz choć głęboko rozluźniony, był ponoć absolutnie świadomy tego, co się rozegrało na jego oczach.

- Dla mnie opium to tylko kaprys, któremu ulegam dość rzadko - zakończył. - Daje mi tych kilka godzin oddechu od niepokojów i obowiązków życiowych. Nie wstydzę się tego. Znam wielu ludzi, którzy w domowym zaciszu zażywają laudanum, z dokładnie takich samych pobudek. Moim zdaniem praktyka nie różni się niczym od palenia tytoniu albo picia alkoholu. Choć oczywiście ja - zaakcentował to słowo w szczególny sposób - potrafię nad sobą panować.

Gdy sędzia zapytał świadka o nazwisko do protokołu, na sali podniósł się szum, ponieważ młody człowiek odpowiedział:

- Lord Horace Blackwater.

Sędzia spojrzał na niego z uwagą.

- Mam rozumieć, że należy pan do rodziny Blackwaterów z Hallamshire?

- Tak - odpowiedział świadek. - Hrabia Blackwater jest moim ojcem.

Byłem równie zaskoczony jak wszyscy obecni. Wydało mi się niezwykle, a nawet szokujące, że potomek jednego z najstarszych rodów Anglii odwiedzał nocą obskurną palarnię opium w Bluegate Fields. Niestety, potrafiłem sobie wyobrazić, jak wielką wagę przyda to zeznanie oskarżeniom wysuwany pod adresem mojego przyjaciela. To nie była relacja jakiegoś ciury okrętowego czy pospolitego oszusta. Przemówił człowiek, który mógł zrujnować sobie życie, przyznając się do tego, że w ogóle bywa w miejscu takim jak „Creer's Place”. Miał szczęście, że w sądzie policyjnym nie pojawiali się dziennikarze. Nie muszę dodawać, że była to okoliczność

równie korzystna dla Holmesa. Gdy sir Horace schodził z mównicy, usłyszałem kolejną falę szeptów i uświadomiłem sobie, że dla większości z nich to tylko spektakl, a pikantne szczegóły są główną przyczyną, dla której się tu pojawiają. Sędzia zamienił kilka słów z odzianym w czerń

168

woźnym, a po chwili miejsce świadka zajął Stanley Perkins, konstabl policji, którego spotkałem na miejscu zbrodni. Perkins stanął sztywno, trzymając hełm u boku, niczym duch z Tower of London ze swą głową pod pachą. Miał zdecydowanie najmniej do powiedzenia, choć trzeba przypomnieć, że poprzednicy streścili już całą historię. Został wezwany przez chłopca, gońca wysłanego przez Creera. Poproszono go, by zjawił się w lokalu na rogu Milward Street. Właśnie podążał w to miejsce, gdy usłyszał dwa strzały i czym prędzej pospieszył ku Coppergate Square. Na miejscu znalazł nieprzytomnego mężczyznę z bronią w ręku oraz dziewczynę spoczywającą w kałuży krwi. Natychmiast zabezpieczył miejsce zbrodni, w którym już zaczęli się zbierać gapię. Od razu wiedział, że nic już nie może zrobić dla dziewczyny. Opisał też, w jaki sposób zidentyfikował nieprzytomnego mężczyznę jako Sherlocka Holmesa.

- Gdy usłyszałem to nazwisko, nie mogłem uwierzyć - powiedział. - Czytałem o niektórych jego dokonaniach i gdy pomyślałem, że ktoś taki jak Sherlock Holmes mógłby dopuścić się takiej zbrodni... po prostu nie mogłem uwierzyć.

Teraz miejsce Perkinsa zajął inspektor Harriman, łatwo

rozpoznawalny za sprawą grzywy białych włosów. Ze sposobu, w jaki się wypowiadał, jak ważył każde słowo i wymawiał je z precyzją, by wywołać zamierzony efekt, widać było, że ćwiczył swoje wystąpienie przez długie godziny. Nawet nie próbował ukrywać pogardy; wyzierała z każdego zdania. Wydawało się, że uwięzienie, a jeszcze lepiej stracenie mojego przyjaciela stanowi dlań najważniejszą życiową misję.

- Zechce wysoki sąd wysłuchać relacji o moich dokonaniach wczorajszego wieczoru - rozpoczął. - Wezwano mnie do włamania do banku przy White Horse Road, czyli całkiem niedaleko od miejsca zbrodni, o której mówimy. Gdy stamtąd wychodziłem, usłyszałem odgłos dwóch strzałów oraz policyjnego gwizdka. Zawróciłem więc na południe, by sprawdzić, czy mogę się przydać. Kiedy przybyłem na miejsce, akcją dowodził konstabl Perkins i radził sobie doskonale. Będę go rekomendował do awansu. To właśnie Per-

169

kins poinformował mnie o tożsamości człowieka, który staje dziś przed wysokim sądem. Jak już wspomniano, pan Sherlock Holmes cieszy się określoną reputacją. Jestem pewny, że wielu jego wielbicieli przeżyje głęboki zawód, gdy dowiedzą się, jak dalece jego prawdziwa natura - mówię tu o skłonności do narkotyków i zabójczych konsekwencjach nałogu - odbiega od fikcyjnego obrazu, który akceptowaliśmy z taką ufnością.

To, że pan Holmes zamordował Sally Dixon, jest poza wszelką dyskusją. Nawet nieprzeciętna wyobraźnia jego bio-

graфа nie zdoła wzbudzić wątpliwości w umysłach czytelników. Na miejscu zbrodni widziałem jeszcze ciepły rewolwer w dłoni tego człowieka, a także czarne ślady prochu na jego rękawie oraz drobne krople krwi na jego płaszczu, które nie pojawiłyby się tam, gdyby nie stał bardzo blisko dziewczyny w chwili jej śmierci. Pan Holmes był półprzytomny, dopiero budził się z narkotycznego transu i był chyba ledwie świadomy tego, jak makabrycznego czynu się dopuścił. Powiedziałem „ledwie świadomy”, co jednak nie oznacza, że zupełnie nie ogarniał sytuacji. Otóż on znał swoją winę, wysoki sędzie. Nie próbował się bronić. Gdy go zatrzymałem i aresztowałem, nie usiłował tłumaczyć mi, że okoliczności zdarzenia różniły się czymkolwiek od tych, które właśnie opisałem.

Dopiero dziś rano, po ośmiu godzinach snu i po zimnym prysznicu, pan Holmes uraczył nas zmyśloną historyjką, która miała dowodzić, że jest niewinny. Opowiedział mianowicie, że odwiedził „Creer's Place” nie po to, by zaspokoić swój nienasycony apetyt na opium, ale po to, by znaleźć rozwiązanie sprawy kryminalnej, którą właśnie prowadzi, ale której szczegółów nie chciał mi ujawnić. Twierdził, że człowiek znany mu jako Henderson skierował go do Limehouse w poszukiwaniu pewnego tropu, ale okazało się, że była to pułapka. Ponoć gdy tylko pan Holmes wszedł do palarni, został obezwładniony i zmuszony do przyjęcia jakiegoś narkotyku. Wyznam szczerze, że dla mnie to trochę dziwne, gdy ktoś odwiedza taki lokal, a następnie narzeka, że dano mu opium. Jak wiemy, pan Creer przez całe życie trudnił

się sprzedają narkotyków ludziom, którzy pragną za nie zapłacić, toteż nadzwyczaj trudno uwierzyć w to, by przy tej jednej okazji zapragnął rozdawać je za darmo. Wiemy, rzecz jasna, że to stek bzdur. Wysłuchaliśmy już opowieści bardzo szanowanego obywatela o tym, jak pan Holmes wypalił jedną fajkę opium, a następnie zażądał następnej. Pan detektyw twierdzi też, że znał zamordowaną dziewczynę i że była ona ważnym elementem w jego tajemniczym śledztwie. Z tym akurat jestem skłonny się zgodzić. Bardzo możliwe, że spotkał ją już wcześniej i teraz, w swym delirium, pomylił ją z jakimś sobie tylko znanym arcyprzestępcą. Nie istnieje bowiem inny motyw, dla którego mógłby ją zabić.

Pozostaje mi jedynie dodać, że pan Holmes twierdzi dziś, iż padł ofiarą spisku, do którego należą ja, a także konstabl Perkins, Isaiah Creer, lord Horace Blackwater, a niewykluczone, że i wysoki sąd. Powiedziałbym, że to majaczenia, ale w istocie to coś znacznie gorszego. To celowa próba uniknięcia odpowiedzialności za szalone czyny z ostatniej nocy. Tak się nieszczęśliwie dla pana Holmesa składa, że mamy jeszcze jednego świadka, który na własne oczy widział, jak dokonano morderstwa. Jestem pewny, że jego zeznanie wystarczy, by zakończyć tę rozprawę. Proszę mi wierzyć, że w toku piętnastoletniej już służby w Policji Metropolitalnej nigdy jeszcze nie miałem do czynienia ze sprawą, w której dowody byłyby bardziej oczywiste, a osoba sprawcy - tak absolutnie pewna. Odruchowo czekałem, aż Harriman ukłoni się po swym

występie. On jednak tylko z szacunkiem skinął głową w stronę sędziego i wrócił na swoje miejsce.

Ostatnim świadkiem był doktor Thomas Ackland. W ciemności i zamieszaniu ostatniej nocy ledwie mu się przyjrzałem, za to teraz, stając przed sądem, wydał mi się raczej nieatrakcyjnym mężczyzną. Miał jasnorude, kręcone włosy (z pewnością przyjęto by go do Ligi Rudowłosych!), które w nieładzie zwisały z jego mocno wydłużonej głowy, a także ciemne piegi, które nadawały jego skórze bardzo niezdrowy wygląd. Zapuszczał wąsy, miał nadzwyczajnie długą szyję oraz wodniście błękitne oczy. Możliwe, że wpadam w lekką

171

przesadę, opisując go w taki sposób, a to dlatego, że swoimi słowami wzbudził we mnie głęboką, irracjonalną niechęć, jako ten, który przypieczętował los mojego przyjaciela. Powróciłem więc do oficjalnych protokołów z rozprawy, by móc teraz przedstawić tę scenę jego słowami i nie być podejrzanym o stronniczość.

Oskarżyciel: Zechce pan przedstawić się wysokiemu sądowi.

Świadek: Jestem Thomas Ackland.

Oskarżyciel: Pochodzi pan ze Szkocji.

Świadek: Tak, ale obecnie mieszkam w Londynie.

Oskarżyciel: Bardzo proszę opowiedzieć nam co nieco o swojej karierze, doktorze Ackland.

Świadek: Urodziłem się w Glasgow i studiowałem medycynę na tamtejszym uniwersytecie. Dyplom lekarza medycyny otrzymałem w 1867 roku. Zostałem też wykładow-

cą w Królewskiej Szkole Medycznej w Edynburgu, a później profesorem chirurgii klinicznej w edynburskim Królewskim Szpitalu dla Dzieci Chorych. Pięć lat temu, po śmierci mojej żony, przeprowadziłem się do Londynu. Zaproszono mnie, bym został zarządcą Szpitala Westminsterskiego, którą to funkcję sprawuję do dziś.

Oskarżyciel: Szpital Westminsterski powstał z myślą o najbiedniejszych i jest finansowany z kasy publicznej. Czy to prawda?

Świadek: Tak jest.

Oskarżyciel: Pan zaś, o ile mi wiadomo, przyczynił się nie tylko do dobrego utrzymania, ale i rozbudowy szpitala?

Sędzia: Jeśli nie ma pan nic przeciwko, panie Edwards, chyba pora już przejść do rzeczy.

Oskarżyciel: Doskonale, wysoki sędzie. Doktorze Ackland, zechce pan, proszę, opowiedzieć wysokiemu sądowi, w jaki sposób znalazł się pan ostatniej nocy w okolicy Milward Street i Coppergate Square?

Świadek: Byłem z wizytą domową u jednego z moich pacjentów. To porządny, ciężko pracujący człowiek, ale z biednej rodziny. Gdy opuścił szpital, obawiałem się o jego kondycję. Poszedłem do niego tak późno, ponieważ wcześniej

172

byłem na kolacji w Królewskim Kolegium Lekarskim. Opuściłem jego dom o dwudziestej trzeciej, zamierzając przynajmniej część drogi do domu pokonać pieszo - mieszkam w Holborn. Niestety, zgubiłem się we mgle i całkiem przy-

padkowo znalazłem się opodal wspomnianego miejsca na krótko przed północą.

Oskarżyciel: Co pan zobaczył?

Świadek: Wszystko. Była tam dziewczyna, zbyt cienko ubrana jak na tę aurę; mogła mieć czternaście albo piętnaście lat. Wzdrygam się na samą myśl o tym, co tam robiła o tak późnej porze, jest to bowiem okolica słynąca z wszelkiego występku. Gdy ją zauważyłem, trzymała ręce w górze i najwyraźniej była przerażona. Wypowiedziała tylko jedno słowo: „Proszę...!” I wtedy padły dwa strzały. Osunęła się na bruk. Wiedziałem od razu, że nie żyje; druga kula przebiła czaszkę i bez wątpienia spowodowała natychmiastowy zgon.

Oskarżyciel: Widział pan, kto pociągnął za spust?

Świadek: W pierwszej chwili - nie. Panowały egipskie ciemności, a ja byłem w głębokim szoku. Obawiałem się też o własne życie, zaraz bowiem przyszło mi na myśl, że w okolicy grasuje jakiś szaleniec - któż inny chciałby skrzywdzić słabą, bezbronną dziewczynkę? Zaraz jednak wypatrzyłem w mroku postać z dymiącym jeszcze pistoletem w dłoni. Na moich oczach mężczyzna ów jęknął i osunął się na kolana, a potem upadł nieprzytomny na ziemię.

Oskarżyciel: Widzi pan tutaj tego mężczyznę?

Świadek: Tak. Stoi na podwyższeniu, naprzeciwko mnie. Szmer szeptów w galerii dla publiczności był tym razem jeszcze głośniejszy, ponieważ dla wszystkich widzów - podobnie jak dla mnie - stało się jasne, że właśnie przedstawiono najsilniejszy dowód ze wszystkich. Siedzący obok

mnie Lestrade zamarł naraz, mocno zaciskając usta. Pomyślałem, że jego wiara w Holmesa, którą tak mnie ujmował, musiała teraz zachwiać się w posadach. A ja? Przyznaję, że byłem w rozterce. Na pozór wydawało się, że mój przyjaciel absolutnie nie mógł uśmiercić dziewczyny, którą tak bardzo chciał przesłuchać. Istniała przecież szansa, że Sally Dixon

173

dowiedziała się od brata czegoś, co mogłoby nam pomóc w dotarciu do Domu Jedwabnego. Osobną sprawą jest to, skąd wzięła się w środku nocy przy Coppergate Square. Czy schwytano ją i uwięziono, zanim jeszcze Henderson złożył nam wizytę, by celowo zwabić nas w pułapkę, której dziewczyna była istotnym elementem? Wydawało się, że to jedyne logiczne wyjaśnienie. Lecz jednocześnie przypominałem sobie słowa, które Holmes powtarzał mi wielokrotnie: gdy wyeliminujesz to, co niemożliwe, wtedy to, co pozostanie, choćby było najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą. Byłem skłonny odrzucić zeznanie Isaiaha Creera, ludzie tego pokroju bowiem są podatni na przekupstwo i gotowi opowiedzieć każdą historię, którą by im podyktowano. Niemożliwe jednak, a przynajmniej z gruntu absurdalne wydawało się to, by znany lekarz z Glasgow, wysoki rangą funkcjonariusz Scotland Yardu oraz syn hrabiego Blackwatera, należący do angielskiej arystokracji, zjednoczyli siły bez widocznego powodu, tylko po to, by sfabrykować historyjkę pogrążającą człowieka, którego nawet nie znali! Stałem więc przed wyborem. Albo wszyscy czterej kłamali, albo Holmes, pod

wpływem opium, dopuścić się straszliwej zbrodni.

Sędzia najwyraźniej nie dostrzegał tego dylematu. Wysłuchawszy zeznań, poprosił o Księgę Zarzutów i wpisał do niej nazwisko i adres Holmesa, a także jego wiek i treść oskarżenia, które przeciwko niemu wysunięto. Następnie uzupełniono wpis o nazwiska i adresy oskarżyciela i jego świadków, a także o listę przedmiotów znalezionych przy oskarżonym (były to między innymi binokle, kawałek sznurka, pierścień z herbem hrabiego Cassel-Felsteina, dwa niedopałki zawiązane w stronicę wydartą z czasopisma „London Corn Circular”, pipeta, kilka greckich monet oraz nieduży beryl. Po dziś dzień nie mam pojęcia, co o tym wszystkim pomyśleli nasi stróże prawa). Holmes, który od początku procedury nie wypowiedział ani jednego słowa, został teraz pouczone, że będzie musiał pozostać w areszcie do czasu wydania wstępnej opinii przez koronera, czyli do przyszłego tygodnia. Później czekał go właściwy proces - i to wszystko. Sę-

174

dzia spieszył się, gotów zająć się kolejną sprawą; miał ich na liście jeszcze kilka, a na zewnątrz zapadał już zmrok. Patrzyłem, jak straż wyprowadza Holmesa z sali.

- Proszę ze mną, panie Watson! - powiedział Lestrade. -

Musimy działać szybko, zostało niewiele czasu.

Wyszedłem za nim z głównej sali sądowej i udaliśmy się schodami w dół, do podziemi urządzonych w iście spartańskim stylu. Nawet o malowaniu ścian zapomniano tu już dawno - być może zresztą celowo, z myślą o aresztantach, którzy

i tak mieli się tu żegnać ze światem uczciwych ludzi. Lestrade, rzecz jasna, bywał tu niejednokrotnie. Pewnie prowadził mnie korytarzem ku przestronnej sali wyłożonej białymi kafelkami, z jednym oknem i pojedynczymi ławami wzdłuż wszystkich ścian. Umieszczono na nich wysokie przegrody, tak by siedzące obok siebie osoby nie mogły ze sobą rozmawiać. Zrozumiałem, że jesteśmy w poczekalni dla więźniów; być może właśnie tu Holmes czekał wcześniej na swoją rozprawę.

Ledwie weszliśmy do środka, gdy drzwi otworzyły się ponownie i stanął w nich Holmes, eskortowany przez mundurowego. Pospieszyłem ku niemu, gotów zamknąć go w przyjacielskim uścisku, ale uświadomiłem sobie, że takim gestem dorzuciłbym jeszcze jedno upokorzenie do wielu, których już doświadczyłem. Poprzestałem więc na powitaniu go łamiącym się głosem:

- Holmesie! Nie wiem, co powiedzieć. To niesprawiedliwe aresztowanie i to, jak cię potraktowano... To się w głowie nie mieści.

- Istotnie, ciekawa sprawa - odpowiedział lakonicznie. -

Jak się pan miewa, Lestrade? Zdziwiający obrót wydarzeń, nieprawdaż? Co pan o tym wszystkim sądzi?

- Naprawdę nie wiem, co mam sądzić, panie Holmes - wymamrotał Lestrade.

- No cóż, w sumie to nic nowego. Wydaje się, że nasz przyjaciel Henderson zafundował nam niezłą potańcówkę, czyż nie, Watsonie? Nie zapominajmy, że na wpół spodziewałem się takiego rozwiązania, i twierdzę, że wynikiły z nie-

go pewne korzyści. Wcześniej podejrzewałem, że mamy do

175

czynienia ze spiskiem sięgającym znacznie dalej niż ściany pokoju w pensjonacie. Teraz mam pewność, że tak jest.

- Ale cóż dobrego może płynąć z tej pewności, skoro zostaniesz uwięziony, a twoja reputacja legnie w gruzach? -
odpowiedziałem.

- Myślę, że moja reputacja potrafi sama o siebie zadbać -
rzekł Holmes. - Jeśli mnie powiesz, Watsonie, na tobie spocznie obowiązek przekonania twoich czytelników, że
wszystko to było jednym wielkim nieporozumieniem.

- Może się pan podśmiewać z tej sytuacji, panie Holmes -
warknął zirytowany Lestrade. - Ja jednak muszę pana ostrzec,
że zostało bardzo niewiele czasu. Powiem wprost: dowody
przeciwko panu wydają się niepodważalne.

- Ty też jesteś tego zdania, Watsonie?

- Naprawdę nie wiem, jak ci na to odpowiedzieć, Holmesie. Mam wrażenie, że ci ludzie wcale się nie znają. Pochodzą z różnych części kraju. Mimo to podają absolutnie
zgodną wersję wydarzeń.

- A jednak wierzę, że wyżej cenisz moje słowo niż, dajmy
na to, zeznania naszego przyjaciela Isaiaha Creera?

- Naturalnie.

- Wobec tego wiedz, że to, co powiedziałem inspektorowi
Harrimanowi, jest prawdziwą wersją wydarzeń. Gdy wkroczyłem do palarni opium, podszedł do mnie Creer i powitał
tak, jakbym był nowym klientem, to jest z mieszaniną ser-

deczności i nieufności. Wokół nas leżało czterech półprzytomnych - albo udających półprzytomnych - mężczyzn, a jednym z nich istotnie był lord Horace Blackwater, choć oczywiście wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Udałem, że chcę kupić narkotyk za cztery pensy, a Creer nalegał, że bym poszedł za nim do kantoru i tam zapłacił. Nie chciałem wzbudzać podejrzeń, dlatego usłuchałem go. Ledwie przestąpiłem próg, rzuciło się na mnie dwóch ludzi, łapiąc za szyję i za ramiona. Jednego z nich dobrze znamy, Watsonie, to był sam Henderson! Drugi miał ogoloną głowę oraz bary i przedramiona zapaśnika, obdarzone zresztą odpowiednią siłą. Nie mogłem się poruszyć. „Bardzo nierozważnie pan

176

postąpił, panie Holmes, mieszając się w sprawy, które pana nie dotyczą, oraz wierząc, że może pan przeciwstawić się ludziom znacznie potężniejszym" - mniej więcej takimi słowami powitał mnie Henderson. W tym czasie Creer zbliżył się z niewielką szklanką zawierającą cuchnący płyn. Musiał to być jakiś narkotyk, ale nic nie mogłem uczynić, gdy siłą wlewano mi go w usta. Było ich trzech przeciwko mnie jednemu. Nie mogłem też sięgnąć po broń. Mikstura zaczęła działać niemal natychmiast. Pokój zawirował i poczułem, że tracę siłę w nogach. Zwolnili uścisk i upadłem na podłogę.

- To diabły! - nie wytrzymałem.

- Co było dalej? - spytał Lestrade.

- Nic więcej nie pamiętam. Gdy się ocknąłem, Watson był przy mnie. Musiał to być wyjątkowo silny narkotyk.

- Wszystko pięknie, panie Holmes, ale jak pan wytłuma-
czy zeznania doktora Acklanda, lorda Horace'a Blackwatera
oraz mojego kolegi Harrimana?

- Wszyscy oni są w zмовie.

- Ale dlaczego? To nie są przeciętni zjadacze chleba, panie
Holmes.

- W rzeczy samej. Gdyby nimi byli, miałbym więcej po-
wodów, żeby im wierzyć. Ale czy nie uważa pan za dziw-
ne, że trzy tak nieprzeciętne osobistości wychynęły nagle
z ciemności, w jednym miejscu i w jednym czasie?

- Ich zeznania brzmiały sensownie. Nie padło dziś w są-
dzie ani jedno słowo, które można by łatwo zakwestionować.

- Nie? Pozwolę sobie nie zgodzić się z panem, inspekto-
rze Lestrade, bo ja słyszałem ich kilka. Zacznijmy może od
pocziwego doktora Acklanda. Nie zaskoczyło pana to, że
choć z powodu ciemności nie widział strzelającego, to za-
raz potem dostrzegł dym unoszący się z lufy? Zadziwiający
wzrok ma nasz pan doktor. Weźmy też Harrimana. Byłoby
dobrze, gdyby poświęcił pan nieco czasu na ustalenie, czy
rzeczywiście doszło do napadu na bank przy White Horse
Road. Dla mnie to zadziwiający zbieg okoliczności.

- Dlaczego?

- Ano dlatego, że gdybym to ja planował napad na bank,

177

na pewno dokonałbym go grubo po północy, kiedy trudno
kogoś spotkać na ulicach. Być może też skierowałbym swo-
je kroki w stronę Mayfair, Kensington albo Belgravii - ku

dzielnicom, których mieszkańcy są w stanie zaoszczędzić dość pieniędzy, by opłacało się okraść ich bank.

- A co z Perkinsem?

- Konstabl Perkins był jedynym uczciwym świadkiem.

Watsonie, nie chciałbym ci sprawiać kłopotu, ale gdybyś mógł...

Nim Holmes dokończył zdanie, w drzwiach stanął wyraźnie wzburzony Harriman.

- Co tu się dzieje, do wszystkich diabłów? - zawołał. -

Dlaczego aresztant nie jest w drodze do celi? I kim pan jest?

- Inspektor Lestrade.

- Lestrade! Słyszałem o panu. Ale to jest moja sprawa.

Dlaczego pan się do niej wtrąca?

- Dlatego, że doskonale znam pana Sherlocka Holmesa...

- Bardzo wielu ludzi doskonale zna pana Sherlocka Holmesa. Może zaprosimy ich wszystkich do rozmowy? - Harriman zwrócił się do policjanta, który przyprowadził Holmesa z sali rozpraw, a teraz czekał w kącie sali, wyraźnie zakłopotany. - Poda mi pan swoje nazwisko i numer służbowy, jeszcze wrócimy do tej sprawy. A teraz niech pan odpro-
wodzi pana Holmesa na dziedziniec, gdzie już czeka policyjny furgon. Pora na zmianę miejsca zamieszkania.

- Dokąd go zabieracie? - spytał Lestrade.

- Zostanie umieszczony w Holloway.

Zbladłem na te słowa, albowiem więzienie to słynęło w całym Londynie jako ponura, nieprzyjazna forteca.

- Holmesie! - zawołałem. - Przyjadę...

- Przykro mi niezmiernie, że muszę pana rozczarować,
ale pan Holmes nie będzie przyjmował gości do czasu, aż
moje śledztwo dobiegnie końca.

Nic już nie mogliśmy z Lestrade'em wskórać. Holmes tak-
że nie próbował stawiać oporu. Powstał i w asyście policjan-
ta opuścił poczekalnię. Harriman wyszedł w ślad za nimi,
zostawiając nas samych.

178

13

Trucizna

Wszystkie gazety doniosły o śmierci Sally Dixon oraz o wstęp-
nej rozprawie, która nastąpiła nazajutrz. Jeden z artykułów
zachowałem do dziś, a na papierze zetlałym ze starości i de-
likatnym jak chustka widnieją takie oto słowa:

Dwie noce temu dokonano poważnej i wyjątkowo nik-
czemnej zbrodni w okolicy Coppergate Square, niedaleko
brzegu Tamizy i Limehouse Basin. Tuż po dwudziestej
trzeciej konstabl Perkins z wydziału H Policji Metropol-
italnej, który właśnie patrolował swój rewir, posłyszał huk
wystrzału i pospieszył w stronę jego źródła. Przybył na
miejsce zbyt późno, by ocalić ofiarę, szesnastoletnią służą-
cą z jednego z londyńskich pubów, która mieszkała w po-
bliżu. Jak ustalono, dziewczyna była w drodze do domu,
gdy pojawił się przed nią napastnik wracający z jednej
z palarni opium, z których słynie ta dzielnica. Mężczy-
zną tego zidentyfikowano jako pana Sherlocka Holmesa,
znanego detektywa-konsultanta. Został on natychmiast

zatrzymany przez policję. Choć stanowczo zaprzecza
swojemu udziałowi w tej zbrodni, kilku świadków o nie-
skazitelnej opinii zgodnie zeznawało przeciwko niemu.

Byli wśród nich doktor Thomas Ackland ze Szpitala West-
minsterskiego oraz lord Horace Blackwater, gospodarz
majątku w Hallamshire zajmującego tysiące akrów. Pan
Holmes został już przewieziony do Holloway, cała zaś ta

179

ponura historia niech będzie jeszcze jednym ostrzeżeniem
przed plagą trawiącą nasze społeczeństwo. Pora rozstrzy-
gnąć, czy prawo nadal powinno zezwalać na istnienie lo-
kali, w których można swobodnie konsumować narkotyki.

Nie muszę chyba wyjaśniać, że wyjątkowo przykro było
mi czytać ten artykuł podczas śniadania w poniedziałkowy
poranek po aresztowaniu Holmesa, zwłaszcza że miałem
poważne zastrzeżenia do prawdziwości niektórych stwier-
dzeń. „Worek Gwoździ” to pub w Lambeth, zatem dlaczego
autor uznał, że Sally Dixon wracała do domu? Interesujące
było i to, że ani słowem nie wspomniano o zamiłowaniu sa-
mego lorda Horace'a do wizyt w palarni opium.

Weekend zaczął się i minął - całe dwa dni zamartwiałem
się o mego przyjaciela i czekałem na wiadomości o nim.

Kazałem wysłać świeże ubrania i paczkę żywnościową do
Holloway, ale nie miałem pewności, czy dotarła do adresata.

Nie dostałem też żadnego sygnału od Mycrofta, choć prze-
cież nie mógł nie zauważyć doniesień prasowych o sprawie,
a tym bardziej wiadomości ode mnie, słanych na adres Klu-

bu Diogenesa. Nie wiedziałem, czy zareagować na to oburzeniem, czy zaniepokojeniem. Brak odpowiedzi wydawał mi się przejawem nieuprzejmości, a może i bezduszności Mycrofta, bo choć przestrzegał nas przed podjęciem kroków, na które się zdecydowaliśmy, to przecież byłoby dziwne, gdyby nie użył swoich wpływów dla ratowania brata z tak poważnej opresji. Dobrze jednak pamiętałem jego słowa - „ja nie zdołam ci pomóc” - i zastanawiałem się, jak wielką potęgą musi stać za Domem Jedwabnym, skoro czyniła bezsilnym człowieka, którego wpływy sięgały sfer rządowych.

Postanowiłem właśnie udać się do klubu osobiście, gdy rozległ się sygnał dzwonka u drzwi, a chwilę później pani Hudson wprowadziła na górę przepiękną kobietę, ubraną w duchu prostej elegancji i szyku. Tak bardzo byłem pogrążony w myślach, że potrzebowałem paru chwil, by rozpoznać panią Catherine Carstairs, żonę wimbledońskiego marszanda, którego wizyta w naszym salonie zapoczątko-

180

wała cały ciąg niefortunnych zdarzeń. Spoglądając na nią, w żaden sposób nie potrafiłem dociec, co też może łączyć nasze bieżące kłopoty z bandą irlandzkich łotrów z amerykańskiego miasta, ze zniszczeniem czterech pejzaży Johna Constable'a oraz ze strzelaniną z udziałem ludzi z agencji Pinkertona. Był to zaiste paradoks. Z jednej strony, znalezienie zwłok w pensjonacie pani Oldmore było przyczyną późniejszych nieszczęść, z drugiej zaś wydawało się, że nie miało z owymi nieszczęściami absolutnie nic wspólnego.

Możliwe, że odzywała się we mnie dusza pisarza, ale porównywałem tę sprzeczność do sytuacji, w której postaci z jednego z moich opowiadań niespodziewanie pojawiłyby się z całkiem innej noweli. I z takim właśnie uczuciem mętluku w głowie i zapewne z niezbyt mądrą miną powitałem panią Carstairs. Ona zaś zaczęła nagle szlochać.

- Droga pani Carstairs! - wykrzyknąłem, zrywając się z fotela. - Bardzo proszę, niech pani nie rozpacza. Proszę usiąść. Podać pani wody?

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Gdy prowadziłem ją do krzesła, wyjęła chusteczkę i dyskretnie otarła łzy. Nalałem wody do szklanki i podałem, ale zbyła mnie ruchem dłoni.

- Doktorze Watson - wyszeptała wreszcie - musi mi pan wybaczyć to najście.

- Ależ nie ma o czym mówić. Bardzo się cieszę, że panią widzę. Gdy pani weszła, byłem zamyślony, ale zapewniam, że teraz wysłucham pani w pełnym skupieniu. Przynosi pani nowiny z Ridgeway Hall?

- Tak. Straszne nowiny. Ale czy nie zastałam pana Holmesa?

- Pani o niczym nie wie? Nie czytała pani gazet?

Pokręciła głową.

- Nie interesują mnie najświeższe wiadomości. Mąż nie pochwała takiej lektury.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie pokazać jej artykułu, który właśnie przeczytałem, ale nie zdecydowałem się na to.

- Obawiam się, że pan Sherlock Holmes jest niedysponowany - powiedziałem. - Przez jakiś czas nie będzie mógł

państwu pomagać.

181

- Zatem nie ma nadziei. Nie mam już do kogo pójść. - Pochyliła głowę. - Edmund nie wie, że tu przyjechałam. Gdy go pytałam o zdanie, był zdecydowanie przeciwny. Ale przysięgam, doktorze Watson, że jeśli coś się nie zmieni, ja oszaleję. Czy ten koszmar, który bez przyczyny niszczy nasze życie, nigdy się nie skończy?

Znowu zaczęła płakać, a ja siedziałem bezradnie, czekając, aż popłyną ostatnie łzy.

- Może ja mógłbym jakoś pomóc, gdyby tylko wyjaśniła mi pani powód swojej wizyty - zasugerowałem.

- Wyjaśnię. Ale czy zdoła pan pomóc? - Rozpromieniła się nagle. - Naturalnie! Przecież pan jest lekarzem! Wprawdzie już zasięgaliśmy opinii pańskich kolegów. Przychodzili i wychodzili... Ale może pan będzie inny. Może pan zrozumie.

- Czy pani mąż jest chory?

- Nie mąż. Moja szwagierka, Eliza. Pamięta pan ją? Gdy ją pan poznał, już uskarżała się na bóle głowy i nie tylko, ale od tamtej pory jej stan znacznie się pogorszył. Edmund uważa, że ona umiera, doktorze Watson, i że nic już się nie da zrobić.

- Dlaczego pomyślała pani o tym, by szukać pomocy właśnie tu?

Pani Carstairs wyprostowała się, otarła oczy i nagle poczułem tę siłę ducha, którą dostrzegłem w niej już podczas pierwszego spotkania.

- Moja szwagierka i ja... nie kochamy się zbyt - powiedziała. - Nie będę udawać, że jest inaczej. Od pierwszego dnia ma mnie za awanturnicę, która ostrzy sobie szpony na fortunę jej brata, która upolowała go w chwili jego słabości i która zamierza dostatnio żyć jego kosztem. Zapomina, że przyjechałam do tego kraju z niemałym majątkiem. Zapomina, że opiekowałam się Edmundem na pokładzie Catalonii, aż wrócił do zdrowia. Podobnie jak jej matka, nienawidziła mnie od początku, nie próbując nawet dostrzec, jaka jestem naprawdę; żadna z nich nigdy nie dała mi szansy. Edmund zawsze należał do nich, był młodszym bratem i wiernym synem, dlatego nie mogli znieść myśli o tym, że znajduje

182

szczęście u boku innej kobiety. Eliza obwinia mnie nawet za śmierć jej matki. Da pan wiarę? To, co było tragicznym wypadkiem - wszak zgasł płomień gazowego piecyka - stało się w jej umyśle aktem samobójczym, jak gdyby starsza pani naprawdę wolała umrzeć, niż widzieć mnie nową panią domu. W pewien sposób obie były szalone. Nie ośmieliłabym się powiedzieć tego Edmundowi, ale to prawda. Dlaczego nie potrafiły pogodzić się z tym, że on mnie kocha? Dlaczego nie cieszyło ich nasze szczęście?

- A ta nowa choroba...?

- Eliza podejrzewa, że ktoś ją truje. Co gorsza, upiera się, że to ja jestem odpowiedzialna. Proszę mnie nie pytać, w jaki sposób doszła do tego wniosku. To szaleństwo, powiadam panu!

- Czy pani mąż o tym wie?

- Oczywiście, że wie. Eliza oskarżyła mnie wprost, w jego obecności. Biedny Edmund! Nigdy jeszcze nie widziałam go tak skonfundowanego. Nie wiedział, jak zareagować. Gdyby wziął mnie w obronę, sprzeciwił się siostrze, kto wie, do czego mogłaby się posunąć w tym stanie umysłu. Zamartwiał się więc, ale gdy tylko zostaliśmy sami, pospieszył do mnie i błagał o przebaczenie. Eliza jest chora, co do tego nie ma wątpliwości, Edmund zaś uważa, że te urojenia są właśnie skutkiem choroby - możliwe, że ma słuszność. Tak czy inaczej, sytuacja stała się dla mnie niemal nieznośna. Kuchnia przygotowuje dla niej osobne posiłki, które Kirby znosi wprost do jej pokoju, ani na chwilę nie tracąc ich z oczu. Edmund stara się jeść to samo. Udaje, że chce dotrzymywać jej towarzystwa, ale w rzeczywistości wzorem starożytnych Rzymian po prostu testuje na sobie potrawy, które jej podajemy. Może powinnam mu być za to wdzięczna. Od tygodnia jedzą praktycznie to samo i jest zdrow jak ryba, podczas gdy jej stan wciąż się pogarsza. Skoro więc to ja dodaję wilczej jagody do tych posiłków, to dlaczego tylko ona podupada na zdrowiu?

- A co mówią lekarze o przyczynach choroby?

- Wszyscy, jak jeden mąż, są zdezorientowani. Najpierw sądzili, że to cukrzyca, a potem, że to posocznica. Teraz oba-

183

wiają się najgorszego i próbują leczyć ją tak, jakby cierpiała na cholere. - Pani Carstairs znowu pochyliła głowę, a gdy ją uniosła, oczy miała pełne łez. - Powiem panu coś straszne-

go, doktorze Watson. Jakaś cząstka mnie... życzy jej śmierci.

Nigdy nie myślałam w ten sposób o bliźnich, nawet o pierwszym mężu, gdy pił i bywał brutalny. Czasem jednak powraca do mojej świadomości myśl o tym, że gdyby zabrakło Elizy, nareszcie znaleźlibyśmy z Edmundem odrobinę spokoju.

Ona naprawdę robi wszystko, żeby nas rozdzielić.

- Chciałaby pani, żebym wrócił z nią do Wimbledonu? - spytałam.

- A zgodziłby się pan? - spytała uradowana. - Edmund nie chciał, żebym spotkała się z Sherlockiem Holmesem, i to z dwóch powodów. Jego zdaniem sprawa, która połączyła go z pańskim kolegą, jest już zamknięta. Człowiek z Bostonu, który go prześladował, nie żyje i wszelkie działania są zbędne. Poza tym mój mąż obawia się, że gdyby w naszym domu znowu pojawił się detektyw, Eliza utwierdziłaby się w przekonaniu o słuszności swoich podejrzeń.

- Pani zaś pomyślała, że...?

- Miałam nadzieję, że pan Holmes dowiedzie mojej niewinności.

- Jeśli to pomoże przywrócić pani spokój, z chęcią pojedę z panią do Wimbledonu - rzekłam. - Muszę uprzedzić, że jestem lekarzem ogólnym i moje doświadczenie jest dość ograniczone, za to wieloletnia współpraca z Sherlockiem Holmesem nauczyła mnie dostrzegać zaskakująco istotne detale. Być może więc zdołam zauważyć coś, co umknęło moim kolegom po fachu.

- Jest pan pewny, doktorze Watson? Byłabym tak bardzo

wdzięczna. Niekiedy wciąż jeszcze czuję się obca w tym kraju, to prawdziwe błogosławieństwo, że ktoś godzi się stanąć po mojej stronie.

Wyszliśmy razem. Wcale nie miałem ochoty opuszczać Baker Street, lecz jednocześnie wiedziałem, że niczego nie zyskam, siedząc w pustym mieszkaniu. Lestrade wprowadził działał w moim imieniu, ale wciąż jeszcze nie udzielo-

184

no mi zgody na odwiedzenie Holmesa w Holloway. Mycroft miał się pojawić w Klubie Diogenesa dopiero po południu.

Poza tym, wbrew temu, co mówiła żona marszanda, zagadka człowieka w kaszkiecie była jeszcze daleka od rozwiązania. Dlatego cieszyła mnie perspektywa ponownego spotkania z Edmundem Carstairssem i jego siostrą. Byłem wprawdzie nader marnym zastępcą Holmesa, lecz mimo to istniała możliwość, że zauważę lub usłyszę coś, co pomoże rozwikłać całą sprawę, a tym samym przyspieszy uwolnienie mojego przyjaciela.

Carstairs nie wyglądał na zachwyconego, gdy ujrzał mnie w holu swego domu, przyozdobionym gustownymi obrazami i tykającym z cicha zegarem. Właśnie wybierał się na lunch, ubrany w elegancki surdut, szary, satynowy fular oraz starannie wyglancowane buty. Jego cylinder i laska leżały już na stoliku przy drzwiach.

- Doktor Watson! - zawołał na mój widok, a potem zwrócił się do żony: - Zdawało mi się, że dobrze się zrozumieliśmy. Miałaś nie szukać pomocy u Sherlocka Holmesa.

- Nie jestem Holmesem - wtrąciłem.
- W rzeczy samej. Właśnie czytałem w gazecie, że pan Holmes znalazł się w nader kłopotliwym położeniu.
- Znalazł się w nim, badając sprawę, z którą pan do niego przyszedł.
- Sprawę dawno zakończoną.
- Jego zdaniem - nie.
- Zatem w tym się różnimy.
- Proszę cię, Edmundzie - przerwała nam pani Carstairs.

-

Doktor Watson był uprzejmy przyjechać tu ze mną aż z Londynu. Zgodził się przyrzeć Elizie i podzielić się z nami swoją opinią.

- Eliza była już badana przez kilku lekarzy.
- Zatem jeszcze jedna diagnoza nikomu nie zaszkodzi - odparła, biorąc męża pod ramię. - Nie masz pojęcia, jak trudne były dla mnie ostatnie dni. Proszę, mój drogi, nie sprzeciwiaj się. Może posłuży jej choćby to, że będzie mogła poskarżyć się komuś na swój los?

185

Carstairs ustąpił. Poklepał czule jej dłoń.

- Niech i tak będzie. Chwilowo jednak z wizyty nici - moja siostra wstała dziś dość późno i słyszałem, że bierze teraz kąpiel. Elsie jej towarzyszy. Minie co najmniej trzydzieści minut, zanim będzie pan mógł ją zobaczyć.
- Z przyjemnością zaczekam - odparłem. - Pozwolę sobie jednak wykorzystać ten czas: rozejrzę się w kuchni. Sko-

ro pańska siostra upiera się, że ktoś doprawia jej jedzenie, może nie od rzeczy będzie zwiedzić miejsce, w którym przygotowuje się posiłki.

- Naturalnie, doktorze Watson. I proszę mi wybaczyć tę oschłość sprzed chwili. Życzę panu Holmesowi jak najlepiej i cieszę się, że pana widzę. Rzecz w tym, że ten koszmar wprost nie ma końca. Najpierw Boston, potem moja nieszczęsna matka, zbrodnia w hotelu, a teraz jeszcze Eliza. Ledwie wczoraj kupiłem gwasz ze szkoły Rubensa - piękne studium Mojżesza nad Morzem Czerwonym. Teraz zaś zastanawiam się, czy nie dotyczą mnie plagi nie mniej dotkliwe od tych, które spadły na faraonów.

Zeszliśmy do przestronnej kuchni, tak pełnej garnków, patelni, dymiących kotłów i desek do krojenia, że w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, iż panuje tam nadzwyczajny ruch, choć w rzeczywistości niewiele się działo. Zastaliśmy tam trzy osoby, z których rozpoznałem jedną. Służący Kirby, ten sam, który podczas pierwszej wizyty otworzył nam drzwi Ridgeway Hall, siedział przy stole, smarując masłem kromki chleba na lunch. Niewysoka, rudowłosa niewiasta o bujnym ciele konsystencji puddingu stała przy palenisku, mieszając zupę, której aromat - wołowiny i warzyw - czuliśmy z daleka. Trzecią osobą był cwaniakowaty młodzik siedzący w kącie i leniwie polerujący sztućce. Kirby poderwał się z krzesła, gdy tylko weszliśmy, natomiast chłopak ani drgnął i tylko zerknął na nas przez ramię jak na intruzów, którzy nie mieli prawa zakłócać jego spokoju. Miał długie,

żółtawe włosy i z lekka kobiece rysy; wyglądał na osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Przypomniałem sobie, że Carstairs wspominał Holmesowi o bratanku żony Kirby'ego,

186

Pa tricku, który pomagał w kuchni - uznałem więc, że to właśnie on.

- Oto doktor Watson - przedstawił mnie Carstairs - który próbuje ustalić przyczynę choroby mojej siostry. Możliwe, że zechce zadać wam kilka pytań. Będę zadowolony, jeśli odpowiecie na nie szczerze i wyczerpująco.

Choć to ja wpadłem na pomysł odwiedzenia kuchni, teraz nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Postanowiłem zacząć od rozmowy z kucharką, która wydawała mi się najbardziej przystępna.

- Pani Kirby, prawda?

- Tak, proszę pana.

- To pani przygotowuje wszystkie potrawy?

-Wszystko szykujemy tutaj, proszę pana, ja i mój mąż.

Patrick obiera ziemniaki i pomaga zmywać, kiedy ma czas, ale wszelkie produkty przechodzą przez moje ręce. Jeśli jest w tym domu jaka trucizna, doktorze Watson, to na pewno nie znajdzie jej pan tutaj. Moja kuchnia lśni czystością, proszę pana. Raz w miesiącu szorujemy wszystko karbolem.

Może pan zajrzeć do spiżarni. Wszystko leży na swoim miejscu, a i świeżego powietrza nie brakuje. Wszystkie produkty kupujemy u miejscowych, nie trafia się nic nieświeżego.

- Jeśli wolno się wtrącić, panie doktorze, to nie jedzenie

jest przyczyną choroby panny Carstairs - odezwał się ponuro Kirby, spoglądając przelotnie na pana domu. - Pan i pani Carstairs jedzą to samo i czują się doskonale.

- Jeśli chce pan znać moje zdanie, w tym domu dzieje się coś dziwnego - dodała pani Kirby.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Margaret? - spytała pani Carstairs.

- Sama nie wiem, proszę pani. Chyba nic nie chcę powiedzieć. Tylko że okropnie się martwimy o zdrowie biednej panny Carstairs. Coś jest nie tak z tym domem, ale cokolwiek to jest, ja mam czyste sumienie. Spakowałabym manatki i wyniosłabym się nawet jutro, gdyby ktoś choć podejrzewał, że jest inaczej.

- Nikt pani o nic nie oskarża, pani Kirby.

187

- Ale co racja, to racja. W tym domu dzieje się coś złego. - Kuchenny wtrącił się do rozmowy po raz pierwszy, a ja, słysząc jego akcent, przypomniałem sobie słowa Carstairsa, który wspomniał, że chłopak pochodzi z Irlandii.

- Masz na imię Patrick, prawda? - spytałem.

- Tak jest, proszę pana.

- Skąd jesteś?

- Z Belfastu, proszę pana.

Oczywiście był to typowy zbieg okoliczności i nic ponadto, ale Rourke i Keelan O'Donaghue także pochodzili z Belfastu.

- Długo tu pracujesz, Patrick? - spytałem.

- Dwa lata. Przyjechałem tu na krótko przed panią Carstairs. - Chłopak uśmiechnął się krzywo, jakby powiedział żart zrozumiały tylko dla wtajemniczonych.

Właściwie nie była to moja sprawa, ale wszystko w jego zachowaniu - to, w jaki sposób siedział na stołku, ale także sposób mówienia - wydawało mi się rozmyślnie lekceważące. Dziwiłem się, że Carstairs pozwala mu na takie zachowanie. Jego żona była mniej tolerancyjna.

- Jak śmiesz odzywać się do nas w taki sposób, Patrick - powiedziała. - Jeśli coś insynuujesz, to miej odwagę powiedzieć to wprost. A jeśli nie jesteś tu szczęśliwy, to droga wolna.

- Podoba mi się tu w miarę, pani Carstairs, a w dodatku nie bardzo miałbym dokąd pójść.

- Cóż za bezczelność! Edmundzie, może ty przemówisz mu do rozumu?

Carstairs zawahał się, lecz zanim zdążył się odezwać, usłyszeliśmy dźwięk dzwonka. Kirby spojrzął na rząd dzwonek dla służby, wiszących na przeciwległej ścianie.

- To panna Carstairs, proszę pana - powiedział.

- Pewnie skończyła kąpiel - domyślił się marszand. - Możemy już pójść do niej na górę. Chyba że chciałby pan zadać więcej pytań, doktorze Watson.

-Ależ nie - odpowiedziałem szybko. Tych kilka, które zdążyłem zadać, do niczego nie prowadziło. Zniechęciło mnie to, bo nagle uświadomiłem sobie, że gdyby był

188

tu Holmes, pewnie już zdążyłby rozwiązać zagadkę. Co

wywnioskowałby z zachowania irlandzkiego kuchennego i jego relacji z domownikami? I co wypatrzyłby w kuchni? „Widzisz, Watsonie, ale nie dostrzegasz”. Powtarzał mi to często, a w tym momencie czułem, że są to słowa bardziej prawdziwe, niż były kiedykolwiek wcześniej. Nóż kuchenny na stole, zupa bulgocąca na kuchni, bażanty wiszące na haku w spiżarni, spuszczonego wzrok Kirby'ego, jego żona z dłońmi wspartymi na biodrach, uśmiechnięty Patrick... Czy wszystkie te szczegóły powiedziałyby mu więcej niż mnie? Bez wątplenia. Pokażcie Holmesowi kroplę wody, a wydedukuje istnienie Atlantyku. Pokażcie ją mnie, a zacząnę szukać kranu. Na tym właśnie polegała różnica między nami.

Wspięliśmy się po schodach aż na ostatnie piętro. Po drodze minęliśmy dziewczynę pędzącą w przeciwnym kierunku z misą i dwoma ręcznikami. Była to Elsie, pomywaczka. Przemknęła obok ze spuszczoną głową i nie zdążyłem spojrzeć na jej twarz. Chwilę później zniknęła.

Carstairs zapukał delikatnie do drzwi i zajrzał do sypialni siostry, by zapytać, czy przystanie na moją wizytę. Czekalem na zewnątrz, wraz z panią Carstairs.

- Zostawię tu pana, doktorze Watson - powiedziała. - Jeśli tam wejdem, moja szwagierka będzie niespokojna. Ale proszę, niech mnie pan zawiadomi, jeśli odkryje pan coś istotnego, co może mieć związek z jej chorobą.

- Naturalnie.

-I jeszcze raz dziękuję za przybycie. Czuję wielką ulgę,

mogąc uważać pana za mojego przyjaciela.

Usunęła się w cień dokładnie w chwili, gdy otworzyły się drzwi i Carstairs zaprosił mnie do środka. Wszedłem do niewielkiej, przytulnie urządzonej sypialni z wykuszem, niewielkimi oknami częściowo zasłoniętymi kotarami oraz z ogniem buzującym w kominku. Zauważyłem, że drugie drzwi kryją za sobą łazienkę; czułem też ciężki zapach lawendowej soli kąpielowej. Eliza Carstairs leżała w łóżku, podparta wysoko na poduszkach, ramiona okrywszy chu-

189

stą. Od razu zauważyłem, że od czasu mojej ostatniej wizyty w Ridgeway Hall bardzo podupadła na zdrowiu. Znać było w jej twarzy owo wycieńczenie, które obserwowałem często u moich najciężej chorych pacjentów. Jej oczy spoglądały smutno znad ostrych grani, w które zmieniły się jej kości policzkowe. Widziałem, że chesała włosy, ale i tak spoczywały w nieładzie wokół jej ramion. Dłonie leżące na kołdrze równie dobrze mogły należeć do nieboszczyka.

- Doktor Watson! - powitała mnie chrapliwym głosem. -

Czemu zawdzięczam tę wizytę?

- Pani bratowa prosiła mnie, bym przyjechał, panno Carstairs - odpowiedziałem.

- Moja bratowa życzy mi śmierci.

- Ja odniosłem inne wrażenie. Czy mogę zbadać pani puls?

- Może pan robić, co zechce. Wszystko mi jedno. A kiedy mnie zabraknie, niech pan wspomni moje słowa: Edmund będzie następny.

- Bądźże już cicho, Elizo! Nie wypada tak mówić - skarcił ją brat.

Jej puls był tak szybki, jakby ciało starało się jeszcze zwalczyć chorobę. Skóra miała nieco sinawy odcień, a gdy pomyślałem o innych objawach, o których mi doniesiono, zacząłem się zastanawiać, czy nie mają racji ci z moich kolegów, którzy sugerowali, że to cholera.

- Boli panią brzuch? - spytałem.

-Tak.

- A stawy?

- Czuję, że moje kości gniją.

- Jest pani pod opieką lekarzy. Jakie leki pani przepisali?

- Moja siostra zażywa laudanum - wtrącił Carstairs.

- Odżywia się pani?

- To właśnie jedzenie mnie zabija!

- Powinna pani jeść, panno Carstairs. Głodzenie się odbiera pani siły. - Cofnąłem dłonie. - Niewiele więcej mogę zaproponować. Proszę otwierać okna, żeby utrzymać cyrkulację powietrza. Naturalnie i czystość jest niezmiernie ważna.

- Kąpię się codziennie.

190

- Byłoby dobrze, gdyby także codziennie zmieniała pani odzież i pościel. Lecz przede wszystkim musi pani jeść.

Obejrzałem już kuchnię i wiem, że pani posiłki są przygotowywane tak, jak należy. Nie ma się czego obawiać.

- Ona mnie truje.

- Skoro ty jesz zatrute potrawy, to i ja! - wybuchnął Car-

stairs. - Proszę cię, Elizo! Czy naprawdę brak ci rozsądku?

- Jestem zmęczona. - Chora kobieta opadła na poduszki, przymykając oczy. - Dziękuję panu za tę wizytę, doktorze Watson. Otwierać okna i zmieniać bieliznę! Z tego, co widzę, musi pan być w ścisłej czołówce lekarskiej elity!

Carstairs poprowadził mnie w stronę drzwi i szczerze mówiąc, nawet byłem mu za to wdzięczny. Eliza Carstairs była nieuprzejma i złośliwa już podczas pierwszej wizyty, a choroba najwyraźniej jeszcze uwypukliła te cechy jej charakteru. Po chwili byliśmy już przy frontowych drzwiach.

- Ja również dziękuję panu za wizytę, doktorze Watson - powiedział Carstairs. - Rozumiem, co popchnęło moją drogą Catherine w kierunku pańskich drzwi. Mam też nadzieję, że pan Holmes wkrótce zdoła się uwolnić od kłopotów, które nań spadły.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. I już miałem wyjść, gdy coś jeszcze sobie przypomniałem.

- Jedno pytanie, panie Carstairs. Czy pańska żona potrafi pływać?

- Słucham? Cóż za niezwykle pytanie! Dlaczego to pana ciekawi?

- Mam swoje metody...

- Wobec tego odpowiem: Catherine wcale nie umie pływać. Co więcej, wręcz boi się morza i oznajmiła mi, że pod żadnym pozorem nawet nie zbliży się do wody.

- Dziękuję, panie Carstairs.

- Miłego dnia, doktorze Watson.

Drzwi zamknęły się za mną. Byłem zadowolony, że znalazłem odpowiedź na pytanie, które zadał sobie Holmes. Teraz już tylko musiałem ustalić, dlaczego w ogóle je zadał.

14

W ciemność

Liścik od Mycrofta już na mnie czekał, gdy powróciłem na Baker Street. Brat Holmesa miał być w Klubie Diogenesa wczesnym wieczorem; napisał, że jeśli zechcę się zjawić, przyjmie mnie z przyjemnością. Podróż do Wimbledonu i z powrotem mocno mnie zmęczyła, nie mówiąc o intensywnych przeżyciach z ostatnich dni... a ja nie potrafiłem już zdobyć się na wielki wysiłek fizyczny tak, by nie odezwał się przy tym ból w ranach, które zadano mi w Afganistanie. Mimo to postanowiłem po krótkim odpoczynku wyjść raz jeszcze z domu, doskonale bowiem wiedziałem, że z nas dwóch to Sherlock Holmes przeżywa teraz trudniejsze chwile, podczas gdy ja cieszę się swobodą. W tej sytuacji nie mogłem roztkliwiać się nad sobą. Możliwe, że Mycroft nie dałby mi drugiej szansy na spotkanie, a to dlatego, że był równie kapryśny jak korpulentny; zjawiał się i znikał jak przerośnięty duch w korytarzach władzy. Pani Hudson podała mi dość późny lunch, a gdy go zjadłem, zapadłem w krótką drzemkę w fotelu. Niebo już ciemniało, gdy wyszedłem i ruszyłem dorożką w stronę Pall Mail.

Spotkaliśmy się znowu w Sali Obcych. Od razu rzuciło mi się w oczy bardziej oficjalne zachowanie Mycrofta - gdy odwiedziłem go z Holmesem, był zupełnie inny. Rozmowę

zaczął bez zbędnych uprzejmości.

- Kiepska sprawa. Wręcz fatalna. Po co mój brat szukał u mnie rady, skoro nie był gotów jej przyjąć?

193

- Sądzę, że szukał informacji, nie rady - odparowałem.

- Słuszna uwaga. Skoro jednak nie mogłem ofiarować mu jednego, a mogłem drugie, wysłoby mu na zdrowie, gdyby wziął sobie do serca moje słowa. Ostrzegałem, że z tej sprawy nie wyniknie nic dobrego, ale... Taki już ma charakter, od najmłodszych lat. Zawsze był impulsywny. Nasza matka była podobnego zdania i często się obawiała, że Sherlock wpakuje się w końcu w poważne tarapaty. Gdyby dożyła chwili, w której postanowił zostać detektywem, uśmiechnęłaby się w duchu!

- Może mu pan jakoś pomóc?

- Zna pan odpowiedź na to pytanie, doktorze Watson.

Udzieliłem jej podczas naszego poprzedniego spotkania.

Nic nie mogę dla niego zrobić.

- Pozwoli pan, żeby go powiesili za morderstwo?

- Do tego nie dojdzie. Nie może dojść. Podjąłem już pewne dyskretne kroki i choć napotykam zdumiewająco duży opór, mój brat jest zbyt znaną osobą w kręgach bardzo wpływowych ludzi, by poważnie brać pod uwagę taką ewentualność.

- Trzymają go w Holloway.

- Słyszałem o tym. Ale dobrze o niego dbają, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w miejscu cieszącym się tak złą sławą.

- Co może mi pan powiedzieć o inspektorze Harrimanie?

- Dobry policjant, człowiek z zasadami i z nieskazitelnym przebiegiem służby.

- A pozostali świadkowie?

Mycroft zamknął oczy i lekko uniósł głowę, jakby smakował doskonałe wino. Potrzebował chwili do namysłu.

- Wiem, co pan sugeruje, doktorze Watson - odezwał się wreszcie. - Ale musi pan uwierzyć, gdy mówię, że mimo nierozsądnego zachowania mojego brata jego dobro wciąż leży mi na sercu i naprawdę pracuję nad tym, by dostrzec jakiś sens w tym, co się wydarzyło. Zbadałem już, niemałym kosztem, przeszłość doktora Thomasa Acklanda i lorda Horace'a Blackwatera. Z żalem muszę pana poinformować, że życiorysy tych ludzi nie budzą żadnych zastrzeżeń. Obaj

194

pochodzą z dobrych rodzin, obaj są samotni, obaj majątni. Nie łączy ich przynależność do żadnego klubu. Nie chodzili do tych samych szkół. Większą część życia spędzili oddaleni o setki mil. Poza tym, że spotkali się w Limehouse tej samej nocy, nie łączy ich absolutnie nic.

- Chyba że Dom Jedwabny.

- Właśnie.

- Ale pan mi nie powie, co to takiego.

- Nie powiem, ponieważ nie wiem. I właśnie z tej przyczyny uprzedzałem Sherlocka, by trzymał się z daleka od tej sprawy. Jeżeli istnieje jakieś bractwo lub towarzystwo w samym sercu rządu, o którym nie wiem absolutnie nic

i które jest tak tajne, że za samą wzmiankę o nim zostałem wezwany do Whitehall, to instynkt nakazuje mi odwrócić głowę i odejść, a nie dowodzić własnej głupoty, zamieszczając to przekłęte ogłoszenie w krajowej prasie! Powiedziałem mojemu bratu tyle, ile mogłem... a może nawet więcej, niż powinienem był.

- Co zatem teraz nastąpi? Pozwoli pan, żeby Sherlock stanął przed sądem?

- To, czy pozwolę czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia. Obawiam się, że znacząco przecenia pan moje wpływy. - Mycroft wyjął z kieszonki kamizelki puzderko z żółtawej skorupy i zażył odrobinę tabaki. - Mogę być jego adwokatem, nic więcej. Mogę przemawiać w jego imieniu. Jeśli okaże się to konieczne, zaświadczę o jego dobrym charakterze. - Musiałem wyglądać na rozczarowanego, ponieważ Mycroft schował tabakierę, wstał i podszedł do mnie. - Proszę nie tracić ducha, doktorze Watson - poradził mi. - Mój brat jest człowiekiem niezmiernie pomysłowym i nawet teraz, w najczarniejszej godzinie, może jeszcze pana zaskoczyć.

- Złoży mu pan wizytę? - spytałem.

- Chyba nie. Wprawiłbym go w zakłopotanie, a i dla mnie byłoby to raczej niezręczne posunięcie, które nie przyniosłoby żadnego pożytku. Pan natomiast musi mu powiedzieć, że zasięgał pan mojej opinii i że czynię, co w mojej mocy.

- Nie dopuszczą mnie do niego.

195

- Proszę jutro ponownie złożyć wniosek. W końcu muszą

go przyjąć; nie ma powodu, by go odrzucili - odparł, prowadząc mnie w stronę drzwi. - Mój brat ma wielkie szczęście, dysponując tak lojalnym sojusznikiem i znakomitym kronikarzem - dodał.

- Mam nadzieję, że jeszcze nie opisałem jego ostatniej przygody.

- Do zobaczenia, doktorze Watson. Za nic nie chciałbym okazać panu lekceważenia, zatem uprzedzę od razu: będę wdzięczny, jeśli nie będzie pan szukał kontaktu ze mną, chyba że sytuacja stanie się naprawdę dramatyczna. A teraz życzę panu miłego wieczoru.

Z ciężkim sercem powróciłem na Baker Street, gdyż Mycroft nie okazał się choćby w połowie tak pomocny, jak sobie tego życzyłem. Zastanawiałem się, jakąż to sytuację nazwałby „naprawdę dramatyczną”, jeśli nie tę, w której się teraz znaleźliśmy. Dobrze, że przynajmniej mogłem dzięki niemu liczyć na wstęp w mury Holloway. Wizyta w Klubie Diogenesa nie była czasem straconym, ale ból głowy i nieprzyjemne pulsowanie w ramieniu tylko przybrały na sile i czułem, że jestem u kresu sił. Nie był to jednak koniec owego długiego dnia. Gdy wysiadłem z powozu i ruszyłem w stronę tak dobrze znanych mi drzwi, drogę zaszedł mi niewysoki, mocno zbudowany mężczyzna o ciemnych włosach. Ubrany w czarny płaszcz, stanął nieruchomo na chodniku, spoglądając na mnie.

- Doktor Watson? - spytał.

-Tak?

Chciałem go ominąć, ale nieznajomy nie pozwolił mi na to.

- Panie doktorze, czy mógłbym prosić, aby udał się pan ze mną?

- W jakiej sprawie?

- W sprawie dotyczącej pańskiego przyjaciela, pana Sherlocka Holmesa, bo niby jakiej innej?

Teraz dopiero przyjrzałem mu się bliżej, a to, co zobaczyłem, nie wyglądało zachęcająco. Na pierwszy rzut oka wziąłbym go może za handlarza, może za krawca albo na-

196

wet za grabarza, w jego twarzy widać było bowiem jakby wystudiowany smutek. Miał grube brwi i obfity wąs przesłaniający górną wargę. Nosił czarne rękawiczki i czarny melonik. Gdy tak stał, unosząc się nieznacznie na palcach, nieomalże spodziewałem się, że lada chwila wyjmie z kieszeni miarkę. Tylko w jakim celu miałby mnie mierzyć? Do garnituru czy do trumny?

- Przynosi pan jakieś nowiny o Holmesie? - spytałem. -

Jeśli ma pan jakieś informacje o nim, chętnie posłucham.

- Nie przynoszę nowin, doktorze Watson. Jestem tylko pośrednikiem, bardzo pokornym sługą człowieka, który posiada wszelkie informacje. To właśnie on wysłał mnie z życzeniem, by złożył mu pan wizytę.

- Wizytę? Gdzie mianowicie? I kim on jest?

- Żałuję, ale nie wolno mi o tym mówić.

- Zatem obawiam się, że marnuje pan czas. Nie jestem już dziś w nastroju do wizyt.

- Pan nie zrozumiał, doktorze. Dżentelmen, dla którego pracuję, nie przesyła panu zaproszenia, tylko żąda, żeby pan się stawił. I z bólem wyznam, że nie toleruje odmowy. Sprzeciwiając się, popełniłby pan straszliwy błąd. Zechce pan spojrzeć w dół, sir? O, właśnie tu. Proszę się nie bać. Zapewniam, że jest pan całkiem bezpieczny. A teraz proszę, chodźmy tędy...

W zdumieniu cofnąłem się o krok, ponieważ spojrzawszy w dół, zobaczyłem w jego dłoni rewolwer wycelowany wprost w mój brzuch. Nie wiem, czy wyjął go w czasie naszej krótkiej rozmowy, czy celował we mnie od samego początku, ale miałem wrażenie, że dokonał nader nieprzyjemnej magicznej sztuczki i broń po prostu zmaterializowała się w jego rękach. Widać było, że czuje się z nią pewnie. Człowiek, który nigdy w życiu nie strzelał z rewolweru, trzyma go w szczególny sposób; zgoła inaczej zachowuje się ktoś doświadczony. Nie miałem kłopotu z określeniem, do której kategorii należy mój przeciwnik.

- Przecież nie zastrzeli mnie pan na środku ulicy - powiedziałem.

197

- Przeciwnie, doktorze Watson, polecono mi właśnie to zrobić, w przypadku gdyby postanowił pan sprawić mi kłopot. Bądźmy jednak szczerzy: myśl o zastrzeleniu pana jest dla mnie równie przykra jak dla pana. Być może przekona pana moje solenne przyrzeczenie, że nie zamierzamy pana skrzywdzić - nawet jeśli w tej chwili wygląda to zgoła ina-

czej. Tak czy owak, wkrótce doczeka się pan obszernych wyjaśnień, a wtedy pojmie pan bez trudu, dlaczego musieliśmy się uciec do takich, a nie innych metod działania.

Nieznajomy przemawiał w zdumiewający sposób: na pozór służalczo, a jednocześnie z lodowatą groźbą w głosie.

Poruszył rewolwerem, wskazując na czarny, dwukonny powóz czekający w gotowości, z woźnicą na koźle. Okna czterokołowca były z mlecznego szkła i zastanawiałem się, czy w niewidocznym wnętrzu czeka już człowiek, który żądał spotkania ze mną. Podeszedłem do wozu i otworzyłem drzwi.

Kabina była pusta, a jej wyposażenie eleganckie i najwyższej jakości.

-Jak daleko się udamy? - spytałem. - Moja gospodyni spodziewa się, że wrócę na kolację.

- Znacznie lepszą kolację zje pan tam, dokąd jedziemy.

A im prędzej pan wsiądzie, tym prędzej ruszymy w drogę.

Czy naprawdę był gotów zastrzelić mnie u drzwi domu?

Wierzyłem, że jest gotów to uczynić; wyglądał na nieustępliwego. A przecież mogło być i tak, że wsiądę do powozu, odjadę i nikt już nigdy o mnie nie usłyszy. Cóż mogłoby się stać, gdyby ów człowiek był wysłannikiem tych samych ludzi, którzy zamordowali Rossa i jego siostrę, a Holmesa unieszkodliwili w tak sprytny sposób? Zauważyłem, że wnętrze powozu wykończony jest jedwabiem, nie białym, ale perłowoszarą. Jednocześnie pamiętałem słowa nieznajomego o tym, że jego pryncypał posiada wszelkie informacje. Przemyslałem swoje położenie i doszedłem do wniosku,

że nie mam wyboru. Wsiadłem do powozu. Mężczyzna w czarnym płaszczu podążył za mną i natychmiast zamknął drzwi, ja zaś pojąłem, że w co najmniej jednej sprawie okazałem się głupcem. Zakładałem, że mleczne szkło ma prze-

198

szkodzić niepowołanym osobom w zaglądaniu do wnętrza, ale zamontowano je po to, bym nie mógł spoglądać na zewnątrz.

Mężczyzna zajął miejsce naprzeciwko mnie, rozległ się trzask bata i konie szarpnęły naprzód. Dostrzegałem za oknami jedynie bardzo rozmyty blask latarni gazowych, lecz i on zniknął na dobre, gdy wyjechaliśmy poza centrum miasta, kierując się, jak mi się wydawało, na północ. Sięgnąłem po leżący obok pled i okryłem nim kolana, jak zawsze bowiem w grudniowe noce przenikliwy chłód dawał mi się mocno we znaki. Mój towarzysz podróży nie odzywał się i wyglądał tak, jakby zapadł w sen, z mocno pochyloną głową i rewolwerem na kolanach. Kiedy jednak mniej więcej po godzinie jazdy wyciągnąłem rękę, by otworzyć okno w nadziei, że dostrzegę znajome szczegóły krajobrazu, drgnął natychmiast i pokręcił głową, jakby karmił niegrzecznego uczniaka.

- Doprawdy, doktorze Watson, spodziewałem się po panu nieco więcej. Mój pan podjął niemały wysiłek, by ukryć przed panem swój adres. Jest z natury bardzo skrytym człowiekiem. Proszę więc, by trzymał pan ręce przy sobie i nie próbował już otworzyć okna.

- Jak długo będziemy jeszcze jechać?

- Tak długo, jak to konieczne.

- Ma pan jakieś nazwisko?

- Owszem, mam, ale obawiam się, że nie mogę go panu zdradzić.

- A co może mi pan powiedzieć o swoim mocodawcy?

- Mógłbym o nim opowiadać bez przerwy, nawet gdybyśmy jechali aż na biegun północny, doktorze. To niezwykle człowiek. Tyle że nie byłby zadowolony z mojej gadatliwości. Im mniej powiem, tym lepiej.

Podróż dłużyła mi się nieznośnie. Jeśli wierzyć mojemu zegarkowi, trwała już dwie godziny, ale w żaden sposób nie potrafiłem odgadnąć, w jakim kierunku podążamy i jaki dystans pokonaliśmy. Przyszło mi na myśl, że być może krążyliśmy nieustannie, a cel podróży znajduje się całkiem blisko.

199

Przez większość czasu koła powozu toczyły się po gładkim asfalcie, ale od czasu to czasu głośny warkot świadczył o tym, że wjeżdżaliśmy na bruk. W pewnej chwili usłyszałem gdzieś nad nami odgłos lokomotywy parowej - musieliśmy przejeżdżać pod wiaduktem. To jednak były jedyne sygnały z zewnątrz; czułem się połknięty przez otaczającą nas ciemność, aż wreszcie zasnąłem i obudziło mnie dopiero szarpnięcie, gdy zahamowaliśmy. Nieznajomy pochylił się, by otworzyć drzwi.

- Pójdziemy prosto do domu, doktorze Watson - powiedział. - Zastosuje się pan do poleceń, które mi przekazano.

Nie zatrzyma się pan po drodze. Noc jest zimna i nieprzyjemna. Jeśli nie uda się pan wprost do domu, niestety, spotka pana śmierć.

Zerknąłem na wielki i mało przytulny budynek, którego frontowa ściana porośnięta była bluszczem, a ogród zdominowany przez chwasty. Mogliśmy równie dobrze być w Hampstead, jak w Hampshire - posiadłość otoczona była wysokim murem, a ciężkie, żelazne wrota już się za nami zamknęły. Gmach skojarzył mi się ze starym opactwem, głównie za sprawą charakterystycznych, zagłębionych okien, gargulców oraz wieżyczki sterczącej ponad dachem. Wszystkie okna na piętrze były ciemne; lampy dostrzegłem tylko na parterze. Drzwi zabudowanej werandy były otwarte, ale nikt nie wyszedł mi na powitanie, co zresztą wydało mi się całkiem normalne w tym ponurym miejscu, którego nawet w najbardziej słoneczne, letnie popołudnie nie nazwałbym urokliwym. Ponaglony przez towarzysza podróży, pospieszyłem do środka. Zamknął za mną drzwi domu z hukiem, który rozniósł się potężnym echem w mrocznych korytarzach.

- Tędy proszę. - Nieznajomy sięgnął po lampę. Ruszyłem za nim, mijając witrażowe okna, dębowe boazerie oraz obrazy tak pociemniałe i wyblakłe, że nie zauważyłbym ich, gdyby nie ozdobne ramy. Stanęliśmy u drzwi sali. - To tu. Zawiadomię go, że pan przyjechał. To nie potrwa długo. Proszę niczego nie dotykać i nie oddalać się stąd. Okazać

powściągliwość! - Przekazawszy mi te osobliwe zalecenia, wycofał się tym samym korytarzem, którym przyszliśmy. Znajdowałem się w bibliotece. W kominku płonęły szczapy drewna, a na gzymsie nad nim ustawiono świece. Okrążyły stół z ciemnego drewna, otoczony kilkoma krzesłami, zajmował centralne miejsce. Dostrzegłem też dwa okna zasłonięte ciężkimi kotarami oraz gruby dywan okrywający część drewnianej podłogi. Oceeniłem, że na regałach zgromadzono kilka setek tomów. Półki wznosiły się od podłogi aż po dość wysoki strop, a do najwyższych sięgnąć można było dzięki drabinie na kółkach, którą dało się przesuwac wzdłuż ścian. Wziąłem do ręki świecę, by przyjrzeć się grzbietom książek. Ktokolwiek był właścicielem tego zbioru, musiał świetnie znać francuski, niemiecki i włoski, wypatrzyłem bowiem nie tylko angielskie tytuły. Interesował się fizyką, botaniką, filozofią, geologią, historią i matematyką. O ile zdążyłem się zorientować, brakowało beletrystyki. Pomyślałem, że taki dobór prac przypadłby do gustu Sherlockowi Holmesowi. Sądząc po architekturze wnętrza, po kształcie kominka i po zdobieniach sufitu, stwierdziłem, że dom mógł powstać w siedemnastym wieku. Posłuszny instrukcjom, które otrzymałem, usiadłem na jednym z krzesel i wyciągnąłem ręce w stronę ognia. Przyjemnie było poczuć takie ciepło, bo nawet pled nie uratował mnie przed przemrznięciem do szpiku kości w podróży.

Naprzeciwko drzwi, którymi wszedłem do biblioteki, znajdowały się jeszcze jedne. Otworzyły się nagle i sta-

nął w nich męczyzna nieproporcjonalnie wysoki i szczupły, do tego stopnia, że musiał zgarbić się nieco, by wejść do środka. Miał na sobie ciemne spodnie, tureckie pantofle oraz aksamitny smoking. Gdy się zbliżył, zauważyłem, że jest zupełnie łysy, ma wysokie czoło oraz głęboko osadzone oczy. Poruszał się wolno, a patykowate ramiona złożył na piersi, jakby się bał, że rozleci się na części. Spostrzegłem, że biblioteka łączy się z laboratorium chemicznym, w którym pracował, gdy na niego czekałem. Za plecami gospodarza ujrzałem długi stół, na którym stały liczne probówki, retorty,

201
ty, flaszki, kwasoodporne butle oraz syczące palniki bunsenowskie. Męczyzna silnie pachniał chemikaliami, lecz choć bardzo mnie ciekawiła natura prowadzonych przezeń eksperymentów, wolałem o nic nie pytać.

- Doktorze Watson - odezwał się - muszę przeprosić za to, że kazałem panu czekać. Pewna delikatna sprawa wymagała mojej uwagi, ale na szczęście udało mi się ją z powodzeniem zakończyć. Czy zaproponowano panu wino? Nie? Underwood, choć niewątpliwie pilny w swej służbie, niestety nie należy do najbardziej gościnnych ludzi. Niestety, w mojej branży raczej trudno dobrać właściwych ludzi. Mam tylko nadzieję, że nałóżycie zaopiekować się panem podczas długiej podróży.

- Nie zdradził mi nawet swojego nazwiska.

- To mnie nie dziwi. Ja także nie zamierzam się przedstawiać. Ale dość o tym, pora jest dość późna, a mamy sprawy

do omówienia. Mam nadzieję, że zje pan ze mną kolację.

- Nie mam w zwyczaju ucztować z ludźmi, których nie znam nawet z nazwiska.

- Możliwe. Proponuję jednak, by wziął pan pod uwagę jedną kwestię: w tym domu może pana spotkać wszystko.

Gdybym rzekł, że jest pan całkowicie w mojej mocy, zabrzmiałoby to głupio i melodramatycznie, ale tak się składa, że to prawda. Nie wie pan, gdzie jesteśmy. Nikt nie widział pańskiego przyjazdu. Gdyby już nigdy nie miał pan opuścić tego miejsca, świat by się o tym nie dowiedział. Dlatego sugeruję, by spośród wszystkich opcji wybrał pan właśnie tę, która zapowiada się najprzyjemniej: kolację ze mną. Proszę nie liczyć na smakołyki, ale wino mamy przednie. Stół już zastawiony w sąsiednim pokoju. Proszę ze mną.

Poprowadził mnie z powrotem na korytarz i dalej, do sali, która musiała zajmować niemal całe skrzydło budynku. Na jednym końcu mieściła się galeria dla orkiestry, a na drugim ogromny kominek. Między nimi ciągnął się długi stół, przy którym pomieściłoby się i trzydzieści osób. Łatwo było sobie wyobrazić, jak w dawniejszych czasach zbierała się przy nim cała rodzina, przy dźwiękach muzyki i trzasku płomieni, by

202

raczyć się daniami wnoszonymi przez służbę w niekończącym się korowodzie. Tej nocy jednak jadalnia była pusta. Pojedyncza lampa z abażurem rzucała krąg światła na talerz zimnych wędlin, koszyk chleba i butelkę wina. Zanosiło się na to, że pan domu i ja będziemy jeść samotnie, otoczeni

mrokiem, toteż zająłem miejsce przy stole w poczuciu osaczenia i bez specjalnego apetytu. Mężczyzna także usiadł, garbiąc się lekko na krześle, które zdecydowanie nie zostało stworzone z myślą o istocie tak niezgrabnej jak on.

- Często myślałem o tym, że bardzo chciałbym pana poznać, doktorze Watson - zaczął mój gospodarz, zabierając się do jedzenia. - Być może to pana zaskoczy, ale od dawna bardzo pana podziwiam i posiadam wszystkie pańskie kroniki, co do jednej. - To mówiąc, otworzył egzemplarz „Cornhill Magazine”, który wcześniej położył na stole. - Właśnie skończyłem lekturę tego opowiadania, zatytułowanego „Copper Beeches”, i jestem zdania, że wykonał pan świetną robotę. - Mimo dziwacznych okoliczności tego spotkania, poczułem autentyczne zadowolenie, ponieważ właśnie z tej historii byłem szczególnie dumny. - Los panny Violet Hunter nie obchodził mnie zbytnio - ciągnął mój gospodarz - a Jephro Rucastle był najwyraźniej brutalem najpodlejszego sortu. Trudno mi uwierzyć, że dziewczyna była aż tak łatwowierna... Ale, jak zawsze, najbardziej zainteresował mnie pański opis pana Sherlocka Holmesa i jego metod. Jaka szkoda, że nie przybliżył pan siedmiu różnych rozwiązań zagadki, o których wspominał. To dopiero byłoby pouczające. Mimo to otworzył pan mechanizm wielkiego umysłu przed szeroką publicznością i za to powinniśmy być panu wdzięczni. Napije się pan wina?

- Dziękuję.

Napełnił dwa kieliszki, a potem dodał:

- Wielka szkoda że Holmes nie poświęcił się wyłącznie temu rodzajowi przestępczości, który nazwałbym zbrodnią domową. Motywy są tam nieistotne, podobnie jak ofiary... Rucastle nie został nawet aresztowany za swój udział w tej sprawie, choć zdaje się, że został mocno oszpecony?

203

- Potwornie.

- Być może to wystarczająca kara. Kiedy jednak pański przyjaciel zwraca się ku sprawom większego kalibru, ku wielkim przedsięwzięciom biznesowym organizowanym przez ludzi takich jak ja, przekracza pewną granicę i staje się uciążliwy. Obawiam się, że ostatnio popełnił właśnie tego typu błąd. Jeśli będzie to robił nadal, może się zdarzyć i tak, że się spotkamy, a mogę pana zapewnić, że nie byłaby to dlań korzystna okoliczność.

Wzdrygnąłem się mimowolnie, słysząc ostry ton ostatnich słów.

- Nie powiedział mi pan, jak się nazywa - odrzekłem. -

Może więc dowiem się chociaż, kim pan jest...

- Przede wszystkim matematykiem, doktorze Watson.

Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że moje prace z dziedziny teorii dwumianów są czytane na większości europejskich uniwersytetów. Jestem także, według pańskiego pojęcia, przestępcą, choć zdecydowanie wolałbym, żeby myślał pan o mnie inaczej: że uczyniłem ze zbrodni naukę. Staram się nie brudzić sobie rąk, zostawiam to ludziom pokroju Underwooda. Można powiedzieć, że zajmuję się myśleniem

abstrakcyjnym. Zbrodnie w najczystszej postaci jest bowiem abstraktem, tak jak muzyka. Ja aranżuję. Inni wykonują.

- A czego oczekuje pan ode mnie? Po co kazał mnie pan sprowadzić?

- Poza tym, że z przyjemnością zawarłem z panem znajomość? Otóż chciałbym panu pomóc. A mówiąc konkretniej - do pewnego stopnia sam siebie zaskoczę tym stwierdzeniem - chciałbym pomóc panu Sherlockowi Holmesowi. Ogromnie żałuję, że nie zwrócił uwagi na pewien drobiazg, który posłałem mu dwa miesiące temu, gdy chciałem go zaprosić, by przyjrzał się bliżej tej samej sprawie, która teraz przysporzyła mu takich problemów. Być może powinienem był zadziałać bardziej konkretnie.

- Co takiego pan posłał? - spytałem, choć znałem odpowiedź.

- Kawałek białej wstążki.

204

- Zatem i pan należy do Domu Jedwabnego!

- Nie mam z nim nic wspólnego! - W głosie gospodarza po raz pierwszy pojawił się gniew. - Proszę tego nie robić, sprawia mi pan zawód tak idiotycznymi sylogizmami. Niech je pan zachowa do swoich opowiadań.

- Ale wie pan, czym on jest.

- Ja wiem wszystko. Wiem o każdym występku, którego ktokolwiek dopuszcza się w tym kraju, nawet o tych najdrobniejszych. Mam swoich agentów w każdym mieście i na każdej ulicy. Są moimi oczami. I nigdy nie przestania ich

powieka. - Urwał, a ja czekałem cierpliwie na ciąg dalszy, ale on postanowił zmienić temat. - Musi mi pan coś obiecać, doktorze Watson. Musi mi pan przysiąc na wszystko, co dla pana najświętsze, że nigdy nie powie pan Holmesowi, ani nikomu innemu, o naszym spotkaniu. I nigdy pan o nim nie napisze. Po prostu nie wolno panu. Gdyby kiedykolwiek poznał pan moje nazwisko, musi pan udawać, że słyszy je po raz pierwszy i że nic ono dla pana nie znaczy.

- Skąd będzie pan wiedział, czy dotrzymam słowa?

- Wiem, że jest pan człowiekiem honoru.

- A jeśli odmówię?

Westchnął.

- Proszę postuchać. Życie Holmesa jest w wielkim niebezpieczeństwie. Co więcej, pański przyjaciel umrze w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, jeśli nie postąpi pan tak, jak panu każę. Tylko ja mogę panu pomóc, ale zrobię to na własnych warunkach.

- Zatem zgadzam się.

- Przysięga pan?

-Tak.

- Na co?

- Na moje małżeństwo.

- To za mało.

- Na moją przyjaźń z Holmesem.

Skinął głową.

- Teraz się rozumiemy.

- Zatem czym jest Dom Jedwabny? I gdzie go znajdę?

- Tego nie mogę panu powiedzieć. Chciałbym to zrobić, ale obawiam się, że Holmes musi tego dokonać samodzielnie. Dlaczego? Cóż, przede wszystkim dlatego, że wiem, iż jest do tego zdolny. Z wielkim zaciekawieniem przeczytałem o jego metodach śledczych, przyjrę się jego pracy. Im więcej o nim wiem, tym mniej jest dla mnie groźny. Jednak istnieje także motyw znacznie większego kalibru. Wyznałem już panu, że jestem przestępcą, ale cóż to właściwie oznacza? Tylko tyle, że istnieją pewne zasady regulujące życie społeczeństwa, lecz ja uważam je za zbyt ciasne i nie pozostaje mi nic innego, niż je zignorować. Znam niezmiernie szanowanych bankierów i prawników, którzy powiedzieliby panu dokładnie to samo. Wszystko jest kwestią granic. Ale na pewno nie jestem zwierzęciem, doktorze Watson. Nie morduję dzieci. Uważam się za cywilizowanego człowieka i wierzę, że istnieją i takie zasady, których łamać nie wolno. Co więc ma począć człowiek taki jak ja, gdy napotyka grupę, której zachowanie - przestępcze zachowanie - uznaje za absolutnie niedopuszczalne? Mógłbym panu powiedzieć kim są ci ludzie i gdzie można ich znaleźć. Mogłem to powiedzieć także policji. Niestety, taki czyn poważnie zaszkodziłby mojej reputacji wśród ludzi, których zatrudniam, a którzy są nieco mniej szlachetnej natury niż ja. Istnieje coś takiego jak kodeks przestępczy i wielu z nas traktuje go niezwykle poważnie. Ja także. Czy mam prawo osądzać moich kolegów-przestępców? Z całą pewnością nie życzyłbym so-

bie, by oni mnie oceniali.

- A jednak wystąpił pan Holmesowi pewien sygnał.

- Działiałem pod wpływem impulsu, co zresztą zdarza mi się nader rzadko. Niech więc to będzie dla pana sygnałem, jak bardzo byłem wzburzony. Tak czy inaczej, to był jednak kompromis i dobrze, że choć tyle mogłem zrobić. Gdybym zdołał zachęcić Holmesa do czynu, mógłbym pocieszać się myślą, że wykonałem tylko drobny gest i trudno mnie za to obwiniać. Gdyby jednak zignorował mój sygnał, nie miałbym sobie nic do zarzucenia. To powiedziawszy, muszę dodać, że nie ma pan pojęcia, jak bardzo żałowałem, iż wybrał 206

tę drugą formę działania, a raczej niedziałania. Jestem głęboko przekonany, że świat byłby lepszym miejscem, gdyby Dom Jedwabny nie istniał. Mam nadzieję, że jego czas wkrótce przeminie. I właśnie dlatego zaprosiłem pana do siebie.

- Co zatem może mi pan zaoferować, jeśli nie informacje?

- Dam panu to - odpowiedział, przesuwając ku mnie po stole jakiś drobny przedmiot.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem metalowy kluczyk.

- Co to jest? - spytałem.

- To klucz do jego celi.

- Co takiego? - Omal nie parsknąłem śmiechem. - Spodziewa się pan, że Holmes ucieknie? To ma być pański genialny plan? Chce pan, żebym mu pomógł uciec z Holloway?

- Nie rozumiem, dlaczego tak pana śmieszy ten pomysł, doktorze Watson. Zapewniam, że nie ma innego wyjścia.

- Koroner jeszcze się nie wypowiedział. Prawda wyjdzie na jaw.

Twarz mego gospodarza pociemniała.

- Pan nadal nie ma pojęcia, przeciwko jakim ludziom występuje. Zaczynam się zastanawiać, czy nie tracę tu czasu.

Powtórzę zatem jeszcze raz, najjaśniej jak się da: Sherlock Holmes nigdy nie opuści żywy Holloway. Rozprawa w biurze koronera odbędzie się w najbliższy czwartek, ale Holmes na nią nie dotrze. Jego wrogowie na to nie pozwolą. Zabiją go teraz, póki jest w więzieniu.

Byłem przerażony.

- W jaki sposób?

- Tego panu nie powiem. Otrucie lub uduszenie to bodaj najłatwiejsze metody, ale można też zaaranżować setkę rozmaitych „wypadków”. Nie wątpię, że znajdzie się sposób na to, by wyglądało to na zgon z przyczyn naturalnych. Ale proszę mi wierzyć, rozkaz już został wydany. Czas ucieka.

Podniosłem klucz.

- Skąd pan go ma?

- To nieistotne.

- Zatem niech pan mi powie, jak mam go dostarczyć Holmesowi? Nie dopuszczają mnie do niego.

207

- Musi pan znaleźć jakiś sposób. Ja nie mogę uczynić nic więcej, nie ujawniając przy tym swojego udziału. Inspektor Lestrade jest po pańskiej stronie. Proszę z nim porozmawiać. - Gospodarz wstał zniemacka i odsunął krzesło. - Są-

dzę, że nie pozostało mi już nic do powiedzenia. Im szybciej powróci pan na Baker Street, tym szybciej zacznę pan formułować plan działania - orzekł, a po chwili rozluźnił się nieco. - I jeszcze jedno. Nie ma pan pojęcia, jak wielką przyjemność sprawiło mi to spotkanie. I szczerze zazdroścę Holmesowi takiego biografa u boku. Ja także mógłbym się podzielić ze światem niejedną fascynującą historią. Zastanawiam się, czy pewnego dnia nie mógłbym skorzystać z pańskich usług. Nie? Cóż, to tylko luźna myśl... Pomijając jednak nasze dzisiejsze spotkanie, mam wrażenie, że zawsze istnieje możliwość, iż pojawię się kiedyś w pańskich utworach. Mam nadzieję, że potraktuje mnie pan sprawiedliwie. To były jego ostatnie słowa. Być może użył jakiegoś ukrytego urządzenia, bo w tej samej chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich Underwood. Dopilem wino, by wzmocnić się przed podróżą, a potem schowałem klucz i wstałem. - Dziękuję - rzekłem krótko.

Nie odpowiedział. Idąc w stronę wyjścia, obejrzałem się jeszcze przez ramię. Mój gospodarz siedział samotnie u szczytu wielkiego stołu, posiłając się apatycznie. Zaraz potem zamknęły się za mną drzwi. Jeśli nie liczyć przelotnego spotkania na Victoria Station dokładnie rok później, nigdy więcej nie zobaczyłem tego człowieka.

15

Więzienie Holloway

=*Droga powrotna do Londynu była pod pewnymi względami jeszcze mniej przyjemnym doświadczeniem niż wyjazd.

Wtedy byłem bowiem nieledwie jeńcem w rękach ludzi gotowych mnie skrzywdzić i przez pół nocy zmierzałem w nieznaną. Teraz zaś wracałem do domu i czekało mnie kilka godzin podróży, ale nieporównywalnie trudniej było mi zachować spokój. Holmes miał zostać zamordowany! Tajemnicze siły, których spisek doprowadził do jego uwięzienia, jeszcze nie zaspokoily swojego apetytu - tylko śmierć mojego przyjaciela mogła je zadowolić. Metalowy klucz, który mi ofiarowano, ścisnąłem w dłoni tak mocno, że mogłem wykonać jego kopię na podstawie śladu odcisniętego głęboko w skórze. Myślałem tylko o tym, jak dostać się do Holloway i ostrzec Holmesa o tym, na co się zanosi, a następnie pomóc mu w natychmiastowej ucieczce. Ale w jaki sposób miałem tam wejść? Inspektor Harriman dał nam jasno do zrozumienia, że zrobi wszystko, co w jego mocy, abyśmy się nie spotkali. Mycroft jednak zapewnił mnie, że w dramatycznej sytuacji będę mógł odwiedzić go raz jeszcze. Kiedy więc, jeśli nie teraz? Nie wiedziałem jednak, jak daleko sięgają jego wpływy. Czy kiedy wreszcie zdoła zapewnić mi wstęp do Holloway, nie będzie za późno?

Takie myśli kołatały się w mojej głowie, gdy za ślepych oknami powozu rozciągała się wyłącznie ciemność, a za jedynego towarzysza miałem milczącego Underwooda, któ-

209

ry tupał na mnie okiem z przeciwległego siedziska, podróż naprawdę ciągnęła się w nieskończoność. Co gorsza, jakąś cząstką duszy wyczuwałem, że ktoś próbuje mnie zwiędzić.

Nie miałem już wątpliwości, że krążymy w kółko, tylko po to, abym podejrzewał, że dziwną rezydencję, w której tego wieczoru jadłem kolację, dzieli od Baker Street wielka odległość. Dodatkowo mierzła mnie myśl, że gdyby to Holmes był na moim miejscu, z pewnością zwróciłby uwagę na niezliczone detale - daleki dźwięk kościelnych dzwónów, gwizd przejeżdżającego pociągu, zapach stojącej wody, zmiany nawierzchni pod kołami powozu, a nawet kierunek wiatru uderzającego raz po raz w szyby - i z ich pomocą nakreśliłby szczegółowy plan odbytej podróży. Ja jednak nie nadawałem się do takich popisów; mogłem jedynie czekać, aż blask lamp gazowych za szybami zaświadczy o tym, że wróciliśmy do miasta, a pół godziny później konie zwolnią bieg i wreszcie staniemy - i to będzie koniec tej wyprawy.

Gdy tak się wreszcie stało, Underwood otworzył przede mną drzwi i po drugiej stronie ulicy ujrzałem znajome drzwi.

-I oto bezpiecznie wraca pan do domu, doktorze Watson - powiedział. - Raz jeszcze przepraszam za niedogodność.

- Nieprędko o panu zapomnę, panie Underwood - odrzekłem.

Zdziwiony uniósł nieznacznie brwi.

- Mój pan zdradził panu moje nazwisko? A to ciekawe.

- Być może pan zdradzi mi jego?

- O, nie, łaskawy panie. Godzę się z tym, że jestem jedynie plamką farby na płótnie. W porównaniu z wielkością tego człowieka moje życie znaczy niewiele, lecz mimo wszystko

jestem doń przywiązany i chciałbym, żeby jeszcze trochę potrwało. Życzę panu dobrej nocy.

Wysiadłem. Underwood dał znak woźnicy i chwilę później powóz oddalił się z warkotem, szybko przyspieszając.

Nie dane mi było zaznać odpoczynku, już bowiem zacząłem obmyślać plan, dzięki któremu mógłbym bezpiecznie dostarczyć Holmesowi klucz wraz z wiadomością o nie-

210

uchronnym niebezpieczeństwie - to na wypadek, gdybym nie zdołał spotkać się z nim osobiście. Doszedłem do wniosku, że list napisany wprost nie spełni swojej roli. Nasi wrogowie byli ponoć wszędzie, zatem istniało ryzyko, że go przechwycą. Gdyby tego dokonali, gdyby się dowiedzieli, że znam ich plany, mogliby przyspieszyć ich realizację. Mogłem jednak przesłać mu wiadomości w jakiś sposób zakodowaną. Pytanie tylko, jak zawiadomić o tym Holmesa?

I jeszcze ten klucz... Jak go dostarczyć? I wtedy, rozglądając się po salonie, nagle znalazłem odpowiedź: była nią ta sama książka, o której rozmawialiśmy ledwie kilka dni wcześniej, Męczeństwo człowieka pióra Winwooda Reade'a. Czy istniał bardziej naturalny gest wobec przyjaciela, który został uwięziony? Czy mogłem przekazać mu dar bardziej niewinny niż lektura?

Tom był oprawiony w skórę i dość gruby. Obejrzawszy go dokładniej, z zadowoleniem stwierdziłem, że da się wsunąć klucz w szczelinę między grzbietem a zszytymi krawędziami stronic. Tak też uczyniłem, a następnie sięgnąłem

po świecę i ostrożnie wlałem воск z obu końców szczeliny, by klucz nie wypadł. Książka wciąż otwierała się normalnie i na pierwszy rzut oka nie było w niej nic niezwykłego. Umoczyłem pióro w atramencie i na stronie tytułowej napisałem „Sherlock Holmes”, a poniżej „Baker Street 122B”. Dla postronnego obserwatora wszystko było w najlepszym porządku, ale Holmes natychmiast rozpoznałby mój charakter pisma, a zaraz potem spostrzegłby, że porządek cyfr został odwrócony. Wreszcie otworzyłem książkę na stronie 122 i ołówkiem umieściłem pod wybranymi literami maleńkie, niemal niewidoczne gołym okiem kropki. Owe litery układały się w wiadomość:

Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Chcą cię zabić.

Użyj klucza do celi. Czekam. J.W.

Zadowolony ze swego dzieła wreszcie położyłem się do łóżka i zapadłem w niespokojny sen. Widziałem w nim niešťczęsną Sally leżącą na ulicy w kałuży krwi, białą jedwabną

211

tasiemkę na nadgarstku zamordowanego chłopca, a także człowieka o wysokim czole, spoglądającego na mnie ponad długim stołem.

budziłem się wczesnym rankiem i zaraz wysłałem wiadomość do Lestrade'a, znów domagając się pomocy w uzyskaniu wstępu do Holloway, bez względu na to, co ma w tej sprawie do powiedzenia inspektor Harriman. Ku swemu zdziwieniu wkrótce potem otrzymałem odpowiedź: miałem przyjść z wizytą do więzienia na godzinę piętnastą. Le-

strade pisał ponadto, że Harriman zakończył już wstępne dochodzenie i wyznaczono czwartkowy termin rozprawy u koronera, zatem zostały do niej tylko dwa dni. Za pierwszym czytaniem wzięłem te słowa za dobrą wiadomość, jednak wkrótce uświadomiłem sobie, że może się za nimi kryć złowroga prawda. Jeśli i Harriman był częścią spisku, jak to podejrzewał Holmes i jak sugerowało do tej pory wszystko w jego zachowaniu, a nawet wyglądzie, to nie można było wykluczyć, że usuwa się w cień z bardzo konkretnego powodu. Wszak mój gospodarz ostatniej nocy twierdził stanowczo, że proces Holmesa jest wykluczony. Czyżby więc zabójca miał uderzyć lada chwila? Czy Harriman wiedział, że jest już za późno, by cokolwiek uczynić?

Z trudem panowałem nad sobą tego ranka i wyjechałem z Baker Street na długo przed wyznaczoną godziną. Na Camden Road przybyłem o pół godziny za wcześnie. Wsiadłem z dorożki przed zewnętrzną bramą, a woźnica, mimo moich protestów, natychmiast odjechał, zostawiając mnie w chłodzie i mgle. Właściwie nie mogłem mieć do niego pretensji. Żadna chrześcijańska dusza nie miała ochoty przebywać tu dłużej, niż to konieczne.

Więzienie wzniesiono w gotyckim stylu; na pierwszy rzut oka przypominało wielkie i groźne zamczysko, rodem z bajki napisanej przez wyjątkowo przewrotne dziecko. Zbudowane z twardego piaskowca z Kent, strzelało ku niebu rzędem wieżyczek i kominów, a także masztami i mu-

rem zwieńczonym blankami, przy czym najwyższa z wież górowała nad całością i zdawała się ginąć w chmurach. Zaniedbana, błotnista ścieżka wiodła w stronę wejścia, które bodaj celowo zaprojektowano tak, by zniechęcało odwiedzających. Zaopatrzone je nie tylko w potężną, drewnianą bramę, ale i w opuszczaną kratę ze stali. Po obu stronach posadzono rzędy drzew, o tej porze roku nagich i wynędzniałych. Mur z cegieł, wysoki co najmniej na piętnaście stóp, otaczał cały kompleks, ale ponad jego szczytem widać było ścianę jednego ze skrzydeł więzienia i dwa najwyższe rzędy małych okien, których jednakowość i prostota sugerowały pustkę i beznadzieję życia toczącego się wewnątrz. Więzienie wzniesiono u podnóża pagórka, za którym ciągnęły się całkiem przyjemne dla oka pastwiska wznoszące się ku Highgate. To jednak był już inny świat, jakby na tę ponurą scenę opuszczono przypadkowo nie tę dekorację, która była potrzebna. Holloway wybudowano na terenie dawnego cmentarza i woń śmierci oraz rozkładu wciąż unosiła się nad tym miejscem, prześladowając tych, których tu zamknięto, i odstraszać tych, którzy żyli na zewnątrz.

Nie wiem, czy wytrzymałbym dłużej niż trzydzieści minut w tak ponurej scenerii, podczas gdy mój oddech zamarał w powietrzu, a przejmujący chłód wspinał się od moich stóp coraz wyżej. Wreszcie ruszyłem naprzód, kurczowo ściskając w dłoni książkę z kluczem ukrytym w grzbiecie. Gdy wchodziłem na teren więzienia, uświadomiłem sobie, że jeśli ktoś odkryje mój podstęp, to straszne miejsce może

stać się moim nowym domem. Myślę, że można uczciwie powiedzieć, iż co najmniej trzykrotnie złamałem prawo w towarzystwie Sherlocka Holmesa - choć zawsze z najsłabszych pobudek - lecz to zdecydowanie był punkt szczytowy mojej przestępczej kariery. O dziwo, nie denerwowałem się ani trochę. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że sprawy mogą przybrać zły obrót. Byłem całkowicie skoncentrowany na niedoli mego przyjaciela.

Zapukałem do niepozornych drzwi obok wielkiej bramy głównej i niemal natychmiast otworzył mi zaskakująco uprzej-

213

my, a nawet jowialny funkcjonariusz w granatowym mundurze, z pękiem kluczy wiszącym u szerokiego, skórzanego pasa.

- Proszę, szanowny panie, proszę wejść. Znacznie tu przyjemniej niż na zewnątrz, a zaiste nieczęsto można szczerze wygłosić takie twierdzenie.

Popatrzyłem, jak zamyka za mną drzwi na klucz, a potem podążyłem za nim przez dziedziniec, ku kolejnej bramie - mniejszej, ale równie dobrze zabezpieczonej. Zdążyłem już zwrócić uwagę na dziwaczną ciszę panującą w murach więziennych. Znużony kruk przysiadł na gałęzi drzewa, będąc bodaj jedyną żywą istotą w zasięgu wzroku. Niebo gwałtownie ciemniało, ale nie zapalono dotychczas ani jednej lampy. Miałem wrażenie, że pogrążam się w mroku, w samym środku świata pozbawionego kolorów.

Znaleźliśmy się w korytarzu i przez kolejne, tym razem otwarte drzwi, trafiliśmy do niedużej izby, w której stało biur-

ko i dwa krzesła. Za jedynym oknem widać było wyłącznie ceglany mur. Pod ścianą zauważyłem gablotę, w której powieszono na haczykach około pięćdziesięciu kluczy. Naprzeciwko mnie wisiał spory zegar. Przez chwilę przyglądałem się jego wskazówce, poruszającej się dostojnie, jakby chciała każdą pauzą podkreślić to, jak wolno płynie czas każdemu, kto tu zawita. Pod zegarem, za biurkiem, siedział strażnik ubrany podobnie jak ten, który mi towarzyszył, ale jego mundur zdobiły nieliczne złocenia, na epoletach i na czapce, symbolizujące wyższą rangę. Był to starszy mężczyzna o siwych, krótko ostrzyżonych włosach i stalowych oczach. Gdy mnie zobaczył, poderwał się czym prędzej i wyszedł zza biurka.

- Doktor Watson?

-Tak.

- Nazywam się Hawkins, jestem szefem straży w tym oddziale. Przyszedł pan z wizytą do pana Sherlocka Holmesa?

- Tak. - Wypowiedziałem to słowo, czując, jak ogarnia mnie zgroza.

- Przykro mi to mówić, ale dziś rano pański przyjaciel zachorował. Zapewniam, że zrobiliśmy wszystko, co się dało, by zapewnić mu warunki odpowiednie dla tak wybitnego

214

człowieka, całkiem nie zważając na ciężące na nim bardzo poważne zarzuty. Otrzymał celę z dala od innych więźniów. Osobiście odwiedzałem go kilka razy i miałem przyjemność rozmawiać z nim. Choroba pojawiła się nagle i natychmiast poddaliśmy pana Holmesa leczeniu.

- Co mu się stało?

- Nie mamy pojęcia. O jedenastej dostał lunch, a zaraz potem zadzwonił, domagając się pomocy. Moi ludzie znaleźli go zgiętego wpół na posadzce celi. Widać było, że cierpi. Poczułem lodowaty dreszcz w samym sercu. Właśnie tego się obawiałem.

- Gdzie on teraz jest? - spytałem.

- W infirmerii. Nasz oficer medyczny, doktor Trevelyan, dysponuje kilkoma izbami dla najciężej chorych więźniów. Przebadawszy pana Holmesa, zażądał przeniesienia go do jednej z nich.

- Muszę się z nim natychmiast zobaczyć - stwierdziłem. -
Ja także jestem lekarzem...

- Oczywiście, doktorze Watson. Czekałem na pana, zatem chodźmy.

Zanim jednak wyszliśmy z jego biura, wyczułem za sobą jakiś ruch. Drogę zagroził nam człowiek, którego poznałem lepiej, niżbym chciał. Jeśli inspektor Harriman usłyszał naszą rozmowę, to nie wyglądał na zaskoczonego nowinami. Wydawał się całkiem rozluźniony; opierał się swobodnie o ościeżnicę, z uwagą wpatrując się w złoty sygnet na swym środkowym palcu. Jak zawsze był ubrany na czarno, a w dłoni trzymał czarną laskę.

- Co tam znowu, Hawkins? - spytał. - Sherlock Holmes zachorował?

- Poważnie zachorował - przytaknął Hawkins.

- Cóż za fatalna wiadomość! - Harriman wyprostował

się. - Pewni jesteście, że to nie podstęp? Bo kiedy widziałem go dziś rano, był w doskonałym zdrowiu.

- Oglądaliśmy go obaj, mój oficer medyczny i ja. Zapewniam pana, inspektorze, że jest w ciężkim stanie. Właśnie mieliśmy do niego pójść.

215

- Wobec tego pójdę z wami.

- Muszę zaprotestować...

- Pan Holmes jest moim aresztantem, to ja prowadzę dochodzenie przeciwko niemu. Może pan protestować, ile się panu podoba, Hawkins, a zrobimy tak, jak powiedziałem. - Harriman uśmiechnął się złośliwie. Dowódca straży więziennej zerknął na mnie i zauważyłem, że choć jest porządnym człowiekiem, nie ośmieli się postawić na swoim. Ruszyliśmy więc we trzech w głąb więzienia Holloway.

Byłem w takim stanie umysłu, że pamiętam niewiele szczegółów, ale zostały jakieś urywki obrazów: masywny bruk pod nogami, skrzypiące bramy i huk ich zamykania, żaluzjowane okna zbyt małe i zbyt wysoko umieszczone, by można było coś przez nie zobaczyć, i wreszcie drzwi... tak wiele drzwi, niekończące się szeregi, wszystkie jednakowe i wszystkie skrywające jakąś wstydliwą historię ludzkiej niedoli. W więzieniu było zaskakująco ciepło, a powietrze przeniknęło osobliwy zapach - mieszanina woni owsianki, starych ubrań i mydła. Na kilku skrzyżowaniach korytarzy spotkaliśmy czuwających strażników, ale nie widziałem więźniów, jeśli nie liczyć dwóch sędziwych skazańców

dźwigających kosz z praniem.

- Niektórzy są na spacerunku, inni w kole deptakowym, a jeszcze inni wyrabiają pakuły - odpowiedział Hawkins na pytanie, którego nie zadałem. - Tu dzień zaczyna się wcześnie i wcześnie się kończy.

- Jeżeli Holmes został otruty, trzeba go natychmiast wysłać do szpitala - powiedziałem.

- Otruty? - Harriman posłyszał moje słowa. - A kto mówi o otruciu?

- Doktor Trevelyan istotnie podejrzewa silne zatrucie pokarmowe - wtrącił Hawkins. - Ale to zdolny lekarz. Zrobi wszystko, co w jego mocy...

Dotarliśmy do końca głównego bloku więziennego, w którym zbiegały się niczym łopaty wielkiego wiatraka cztery skrzydła kompleksu. Znaleźliśmy się w miejscu, które służyło jako centrum rekreacyjne. Wybrukowane kamieniem

216

z Yorkshire, nakryte było wyjątkowo wysokim stropem, a spiralne metalowe schody pozwalały wspiąć się na galerię biegnącą przez całą długość sali. Nad naszymi głowami rozpięta była sieć, tak aby nie można było zrzucić niczego z góry. Kilku mężczyzn w szarych, wojskowych drelichach sortowało stertę ubranek dziecięcych usypaną na stole, przy którym siedzieli.

- To dla dzieci ze szpitala Świętego Emanuela - wyjaśnił Hawkins. - Produkuje tu takie rzeczy.

Przeszliśmy pod łukowatą bramką i zaczęliśmy się wspi-

nać po stopniach. Nie wiedziałem już, gdzie się znajdujemy, i absolutnie nie byłbym w stanie samodzielnie wrócić tam, skąd przyszliśmy. Pomyślałem o kluczu, który niosłem bezpiecznie ukryty w książce. Nawet gdybym zdołał przekazać go Holmesowi, jaki miałby z niego pożytek? Potrzebowałby kilkunastu kluczy i dokładnego planu budynku, aby się stąd wydostać.

Ujrzałem przed nami podwójne, oszklone drzwi. Do nich także potrzebny był klucz. Gdy zostały otwarte, weszliśmy do spartańsko urządzonej, ale bardzo czystej sali bez okien. W suficie zauważyłem świetliki, a na dwóch stołach ustawionych pośrodku paliły się świece, na zewnątrz bowiem było już prawie ciemno. Pod ścianami stało osiem łóżek, w dwóch rzędach po cztery, z kołdrami w biało-niebieską kratę i pasiastymi poduszkami z surowej tkaniny bawełnianej. Zaraz ożyły wspomnienia, ponieważ sala ta przypominała mi szpital wojskowy, w którym przed laty często widziałem żołnierzy umierających bez słowa i z taką dyscypliną, jakiej oczekiwano po nich na polu walki. Tylko dwa łóżka były zajęte. Na jednym z nich leżał wychudzony, łysy mężczyzna, którego mętne oczy, jak oceniłem, spoglądały już na tamten świat. Drugie zajmowała jakaś skulona, drżąca postać, zdecydowanie zbyt mała, by mógł to być Sherlock Holmes.

Zza biurka, przy którym pracował, wstał mężczyzna ubrany w połatany i znoszony kitel. Gdy podszedł, by nas powitać, wydał mi się znajomy; teraz dopiero uświadomiłem sobie, że kojarzę też jego nazwisko. Był blady i umęczony,

nosił ciężkie okulary, a jego piaskowej barwy wąsiska zdawały się konać na wychudłych policzkach. Zgadywałem, że miał ponad czterdzieści lat, ale wydawał się starszy i bardziej nerwowy, zapewne za sprawą trudów życia. Smukłą, białą dłonią obejmował nadgarstek drugiej ręki; na palcu wskazującym i kciuku dostrzegłem krople atramentu z ciekącego pióra.

- Panie Hawkins - rzekł, zwracając się do szefa straży - nie mam nic do zameldowania, sir, poza tym, że obawiam się najgorszego.

- Przedstawiam panu doktora Johna Watsona - powiedział Hawkins.

- Doktor Trevelyan - przedstawił się, podając mi rękę. - Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać, choć żałuję, że w tak przykrych okolicznościach.

Byłem już pewny, że go znam, ale z jego słów oraz solidności uścisku jego dłoni wnosiłem, że nawet jeśli istotnie już się spotkaliśmy, to on z pewnością nie chce tego faktu teraz ujawnić.

- Czy to rzeczywiście zatrucie pokarmowe? - spytał Hariman, nie zadając sobie trudu przedstawienia się.

- Jestem zupełnie pewny, że w grę wchodzi jakaś trucizna - odparł doktor Trevelyan. - W jaki sposób została mu podana - tego niestety nie wiem.

- Podana?

- Wszyscy więźniowie w tym skrzydle otrzymują takie

same posiłki. Tylko on zachorował.

- Sugeruje pan nieczystą grę?

- Słyszał pan, co powiedziałem.

- No cóż, ja absolutnie w to nie wierzę. I powiem panu, doktorze, że spodziewałem się takich sztuczek. Gdzie jest pan Holmes?

Trevelyan zawahał się, a wtedy szef straży zbliżył się o krok.

- To inspektor Harriman, doktorze Trevelyan. Prowadzi sprawę pańskiego pacjenta.

- W tej chwili, dopóki przebywa w infirmerii, to ja zajmuję się sprawami mojego pacjenta - odparował lekarz. - Ale
218

nie widzę powodu, dla którego nie mieliby panowie go zobaczyć. Muszę jedynie prosić, by mu nie przeszkadzano. Jest w sąsiednim pokoju. Uznałem, że lepiej będzie odseparować go od pozostałych.

- Zatem nie traćmy już czasu.

- Rivers! - zawołał Trevelyan w kierunku chudego, przygarbionego jegomościa, który prawie niewidoczny zmiatał podłogę w kącie sali. Miał na sobie strój pielęgniarza, nie więźnia. - Klucze...

-Tak, doktorze Trevelyan. - Rivers poczłapał w stronę biurka, zabrał łańcuszek z kluczami i ruszył w stronę półkoliście zwieńczonych drzwi po drugiej stronie sali. Był wyraźnie chromy; powłóczył jedną nogą. Sprawiał przy tym wrażenie ponurego brutala, a długie i niesforne, rude włosy opadały mu aż na ramiona. Zatrzymał się przed drzwiami

i niespiesznie wsunął klucz do zamka.

- Rivers jest tu salowym - wyjaśnił półgłosem Trevelyan. -

Prosty z niego człowiek, ale przyzwoity. Nocą to on pilnuje infirmerii.

- Czy komunikował się z Holmesem? - spytał Harriman.

- Rivers rzadko się z kimkolwiek komunikuje, panie Harriman. A Holmes nie wypowiedział ani jednego słowa, odkąd go tu przywieziono.

Rivers w końcu przekręcił klucz. Zgrzytnęły zapadki w głębi zamka. Trzeba było także otworzyć dwie masywne zasuwki na zewnątrz, by otworzyć drzwi, za którymi ujrzelibyśmy ciasną, bez mała klasztorną celę o pustych ścianach, z kwadratowym oknem, łóżkiem i sedesem.

Łóżko było puste.

Harriman wskoczył do środka. Zerwał pościel. Przykłęknął i zajrzał pod łóżko. W tej celi nie można było się ukryć.

Pręty w oknie tkwiły na swoim miejscu.

- Czy to jakiś żart?! - ryknął. - Gdzie on jest? Co z nim zrobiliście?

Podszedłem do drzwi i zajrzałem do środka. Trudno było zaprzeczyć faktom: cela naprawdę była pusta. Sherlock Holmes zniknął.

219

16

Zniknięcie

Harriman poderwał się i omal nie rzucił na doktora Trevelyana. Po raz pierwszy zapomniał o starannie pielęgnowa-

nym sang-froid.

- Co mają znaczyć te sztuczki?! - wrzasnął. - Co pan tu wyczynia?

- Ja nie mam pojęcia... - zaczął zmieszany lekarz.

- Błagam, niech pan się opanuje, inspektorze Harriman. -
Szeef straży więziennej zdecydowanie stanął między nimi. -
Czy pan Holmes przebywał w tej celi?

- Tak jest - odparł Trevelyan.

- Zamkniętej z zewnątrz na klucz i na dwie zasuwę, jak
widzieliśmy przed chwilą?

- W rzeczy samej, sir. Tak nakazuje więzienny regulamin.

- Kto widział go jako ostatni?

- Zapewne Rivers. Na prośbę aresztanta zaniósł tam ku-
bek wody.

- Zaniósłem, ale on nie chciał pić - wymamrotał salowy. -
I nic nie powiedział. Tak sobie tylko leżał.

- Spał? - Harriman podszedł znowu do doktora Treve-
lyana i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy dzieliło ich led-
wie kilka cali. - Naprawdę chce mi pan wmówić, dokto-
rze, że Holmes był chory, czy może było tak, jak przypusz-
czałem od samego początku: że symulował, żeby się tutaj
dostać, a następnie wybrać właściwy moment i zwyczajnie
się ulotnić?

221

- Co się tyczy pierwszej ewentualności, to był chory, ponad
wszelką wątpliwość - doparł Trevelyan. - A przynajmniej
miał wysoką gorączkę i rozszerzone źrenice, a czoło złane

potem. Mogę o tym zaświadczyć, bo osobiście go badałem. Co do drugiej - nie mógł przecież tak po prostu wyjść z celi, jak pan to sugeruje. Na miłość boską, niech pan spojrzy na te drzwi! Były zamknięte z zewnątrz. Jedyne klucze do nich nigdy nie opuścił szuflady mojego biurka. Są też zasuw, które Rivers otworzył dopiero przed chwilą. A nawet gdyby jakimś niepojętym sposobem więzień wy dostał się z tego pomieszczenia, to jak pan sądzi, dokąd miałby się udać? Na początek musiałby się prześliznąć przez ten oddział, a ja siedziałem tu przez całe popołudnie. Drzwi, przez które panowie byli uprzejmi tu wejść, także pozostawały zamknięte na klucz. Zapewne co najmniej kilka innych zamków i zasuw dzieli nas jeszcze od głównej bramy więzienia. Chce pan mi wmówić, że przeniknął przez nie wszystkie?

- To prawda, inspektorze, nie da się tak po prostu wyjść z Holloway - zawtórował mu Hawkins.

- Nikt stąd nie ucieknie - wymamrotał Rivers i uśmiechnął się krzywo, jakby z żartu zrozumiałego tylko dla siebie. - Chyba że nazywa się Wood. Wyszedł stąd dziś po południu. Tyle że nie na własnych nogach. Ale jakoś mi się nie wydaje, żeby ktoś chciał go zapytać, dokąd się wybiera ani czy wróci.

- Wood? Kto to jest Wood? - spytał Harriman.

- Jonathan Wood przebywał w mojej infirmerii - odparł Trevelyan. - A ty lepiej nie kpij sobie z niego, Rivers. Zmarł ostatniej nocy i niespełna godzinę temu opuścił oddział w trumnie.

- W trumnie? Powiada pan, że wyniesiono z tej sali za-

mkniętą trumnę?

Widziałem, że policyjny detektyw intensywnie myśli, po chwili ja również uświadomiłem sobie, że było to najbardziej oczywiste i bodaj jedyne wyjaśnienie zagadki zniknięcia Holmesa. Harriman zwrócił się teraz do salowego.

- Czy trumna już tu była, kiedy poszedłeś po wodę?

- Możliwe.

222

- A czy Holmes został sam, choćby na kilka sekund?

- Nie, sir. Nawet na sekundę. Nigdy nie spuszczam go z oczu. - Rivers nerwowo przestąpił z nogi na nogę. - No, może przez chwilę zajmowałem się Collinsem, kiedy miał atak.

- Co ty wygadujesz, Rivers? - zawołał Trevelyan.

- Otworzyłem drzwi. Wszedłem do środka. Holmes smacznie spał na swoim łóżku. I wtedy Collins zaczął kaszleć. Postawiłem więc kubek z wodą i pobiegłem do niego.

- Co było dalej? Widziałeś jeszcze Holmesa?

- Nie, sir. Uspokoilem Collinsa, a potem wróciłem, żeby zamknąć drzwi.

Nastała długa chwila milczenia. Staliśmy tak, spoglądając po sobie, jakbyśmy chcieli się przekonać, który będzie miał odwagę przemówić jako pierwszy.

Padło na Harrimana.

- Gdzie ta trumna? - wykrzyknął.

- Musi zostać wywieziona poza mury - odparł Trevelyan. -

Wóz, który na nią czekał, zawiezie ją do zakładu pogrzebo-

wego w Muswell Hill - dodał, biegnąc po płaszcz. - Możliwe, że nie jest za późno. Jeśli zdążymy, możemy jeszcze zatrzymać wóz.

Nigdy nie zapomnę tego pochodu przez Holloway. Hawkins prowadził. Za nim kroczył dyszący wściekle Harriman. Trevelyan i Rivers podążali jego śladem. Ja szedłem ostatni, wciąż z książką i ukrytym kluczem w dłoni. Jakże śmieszne wydawały mi się teraz te rekwizyty - przecież nawet gdybym zdołał dostarczyć je mojemu przyjacielowi, w komplecie z drabiną i solidnym sznurem, i tak nigdy nie zdołałby wyrwać się stąd samodzielnie. My sami posuwaliśmy się naprzód tylko dlatego, że Hawkins dawał znaki strażnikom przy kolejnych przejściach. Drzwi otwierały się przed nami jedno po drugim. Nikt nie śmiał stanąć nam na drodze. Zdało się, że wracaliśmy inną drogą, bo tym razem minęliśmy pralnię, w której więźniowie harowali przy wielkich wannach, a także salę wypełnioną kotłami i plątaniną metalowych rur, dostarczających ciepło dla całej instytucji. Wresz-

223

cie wyszliśmy na małe, trawiaste podwórze i stanęliśmy, jak sądzę, przed bocznym wejściem. Dopiero tutaj strażnik zastąpił nam drogę, domagając się przepustki.

- Nie bądź pan cholernym durniem! - warknął Harriman. - Nie poznajesz własnego szefa straży?

- Otwierać! - dodał Hawkins rozkazującym tonem. - Nie ma ani chwili do stracenia.

Strażnik usłuchał i zaraz byliśmy już po drugiej stronie.

Gdy mijaliśmy bramkę, zacząłem się zastanawiać nad przedziwnymi okolicznościami, które umożliwiły mojemu przyjacielowi ucieczkę. Symulował chorobę i zdołał oszukać dobrze wyszkolonego lekarza. No cóż, to może nie było tak trudne. Mnie przecież złapał kiedyś na tę samą sztuczkę. Ale w jaki sposób trafił do infirmerii akurat wtedy, gdy dostarczono trumnę? Co więcej, wykorzystał moment, w którym pozostawiono otwarte drzwi, inny pacjent dostał ataku kaszlu, a umysłowo ociężały salowy wykazał się wyjątkową nieporadnością. Wszystko to wyglądało zbyt pięknie, by mogło być prawdą. Choć oczywiście nie ciążyła mi zbyt mocno ta myśl. Gdyby Holmes rzeczywiście znalazł cudowny sposób na wyrwanie się z tego miejsca, byłbym wręcz w siódmym niebie. Mimo to dręczyło mnie poczucie, że coś jest nie tak, że wysnuliśmy przedwczesny wniosek - być może dlatego, że właśnie tego życzył sobie Holmes.

Znaleźliśmy się na szerokiej, pociętej koleinami drodze biegnącej wokół więzienia, z jednej strony ograniczonej wysokim murem, a z drugiej - szpalerem drzew. Harriman krzyknął nagle i wskazał palcem na wóz stojący nieopodal. Dwaj ludzie właśnie ładowali nań spore pudło; sądząc po kształcie i rozmiarach, była to prowizoryczna trumna. Muszę wyznać, że widok ten nappełnił mnie poczuciem głębokiej ulgi. W owej chwili oddałbym bowiem niemal wszystko, by ujrzeć Sherlocka Holmesa i upewnić się, że jego choroba istotnie była symulowana i nie doszło do próby otrucia. Kiedy jednak pospieszaliśmy w stronę wozu, krótkotrwałą

euforię zastąpiło poczucie rozczarowania. Wiedziałem bowiem, że jeśli istotnie znajdziemy tam Holmesa, zostanie za-

224

wleczony z powrotem do więzienia, a Harriman postara się o to, by nigdy więcej nie nadarzyła się sposobność do ucieczki, a także o to, bym już nigdy nie zobaczył mego przyjaciela.

- Stać! - zawołał. Podbiegł do mężczyzn, którzy zdążyli już ustawić drewniane pudło ukośnie i oprzeć o wóz, a teraz sposobili się do wrzucenia go do środka. - Opuścić trumnę na ziemię! Chcę do niej zajrzeć. - Dwaj brudni i antypatyczni grabarze, ojciec i syn, jak się domyślałem, spojrzeli po sobie ze zdumieniem, ale usłuchali. Trumna spoczęła na żwirze. - Otworzyć ją!

Tym razem zawahali się. Inną sprawą było nosić trupa, a inną oglądać go na własne oczy.

- W porządku - uspokoił ich Trevelyan. O dziwo, właśnie w tym momencie uświadomiłem sobie, skąd go znam i gdzie się spotkaliśmy.

Nazywał się Percy Trevelyan i sześć lub siedem lat wcześniej pojawił się w naszym mieszkaniu przy Baker Street, pilnie potrzebując usług mego przyjaciela. Pamiętam, że miał pacjenta, niejakiego Blessingtona, który zachowywał się w osobliwy sposób, aż wreszcie został znaleziony martwy - powieszony we własnym pokoju. Policja uznała, że było to samobójstwo, lecz Holmes natychmiast odrzucił taką wersję wydarzeń... Dziwne było to, że nie rozpoznałem Trevelyana od razu, ponieważ w swoim czasie podziwiałem go

bardzo, a także znałem jego pracę o chorobach nerwowych, za którą zdobył nagrodę Bruce'a Pinkertona. Życie jednak nie było dlań łaskawe już wtedy, a od tamtej pory sytuacja musiała się jeszcze pogorszyć - postarzał się znacznie, a widoczna frustracja i przemęczenie sprawiały, że tym trudniej było go rozpoznać. O ile mnie pamięć nie myli, gdy go poznaliśmy, nie nosił okularów. Wyraźnie podupadł na zdrowiu. Lecz z całą pewnością to był on, zredukowany do roli więziennego lekarza, posady zdecydowanie poniżej jego kwalifikacji i zdolności. Przyszło mi do głowy - i wiem, że była to myśl radosna i podniecająca, choć bardzo starałem się to ukryć - że to właśnie on musiał mieć udział w ucieczce mego druha. Niewątpliwie miał dług wdzięcz-

225

ności u Holmesa. I z jakiej innej przyczyny miałby udawać, że mnie nie zna? Teraz zrozumiałem, w jaki sposób Holmes w ogóle trafił do tej trumny. Trevelyan musiał celowo zostawić go pod nadzorem salowego. Czy w normalnej sytuacji powierzyłby takiego więźnia człowiekowi tak nieodpowiedniemu do sprawowania odpowiedzialnej funkcji? Trumna musiała się znaleźć w pobliżu... Wszystko było starannie zaplanowane. Szkoda tylko, że ci dwaj pracowali w tak ślimaczym tempie - powinni już być w połowie drogi do Muswell Hill. Na nic zdała się pomoc Treveljana.

Jeden z mężczyzn przyniósł łom. Patrzyłem, jak wbija czubek pod wieko skrzyni. Pękło, ale i uniosło się, gdy naciśnął. Grabarze pochwycili je za krawędź i unieśli. Jak na ko-

mendę przystąpiliśmy o krok bliżej - Harriman, Hawkins,
Trevelyan i ja.

- To on - mruknął Rivers. - To Jonathan Wood.

Rzeczywiście. Wychudły osobnik o poszarzałej twarzy
spoglądający na nas z trumny z całą pewnością nie był Sher-
lockiem Holmesem i z całą pewnością nie żył.

Trevelyan doszedł do siebie jako pierwszy.

-Jasne, że to Wood - zawołał. - Przecież mówiłem, że
zmarł ostatniej nocy. Na zapalenie mięśnia sercowego. - Le-
karz skinął na grabarzy. - Możecie zamknąć trumnę i zabrać
go stąd.

-Ale gdzie jest Sherlock Holmes? - spytał z rozpaczą
Hawkins.

- Nie mógł opuścić więzienia! - odpowiedział Harri-
man. - Oszukał nas w jakiś sposób, ale bez wątpienia czai się
gdzieś w środku, czekając na sposobność ucieczki. Trzeba
wszczać alarm, niech pańscy ludzie przeszukają cały kom-
pleks, od piwnic po dach.

- To potrwa całą noc!

Twarz Harrimana była równie biała jak jego włosy. Obró-
cił się na pięcie, nie kryjąc wściekłości.

- Nie dbam o to! Choćby to miało trwać tydzień, trzeba
znaleźć tego człowieka!

226

- jednak nie znaleziono. Dwa dni później, gdy siedzia-
łem samotnie w mieszkaniu Holmesa, przeczytałem relację
z wydarzeń, których byłem świadkiem.

Policja nadal nie potrafi wyjaśnić tajemniczego zniknięcia słynnego detektywa-konsultanta, Sherlocka Holmesa, przetrzymywanego w więzieniu Holloway w związku ze sprawą morderstwa młodej kobiety przy Coppergate Square. Inspektor J. Harriman, który pracuje nad sprawą morderstwa, oskarżył władze więzienne o niedopełnienie obowiązków. Zarzut ten został naturalnie odrzucony przez wyżej wspomniane władze. Fakt jednak pozostaje faktem: pan Holmes zniknął ze swej celi i przeniknął przez kilkanaścioro zamkniętych drzwi w sposób, który zdaje się przeczyć prawom natury. Policja oferuje nagrodę wysokości 50 funtów dla każdego, kto dostarczy informacji, które pozwolą odnaleźć go i zatrzymać.

Pani Hudson zareagowała na tę dziwną sytuację ze zdumiewającą obojętnością. Naturalnie czytała artykuł, ale wypowiedziała się na ten temat tylko jednym, krótkim zdaniem, gdy podawała mi śniadanie:

- To same bzdury, doktorze Watson.

Sprawiała wrażenie osobiście urażonej i w pewien sposób wydaje mi się to, po tylu latach, bardzo pocieszające. Bezgranicznie wierzyła w swego najślawniejszego lokatora, bo też znała go chyba lepiej niż ktokolwiek inny. Odkąd u niej mieszkał, godziła się na wszystkie jego dziwactwa, zносиła jego zdesperowanych i często niepożądanych gości, nie protestowała przeciwko graniu na skrzypcach w środku nocy, przeciwko - nieczęstym na szczęście - wybrykom po przyjęciu roztworu kokainy, przeciwko długim niekiedy napadom

melancholii, przeciwko kulom wbitym w ściany czy choćby przeciwko chmurom fajkowego dymu. To prawda, że Holmes dobrze jej płacił, ale i tak docenić należy to, że nigdy się nie skarżyła i że pozostała lojalna aż do końca. I choć pojawiała się raz po raz na stronicach moich opowiadań, tak naprawdę wiedziałem o niej bardzo niewiele - nie miałem na przykład

227

pojęcia, w jaki sposób weszła w posiadanie nieruchomości przy Baker Street 221 (możliwe, że odziedziczyła ją po mężu, ale jaki los go spotkał - o tym nie mam pojęcia). Gdy Holmes odszedł, żyła samotnie. Żałuję, że nie rozmawiałem z nią wcześniej i że zawsze brałem jej życzliwą obecność za coś zupełnie oczywistego.

Tak czy inaczej, moją samotność owego ranka przerwało najpierw wejście naszej gospodyni, a wkrótce potem - niespodziewanego gościa. Wprawdzie słyszałem dzwonek u drzwi i kroki na schodach, ale pogrążony w myślach właściwie nie zwróciłem na te dźwięki uwagi. Nie byłem więc przygotowany na wejście wielbnego Charlesa Fitzsimonsa, pryncypała Szkoły dla Chłopców Chorley Grange, toteż powitałem go, jak mniemam, spojrzeniem kompletnie pustym, jakbym widział go po raz pierwszy. Prawdą jest jednak, że w identyfikacji nie pomógł mi jego strój - gruby, czarny płaszcz, kapelusz i szalik zawinięty wysoko pod brodą. W takim ubraniu wielbny wydawał mi się jeszcze bardziej krągły niż poprzednim razem.

- Proszę wybaczyć to najście, doktorze Watson - rzekł,

zdejmując wierzchnią odzież i odsłaniając koloratkę, która niewątpliwie ułatwiłaby mi rozpoznanie go na pierwszy rzut oka. - Nie byłem pewny, czy to dobry pomysł, ale poczułem, że jednak muszę tu przyjść... Po prostu muszę! Najpierw jednak chciałbym pana o coś spytać. Czy ta niewiarygodna historia pana Sherlocka Holmesa ma coś wspólnego z prawdą?

- Prawdą jest, że podejrzewają Holmesa o popełnienie zbrodni, choć jest całkowicie niewinny - odpowiedziałem.

- Ależ ja czytałem, że uciekł z więzienia, że jakimś cudem wyrwał się stróżom prawa.

- Tak, panie Fitzsimmons. Wyrwał się tym, którzy go niesprawiedliwie oskarżają. Jak tego dokonał - to pozostaje zagadką nawet dla mnie.

-I nie wie pan, gdzie on teraz jest?

- Nie mam pojęcia.

-A co z tym dzieckiem, Rossem? Ma pan o nim jakieś wiadomości?

228

- W jakim sensie?

- Czy już go odnaleziono?

Wielebny Fitzsimmons najwyraźniej nie trafił w gazetach na doniesienia o strasznej śmierci chłopca. Choć sprawa była niemałą sensacją, w relacjach pomijano imię i nazwisko Rossa. Dlatego też przykry obowiązek powiadomienia Fitzsimmonsa o jego śmierci spadł na mnie.

- Niestety, zbyt późno. Gdy odnaleziono Rossa, był już martwy.

- Martwy? Jak to się stało?

- Ktoś wyjątkowo brutalnie pobił go na śmierć. Porzucony, skonał na nabrzeżu, opodal Southwark Bridge.

Dyrektor szkoły zatrzepotał powiekami i opadł ciężko na krzesło.

- Wielki Boże! - wykrzyknął. - Kto mógł uczynić dziecku coś takiego? Co się dzieje z tym światem? Widzę, doktorze Watson, że niepotrzebnie się fatygowałem. Sądziłem, że być może pomogę panom w poszukiwaniach. Otóż natrafiłem na pewien trop... ściślej mówiąc, to moja droga żona, Joanna, odkryła coś ciekawego. Przyniosłem to ze sobą w nadziei, że być może zna pan miejsce pobytu pana Holmesa, przekaże mu ten dowód, a on, mimo własnych kłopotów, zdoła jakoś... - Fitzsimmons urwał. - Cóż, jest już za późno. Jaka szkoda, że ten chłopiec opuścił Chorley Grange. Czułem, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Jakież to dowód? - spytałem.

- Mam go tutaj. Jak już mówiłem, znalazła go moja żona, w dormitorium naszych wychowanków. Odwracała materace - czynimy to raz w miesiącu, by je przewietrzyć i zdezynfekować. Zdarza się, że chłopcy mają wszy, toczymy nieustanną wojnę z insektami. Tak czy owak, na łóżku zajmowanym dawniej przez Rossa sypia teraz inne dziecko, ale pod materacem znaleźliśmy to. - Fitzsimmons wyjął z kieszeni cienki zeszyt w poszarzałej i wymiętej okładce. Dziecięca ręka podpisała go ołówkiem:

- Gdy Ross do nas przyszedł, nie potrafił czytać ani pi-
sać, ale udało nam się wpoić mu przynajmniej podstawy.
Każde dziecko w naszej szkole dostaje zeszyt i ołówek. Jeśli
zajrzy pan do środka, przekona się pan, że Ross nie przy-
kładał się zbytnio do ćwiczeń; to straszne bazgroły, którym
poświęcał chyba sporo czasu. Kiedy jednak przyjrzelismy
się zeszytowi bliżej, znaleźliśmy to. Pomyślałem, że to zna-
czący ślad.

Fitzsimmons odnalazł środkowe strony i wyjął spomię-
dzy nich kartkę złożoną schludnie na dwoje. Najwyraźniej
wsunął ją do zeszytu celowo, by ją ukryć. Rozłożył ją teraz
na stole, a ja zobaczyłem, że jest to tandetna ulotka rekla-
mowa jednej z licznych atrakcji, które widywałem niegdyś
w okolicach takich jak Islington czy Cheapside, ale ostat-
nio zdecydowanie rzadziej spotykanych. Tekst, przyozdo-
biony rysunkiem węża, małpy oraz pancernika, brzmiał na-
stępująco:

Dom Cudów doktora Silkina

Karły, Żonglerzy, Otyła Dama

oraz Żywy Szkielet

Gabinet osobliwości z czterech stron świata

Wstęp: 1 pens

Jackdaw Lane, Whitechapel

- Naturalnie nie zachęcaliśmy chłopców do odwiedzania
takich miejsc - ciągnął wielebny Fitzsimmons. - Widowiska
z udziałem kalekich ludzi, dzikie potańcówki, amatorskie
teatryki za pensa... to zdumiewające, że tak wspaniałe mia-

sto jak Londyn toleruje rozrywkę tak niskiego lotu, tak wulgarną i sprzeczną z naturą. Pierwsze skojarzenie: Sodoma i Gomora. A jednak przychodzę z tym wszystkim do pana, doktorze Watson, choć możliwe jest, że Ross ukrył tę ulotkę tylko dlatego, że jej treść jest zasadniczo niezgodna z duchem Chorley Grange. Może był to z jego strony akt buntu? Jak już mówiła panu moja żona, był to nader krnąbrny chłopiec...

230

-Ale nie można wykluczyć i tego, że dla Rossa była to ważna sprawa - wtrąciłem. - Po tym, jak odszedł od państwa, znalazł schronienie u jakiejś rodziny w King's Cross, a potem u siostry. Nie wiemy jednak, co robił wcześniej. Niewykluczone, że miał styczność właśnie z takim środowiskiem.

- Właśnie. Pewien jestem, że warto przyjrzeć się tej sprawie, i właśnie dlatego zjawiłem się dziś u pana. - Fitzsimmons wstał i sięgnął po swoje rzeczy. - Czy istnieje możliwość, że jednak nawiąże pan kontakt z panem Holmesem?

- Wciąż mam nadzieję, że odezwie się do mnie w jakiś sposób.

- Wobec tego nalegam, by zainteresował go pan tym tropem. Dziękuję, że poświęcił mi pan trochę czasu, doktorze Watson. Jestem doprawdy zszokowany tym, co spotkało małego Rossa. Tej niedzieli będziemy się za niego modlić w szkolnej kaplicy. Nie, proszę mnie nie odprowadzać.

Znam drogę.

Włożył płaszcz i szalik. Wyszedł, a ja wpatrywałem się w ulotkę, którą mi przyniósł. Pozwoliłem, by moje oczy błądziły po krzykliwie wielkich literach i prymitywnych rysunkach, i pewnie przeczytałem wszystkie słowa dwa albo trzy razy, zanim dostrzegłem to, co powinno być dla mnie oczywiste od samego początku. Nie, nie było mowy o pomyłce. Dom Cudów Doktora Silkina*. Jackdaw Lane. Whitechapel. Właśnie odnalazłem Dom Jedwabny.

* Ang. silk - jedwab (przyp. tłum.).

17

Wiadomość

Moja żona powróciła do Londynu następnego dnia. Przysłała mi telegram z Camberwell, by mnie uprzedzić o swoich zamiarach, toteż gdy nadjechał jej pociąg, czekałem już na stacji przy wiadukcie Holborn. Muszę powiedzieć, że nie opuściłbym Baker Street z żadnego innego powodu. Wciąż byłem pewny, że Holmes spróbuje nawiązać ze mną kontakt, i dostawałem gęziej skórki na myśl o tym, że narazi się na wielkie niebezpieczeństwo i nie mały trud tylko po to, by mnie nie zastać w domu. Nie mogłem jednak pozwolić i na to, by Mary samotnie przebijała się przez miasto. Jedną z jej największych zalet była zawsze tolerancyjność, dzięki której mogłem spędzać tak wiele czasu w towarzystwie Sherlocka Holmesa. Nigdy nie usłyszałem z jej ust skargi, choć wiedziałem, że niepokoi się za każdym razem, gdy narażam się na niebezpieczeństwo. Uważałem, że winien jej jestem wyjaśnienia i tym razem, że powinna wiedzieć, co zaszło pod jej

nieobecność, i że niestety minie jeszcze trochę czasu, zanim na dobre wrócę do domu. Poza tym tęskniłem za nią i nie mogłem się doczekać spotkania.

Był to już drugi tydzień grudnia i po fatalnej pogodzie z początku miesiąca przyszedł czas na odrobinę słońca, a wraz z nią - choć chłód nie ustąpił - powrócił ludziom dobry humor. Pasaże wokół dworca pełne były rodzin przybywających z prowincji i przywożących dzieci o szeroko otwartych ze zdumienia oczach, w gromadach tak licznych,

233

że wystarczyłoby ich do zaludnienia niewielkiego miasta. Z ulic sprzątano resztki śniegu, a zamiatacze chodników znowu pojawili się tłumnie. Sklepy spożywcze przyozdobiono już jak na święta. W każdej witrynie reklamowano gęsie udka, pieczoną wołowinę i pudding, a powietrze przesycone było wonią karmelu oraz bakalii. Wsiadłszy z powozu, zacząłem torować sobie drogę w stronę stacji, zastanawiając się nad okolicznościami, które nie pozwoliły mi zanurzyć się w tym przedświątecznym klimacie i choć trochę skorzystać z atrakcji oferowanych przez miasto o tej porze roku. Być może właśnie to było jedną z ciemnych stron mojej przyjaźni z Sherlockiem Holmesem. Częściej bywałem w mrocznych miejscach, w których, prawdę mówiąc, nikt inny nie zjawiał się z własnej woli.

Na dworcu panował nie mniejszy tłok. Pociągi przyjeżdżały o czasie, a wtedy perony wypełniała gromada młodych mężczyzn dźwigających bagaże podróżnych; walczy-

li o klientów, lawirując w tłumie zwinniej niż Biały Królik Alicji. Pociąg Mary także już się zatrzymał. Gdy otwarto drzwi, przez dłuższą chwilę nigdzie nie mogłem jej dostrzec. Wreszcie zjawiła się na stopniach wagonu i w tej chwili wydarzyło się coś, co zaniepokoiło mnie przelotnie. Jakiś mężczyzna idący skrajem peronu zbliżył się do niej, jakby czegoś chciał. Widziałem go od tyłu i nie umiałbym go rozpoznać; zauważyłem jedynie, że miał niedopasowaną marynarkę i rude włosy. Odniosłem wrażenie, że odezwał się do Mary, ale zaraz potem wskoczył do pociągu i więcej go nie zobaczyłem. Być może było to tylko złudzenie. Gdy podszedłem do żony, uśmiechnęła się, a ja wziąłem ją w ramiona i razem ruszyliśmy w stronę wyjścia i czekającej na nas dorożki.

Mary miała mi wiele do powiedzenia o pobycie w Camberwell. Pani Forrester była zachwycona spotkaniem i od pierwszej chwili stały się bliskimi przyjaciółkami - dawna relacja między guwernantką a jej pracodawczynią odeszła w przeszłość. Chłopiec, Richard, mimo niedyspozycji okazał się uroczy, a gdy wrócił do sił, stał się też świetnym towarzy-

234

szem rozmów. Co więcej, okazało się, że jest wiernym czytelnikiem moich opowiadań! Sam dom niewiele się zmienił, nadal był wygodny i przytulny. Słowem - cała wizyta była sukcesem, jeśli nie liczyć lekkiej migreny oraz bólu gardła, który trapił moją żonę od kilku dni i nieco przybrał na sile wskutek podróży. Sprawiała wrażenie zmęczonej, a gdy

lekką ją nacisnąłem pytaniami, przyznała, że zaczyna czuć pewną ciężkość w nogach i w ramionach.

- Ale nie róbmy z tego afery, John. Wróć do sił, gdy tylko nieco odsapnę i napiję się herbaty. A teraz opowiadaj, co u ciebie? I cóż to za niesamowita historia z Sherlockiem Holmesem, o której ostatnio czytałam w gazecie?

Sam nie wiem, na ile powinienem obwinać się za to, że nie przebywałem wtedy Mary nieco dokładniej. Moje myśli krążyły jednak wokół innych spraw, ona zaś wyraźnie lekceważyła objawy. Zastanawiałem się też nad znaczeniem epizodu z nieznanym mężczyzną, który do niej zagadał. Możliwe zresztą, że nawet gdybym wiedział, co się święci, nie mógłbym temu zaradzić. Mimo to już do końca moich dni będę musiał żyć ze świadomością, że zbyt lekko potraktowałem to, co okazało się wczesnymi objawami tyfusu, przez który straciłem moją Mary tak wcześnie.

Gdy dorożka ruszyła, moja żona sama podjęła temat owego spotkania.

- Widziałeś może tamtego człowieka? - spytała.

- Tego przy wagonie? Owszem, widziałem. Odezwał się do ciebie?

- I to po nazwisku.

- Co jeszcze mówił? - spytałem wystraszony.

- Nic, tylko „dzień dobry, pani Watson”. Odniosłam wrażenie, że to jakiś prostak, może robotnik. Wcisnął mi to do ręki.

Pokazała mi mały, płócienny woreczek, który przez cały

czas ścisnęła w dłoni i o którym nieomal zapomniała, uradowana spotkaniem ze mną. Niosła go, gdy pośpiesznie opuszczaliśmy dworzec, a teraz podała go mnie. W środku znajdowało się coś ciężkiego i w pierwszej chwili pomyśla-

235
łem, że to monety, bo słyszałem metaliczny brzęk. Kiedy jednak rozwiązałem woreczek i wysypałem zawartość na dłoń, przekonałem się, że to tylko trzy żelazne gwoździe.

- A cóż to ma znaczyć? - spytałem. - Czy naprawdę nie powiedział ci ani słowa więcej? A może potrafiłabyś go opisać?

- Nie bardzo, mój drogi. Ledwie na niego spojrzałam, bo wypatrywałam już ciebie. Zdaje się, że miał kasztanowe włosy. No i brudną, nieogoloną twarz. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nic nie mówił? Nie prosił o pieniądze?

- Już ci mówiłam. Znał moje nazwisko, powitał mnie i to wszystko.

-Ale dlaczego, na Boga, ofiarował ci ten worek gwoździ? - Ledwie wypowiedziałem te słowa, już znałem odpowiedź. Cichy okrzyk zdumienia wyrwał się z moich ust. -

„Worek Gwoździ"! Oczywiście!

- O co chodzi, kochany?

- Zdaje się, Mary, że właśnie spotkałaś się z Holmesem.

- Ależ on wcale nie był do niego podobny.

- I o to mu właśnie chodziło!

- Czy ten woreczek gwoździ coś dla ciebie znaczy?

Znaczył, i to bardzo wiele. Holmes chciał, żebym wrócił do

jednego z dwóch pubów, które odwiedziliśmy, poszukując Rossa. Oba nosiły nazwę „Worek Gwoździ”, ale który z nich miał na myśli mój przyjaciel? Raczej na pewno nie ten drugi, w Lambeth, tam bowiem pracowała Sally Dixon i miejsce to było znane policji. Zatem ten pierwszy, pomyślałem, przy Edge Lane. Holmes bez wątpienia obawiał się, że ktoś go rozpozna; to wynikało jednoznacznie ze sposobu, jaki wybrał, by się ze mną skontaktować. Korzystał z przebrania, a nawet jeśli ktoś zauważyłby całe zdarzenie i postanowił zatrzymać Mary lub mnie na peronie, znalazłby przy nas co najwyżej płócienny woreczek z trzema gwoździami i żadnego dowodu na to, że przekazano nam jakąś informację.

- Moja droga, obawiam się, że będę musiał zostawić cię samą, gdy tylko powrócimy do domu - powiedziałem.

- Chyba nie grozi ci niebezpieczeństwo, John?

236

- Mam nadzieję, że nie.

Westchnęła.

- Czasem mam wrażenie, że bardziej ci zależy na panu Holmesie niż na mnie. - Dostrzegła grymas na mojej twarzy i zaraz poklepała mnie czule po ręku. - Och, tylko się z tobą droczę. Poza tym nie musisz jechać ze mną aż do Kensington. Możemy się zatrzymać przy najbliższym skrzyżowaniu. Sama wrócę do domu, a woźnica pomoże mi wnieść bagaże. - Zawahałem się, a wtedy spojrzała na mnie z powagą. - Idź do niego, John. Skoro posunął się do wykorzystania takiego sposobu, by przestać ci wiadomość, oznaczać to

musi, że jest w tarapatach i potrzebuje cię - jak zawsze. Nie możesz odmówić.

Pożegnaliśmy się i po chwili w biegu wyskoczyłem z do-
rożki, raz jeszcze biorąc życie w swoje ręce - i omal go nie
tracąc, ponieważ niewiele brakowało, a przejechałby mnie
omnibus pędzący Strandem. Przyszło mi bowiem do głowy,
że skoro Holmes obawia się, że jest śledzony, to może i ja po-
winienem postarać się, by nikt za mną nie szedł. Uskakując
przed powozami, dotarłem w końcu bezpiecznie na chod-
nik i rozejrzałem się, nim ruszyłem z powrotem w tę stronę,
z której nadjechaliśmy. Kluczyłem ulicami przez trzydzieści
minut, zanim dotarłem do najnudniejszej części Shoreditch.
Dobrze pamiętałem ten pub, tak zaniedbany, że niewiele le-
piej prezentował się w słońcu niż w gęstej mgle. Przesze-
dłem na drugą stronę ulicy i minąłem próg.

Tylko jeden człowiek siedział w sali pubu i nie był to Sher-
lock Holmes. Ku swemu wielkiemu zdumieniu, a nawet
przerażeniu, rozpoznałem w nim Riversa, salowego, który
pomagał doktorowi Trevelyanowi w więzieniu Holloway.
Naturalnie nie miał na sobie munduru, za to jego znakiem
rozpoznawczym pozostały tępe spojrzenie, głęboko osadzo-
ne oczy oraz szopa rudych włosów. Garbił się przy stoliku
nad szklaneczką porteru.

- Pan Rivers? - zawołałem niepewnie.

- Dołącz do mnie, Watsonie. Bardzo się cieszę, że znowu
się widzimy.

To był głos Holmesa. I w tym momencie zrozumiałem, w jaki sposób dałem się zwieść. Ucieczka mego przyjaciela z Holloway rozegrała się na moich oczach! Przyznaję, że omal nie padłem bez ducha na krzesło, które podsunął mi Holmes. Czułem się jak dziecko we mgle, patrząc na ten uśmiech, który tak dobrze znałem, promieniejący spod rudych peruki i makijażu. Na tym właśnie polegał cud przebrań Holmesa. Żadne teatralne sztuczki ani charakteryzacja na wielką skalę po prostu nie były mu potrzebne. Sekret polegał na jego zadziwiającej zdolności do wchodzenia w rolę postaci, którą chciał naśladować. Jak długo sam wierzył w jej wiarygodność, tak długo wierzyli w nią i widzowie - póki nie postanowił zrzucić maski. Było z nim trochę tak, jak z niewyraźnym punktem na dalekim horyzoncie. Czasem wydaje się, że kamień czy drzewo mają osobliwy kształt, na przykład zwierzęcia. Kiedy jednak zbliżamy się i poznajemy prawdę, więcej już nie damy się zwieść. Siadałem do stołu z Riversem. Teraz jednak miałem przed sobą Holmesa i było to zupełnie oczywiste.

- Powiedz mi... - zacząłem.

- Wszystko w swoim czasie, drogi druhu - wpadł mi w słowo. - Najpierw chcę mieć pewność, że nie byłeś śledzony.

- Co do tego nie mam wątpliwości.

- To dobrze, bo jeszcze przy wiadukcie Holborn podążało za tobą dwóch ludzi. Policjantów, sądząc po ich zachowaniu.

Bez wątplenia obaj działali na polecenie naszego przyjaciela, inspektora Harrimana.

- Nie zauważyłem ich. Za to bardzo się postarałem dyskretnie opuścić dorożkę, którą jechaliśmy z żoną. Nie pozwoliłem woźnicy całkiem zahamować, tylko w połowie Strandu wyskoczyłem na ulicę i przyczałem się za stojącym powozem. Zapewniam cię, że jeśli ci dwaj śledzili mnie od stacji, to teraz są już w Kensington i zastanawiają się, gdzie zniknąłem.

- Mój spolegliwy Watsonie!

- Ale skąd wiedziałeś, że moja żona wróci właśnie dziś? Jakim cudem w ogóle zjawiłeś się na stacji Holborn Viaduct?

238

- Nic prostszego. Podążałem za tobą już od Baker Street i dość szybko odgadłem, na który pociąg chcesz zdążyć. Wtedy wystarczyło tylko wyprzedzić cię nieco w tłumie.

- To dopiero pierwsze z wielu moich pytań, Holmesie, i niestety nalegam, byś zaspokoił moją ciekawość w pełni, bo od samego widoku ciebie w dobrym zdrowiu konam z ciekawości. Zacznijmy od doktora Trevelyana. Domyślałem się, że rozpoznałeś go i namówiłeś, by pomógł ci w ucieczce.

- Tak właśnie było. Doprawdy szczęśliwy to zbieg okoliczności, że nasz były klient znalazł zatrudnienie w więzieniu, choć jestem niemal pewny, że każdy porządny lekarz dałby się przekonać do mojej sprawy. Zwłaszcza po tym, jak stało się jasne, że ktoś zamierza mnie zamordować.

- Wiedziałeś o tym?

Holmes spojrzał na mnie z zaciekawieniem, a ja pojąłem, że jeśli mam dochować sekretu, jak to poprzysiągłem memu

tajemniczemu gospodarzowi ledwie dwie noce wcześniej, muszę udawać, że o niczym nie mam pojęcia.

- Spodziewałem się tego od chwili, gdy mnie aresztowano. Nie miałem wątpliwości, że dowody przeciwko mnie zaczną się kolejno wykruszać, gdy tylko zaczną składać zeznania, a moi wrogowie z pewnością na to nie pozwolą. Czekałem więc na atak w dowolnej postaci, a szczególnie starannie badałem jedzenie, które mi podawano. Wbrew powszechnemu przekonaniu, bardzo niewiele trucizn jest pozbawionych smaku, a z pewnością nie jest neutralny arsenik, którym próbowano mnie wykończyć. Wykryłem go w misce bulionu mięsnego, który dostałem drugiego wieczoru. Była to wyjątkowo głupia próba, Watsonie, za którą zresztą jestem wdzięczny naszym przeciwnikom, ponieważ dzięki niej zyskałem potrzebną mi broń.

- Czy i Harriman jest częścią spisku? - spytałem, daremnie starając się ukryć złość.

- Inspektor Harriman albo został hojnie opłacony, albo jest w samym sercu spisku, który odkryliśmy - skłaniam się raczej ku tej drugiej ewentualności. Zastanawiałem się, czy nie zgłosić się do Hawkinsa. Od pierwszej chwili mia-

239

łem wrażenie, że szef straży więziennej jest cywilizowanym człowiekiem; nie szczędził wysiłków ku temu, by mój pobyt w więzieniu nie stał się ani trochę mniej komfortowy niż to konieczne. Pomyślałem jednak, że jeśli alarm zostanie wszczęty zbyt wcześnie, to udaremni drugi, znacznie groź-

niejszy atak. Zamiast więc poskarżyć się Hawkinsowi, poprosiłem o spotkanie z oficerem medycznym, a kiedy przeniesiono mnie do infirmerii, z radością przekonałem się, że pracuje tam nasz dobry znajomy, co znacznie ułatwiło mi zadanie. Pokazałem mu próbkę zupy, którą w tym celu zachowałem, i wyjaśniłem kulisy sprawy. Dowiedział się, że aresztowano mnie pod fałszywymi zarzutami i że moi wrogowie nie chcą, bym żywy opuścił Holloway. Doktor Trevelyan był przerażony. Zresztą i tak byłby skłonny udzielić mi wsparcia, czuł się bowiem dłużnikiem od czasów tej sprawy przy Brook Street.

- Jak to się stało, że trafił do Holloway?

- Potrzeba życiowa, Watsonie. Jak pamiętasz, stracił pracę po śmierci swego stałego pacjenta. Trevelyan to błyskotliwy człowiek, ale szczęście nigdy mu nie sprzyjało. Po kilku miesiącach dryfowania posada w Holloway pozostała jedyną dostępną opcją - po prostu nie miał wyboru. Kiedyś musimy spróbować znaleźć dlań coś lepszego.

- Święte słowa, Holmesie. Ale mów dalej...

-I on w pierwszej chwili chciał powiadomić o wszystkim szefa straży, ale odwiódłem go od tego zamiaru, przekonując, że moi wrogowie są zbyt dobrze przygotowani i zbyt wysoko usytuowani. Choć odzyskanie wolności było dla mnie kluczową sprawą, to nie mogłem narażać osób postronnych; musiałem znaleźć bezpieczny sposób. Zaczęliśmy dyskutować na ten temat i wkrótce stało się dla nas jasne, że nie zdołam wyrwać się z więzienia za pomocą siły fizycznej.

Innymi słowy, kopanie tunelu czy wspinaczka po murach zdecydowanie nie wchodziły w grę. Miałbym do pokonania nie mniej niż dziewięćdziesiąt zamkniętych drzwi i bram, tyle bowiem dzieliło moją celę od świata zewnętrznego. Nawet w najdoskonalszym przebraniu nie mógłbym pokonać ich 240

wszystkich nie niepokojony. Co oczywiste, użycia przemocy w ogóle nie brałem pod uwagę. Rozmawiałem z Trevelyanem ponad godzinę, niepokojąc się nieustannie, czy nie pojawi się znowu inspektor Harriman, który odwiedzał mnie dość regularnie, starając się wydobyć ze mnie jakiegokolwiek zeznania, którymi dałoby się podeprzeć fałszywe dowody w tej absurdalnej sprawie.

W pewnej chwili Trevelyan wspomniał o Jonathanie Woodzie, nieszczęśniku, który większą część życia spędził w więzieniu i lada chwila miał skonać. Jego stan był beznadziejny, śmierci należało się spodziewać już najbliższej nocy. Trevelyan zaproponował, że po śmierci Wooda przyjmie mnie na oddział szpitalny, ukryje zwłoki więźnia, mnie zaś przemyci poza mury w jego trumnie. Taki był jego plan, który niemal od razu odrzuciłem. Zbyt wiele w nim było słabych punktów, wśród których nie najbliższym był fakt, że moi prześladowcy mogli już się zastanawiać, dlaczego trucizna podana mi w zupie nie zadziałała, a nawet podejrzewać, że ich przechytrzyłem. Trup opuszczający więzienie w tym samym momencie? Nie, to byłoby nazbyt oczywiste. Właśnie takiego posunięcia spodziewaliby się po mnie.

Podczas pobytu w infirmerii zwróciłem uwagę na salowego Rivera, a zwłaszcza na szczęśliwie charakterystyczne jego cechy: ogólną niechlujność i intensywnie rude włosy. Spostrzegłem wtedy, że wszystkie najważniejsze elementy - Harriman, trucizna i umierający człowiek - są na miejscu i odpowiednio je wykorzystując, można będzie zrealizować plan alternatywny. Powiedziałem Trevelyanowi, czego mi jeszcze potrzeba. Winien mu jestem wdzięczność, bo nie kwestionował mojego zdania, tylko uczynił wszystko, o co poprosiłem.

Wood skonał krótko przed północą. Trevelyan wszedł wtedy do mojej celi i powiedział, co zaszło. Wtedy dopiero udał się do domu po kilka drobiazgów, których potrzebowałem. Następnego ranka oznajmiłem, że mój stan się pogorszył. Trevelyan zbadał mnie i stwierdził poważne zatrucie pokarmowe, po czym przyjął mnie na oddział szpitalny, gdzie Wood czekał już na trumnę. Byłem tam, gdy ją

przyniesiono, a nawet pomagałem włożyć do niej ciało. Brakowało natomiast Rivera. Trevelyan dał mu dzień urlopu, ja zaś dostałem perukę i ubranie, dzięki któremu mogłem przeistoczyć się w Rivera. Trumnę zabrano krótko przed trzecią - teraz już wszystkie elementy mojego planu były na swoich miejscach. Muszę ci naświetlić pewną kwestię psychologiczną, Watsonie. Chcieliśmy, aby to Harriman wykonał za nas całą robotę. Po pierwsze, należało ujawnić moje niesamowite, niewytłumaczalne zniknięcie z doskonale za-

bezpiecznej celi. Następnie, i to natychmiast, trzeba było poinformować go o trumnie i nieboszczyku, który niedawno opuścił oddział. Nie miałem wątpliwości, że w takich okolicznościach Harriman natychmiast wyciągnie fałszywy wniosek - i tak właśnie się stało. Był tak pewny tego, że uciekłem w trumnie, że nawet nie spojrzał na tępego salowego, który najwyraźniej był odpowiedzialny za całe nieszczęście. Popędził w stronę wyjścia, w istocie ułatwiając mi zadanie. Sam rozkazał, by otworzono przed nim wszystkie drzwi. Sam unieszkodliwił wszystkie zabezpieczenia, które miały zatrzymać mnie w więzieniu.

- To prawda, Holmesie! - wykrzyknąłem. - I ja nawet na ciebie nie spojrzałem. Skupiałem się tylko i wyłącznie na trumnie.

- Muszę powiedzieć, że twoje przybycie było w tym wszystkim jedyną ewentualnością, której nie wziąłem pod uwagę. Obawiałem się, że możesz na przykład przyznać się do znajomości z doktorem Trevelyanem. Ty jednak spisałeś się wspaniale, Watsonie. Powiedziałbym nawet, że twoja obecność - oraz szefa straży więziennej - dodatkowo zmotywowała Harrimana do pogoni za trumną, która lada chwila miała odjechać w nieznane.

Holmes opowiadał to wszystko z takim błyskiem w oku, że potraktowałem jego słowa jak komplement, choć doskonale wiedziałem, jaką rolę odegrałem w rzeczywistości w tej przygodzie. Holmes, podobnie jak aktor na scenie, lubił mieć publiczność, a im była liczniejsza, tym łatwiej odgrywał swoją rolę.

-Ale co teraz zrobimy? - spytałem. - Jesteś zbiegiem.

Twoje nazwisko zostało skalane. Sam fakt, że postanowiłeś uciec, pomoże przekonać świat, że istotnie jesteś winowajcą.

- Malujesz ponury obraz, Watsonie. Ja zaś powiedziałbym, że okoliczności są teraz nieporównywalnie korzystniejsze niż w zeszłym tygodniu.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- Nie mówiłem ci? W całym Londynie wynajmuję pokoje specjalnie na taką ewentualność. Mam też jeden niedaleko stąd i zapewniam cię, że jest znacznie lepiej wyposażony niż cela, którą niedawno opuściłem.

- Mimo to, Holmesie, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mimowolnie pozyskałeś wielu nowych wrogów.

- Istotnie, na to wygląda. Musimy zadać sobie pytanie, co łączy tak na pozór odrębne jednostki, jak lord Horace Blackwater, potomek jednego z najstarszych angielskich rodów, doktor Thomas Ackland, dobroczyńca Szpitala Westminsterskiego, oraz inspektor Harriman, od piętnastu lat wzrostowy funkcjonariusz Policji Metropolitalnej. Oto pytanie, które zadaję ci w umiarkowanie sympatycznym sąsiedztwie Old Bailey: co ci trzej ludzie mają wspólnego? Po pierwsze, wszyscy trzej są mężczyznami. Wszyscy są raczej zamożni i dobrze ustosunkowani. Gdy mój brat Mycroft wspominał o skandalu, pomyślałem, że właśnie tacy ludzie mogliby ucierpieć. A propos niczego - wróciłeś do Wimbledonu, jak rozumiem?

Nie miałem bladego pojęcia, skąd albo od kogo Holmes o tym wiedział, ale nie było czasu na wypytywanie o takie drobiazgi. Przytaknąłem więc tylko, a potem opowiedziałem o okolicznościach mojej wizyty. Szczególnie ożywił się na wieść o gwałtownym pogorszeniu stanu zdrowia Elizy Carstairs.

- Mamy tu do czynienia z umysłem o wyjątkowej przebiegłości i wyjątkowym okrucieństwie, Watsonie. Rzecz, o której wspominałeś, bardzo mnie zabolęła. Gdy tylko załatwimy pilniejsze sprawy, bezwzględnie musimy złożyć Edmundowi Carstairsowi jeszcze jedną wizytę.

243

- Sądzisz, że wszystkie te wątki jakoś się łączą? - spytałem. - Zupełnie nie pojmuję, w jaki sposób sprawa bostońska i śmierć Keelana O'Donaghue w londyńskim pensjonacie mogą się łączyć z całą tą okropną aferą, którą teraz rozpracowujemy.

- Jest tak wyłącznie dlatego, iż przyjąłeś założenie, że to Keelan O'Donaghue nie żyje - odparował Holmes. - No cóż, wkrótce będziemy wiedzieli znacznie więcej. Siedząc w Holloway, zdołałem wysłać wiadomość do Belfastu...

- Dali ci dostęp do telegrafu?

-Ja nie potrzebuję usług pocztowych, Watsonie. Świat przestępczy działa szybciej i taniej, a jest dostępny dla każdego, kto znajdzie się po niewłaściwej stronie prawa. W moim skrzydle odbywał wyrok pewien fałszerz nazwiskiem Jacks. Poznałem go na spacerniaku, a został zwolniony dwa dni

temu. Przekazałem mu pewne pytanie, a gdy tylko otrzymam odpowiedź, wrócimy razem do Wimbledonu. Tymczasem zaś przypominam, że nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie.

- Co łączy tych pięciu ludzi? Odpowiedź jest oczywista:

Dom Jedwabny.

- Ale czym on jest?

- Tego niestety nie wiem, ale sądzę, że mogę ci powiedzieć, gdzie go znajdziemy.

- Watsonie, zdumiewasz mnie.

- Ty jeszcze nie wiesz?

- Wiem od pewnego czasu. Niemniej jednak chętnie dowiem się, do jakich wniosków doszedłeś i na podstawie jakich przesłanek.

Tak się szczęśliwie złożyło, że miałem przy sobie ulotkę.

Rozłożyłem ją teraz i pokazałem przyjacielowi, streszczając jednocześnie przebieg mojej rozmowy z wielebnym Charlesem Fitzsimmonsem.

- „Dom Cudów doktora Silkina” - przeczytał na głos

Holmes. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, a potem się rozpromienił. - Ależ oczywiście! Właśnie tego szukali-

śmy. Raz jeszcze muszę ci pogratulować, Watsonie. Widzę,

244

że nie marnowałeś czasu, podczas gdy ja leniłem się w odosobnieniu.

- Spodziewałeś się właśnie tego adresu?

- Jackdaw Lane? Niezupełnie. Mimo to jestem przekona-

ny, że znajdziemy tam wszystkie odpowiedzi, których nam trzeba. Która jest godzina? Prawie pierwsza. Uważam, że lepiej będzie wybrać się w takie miejsce pod osłoną nocy. Czy będziesz mógł spotkać się tu ze mną powiedzmy za cztery godziny?

- Z radością, Holmesie.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Proponuję, żebyś zabrał ze sobą służbowy rewolwer, Watsonie. Czeką nas długa i niebezpieczna noc.

18

Wróżbitka

Zdarzają się, jak sądzę, takie chwile, kiedy człowiek wie, że dotarł do końca długiej podróży, gdy świadom jest - choć jeszcze nie widzi ostatecznego celu - że wystarczy mu skręcić za najbliższy róg, że kres drogi jest tuż-tuż. Tak właśnie czułem się w chwili, gdy po raz drugi tego dnia zbliżałem się do pubu „Worek Gwoździ”. Dochodziła siedemnasta, słońce już zaszło, a nad miastem zapadał nieprzyjemny, lodowaty zmrok. Mary spała, gdy dotarłem do domu, a ja nie zamierzałem jej przeszkadzać. Stojąc w gabinecie, wążąc rewolwer w dłoni i sprawdzając zawartość bębena, zastanawiałem się, co pomyślałby o tej scenie przypadkowy obserwator: oto szanowany lekarz z Kensington zbroi się i szykuje do wyprawy przeciwko tajemnemu spiskowi, splamionemu morderstwem, torturami, porwaniem i jawną drwiną z wymiaru sprawiedliwości. Wsunąłem broń do kieszeni, sięgnąłem po płaszcz i wyszedłem z domu.

Holmes pozbył się już przebrania, poprzestając na kapeluszu i szaliku, którym przesłonił dolną połowę twarzy. Zamówiliśmy dwie brandy dla kurażu i ochrony przed wieczornym chłodem. Nie byłbym zbyt zdziwiony, gdyby złapała nas śnieżycą, gdy się bowiem zjawiłem na miejscu, w powietrzu wirowały już pierwsze białe płatki niesione wiatrem. Prawie się nie odzywaliśmy, ale pamiętam, że gdy wznieśliśmy kieliszki, Holmes spojrzał na mnie i dostrzegłem w jego oczach całą tak dobrze znaną mi stanowczość

247

oraz figlarne błyski. Zrozumiałem, że i on pragnie nareszcie zakończyć tę sprawę.

- A zatem, Watsonie...?

- Tak, Holmesie. Jestem gotów.

- Ogromnie się cieszę, że raz jeszcze możesz mi towarzyszyć.

Dorożka zawiozła nas do wschodniej części Londynu.

Wysiedliśmy przy Whitechapel Road, by pieszo pokonać niewielki dystans dzielący nas od Jackdaw Lane. Latem wędrownie cyrki czy gabinety osobliwości można było spotkać w całym kraju, lecz gdy tylko nadchodziły chłody, zjeżdżały do dużych miast. Słynęły przede wszystkim z tego, że były otwarte do późna, oraz z wyjątkowej hałaśliwości. Trudno mi było pojąć, jak okoliczni mieszkańcy mogą znieść obecność Domu Cudów Doktora Silkina, ponieważ ja usłyszałem go na długo przed tym, nim go ujrzałem: kakofonię dźwięków katarynki oraz werbli, wzbogaconą głośnym nawoływaniem. Jackdaw Lane była wąską alejką łączącą Whitecha-

pel i Commercial, a budynki po obu jej stronach wznosiły się na trzy piętra w górę i mieściły głównie warsztaty i magazyny o oknach zdecydowanie zbyt małych w stosunku do masy otaczających je cegieł. Mniej więcej w połowie długości uliczki znajdował się placyk - i właśnie tam ujrzeliśmy mężczyznę w surducie, ze staromodnym krawatem pod szyją i w cylindrze tak zmaltretowanym, że zdawał się resztką sił wisieć po jednej stronie głowy, gotów rzucić się na bruk. Mężczyzna nosił też brodę i wąsy; miał spiczasty nos i błyszczące oczy Mefistofelesa z pantomimy.

- Wystarczy jeden pens! - wołał. - Wejdźcie, a nie pożałujecie. Ujrzycie niesamowite cuda tego świata, od Negrów do Eskimosów i nie tylko! Zapraszam, panowie! Dom Cudów Doktora Silkina. Zadziwi was. Oszofomi. Nigdy nie zapomnicie tego, co tu ujrzycie.

- Pan jest doktorem Silkinem? - zagadnął go Holmes.

-We własnej osobie, łaskawy panie. Doktor Asmodeus Silkin, ostatnio z Indii, wcześniej z Konga. Szlaki mych podróży wiodły przez cały świat i za marnego pensa podzielię się z panami tym, co widziałem.

248

Czarnoskóry karzeł w wełnianej kurtce i wojskowych spodniach stanął u boku Silkina, wybijają na werblu żwawy rytm, z efektowną wstawką za każdym razem, gdy padało słowo „pens”. Zapłaciliśmy za wstęp i przepuszczono nas dalej.

To, co zobaczyliśmy, zaskoczyło mnie. Zapewne bia-

ty dzień obnażyłby całą nędzę tego przybytku, lecz teraz, nocą, rozjaśnianą jedynie przez krąg pochodni, rzeczywiście panowała tu odrobinę egzotyczna atmosfera i ten, kto nie przyglądałby się otoczeniu nazbyt uważnie, zapewne mógłby poczuć się przeniesiony do innego świata... choć z pewnością fikcyjnego.

Znajdowaliśmy się na brukowanym placu otoczonym budynkami w stanie tak daleko posuniętego rozkładu, że przez rozpadające się drzwi i dziury w murach widać było na wpół zapadnięte, zwisające niebezpiecznie schody. Niektóre z wejść przesłonięto szkarłatnym¹ kotarami. Na zawieszonych obok tabliczkach można był^o przeczytać, że za dodatkową opłatą pół pensa lub farthing³ czekają zwiedzających dodatkowe atrakcje. Człowiek bez szyi. Najbrzydsza kobieta świata. Pięcionożna świnia. Inne drzwi były otwarte, a kryły się za nimi upiorne sceny nazbyt przypominające mi niektóre z moich przygód z Holmesem. Wydawało się, że tematem przewodnim wszystkich ekspozycji jest morderstwo. Były tam Maria Martin i Mary Ann Nichols, leżąca z podejrzanym gardłem i rozprutym brzuchem, czyli dokładnie w takim stanie, w jakim znaleziono je całkiem niedaleko stąd, ledwie dwa lata wcześniej- Usłyszałem głośne trzaski - w jednym z budynków urządzono strzelnicę; z daleka widziałem gazowe płomienie strze'aMce w górę oraz zielone butelki stanowiące cel.

Wszystkie te atrakcje - i wiele innych - ulokowano na obrzeżach placu, natomiast pośrodku stały cygańskie wozy

połączone pomostami, na których przez całą noc mogły się odbywać występy. Para bliźniąt jednojajowych o orientalnych rysach zonglowała kilkunastoma piłkami, wymieniając się nimi tak płynnie, że ich ruchy wydawały się w pełni aut

249

tomatyczne. Czarnoskóry mężczyzna w przepasce biodrowej trzymał w dłoni pogrzebacz rozgrzany w piecyku do czerwoności i dotykał go językiem. Jakaś kobieta wróżyła z dłoni, dźwigając na głowie niezgrabny turban z piórami. Niemłody już magik prezentował swoje sztuczki. Otaczał nas zewsząd tłum znacznie liczniejszy, niż się spodziewałem. Widzowie śmiali się i klaskali, wałęsając się od atrakcji do atrakcji przy wtórce kociej muzyki kataryniarza. Spostrzegłem tuż przed sobą kobietę o gigantycznej tuszy, a tuż obok niej inną, tak drobną, że mogłaby uchodzić za dziecko, gdyby nie rysy twarzy. Czy były częścią spektaklu, czy może widzami? Trudno było orzec.

- Co teraz? - spytał Holmes.

- Nie mam pojęcia - odrzekłem szczerze.

- Nadal wierzysz, że to właśnie jest Dom Jedwabny?

- Zgadzam się, że to mało prawdopodobne. - Dopiero po chwili dotarł do mnie głębszy sens jego słów. - Chcesz mi powiedzieć, że twoim zdaniem na pewno nie?

- Od początku wiedziałem, że to absolutnie niemożliwe.

Tym razem byłem zbyt poirytowany, by to ukryć.

- Muszę powiedzieć, Holmesie, że niekiedy testujesz granice mojej cierpliwości. Skoro wiedziałeś od początku, że to

nie Dom Jedwabny, to może wyjaśnisz mi, po co tu przyjechaliśmy?

- Dlatego, że właśnie to mieliśmy zrobić. Zaproszono nas.

- Ta ulotka...?

- Twoje odkrycie zostało z góry zaplanowane, Watsonie.

Chodziło o to, byś przekazał mi tę informację.

Mogłem jedynie kręcić głową, słuchając tych zagadkowych wyjaśnień. W końcu jednak doszedłem do wniosku, że po niełatwych przejściach w Holloway Holmes znowu jest taki jak dawniej: skryty, pyszałkowaty oraz niezwykle irytujący. Mimo to postanowiłem udowodnić mu, że się myli. Bo przecież nie mogło być zbiegiem okoliczności to, że na ulotce pojawiło się nazwisko Silkin, a sama ulotka była ukryta pod materacem Rossa. Gdyby miała zostać odkryta, po co ukrywano by ją w takim miejscu? Rozejrzałem się,

250

szukając punktu zaczepienia, ale wokół nas, w blasku migających płomieni działało się tak wiele, że nie sposób było skupić wzroku na czymś istotnym. Żonglerzy rzucali teraz nożami. Huknął kolejny strzał i rozległ się brzęk rozbitego szkła. Magik wyciągnął rękę ku górze i nagle wykwitł w niej bukiet jedwabnych kwiatów. W tłumie widzów rozległy się brawa.

- Cóż, możemy na przykład... - zacząłem.

I urwałem, bo właśnie w tej chwili dostrzegłem coś i zniecka zabrakło mi tchu. Naturalnie mógł to być przypadek.

Może nic ważnego. Może przypisywałem znaczenie deta-

lom, by usprawiedliwić naszą obecność w tym miejscu. Otóż zobaczyłem wróżbitkę. Siedziała na podwyższeniu przed swym wozem, a przed nią stał mały stolik, na którym leżały narzędzia jej pracy: talia kart tarota, kryształowa kula, srebrna piramida oraz kilka kartek pokrytych tajemniczymi runami i diagramami. Spoglądała w moją stronę, a gdy i ja na nią popatrzyłem, uniosła dłoń w pozdrowieniu i zobaczyłem coś na jej nadgarstku. Białą jedwabną wstążkę.

W pierwszej chwili chciałem powiedzieć o tym Sherlockowi Holmesowi, ale zaraz zmieniłem zdanie. Wystarczająco już mnie ośmieszył, jak na jeden wieczór. Oddaliłem się bez słowa wyjaśnienia, jakby czysta ciekawość ciągnęła mnie w stronę platformy, na której siedziała Cyganka. Wspiąłem się na górę, a wtedy zmierzyła mnie wzrokiem z taką miną, jakby nie tylko spodziewała się mojej wizyty, ale wręcz wyrzuciła ją z kart. Była potężnie zbudowaną kobietą, o nieco męskich rysach, masywnej szczęce i smutnych, szarych oczach.

- Chciałbym poznać swoją przyszłość - powiedziałem.

- Siadaj - odrzekła krótko. Mówiła z obcym akcentem, zdecydowanie nieuprzejmie, jakbym przyszedł nie w porę.

Przysiadłem na stołku stojącym przed nią.

- Zna pani przyszłość? - spytałem.

- To kosztuje pensa.

Zapłaciłem, a wtedy ułożyła moją dłoń w swojej, tak że doskonale widziałem białą wstążkę. Potem wyprostowała

pomarszczony palec i zaczęła wodzić nim po liniach na mojej skórze, jakby chciała wygładzić je samym dotykiem.

- Lekarz? - spytała.

-Tak.

-I żonaty. Szczęśliwie. Dzieci nie ma.

- Wszystko się zgadza.

- Niedawno przeżyłeś ból rozstania.

Miała na myśli pobyt mojej żony w Camberwell czy może krótkotrwałe uwięzienie Holmesa? I skąd wiedziała o jednym bądź o drugim? Jestem - i zawsze byłem - sceptykiem.

Zresztą nie miałem wyboru, współpracując z Holmesem.

Razem zajmowaliśmy się między innymi rodzinną klątwą, szczurem-olbrzymem oraz wampirem, lecz za każdym razem zagadkę udało się wyjaśnić w całkiem racjonalny sposób. Czekałem więc, aż Cyganka w jakiś sposób zdradzi mi źródło swej wiedzy.

- Przyszedłeś sam? - spytała.

- Nie. Z przyjacielem.

- Zatem mam dla was wiadomość. Widzisz strzelnicę, tam, w budynku za moimi plecami?

-Tak.

- Właśnie tam, w pokojach na piętrze, znajdziecie odpowiedź na wszystkie pytania. Ale bądź ostrożny, doktorze. Budynek się wali, stropy niepewne. Długą masz linię życia. Widzisz? O, tutaj. Ale ma swój słaby punkt. Te załamania... Są jak strzały lecące w twoją stronę, a będzie ich jeszcze więcej. Musisz uważać, bo jedna z nich może cię dosięgnąć...

- Dziękuję.

Cofnąłem dłoń, jakby musnął ją płomień. Nie miałem wątpliwości, że sztuczki tej kobiety są oszustwem, lecz było w jej zachowaniu coś, co obudziło we mnie niepokój. Być może tak na mnie podziałała ta noc, szkarłatne cienie wirujące wokół nas, a może ten niekończący się jazgot muzyki i gadatliwego tłumu - wszystko to przytłaczało moje zmysły. Instynkt podpowiedział mi nagle, że w tym miejscu czai się zło i że popełniliśmy błąd, przyjeżdżając tu. Zszedłem na dół, do Holmesa, by opowiedzieć mu, co zaszło.

252

- Zatem teraz będzie nami kierować ta wróżka? - padła szorstka odpowiedź. - Cóż, Watsonie, nie mamy wyboru. Podążymy tym śladem do końca.

Ominęliśmy mężczyznę z małpką na ramieniu, a potem kolejnego, półnagięgo, którego skóra była pokryta ohydny-
mi tatuażami, animowanymi przez sprawne ruchy niektó-
rych jego mięśni. Strzelnica była tuż przed nami, a na górę prowadziły spiralne, nierówne schody. Rozległa się kolejna salwa. Grupa śmiazków próbowała szczęścia w strzelaniu do butelek, ale byli zbyt pijani, by trafić - wszystkie kule mi-
nęły cel. Ruszyłem za Holmesem w górę, ostrożnie stawiając kroki, nie mogłem bowiem oprzeć się wrażeniu, że schody lada chwila runą. Ujrzeliśmy przed sobą nieregularny otwór w ścianie, który kiedyś był chyba drzwiami. Za nim czaiła się ciemność. Spojrzałem w dół i dostrzegłem Cygankę: nadal siedziała przy swoim wozie, przypatrując się nam złym

okiem. Biała wstążka wciąż zwisała z jej nadgarstka. Zanim wspieliśmy się na samą górę, byłem już pewny, że to tylko podstęp i że należało unikać tego miejsca.

Pomieszczenie, do którego weszliśmy, musiało niegdyś służyć jako magazyn kawy, ponieważ w powietrzu unosił się, prócz kurzu, jej bardzo mocny aromat. Było tu jednak pusto. Ściany pokrywała pleśń. Na wszystkich powierzchniach zalegała gruba warstwa pyłu. Deski skrzypiały pod naszymi butami. Muzyka z katarynki wydawała się teraz daleka i jakby stłumiona, a gwar tłumu stał się niesłyszalny. Migotliwy blask pochodni płonących na dole rzucał we wszystkie strony ruchome cienie. Im dalej wchodziliśmy, tym głębszy ogarniał nas mrok.

- Watsonie... - szepnął Holmes, a z tonu jego głosu odgadłem, czego sobie życzy. Wyjąłem rewolwer i poczułem, że jego ciężar, a także chłód metalu w dłoni dodają mi otuchy.

- Holmesie - odpowiedziałem - tracimy czas. Tu nic nie ma.

- A jednak przed nami było tu jakieś dziecko - odrzekł.

Spojrzałem w bok i spostrzegłem w kącie dwie porzucone zabawki: prosty kijek z „czapeczką” na sznurku oraz ołowianego żołnierzyka stojącego na baczność i niemal całkowicie

253

odrapanego z farby. Było w tym widoku coś nieskończenie żalospnego. Czy właścicielem tych zabawek mógł być Ross? Czy to tutaj szukał schronienia, zanim został zabity? Czy to jedyne pamiątki jego dzieciństwa, które ocalały? Jakaś siła popchnęła mnie w ich stronę i chyba właśnie tak to zapla-

nowano, bo idąc tam, zbyt późno dostrzegłem człowieka, który wychynął z wnęki w murze, i nie starczyło mi czasu, by uniknąć ciosu pałką. Trafiony w przedramię tuż poniżej łokcia poczułem ostry ból i mimo woli rozluźniłem palce.

Rewolwer zaklekotał na deskach. Skoczyłem za nim, ale drugi cios rozciągnął mnie na podłodze. W tej samej chwili z ciemności dobiegł głos:

- Nie ruszać się albo zastrzelę was obu na miejscu.

Holmes zignorował polecenie. Już stał u mego boku, pomagając mi wstać.

- Nic ci nie jest, Watsonie? Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli cię skrzywdzili.

- Nie, nie... - Zacisnąłem dłoń na przedramieniu, szukając śladu złamania, ale na szczęście zanosiło się tylko na potężnego siniaka. - Nic mi nie jest.

- Tchórze!

Mężczyzna o rzadkich włosach, zadartym nosie i potężnych, krągłych ramionach zrobił krok ku nam, pozwalając, by światło z zewnątrz padło na jego twarz. Rozpoznałem Hendersona, rzekomego celnika, który posłał Holmesa wprost w pułapkę w palarni opium u Creera. Podawał się za narkomana i być może to był jedyny prawdziwy wątek jego opowieści, ponieważ i teraz miał mocno przekrwione oczy oraz tę samą chorobliwie bladą cerę. W dłoni trzymał rewolwer. Jego krępy współnik tymczasem podniósł moją broń i także ruszył w naszą stronę, celując do nas. Tego nie znałem i nie żałowałem zbyt, bo miał gębę ropuchy, krót-

ko ostrzyżone włosy oraz spuchnięte uszy i wargi, niczym bokser po ciężkiej walce. Pałka, którą mnie zaatakował, była w istocie ciężką laską; niósł ją teraz w lewej ręce.

- Dobry wieczór, Henderson - powiedział Holmes głosem, w którym nie wykryłem niczego poza głębokim spokojem.

254

Równie dobrze mógłby pozdrawiać tym tonem dobrego znajomego.

- Nie jest pan zaskoczony tym spotkaniem, panie Holmes?

- Wręcz przeciwnie, spodziewałem się go.

- A pamięta pan mojego przyjaciela, Bratby'ego?

Holmes skinął głową i zwrócił się do mnie:

- To jeden z tych, którzy obezwładnili mnie w kantorze Creera, gdy podano mi narkotyk - wyjaśnił. - Miałem nadzieję, że go tu zastaniemy.

Henderson jakby się zawahał, a potem parsknął śmiechem. Nie było w nim już ani śladu tej słabości, poczucia własnej marności, którym epatował, gdy odwiedził nas przy Baker Street.

- Nie do wiary, panie Holmes, jak łatwo pana zwieść. Nie znalazł pan w „Creer's Place” tego, czego pan szukał? Otóż tutaj też pan tego nie znajdzie. Przypomina mi pan fajerwerk: prędko pan startuje i w dowolnym kierunku.

- Jakie są wasze zamiary?

- Sądziłem, że to całkiem oczywiste. Mieliśmy nadzieję rozprawić się z panem w więzieniu Holloway i chyba byłoby lepiej, gdyby pan tam został. Tym razem uciekniemy

się do nieco prostszych metod. Moje rozkazy są jasne: mam pana zastrzelić jak psa.

- W takim razie chyba będzie pan tak uprzejmy i zaspokoi moją ciekawość w kilku kwestiach? Czy to pan zabił tę dziewczynę w Bluegate Fields.

- Tak się składa, że to ja. Była dość głupia, by wrócić do pubu, w którym pracowała. Łatwo było ją złapać.

- A co z jej bratem?

- Z małym Rossem? Tak, to także nasza robota. Naprawdę przykro było ją wykonać, panie Holmes, ale chłopak sam był sobie winien. Wyłamał się z szeregu, więc należało zająć się nim należycie, ku przestrodze innych.

- Bardzo panu dziękuję. Było dokładnie tak, jak przypuszczałem.

Henderson roześmiał się po raz drugi, ale nigdy jeszcze nie widziałem twarzy tak pozbawionej choćby cienia radości.

255

- Do końca zimny jak skała, nieprawdaż, panie Holmes?

Zatem domyślał się też, że rozwikłał pan już całą zagadkę.

- Naturalnie.

- Wobec tego, gdy ta babcia skierowała pana w to miejsce, doskonale wiedział pan, że czekamy?

- Wróżbitka rozmawiała z moim kolegą, nie ze mną. Domyślał się, że zapłacono jej za to, co mu powiedziała?

- Za sześć pensów zrobi wszystko.

- Tak czy owak: owszem, spodziewałem się pułapki.

- Kończmy już - wtrącił niecierpliwie Bratby.

- Jeszcze nie, Jason. Jeszcze nie.

Choć raz nie potrzebowałem wyjaśnień Holmesa, by wiedzieć, dlaczego zwlekają. Rzecz była aż nadto oczywista.

Gdy wspinaliśmy się po schodach, w strzelnicy poniżej był tłum, a strzały padały raz po raz. Teraz, przynajmniej chwilowo, panowała cisza. Dwaj zabójcy czekali więc, aż znowu zacznie się kanonada, w której huku utoną dwa dodatkowe strzały oddane na górze. Morderstwo to najstraszniejsza zbrodnia, do jakiej zdolny jest człowiek, ale to podwójne zabójstwo, które zaplanowano z tak zimną krwią, wydało mi się szczególnie podłe. Wciąż zaciskałem palce na przedramieniu. Straciłem czucie w miejscu, które zostało trafione pałą, ale mimo bólu podniosłem się jakoś. Nie chciałem umierać z ręki tych łajdaków jak tchórz, na kolanach.

- Panowie, możecie już odłożyć broń i poddać się - odezwał się nagle Holmes. Był całkowicie spokojny, do tego stopnia, że zacząłem wierzyć, iż naprawdę spodziewał się zastać tu tych dwóch zbirów.

- Co takiego?

- Tej nocy nie będzie zabijania. Strzelnica została zamknięta, koniec imprezy. Nie słyszycie?

I ja dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, że ucichła katarynka. Tłumy najwyraźniej zniknęły. Nie tylko w tej pustej, zapomnianej sali, ale i na zewnątrz panowała absolutna cisza.

- O czym pan mówi?

- Nie wierzyłem panu już wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, Henderson. Wtedy jednak uznałem za stosowne wejść w waszą pułapkę, choćby po to, żeby się przekonać, co knujecie. Ale czy naprawdę sądził pan, że uczynię to samo po raz drugi?

- Rzucić broń! - krzyknął ktoś z boku.

W ciągu następnych kilku sekund nastąpiło tak wiele wydarzeń, że trudno mi było dostrzec w nich jakiś sens. Henderson odwrócił się, celując do mnie albo tuż obok mnie. Nigdy nie rozstrzygnę tej kwestii, nie zdążył już bowiem nacisnąć spustu. Rozległa się salwa pistoletowa, lufy rozbłyły białymi płomieniami i niewidzialna siła dosłownie porwała Hendersona w powietrze, a z jego głowy trysnęła krew. Jego współnik, Bratby, obrócił się na pięcie. Nie wydaje mi się, by zamierzał strzelać, ale wystarczyło to, że był uzbrojony. Pierwsza kula trafiła go w ramię, a druga w pierś. Usłyszałem jego krzyk, gdy padał na plecy, gubiąc w locie mój rewolwer. Masywna laska z brząkiem upadła na podłogę i potoczyła się w mrok. Bratby nie zginął na miejscu, choć leżał skulony. Usłyszałem jego świszczący oddech i cichy szloch wywołany bólem i strachem. Krótka chwila ciszy, która teraz nastąpiła, była równie szokująca jak wcześniejsza palba.

- Nie spieszyło się panu, Lestrade - zauważył Holmes.

- Bardzo mnie ciekawiło, co ma do powiedzenia ten łotr - padła odpowiedź.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że inspektor Lestrade rzeczywiście wkracza do magazynu, w towarzystwie trzech funkcjonariuszy, którzy natychmiast zajęli się oględzinami pokonanych bandytów.

- Słyszał pan więc, jak przyznał się do morderstw?

- Owszem, panie Holmes.

Jeden z ludzi Lestrade'a, pochylony nad Hendersonem, pokręcił głową. Nie byłem zaskoczony - przecież widziałem jego rany.

- Obawiam się, że już nie odpowie za swoje zbrodnie.

- Ktoś mógłby powiedzieć, że już za nie zapłacił.

257

- Mimo to wolałbym wziąć go żywcem, choćby jako świadka - rzekł Lestrade. - Nadstawiałem karku dla pana, panie Holmes. Ta noc może mnie jeszcze drogo kosztować.

- Ta noc przyniesie panu kolejną pochwałę od przełożonych, Lestrade, i dobrze pan o tym wie. - Holmes odwrócił się ku mnie. - Jak się masz, Watsonie? Boli cię?

- Nie zrobili mi nic takiego, czego nie dałoby się uleczyć odrobiną whisky z wodą sodową - odpowiedziałem. - Ale powiedz no, Holmesie... czy naprawdę wiedziałeś od samego początku, że to pułapka?

- Miałem bardzo mocne podejrzenia. Nie mieściło mi się w głowie, by niepiśmienne dziecko trzymało pod łóżkiem taką ulotkę. Poza tym, jak zauważył nasz nieżyjący przyjaciel Henderson, raz już daliśmy się zwieść. Zaczynam rozumieć, w jaki sposób działają nasi przeciwnicy.

- To znaczy?

- Wykorzystali ciebie, żeby dotrzeć do mnie. Ludzie, którzy śledzili cię, gdy jechałeś w stronę dworca Holborn, nie byli policjantami. Byli wysłannikami naszych wrogów, którzy wcześniej zaopatrzyli cię w coś, co wyglądało jak znakomity trop w sprawie. Mieli nadzieję, że znasz moją kryjówkę i dostarczysz mi tę ulotkę.

-Ale ta nazwa, Dom Cudów Doktora Silkina... Twierdzisz, że ona nie ma nic wspólnego ze sprawą?

- Mój drogi Watsonie! Silkin to względnie popularne nazwisko. Równie dobrze mogli wykorzystać do swoich celów szewca Silkina z Ludgate Circus albo tartak Silkina w Battersea. Albo jakiegoś Silkmana albo Szlak Jedwabny - cokolwiek, co dałoby nam nadzieję, że wpadliśmy na ślad Domu Jedwabnego.

- A pan, Lestrade? - spytałem. - Skąd pan się tu wziął?

- Pan Holmes sam się do mnie zgłosił. Zostałem zaproszony, doktorze Watson.

- Zatem wierzył pan w jego niewinność!

- Nie wątpiłem w nią od samego początku. A kiedy przyjrzałem się bliżej morderstwu przy Coppergate Square, szybko się zorientowałem, że to mocno śmierdząca sprawa.

258

Inspektor Harriman stwierdził, że wracał z miejsca napadu na bank przy White Horse Road, tyle że tam wcale nie dokonano napadu. Sprawdziłem raporty z tej nocy. Byłem nawet

w tym banku. Pomyślałem, że skoro Harriman był gotów skłamać w tej sprawie przed sądem, to zapewne ma na sumieniu parę innych kłamstw.

- Lestrade podjął ryzyko - wtrącił Holmes. - Instynkt nakazywał mu odstawić mnie z powrotem do więzienia.

Z drugiej jednak strony, znamy się doskonale, choć różni nas sporo. Zbyt często ze sobą współpracowaliśmy, by dać się nabrać na fałszywe oskarżenia. Nieprawdaż, inspektorze Lestrade?

- Skoro tak pan twierdzi, panie Holmes.

- W głębi serca inspektor Lestrade pragnie równie mocno jak my zakończyć wreszcie tę sprawę i postawić winnych przed sądem.

- Ten jeszcze żyje! - zawołał w tym momencie jeden z funkcjonariuszy, którzy podczas naszej rozmowy badali Hendersona i Bratby'ego.

Holmes podszedł do rannego bandyty i przyklęknął obok niego.

- Słyszysz mnie pan, Bratby? - spytał. Odpowiedziała mu cisza, ale po chwili rozległo się ciche kwilenie, jakby cierpiącego dziecka. - Nic nie możemy dla pana zrobić, ale jest jeszcze czas, żeby coś naprawić. Może pan spróbować odkupić swoje winy przed spotkaniem ze Stwórcą.

Bratby zaczął cichutko płakać.

- Wiem wszystko o Domu Jedwabnym - ciągnął Holmes. - Wiem, czym on jest. Wiem, gdzie go szukać... Byłem tam nawet ostatniej nocy, ale nikogo nie zastałem. To jest właśnie

ostatni okrucieństwo informacji, którego nie odkryję bez pańskiej pomocy. Niezbędny, jeśli mamy w końcu pokonać to zło.

A zatem, przez wzgląd na własne zbawienie, proszę mi powiedzieć: kiedy odbędzie się kolejne spotkanie?

Cisza trwała tym razem przez bardzo długą chwilę.

Wbrew rozsądkowi poczułem litość dla tego człowieka. Choć kilka minut wcześniej gotów był zabić mnie i Holmesa, lada

259

chwila miał wydać ostatnie tchnienie. W godzinie śmierci wszyscy jesteśmy równi; kimże więc jesteśmy, by oceniać się nawzajem, gdy czeka już na nas Sędzia znacznie potężniejszy?

- Tej nocy - szepnął Bratby. I skonał.

Holmes powstał.

- Nareszcie dopisało nam szczęście, Lestrade - rzekł. -

Dotrzyma mi pan jeszcze towarzystwa? I czy mógłby pan zebrać choć dziesięciu ludzi? Musi pan dobrać opanowanych i stanowczych, ponieważ jedno tylko mogę panu obiecać: nigdy nie zapomnę tego, co zobaczą tej nocy.

- Jesteśmy z panem, Holmes - odparł Lestrade. - Skończmy to wreszcie.

Holmes trzymał w dłoni mój rewolwer. Nawet nie zauważyłem, kiedy go podniósł, ale teraz wcisnął mi go do ręki, patrząc mi prosto w oczy. Wiedziałem, o co prosi. Skinąłem głową i razem ruszyliśmy w stronę wyjścia.

19

Dom Jedwabny

Powróciliśmy na zbocza Hamworth Hill, do Szkoły dla Chłopców Chorley Grange. Czyż śledztwo mogło nas zaprowadzić w inne miejsce? To stąd pochodziła ulotka i teraz już nie wątpię, że ktoś umieścił ją pod materacem Rossa specjalnie po to, by pryncypał ją odnalazł, zaniósł do nas i tym sposobem zwabił nas w pułapkę Domu Cudów Doktora Silkina. Naturalnie istniała i taka możliwość, że Charles Fitzimmons łągał od początku do końca i że on także należał do spisku. W to jednak trudno mi uwierzyć nawet dziś, ponieważ człowiek ten jawił mi się jako wzór przyzwoitości, obdarzony niezwykłym poczuciem obowiązku. I jeszcze ta troska o dobro chłopców, o czcigodną małżonkę, o los Rossa, którego śmierć tak go zasmuciła... Doprawdy nie umiałem wmówić sobie, że wszystko to było zwykłą maskaradą. Byłem pewny - i do dziś czasem tak myślę - że jeśli Fitzsimmons dał się wciągnąć w jakąś nieczystą grę, to jedynie wbrew swojej wiedzy lub woli.

Lestrade przywiózł swych funkcjonariuszy czterema furgonami. Nadjechały od strony północnego Londynu w żółtym tempie, niemal bezszelestnie wspinając się stromą drogą. Podobnie jak ja i Holmes, Lestrade był uzbrojony w rewolwer, ale jego ludzie nie mieli broni palnej, zatem gdyby doszło do fizycznej konfrontacji, naszymi głównymi atutami miały być zaskoczenie oraz szybkość. Na sygnał dany przez Holmesa wozy zatrzymały się niedaleko od celu, którym nie

była sama szkoła, jak się spodziewałem, ale kanciasty bu-

dynek po drugiej stronie drogi, w którym niegdyś składano bryczki. Fitzsimmons wspominał nam, że czasem odbywają się tam koncerty i chyba w tej sprawie nie kłamał, przed wejściem dostrzegłem bowiem kilka powozów, a z wnętrza dobiegały dźwięki fortepianu.

Zajęliśmy pozycje za kępą drzew, niewidoczni od strony budynku. Była dwudziesta trzydzieści i z nocnego nieba sypnęło wielkimi płatkami zimnego puchu. Ziemia wokół nas była już biała, a temperatura tu, na wzgórzach, była znacząco niższa niż w mieście. Cios, który zadano mi w Domu Cudów, przypominał o sobie ostrym, pulsującym bólem ramienia. Moja stara rana z wojny dotrzymywała towarzystwa nowej - czułem w niej rytmiczne skurcze - a co gorsza, miałem wrażenie, że zaczynam gorączkować. Postanowiłem jednak nie okazywać słabości. Zaszedłem zbyt daleko, by poddać się przed samym finałem. Holmes wciąż na coś czekał, a ja, pełen niezachwianej wiary w jego osąd sytuacji, gotów byłem stać na mrozie choćby i do rana.

Lestrade najwyraźniej świadom był tego, co się ze mną dzieje, ponieważ szturchnął mnie delikatnie i podał srebrzystą, płaską flaszkę. Uniosłem do ust i pociągnąłem mały łyk brandy, nim oddałem ją niewysokiemu detektywowi. Otarł szyjkę rękawem, upił co nieco i schował butelczynę do kieszeni.

- Jaki mamy plan, panie Holmes? - spytał.

- Jeżeli chce pan przyłapać tych ludzi na gorącym uczynku, Lestrade, to musimy znaleźć jakiś sposób, by wejść tam,

nie wszczynając alarmu.

- Włamiemy się na koncert?

- To nie jest koncert.

Usłyszałem daleki terkot kół i obejrzawszy się, spostrzegłem nadjeżdżający powóz, zaprzężony w parę pięknych siwych kłaczy. Woźnica nie żałował bata, ale stok był stromy, a droga śliska od śniegu i błota. Zerknąłem na Holmesa. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego wyrazu jego twarzy.

Opisałbym go jako mieszaninę zimnej satysfakcji, poczucia

262

własnej racji oraz nadziei na rychłą zemstę. Jego oczy płonęły jasnym blaskiem, ale kości policzkowe wyznaczały linię tak ostro zarysowaną i ciemną, że nawet anioł śmierci nie wyglądałby groźniej.

- Widzisz, Watsonie? - spytał szeptem.

Ukryci za drzewami byliśmy niewidoczni, za to sami mogliśmy bez przeszkód obserwować budynek szkoły i drogę biegnącą w obie strony. Holmes wskazał mi kierunek, a wtedy w blasku księżyca spostrzegłem złoty symbol namalowany na drzwiach powozu: to był kruk z dwoma kluczami, herb rodowy lorda Ravenshawa. Natychmiast przypomniałem sobie tego aroganckiego człowieka o wyłupiastych oczach, któremu oddaliśmy skradziony zegarek podczas wizyty w Gloucestershire. Czy to możliwe, by i on był zamieszany w tę sprawę? Powóz skręcił na podjazd i zatrzymał się. Nawet z tej odległości rozpoznałem bez trudu wysiadającego lorda Ravenshawa, ubranego w czarny płaszcz

i cylinder. Podeszedł do drzwi frontowych i zapukał. Otworzyła mu niewidoczna postać, za to plama żółtego światła, która wylała się na zewnątrz, pozwoliła mi dostrzec, że coś zwisa z dłoni lorda - coś, co wyglądało jak skrawek papieru, ale w istocie było białą, jedwabną wstążką. Przybysz został wpuszczony do środka. Drzwi zamknęły się.

- Jest dokładnie tak, jak się spodziewałem - powiedział Holmes. - Watsonie, czy jesteś gotów mi towarzyszyć? Muszę cię ostrzec, że to, co zobaczysz za tymi drzwiami, może cię głęboko poruszyć. Sprawa, którą prowadzimy, jest niezwykle interesująca, ale już od dawna obawiałem się, że może mieć tylko jedno, bolesne rozwiązanie. Cóż, nic na to nie poradzimy. Musimy zobaczyć na własne oczy to, co jest do zobaczenia. Przeładowałeś rewolwer? Jeden strzał, Lestrade. To będzie sygnał, na który wkroczy pan ze swoimi ludźmi.

- Jak pan sobie życzy, panie Holmes.

Opuściliśmy kryjówkę za kępą drzew i wyszliśmy na drogę, krusząc butami twardniejącą już, całowąż warstewkę śniegu. Wszystkie okna budynku były starannie zasłonię-

263

te, wyglądały jak prostokąty bardzo bladego światła. Nadal słyszałem dźwięki fortepianu, ale to nie mógł być koncert - ktoś grał irlandzką balladę, a tego typu muzykę można usłyszeć jedynie w najpodlejszych pubach. Minęliśmy rząd powozów czekających na właścicieli i stanęliśmy u drzwi frontowych. Holmes zapukał. Drzwi otworzył młody męż-

czynna, którego nie spotkałem podczas pierwszej wizyty w szkole. Miał gładko zaczesane, czarne włosy i wygięte w łuk brwi, a w jego zachowaniu wyczuwało się dziwną mieszkankę wyniosłości i szacunku. Nosił ubranie w wojskowym stylu - krótką kurtkę, spodnie z mankietami i sznurowane buty - oraz lawendową kamizelkę i rękawiczki w tym samym kolorze.

- Tak? - Lokaj, jeśli tak mogę go nazwać, nie znał nas i dlatego zostaliśmy obrzuceni podejrzliwym spojrzeniem.

-Jesteśmy przyjaciółmi lorda Horace'a Blackwatera - rzekł Holmes.

Zdumiałem się, usłyszawszy z jego ust nazwisko jednego z tych, którzy świadczyli przeciwko niemu w sądzie.

- To on panów tu skierował?

- Gorąco rekomendował wasze usługi.

- Pańska godność?

- Parsons. A to mój kolega, pan Smith.

- Czy sir Horace wyposażył panów w jakiś znak rozpoznawczy? Zazwyczaj nie wpuszczamy obcych w środku nocy.

-Ależ oczywiście. Mówił, abym dał panu to - odparł Holmes, sięgając do kieszeni. Wyjął z niej kawałek białej, jedwabnej wstążki. Przez chwilę trzymał ją w powietrzu, a potem wręczył lokajowi.

Skutek był natychmiastowy. Młody mężczyzna skłonił głowę i otworzył drzwi nieco szerzej, zapraszając nas ruchem dłoni.

- Proszę.

Weszliśmy do holu, którego wystrój mocno mnie zaskoczył. Pamiętając surowe, raczej ponure wnętrza szkoły po drugiej stronie drogi, spodziewałem się czegoś podobnego.

Bardzo się pomyliłem, otaczał mnie bowiem zbytek skąpany

264
ny w przyjemnym blasku lamp. W dal ciągnął się korytarz w stylu holenderskim, wyłożony szachownicą z czarnych i białych płytek, a w nim, pomiędzy drzwiami, ustawiono stoliki na giętych nóżkach. Lampy gazowe umieszczono na ozdobnych stelażach; paliły się na tyle dużymi płomieniami, by można było w pełni docenić urodę skarbów tego domu. Wymyślne, rokokowe lustra w przepięknych, srebrnych ramach wisiały na ścianach udekorowanych dodatkowo głęboko tłoczoną tapetą w odcieniach szkarłatu i złota. Marmurowe posąжки pamiętające czasy starożytnego Rzymu stały parami w niszach i choć może w muzeum nie zrobiłyby na nikim wielkiego wrażenia, to w prywatnym domu były wręcz szokującym przejawem luksusu. Wszędzie - na stolikach, kolumnkach i drewnianych stojakach - mnóstwo było kwiatów i roślin doniczkowych, a ich woń czuć było wyraźnie w przegrzanym powietrzu. W korytarzu nie było nikogo.

-Jeśli zechcą panowie tu zaczekać, zawiadomię pana domu o ich przybyciu.

Lokaj poprowadził nas do salonu, wyposażonego równie elegancko jak korytarz. Pod stopami mieliśmy gruby dywan. Kanapę i dwa fotele, obite ciemnofioletową tkaniną,

ustawiono wokół kominka, w którym płonęły spore kłoc-
ki drewna. Okna przesłonięte były grubymi, aksamitny-
mi kotarami z szerokimi lambrekinami, które widzieliśmy
już z zewnątrz. Teraz jednak ujrzeliśmy także przeszklone
drzwi, z których zsunięto zasłony. Znajdowała się za nimi
oranżeria pełna paproci i drzewek pomarańczowych, po-
środku niej zaś umieszczono wielką, mosiężną klatkę,
w której mieszkała dorodna, zielona aleksandretta. Jedną ze
ścian salonu zajmowały półki z książkami, a drugą cały ciąg
kredensów, na których wyeksponowano imponującą kolek-
cję ozdób, od błękitno-białej porcelany z Delft, aż po scenkę
przedstawiającą dwa wypchane kotki siedzące na minia-
turowych krzesłach i trzymające się za łapki niczym mąż
i żona. Opodal kominka stał też zgrabny stolik z zestawem
butelek i kieliszków.

265

- Proszę, zechcą panowie się rozgościć - powiedział lo-
kaj. - Czy mogę zaproponować panom coś do picia? - Obaj
odmówiliśmy. - Wobec tego proszę tu pozostać, a ja za chwi-
lę wrócę. - Bezszelestnie wyszedł z salonu i zamknął za sobą
drzwi. Zostaliśmy sami.

- Na Boga, Holmesie! - zawołałem cicho. - Cóż to za
miejsce?

- To Dom Jedwabny - odpowiedział posępnie.

- Tak, ale...?

Uniósł dłoń. Podeszedł do drzwi i przez chwilę nastuchi-
wał. Zadowolony otworzył je ostrożnie i skinął na mnie.

- Czekają nas trudna przeprawa - wyszeptał. - Prawie żałuję, że cię tu sprowadziłem, stary druhu. Niestety, trzeba nam doprowadzić rzecz do końca.

Wymknęliśmy się na korytarz. Lokaj gdzieś przepadł, ale wciąż słyszeliśmy muzykę, teraz dla odmiany walca. Zauważyłem, że instrument jest nieco rozstrojony. Poszliśmy korytarzem, coraz dalej w głąb budynku, coraz dalej od frontowych drzwi. Gdzieś nad nami usłyszałem urwany płacz i krew we mnie stężała, byłem bowiem pewny, że był to płacz dziecka. Zegar wiszący na ścianie tykał głośno i miarowo, wskazując dwudziestą pięćdziesiąt, ale w tych wnętrzach czuliśmy się tak odcięci od świata, że równie dobrze mogła to być każda inna pora. Wreszcie dotarliśmy do schodów i ruszyliśmy w górę. Zrobiliśmy ledwie kilka kroków, gdy gdzieś w korytarzu otworzyły się drzwi i usłyszałem męski głos, który wydał mi się znajomy. To pan domu wyszedł nam na spotkanie.

Przyspieszyliśmy i udało nam się zniknąć za zakrętem schodów w samą porę. Korytarzem, który zostawiliśmy za sobą, przeszli dwaj mężczyźni, z których jednym był znany już nam lokaj.

- Dalej, Watsonie - szepnął Holmes.

Znowu byliśmy w korytarzu, tyle że znacznie słabiej oświetlonym. Ściany były tu wyłożone kwiecistą tapetą i po obu stronach naznaczone wnękami licznych drzwi. Wiszące na nich olejne obrazy w masywnych ramach okazały się

dość tandetnymi imitacjami klasycznych dzieł. W powietrzu unosił się słodkawy, raczej nieprzyjemny zapach. Choć jeszcze nie odkryłem całej prawdy o tym miejscu, instynkt nakazywał mi opuścić je natychmiast i nigdy tu nie powrócić.

- Musimy wybrać drzwi - mruknął Holmes. - Ale które?

Wszystkie były nieoznaczone, identyczne, wykonane z polerowanego dębu i miały jednakowe porcelanowe gałki.

Mój przyjaciel wybrał najbliższe. Otworzył je i razem zajrzeliśmy do pokoju. I zobaczyliśmy. Drewnianą podłogę, dywan, świece, lustro, dzbanek i miednicę, brodatego, nieznanego nam mężczyznę ubranego jedynie w białą koszulę rozpiętą pod szyją. I chłopca, który siedział na łóżku tuż za nim.

To nie mogła być prawda. Nie chciałem uwierzyć. A przecież nie mogłem zaprzeczyć dowodom, które widziałem na własne oczy. To bowiem był sekret Domu Jedwabnego. Był to dom rozpusty, ni mniej, ni więcej, lecz stworzony z myślą o mężczyznach naznaczonych ohydny zbroczeniem i dysponujących majątkiem, który pozwalał im na zaspokajanie perwersyjnych potrzeb. Ludzie ci upodobali sobie młodych chłopców, a ich nieszczęsnymi ofiarami były te same dzieci, które widziałem wcześniej w Chorley Grange - znalezione na ulicach Londynu, bez rodziny i przyjaciół, bez pieniędzy, bez jedzenia, zapomniane i zignorowane przez społeczeństwo, dla którego były jedynie balastem. Przekupione lub zmuszone do tego procederu, nie mogły się tak po prostu wycofać, ponieważ groziły im za to tortury i śmierć. Przez krótki czas

Ross był jednym z nich. Nic dziwnego, myślałem, że zapragnął uciec. I nic dziwnego, że jego siostra pchnęła mnie nożem, sądząc, że spróbuję zabrać go tu z powrotem. Do dziś się zastanawiam, w jakim kraju żyłem u schyłku ubiegłego stulecia, skoro jego najmłodszy obywatel egzystował w takim zapomnieniu? Mogli chorować. Mogli głodować. Mogło ich spotkać coś znacznie gorszego. Nikt o nich nie dbał.

Wszystkie te myśli przebiegły mi przez głowę w ciągu tych paru sekund, gdy zajrzeliśmy do pokoju. Aż wreszcie mężczyzna nas zauważył.

267

- Co to ma znaczyć, u diabła?! - zagrział.

Holmes zamknął drzwi. W tym samym momencie z dołu dobiegł głośny krzyk, pan domu dotarł bowiem właśnie do salonu i przekonał się, że zniknęliśmy. Muzyka umilkła.

Zastanawiałem się, co powinniśmy teraz zrobić, ale sekundę później ktoś podjął decyzję za nas. Otworzyły się jedne z wielu drzwi i na korytarz wyskoczył mężczyzna w kompletnym, ale cokolwiek nieuporządkowanym stroju - koszula zwisała mu z tyłu na spodnie. Rozpoznałem go natychmiast. Był to inspektor Harriman.

On także nas zauważył.

- Wy! - wykrzyknął.

I gdy tak stał naprzeciwko nas, bez chwili namysłu wyjąłem rewolwer i strzeliłem, dając znak Lestrade'owi i jego ludziom, by pospieszyli nam z pomocą. Lecz choć mogłem wypalić w powietrze, nie zrobiłem tego. Mierzyłem w Har-

rimana i nacisnąłem spust z zabójczą intencją, której nie doświadczyłem nigdy przedtem ani potem. Tylko ten jeden raz w całym moim życiu wiedziałem dokładnie, co znaczy życzenie śmierci.

Lecz moja kula chybiła. Holmes w ostatniej chwili zorientował się w moich zamiarach i krzyknął głośno, jednocześnie wyciągając ręce ku mojemu rewolwerowi. To wystarczyło, by mnie zdekoncentrować. Kula przeszła bokiem i trafiła w lampę gazową. Harriman tymczasem uskoczył, a potem rzucił się do ucieczki. Dotarłszy do drugiej klatki schodowej, zniknął za zakrętem. Mój strzał zadziałał jak sygnał alarmowy. Drzwi otwierały się jedno po drugim i mężczyźni w średnim wieku wyskakiwali na korytarz. Rozglądali się w panice, jakby od lat spodziewali się, że ich grzechy zostaną pewnego dnia ujawnione, i nagle uświadomili sobie, że właśnie nadszedł ten moment. Z dołu dobiegł trzask pękającego drewna - policjanci wyważali drzwi frontowe. Usłyszałem też pokrzykiwanie Lestrade'a, a potem drugi strzał. Ktoś wrzasnął.

Holmes ruszył przed siebie, odpychając każdego, kto stanął mu na drodze, i podążając śladem Harrimana. Inspektor

268

najwyraźniej uznał, że gra dobiegła końca, ale nie wyobrażałem sobie, że zdoła uciec. Lestrade był już na miejscu. Jego ludzie zajmowali budynek. A jednak wydawało się, że Holmes właśnie tego się obawia, ponieważ i on dotarł już do drugiej klatki schodowej i pędził w dół. Biegłem za nim

i niemal jednocześnie znaleźliśmy się na parterze, na biało-
-czarnej szachownicy. Tu także panował totalny chaos. Drzwi
frontowe były otwarte, lodowaty wiatr hulał w korytarzach,
a płomienie lamp gazowych migotały panicznie. Ludzie
Lestrade'a wykonywali swoją pracę. Lord Ravenshaw, któ-
ry zdążył już zdjąć płaszcz, wybiegł z jednego z pokojów
ubrany w aksamitny smoking i z cygarem w dłoni. Jeden
z funkcjonariuszy pochwycił go natychmiast i przycisnął do
ściany.

- Precz z łapami! - wrzasnął lord. - Czy ty wiesz, kim ja
jestem?

Nie dotarło doń jeszcze, że wkrótce cały kraj będzie wie-
dział, kim jest, a także powtarzał jego nazwisko z odrazą.
Pozostali klienci Domu Jedwabnego, aresztowani jeden po
drugim, krążyli po korytarzu bez krzty odwagi czy godno-
ści. Niektórzy płakali. Lokaj siedział nieruchomo na pod-
łodze, a z jego nosa sączyła się krew. Dostrzegłem Roberta
Weeksa, nauczyciela i absolwenta Baliol College, prowadzo-
nego przez jednego z funkcjonariuszy, który sprawnie wy-
kręcał mu rękę.

Na samym końcu korytarza znaleźliśmy jeszcze jedne
drzwi. Były otwarte, a za nimi znajdował się już tylko ogród.
Jeden z policjantów leżał na progu, a z rany na jego piersi bu-
chała rytmicznie krew. Lestrade był już przy nim, a widząc
nadbiegającego Holmesa, spojrzał na niego z wściekłością.
- To był Harriman! - zawołał. - Strzelił, zbiegając po scho-
dach.

- Gdzie on jest?

- Uciek! - Lestrade wskazał na otwarte drzwi.

Holmes bez słowa rzucił się w pogoń za Harrimanem.

Znowu podążyłem za nim, po części dlatego, że moje miejsce zawsze było u jego boku, a po części dlatego, że chciałem

269

być tam, gdzie nareszcie dojdzie do wyrównania rachunków. Możliwe, że Harriman był tylko jednym ze sług Domu Jedwabnego, ale jego postępek nabrał osobistego wymiaru, gdy pod fałszywymi zarzutami uwięził Holmesa i próbował go zabić. Sam chętnie bym go zastrzelił i szczerze żałowałem, że chybiłem za pierwszym razem.

Wybiegliśmy w ciemność i śnieżycę. Ścieżka prowadziła nas wzdłuż ściany budynku. Noc była czarno-białym chaosem, w tumanie śniegu nie byliśmy w stanie dostrzec nawet zabudowań po drugiej stronie drogi. Wtem usłyszeliśmy trzask bata i rżenie konia. Jeden z powozów wystrzelił z szeregu, mknąc w kierunku bramy. Nie mieliśmy wątpliwości co do tego, kto trzyma lejce. Z ciężkim sercem i gorączką w ustach uświadomiłem sobie, że Harriman jednak zdołał uciec. Teraz mogliśmy jedynie czekać i mieć nadzieję, że zostanie wytropiony i zatrzymany w najbliższych dniach.

Tyle że Holmes nie brał pod uwagę takiej możliwości.

Harriman porwał powóz czterokołowy, zaprzężony w dwa konie. Holmes nie tracił czasu na wybieranie odpowiedniego pojazdu - wskoczył do najbliższego, lekkiego i dwukołowego, z jednym i to nie najdorodniejszym koniem. Jakimś

cudem zdążyłem dobiec doń, zanim ruszył. Puściliśmy się w szaloną pogoń, ignorując krzyki woźnicy, który palił papierosa gdzieś w pobliżu i gdy nas zauważył, było już za późno. Powóz wyskoczył za bramę i skręcił gwałtownie na drogę. Holmes poganiał konia bez litości, a ten okazał więcej ducha walki, niż można się było po nim spodziewać, i lekka dwukółka praktycznie frunęła ponad brukiem pokrytym warstwą śniegu. Możliwe, że mieliśmy o połowę słabszy napęd, za to nasz pojazd był zdecydowanie zwinniejszy. Siedząc wysoko na ławce, trzymałem się z całych sił, głęboko przekonany o tym, że jeśli spadnę, niechybnie skrucę sobie kark.

To nie była dobra noc na wyścigi. Śnieg ciął powietrze praktycznie poziomo, niesiony gwałtownymi podmuchami wiatru. Za nic nie mogłem pojąć, jakim cudem Holmes w ogóle coś widzi, bo za każdym razem, gdy próbowałem

270

przebić wzrokiem ciemność, śnieg oślepił mnie natychmiast, że nie wspomnę o zdrętwiałych od mrozu policzkach. W końcu jednak i ja spostrzegłem Harrimana, nie więcej niż pięćdziesiąt jardów przed nami. Słyszałem, jak pokrzykuje na konie i strzela z bata. Holmes siedział przede mną, pochylony, trzymając lejce obiema rękami i utrzymując równowagę wyłącznie pracą nóg. Na każdym wyboju mógł runąć na ziemię. Każdy zakręt sprawiał, że powóz sunął bokiem po śliskich kamieniach. Zastanawiałem się, czy resory wytrzymają takie akrobacje, a oczami wyobraźni widziałem

już nieuchronną katastrofę, gdy podniecony gonitwą koń rozniesie nasz pojazd na kawałki. Droga wiodła dość ostro w dół i czułem się tak, jakbyśmy spadali w otchłań pełną wirujących płatków śniegu, wciągani wiatrem w stronę dna. Czterdzieści jardów, trzydzieści... •• jakimś cudem wciąż skracaliśmy dystans. Podkowy koni Harrimana dudniły coraz głośniej, a koła powozu kręciły się jak scalone. Cała konstrukcja dygotała, jakby lada chwila miała się rozpaść. Harriman wiedział, że jesteśmy tuż za nim. Spostrzegłem, że obejrzał się przez ramię; jego białe włosy utworzyły wokół głowy szaloną aureolę. Sięgnął po coś, a ja zbyt późno odgadłem po co. Zauważyłem mały czerwony błysk, a huk wystrzału został niemal zagłuszony przez odgłosy gonitwy. Usłyszałem za to, jak kula wbija się w drewno. Minęła Holmesa o cal, a mnie o ułamek cala. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym łatwiejszym stawaliśmy się celem. Mimo to wciąż przyspieszaliśmy.

W oddali pojawiły się światła wioski albo dalekiego przedmieścia Londynu. Harriman strzelił po raz drugi. Nasz koń zarżał dziko i zachwiał się w biegu. Dwukółka podskoczyła gwałtownie, co odczułem boleśnie w kręgosłupie i ramionach. Na szczęście jednak dzielne zwierzę zostało tylko lekko ranne, a nie zabite, strach zaś dodał mu woli walki. Holmes krzyknął z cicha. Trzydzieści jardów, dwadzieścia... Za kilka sekund mieliśmy wyprzedzić Harrimana. Lecz wtedy Holmes nagle ściągnął lejce, a ja ujrzałem przed nami ostry wiraż - droga uciekała gwałtownie w lewo

i gdybyśmy spróbowali wejść w zakręt z taką prędkością, nie wyszlibyśmy zeń żywi. Dwukółka sunęła po lodzie, przyskajając błotem spod kół, hamując gwałtownie, a ja zacisnąłem dłoń na poręczy, sposobiąc się do skoku. Wiatr smagał nas wciąż bez litości, a cały świat wydawał się rozmazany. Nagle gdzieś z przodu dobiegł głośny trzask, ale nie był to trzeci strzał, tylko odgłos pękającego drewna. Uniosłem powieki i zobaczyłem, że czterokołowy powóz zdecydowanie zbyt szybko wszedł w zakręt. Jechał przez moment na jednym kole, a działająca nań siła była tak potężna, że drewniana rama rozleciała się na moich oczach. Harriman został wyrzucony z kozła i pofrunął wysoko, wciąż trzymając lejce. Zawisł w powietrzu na ułamek sekundy, po czym zniknął za powozem, którego resztki sunęły bokiem po śniegu. Konie kontynuowały bieg, ale już nic nie łączyło ich z pojazdem, i po chwili zniknęły w ciemności. Powóz tymczasem sunął dalej, wirując chaotycznie, aż wreszcie zatrzymał się tuż przed nami - przez chwilę odnosiłem wrażenie, że się z nim zderzymy. Na szczęście Holmes wciąż panował nad dwukółką i poprowadził konia tak, by ominął przeszkodę, i zatrzymał się nieco dalej.

Stał nieruchomo, dysząc ciężko, a na jego boku zauważyłem czerwoną szramę. Jeśli chodzi o mnie, to czułem z przykrością, że żadna z kości nie pozostała na swoim miejscu. Ponadto nie miałem na sobie płaszcza i trząsnęłam się z zimna.

- I cóż, Watsonie - wycharczał Holmes, oddychając z tru-

dem. - Sądzisz, że mam zadatki na dorożkarza?

- Całkiem możliwe - odrzekłem - ale nie oczekuj zbyt wielu napiwków.

- Sprawdźmy, co możemy zrobić dla Harrimana.

Zeskoczyliśmy na ziemię, ale jeden rzut oka na miejsce katastrofy przekonał nas, że pościg dobiegł końca w każdym znaczeniu tego słowa. Harriman był cały we krwi. Kark miał złamany tak nieszczęśliwie, że choć leżał na brzuchu, jego niewidzące oczy spoglądały prosto w niebo, a twarz była wykrzywiona strasznym grymasem bólu. Holmes spojrział na niego przelotnie i pokiwał głową.

272

- Zasłużył na to - rzekł krótko.

- To był podły człowiek, Holmesie. Jak oni wszyscy.

- Całkiem zgrabnie to ująłeś, Watsonie. Dasz radę wrócić ze mną do Chorley Grange?

- Te dzieci, Holmesie... Te biedne dzieci.

- Wiem. Sądzę, że Lestrade zdążył już opanować sytuację.

Zobaczymy, czy jeszcze się na coś przydamy.

Nasz koń wciąż dyszał wściekle i ani myślał nas słuchać.

Z wielkim trudem zmusiliśmy go do kolejnego wysiłku, zwłaszcza że droga pięła się w górę. Gdy ruszyliśmy, zdumiałem się, jak bardzo zdążyliśmy się oddalić od Chorley Grange. Jazda w dół trwała kilka minut, powrót - ponad pół godziny. Na szczęście śnieg prószył coraz słabiej, a i wiatr z wolna ustawał. Cieszyłem się nawet, że mam trochę czasu, żeby się pozbierać, póki byliśmy sami.

- Holmesie - odezwałem się - od kiedy wiedziałeś?

- O Domu Jedwabnym? Podejrzewałem, że coś tu jest nie tak, gdy po raz pierwszy odwiedziliśmy Chorley Grange.

Fitzsimmons i jego żona to zdolni aktorzy, ale może przypomnij sobie, jakim gniewem zareagował, gdy ów chłopiec, z którym rozmawialiśmy - ten jasnowłosa imieniem Daniel - wspomniał o siostrze Rossa, zatrudnionej w „Worku Gwoździ”. Choć przyznam, że szybko się opanował. Próbowaliśmy przekonać, że zirykowało go jedynie to, iż dzieciak nie przekazał mu tej informacji wcześniej, ale w rzeczywistości chodziło mu o to, że w ogóle czegoś się dowiedzieliśmy. Zdziwił mnie też charakter budynku po drugiej stronie drogi. Dostrzegłem tam ślady kół wielu różnych pojazdów, w tym landa i innych dość kosztownych powozów. Dlaczego ich zamożni właściciele mieliby przyjeżdżać na występy grupy anonimowych chłopców z najbiedniejszych rodzin? To bez sensu.

-Ale wtedy jeszcze nie wiedziałeś...

- Nie, wtedy jeszcze nie. A wynika z tego lekcja, Watsonie, którą zamierzam dobrze zapamiętać. Idąc tropem zbrodni, detektyw musi od czasu do czasu dać się ponieść najgorszym przeczuciom, czyli spróbować wejść w umysł przestępcy.

273

Istnieją jednak granice, których cywilizowany człowiek nie chce przekraczać. Tak było i tym razem. Nie wyobrażałem sobie, czego dopuszczają się Fitzsimmons i jemu podobni, a to z tej prostej przyczyny, że tego nie chciałem. Lecz czy

mi się to podoba czy nie, w przyszłości muszę być mniej delikatny. Dopiero gdy znaleziono zwłoki biednego Rossa, zacząłem sobie uświadamiać, że wkroczyliśmy na arenę wydarzeń zgoła odmiennych od tego, co znaliśmy z przeszłości. I nie chodziło tylko o brutalność zadanych dziecku ciosów. Chodziło o tę białą wstążkę uwiązaną do jego nadgarstka. Ktokolwiek zdobył się na taki gest nad martwym dzieckiem, musiał być istotą zepsutą do szpiku kości. A skoro tak, to także zdolną do wszystkiego.

- Biała wstążka...

- Jak sam widziałeś, była symbolem, dzięki któremu ci ludzie mogli się nawzajem rozpoznać, a także wejść w gościnnie mury Domu Jedwabnego. Posłużyła jednak i w innym celu. Gdy zawiązali ją wokół ręki dziecka, uczynili zeń dobitny przykład. Wiedzieli, że w gazetach pojawi się wzmianka o tym szczególe i że zadziała jak ostrzeżenie. Wszyscy zainteresowani dowiedzieli się, co ich czeka, jeśli sprzeciwią się tej organizacji.

- A nazwa, Holmesie? Czy tylko dlatego nazwali to miejsce Domem Jedwabnym?

- Nie tylko, Watsonie. Obawiam się, że odpowiedź mieliśmy przez cały czas na wyciągnięcie ręki, choć tylko z perspektywy czasu wydaje się to tak oczywiste. Zapewne pamiętasz nazwę towarzystwa dobroczynnego, które według Fitzsimmonsa wspierało jego dzieło? Towarzystwo ku Poprawie Losu Dzieci Londyńskich. W naszej pięknej mowie skrót tej nazwy brzmi SILC, a to już prawie „silk”. Uważam,

że właśnie stąd wziął się pomysł na nazwę. Możliwe, że skopiowano też mechanizm działania towarzystwa, tyle że zamiast pomagać dzieciom, wykorzystywano je.

Wreszcie dotarliśmy do szkoły. Holmes zwrócił dwukórkę właścicielowi, dodając gorące przeprosiny. Lestrade czekał już na nas u drzwi.

274

- Gdzie Harriman? - spytał.

- Nie żyje. Jego wóz się przewrócił.

- Nie powiem, żebym żałował.

- A co z rannym funkcjonariuszem?

- Ciężki postrzał, panie Holmes, ale będzie żył.

Nie miałem najmniejszej ochoty wstępować ponownie w te mury, ale weszliśmy do środka w ślad za Lestrade'em.

Policjant postrzelony przez Harrimana leżał pod kocami, a fortepian naturalnie milczał. Poza tym Dom Jedwabny wyglądał w zasadzie tak samo jak wtedy, gdy trafiliśmy tu po raz pierwszy. Wzdrygnąłem się na tę myśl, ale miałem świadomość, że sprawa jeszcze nie jest zamknięta.

- Posłałem po dodatkowych ludzi - powiedział Lestrade. -

Odkryliśmy tu naprawdę paskudną aferę, panie Holmes, a na jej ogarnięcie potrzeba kogoś znacznie starszego rangą niż ja. Powiem panu tylko, że dzieciaki odesłaliśmy z powrotem do szkoły po drugiej stronie drogi. Pilnuje ich dwóch moich ludzi, bo wszystkich nauczycieli musiałem aresztować - są zamieszani w to, co się działo w tym strasznym miejscu.

Dwóch z nich, Weeksa i Vospera, chyba już pan poznał.

- A co z Fitzsimmonsem i jego żoną? - spytałem.

- Są w salonie, wkrótce się nimi zajmiemy. Najpierw jednak chciałbym coś panom pokazać, jeśli zniosą to panów żółdki. - Trudno mi było uwierzyć, że Dom Jedwabny może kryć w sobie jeszcze bardziej ohydne tajemnice, ale weszliśmy za Lestrade'em na piętro, przez całą drogę słuchając jego relacji. - Tutaj znaleźliśmy jeszcze dziewięciu ludzi. Właściwie nie wiem, jak ich nazywać. Klientami? Konsumentami? Byli wśród nich lord Ravenshaw oraz pewien dżentelmen, którego panowie dobrze znają, a mianowicie doktor Ackland. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego tak ochoczo zeznawał przeciwko panu.

- A co z lordem Horace'em Blackwaterem? - spytał Holmes.

- Nie było go tu dzisiaj, panie Holmes, ale jestem pewny, że często tu bywał. Chodźmy tędy. Pokażę panom, co znaleźliśmy. Ciekawe, czy zrozumieją panowie, o co tu chodzi. Szliśmy korytarzem, w którym spotkaliśmy Harrimana.

275

Wszystkie drzwi były teraz otwarte, odsłaniając luksusowo wyposażone sypialnie. Dostawałem gęsiej skórki na myśl o tym, że miałbym wejść do którejś z nich, ale jednak to zrobiłem, w ślad za Holmesem i Lestrade'em. Znaleźliśmy się w pokoju przybranym błękitnym jedwabiem, z łóżkiem z kutego żelaza, niską sofą oraz drzwiami prowadzącymi do łazienki z bieżącą wodą. Przeciwległą ścianę zajmował niewysoki kredens, na którym stał szklany zbiornik, napętniony starannie ułożonymi kamykami i suszonymi roślinami,

które tworzyły miniaturowy krajobraz - być może dzieło miłośnika przyrody, a może kolekcjonera.

- Ten pokój był pusty, gdy wkroczyliśmy do budynku - ciągnął Lestrade. - Moi ludzie przeszli więc korytarzem do sąsiedniego pomieszczenia, ale i tam nie znaleźli nic ciekawego; był to raczej schowek, który otworzyli przez przypadek. A teraz, panowie, proszę spojrzeć tutaj. Oto, co jeszcze odkryliśmy.

W pierwszej chwili nie mogłem dostrzec tego, co chciał nam pokazać, wskazując na zbiornik. W końcu jednak dostrzegłem maleńki otwór, doskonale zamaskowany szklaną taflą i praktycznie niewidoczny.

- Wizjer! - wykrzyknąłem. I teraz dopiero dotarło do mnie znaczenie tego odkrycia. - Cokolwiek działo się w tym pomieszczeniu, można to było obserwować.

- I nie tylko obserwować - mruknął ponuro Lestrade. Wyszliśmy znowu na korytarz, gdzie otworzył przed nami drzwi schowka. Wnętrze było puste, jeśli nie liczyć stolika z mahoniową skrzynką. Z początku nie byłem pewny, na co patrzę, ale gdy inspektor odpiął klamerkę i część skrzynki rozciągnęła się niczym miech, zrozumiałem, że mam przed sobą aparat fotograficzny z obiektywem dotykającym wizjera, który oglądaliśmy po drugiej stronie.

- Le Merveilleux, średni format, wyprodukowany przez firmę J. Lancaster and Son z Birmingham, jeśli się nie mylę - powiedział Holmes.

- Czy to także służyło tym bezceństwom? - spytał Le-

strade. - Chcieli uwiecznić wszystko, co się tu działo?

276

- Raczej nie - odparł Holmes. - Ale teraz rozumiem, dlaczego mój brat Mycroft spotkał się z taką wrogością, gdy zaczął zadawać pytania. Dlatego też nie mógł przyjść mi z pomocą. Mówił pan, że macie na dole Fitzsimmonsa? ||(

- I jego żonę.

- W takim razie pora na pogawędkę.

Ogień wciąż jeszcze płonął w kominku, a salon nadal był ciepły i przytulny. Wielebny Charles Fitzsimmons siedział na kanapie wraz z małżonką. Ucieszyłem się, że choć raz zrzucił swą duchowną szatę, zastępując ją marynarką i czarną muszką. Nie wydaje mi się, bym mógł jeszcze znieść pozory jego przynależności do Kościoła. Pani Fitzsimmons siedziała sztywno, nie patrząc nam w oczy. Ani razu nie zabrała głosu ! w rozmowie. Holmes usiadł w fotelu, ja stanąłem plecami do kominka, a Lestrade pozostał przy drzwiach.

- Pan Holmes! - Fitzsimmons wyglądał na zaskoczonego i uradowanego jego widokiem. - Zdaje mi się, że muszę panu pogratulować. Niewątpliwie potwierdził pan swoją reputację, jest pan dokładnie tak groźnym przeciwnikiem, jak mi pana przedstawiano. Zdołał pan wymknąć się z pierwszej !|| zastawionej przez nas pułapki. Pańskie zniknięcie z Holloway było nadzwyczajną sztuczką. Co więcej, ani Henderson, ani Bratby nie wrócili do naszego domu, z czego wnioskuję, że przechytrył ich pan przy Jackdaw Lane i obaj zostali aresztowani.

- Obaj nie żyją - sprostował Holmes.

- Cóż, zapewne i tak prędzej czy później skończyliby na |
stryczku, zatem niewielka to różnica. |

- Jest pan gotów odpowiedzieć na moje pytania?

- Oczywiście. Nie widzę żadnego powodu, by tego nie
robić. Nie wstydę się tego, co działo się w Chorley Grange.
Choć muszę zaznaczyć, że niektórzy z funkcjonariuszy po- |
traktowali nas bardzo ostro i... - tu Fitzsimmons odwrócił się)
w stronę Lestrade'a - ...zapewniam, że złożę oficjalną skargę
w tej sprawie. Jednak prawdą jest, że my tylko zapewniali-
śmy pewnym ludziom to, czego tacy jak oni potrzebują od
wieków. Z pewnością czytał pan wiele o starożytnych cy-
277

wilizacjach - o Grekach, Rzymianach, Persach? W swoim
czasie kult Ganimedesa był wielce chwalebna rzeczą, mój
panie. A czy napełniają pana odrazą prace Michała Anioła
lub choćby sonety Williama Szekspira? Cóż, przypuszczam,
że nie ma pan ochoty na dyskusje natury semantycznej. I to
pan jest dziś górą, panie Holmes. Co chciałby pan wiedzieć?

- Czy Dom Jedwabny był pańskim pomysłem?

- Wyłącznie moim. Zapewniam, że Towarzystwo ku Po-
prawie Losu Dzieci Londyńskich, a także rodzina naszego
dobroczyńcy, sir Crispina Ogilvy'ego - która, jak już panu
mówiłem, umożliwiła nam zakup Chorley Grange - nie
mają żadnej wiedzy o tym, co się tutaj działo. Gdyby mie-
li, byłiby równie zde gustowani jak pan. Dodam jeszcze, że
nie mam powodu, by oszczędzać panu prawdy - nie zamie-

rzam jej ukrywać.

- Czy to pan zlecił zamordowanie Rossa?

- Tak, wyznaję, że to ja. I jestem z tego dumny, panie Holmes, ponieważ była to rzecz konieczna - musiałem zapewnić sobie bezpieczeństwo oraz dbać o szczęśliwą przyszłość naszego interesu. Proszę jednak nie sądzić, że przyznaję się do zabójstwa. Dokonali go Henderson i Bratby.

Wypada mi nadmienić, że nie oszukiwałby pan samego siebie, sądząc, że Ross był małym niewinnym aniołkiem, który wpadł w złe towarzystwo. Pani Fitzsimmons miała absolutną rację: paskudny był z niego gagatek i sam zafundował sobie marny koniec.

- O ile wiem, sporządzali państwo fotografie niektórych klientów.

- Odwiedził pan już nasz mały, błękitny pokój?

-Tak.

- Niekiedy było to konieczne.

- Domyślam się, że chodziło o szantaż?

- Szantaż - od czasu do czasu, tylko gdy zmuszały nas do tego okoliczności. Być może nie zdziwi się pan zbytnio, że zbiłem niemały majątek, prowadząc Dom Jedwabny, i naprawdę niepotrzebne mi dodatkowe źródła przychodu. Nie, panie Holmes, tu chodziło raczej o samoobronę. Jak pan

278

sądzi, w jaki sposób zdołałem przekonać doktora Acklanda i lorda Horace'a Blackwatera, by pojawili się na pańskiej rozprawie? Zadziałał ich instynkt samozachowawczy. I wła-

śnie dlatego mogę pana zapewnić, że moja żona i ja nigdy nie staniemy przed sądem. Znamy zbyt wiele wstydliwych sekretów zbyt wielu ważnych ludzi - czasem nawet niebywale ważnych ludzi - a dowody ukryliśmy bardzo starannie. Panowie, których tu dziś zatrzymano, to tylko niewielka grupka moich wdzięcznych klientów. Czasem gościmy tu ministrów i sędziów, prawników i lordów. Co więcej, mógłbym wymienić z imienia i nazwiska członka najszlachetniejszej rodziny w tym kraju, który często tu bywał, ale on oczywiście głęboko wierzy w moją dyskrecję, tak jak ja głęboko wierzę w jego wsparcie, gdybym go potrzebował. Pan to rozumie, panie Holmes? Oni nigdy nie pozwolą na to, by ta sprawa ujrzała światło dzienne. Za sześć miesięcy moja żona i ja będziemy znowu wolnymi ludźmi i po cichutku zaczniemy od początku. Co najwyżej będziemy musieli przenieść się na kontynent. Zawsze miałem słabość do południowej Francji. Tak czy inaczej, Dom Jedwabny gdzieś kiedyś się odrodzi. Daję panu słowo.

Holmes nie odpowiedział. Wstał i razem opuściliśmy salon. Tej nocy nie wspomniał o Fitzsimmonsie ani jednym słowem. Nie wrócił do tematu także rankiem, ale wtedy znowu byliśmy zajęci. Cała przygoda zaczęła się bowiem w Wimbledonie i tam musieliśmy powrócić.

20

Keelan O'Donaghue

Nocny opad śniegu przemienił Ridgeway Hall w zdumiewającym stopniu, podkreślając symetrię budynku i przyda-

jąc mu ponadczasowej urody. Podobał mi się on od samego początku, ale teraz, gdy jechaliśmy ku niemu z Sherlockiem po raz ostatni, wydał mi się po prostu doskonały, niczym te małe domki, które widuje się czasem na wystawach sklepów z zabawkami. Czułem się nieomal jak wandal, gdy koła naszego powozu cięły nieskazitelną biel podjazdu.

Było wczesne popołudnie następnego dnia i muszę wyznać, że gdyby dano mi taką szansę, wolałbym odłożyć tę wizytę co najmniej o dwadzieścia cztery godziny, gdyż byłem wyczerpany przeżyciami ostatniego wieczoru, a ból w obitym ramieniu był tak silny, że ledwie mogłem zamknąć lewą dłoń. Choć bardzo się starałem, nie dane mi było nawet spokojnie zasnąć i wyrzucić z umysłu to, co widziałem w Chorley Grange, a to dlatego - paradoksalnie - że wspomnienie o tym miejscu było zbyt świeże. Gdy przyszedłem na śniadanie, z pewną irytacją stwierdziłem, że Holmes jest rześki jak skowronek. Był w pełni sił, a powitał mnie tak swobodnie, jakby absolutnie nic złego się nie stało. To właśnie on nalegał, abyśmy wybrali się z tą wizytą, zwłaszcza że jeszcze zanim wstałem, wysłał depezę do Edmunda Carstairsa. Przypomniałem sobie, że podczas spotkania w „Worku Gwoździ” przekazałem Holmesowi najświeższe nowiny z Wimbledonu, dotyczące przede wszystkim stanu zdrowia Elizy Carstairs.

281

Podobnie jak wtedy, niepokoił się o nią i widziałem, że jej chorobę postrzega jako niezwykle istotną okoliczność. Upięrał się, że musi zobaczyć się z nią osobiście, choć nie byłem

w stanie pojąć, w jaki sposób chciałby jej pomóc, skoro ani ja tego nie dokonałem, ani cały zastęp dobrych lekarzy.

Zapukaliśmy do drzwi rezydencji. Otworzył nam Patrick, irlandzki kuchenny, którego wcześniej poznałem. Spojrzał obojętnie najpierw na Holmesa, a potem na mnie.

- A, to pan - powiedział, krzywiąc się. - Nie sądziłem, że jeszcze pan tu wróci.

Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek powitano mnie na progu domu w równie bezczelny sposób, ale Holmes wyglądał na rozbawionego.

- Czy zastaliśmy pana domu? - spytał.

- A kogo mam zaanonsować?

- Nazywam się Sherlock Holmes. Jesteśmy umówieni.

A kim ty jesteś?

- Mam na imię Patrick.

- Masz też dubliński akcent, jeśli się nie mylę.

- A co panu do tego?

- Patrick? Kto tam? Dlaczego nie ma tu Kirby'ego? - Wyraźnie zdenerwowany Edmund Carstairs pojawił się w holu i wyszedł nam na spotkanie. - Proszę mi wybaczyć, panie Holmes. Kirby pewnie siedzi jeszcze na górze, z moją siostrą. Nie sądziłem, że kuchenny otworzy drzwi. Możesz już iść, Patrick. Wracaj na swoje miejsce.

Carstairs był, jak zawsze, nienagannie ubrany, ale linie malowane na twarzy przez długie dni niepokoju były aż nadto wyraźne. Byłem pewny, że podobnie jak ja nie spał najlepiej ostatniej nocy.

- Otrzymał pan moją depeszę? - upewnił się Holmes.

-Tak. Pan jednak najwyraźniej nie otrzymał mojej. Napisałem wyraźnie, że jak informowałem wcześniej doktora Watsona, nie potrzebuję już pańskich usług. Przykro mi to stwierdzić, panie Holmes, ale nie pomógł pan zbyt wiele mojej rodzinie. Dodam też, że wiem o pańskim aresztowaniu i bardzo poważnych kłopotach z prawem.

- Te sprawy zostały już wyjaśnione. A co się tyczy pań-

282

skiej depeszy, panie Carstairs, to owszem, zdążyłem ją odebrać i przeczytałem z niemałym zainteresowaniem.

- I mimo to pofatygował się pan do Wimbledonu?

- Przyszedł pan do mnie, ponieważ terroryzował pana człowiek w kaszkiecie, którego uważał pan za Keelana O'Donaghue z Bostonu. Ja zaś powiadam panu, że odkryłem pewne fakty w tej sprawie, które chętnie panu naświetlę. Mogę też panu zdradzić, kto zabił tego człowieka. Może pan próbować przekonać samego siebie, że te sprawy nie mają już żadnego znaczenia, ale jeśli tak, to spróbuję dotrzeć do pana najprostszymi słowami. Jeżeli życzy pan śmierci swojej siostrze, odeśle mnie pan. Jeśli nie, zaprosi mnie pan do środka i wysłucha tego, co mam do powiedzenia.

Carstairs zawahał się. Widziałem, że toczy wewnętrzną walkę i z jakiegoś niepojętego powodu obawia się nas, ale w końcu zwyciężył rozsądek.

- Proszę - rzekł. - Nie wiem, co jeszcze robi Kirby, ale chętnie wezmę od panów płaszcz. Czasem mam wrażenie,

że w tym domu panuje coraz większy chaos. - Zdjąwszy wierzchnie okrycia, przeszliśmy do salonu, który znaleźliśmy z pierwszej wizyty.

- Jeśli pan pozwoli, chciałbym zobaczyć się z pańską siostrą, zanim usiądziemy - powiedział Holmes.

- Moja siostra nie jest w stanie z nikim się „zobaczyć”.

Wzrok ją zawodzi. Prawie nie mówi.

- Nie będzie musiała mówić. Chcę tylko rozejrzeć się po jej pokoju. Czy nadal odmawia przyjmowania pokarmu?

- Tu już nie chodzi o odmowę. Ona nie jest w stanie przyzwajać stałych pokarmów. Rzadko kiedy udaje mi się zmusić ją do przełknięcia odrobiny ciepłej zupy.

- Zatem nadal jest pewna, że ktoś podaje jej truciznę.

- Moim zdaniem to tylko irracjonalne przekonanie, które stało się przyczyną tej choroby, panie Holmes. Jak już mówiłem pańskiemu koledze, kosztowałem każdej porcji jedzenia, które jej podawaliśmy, i nie doświadczyłem żadnych negatywnych skutków. I powiem panu, że nie rozumiem tej klątwy, która na mnie spadła. Zanim pana spotkałem, byłem szczęśliwym człowiekiem.

283

- I pewnie nadal żywi pan nadzieję, że te czasy wrócą.

Wspięliśmy się po schodach do pokoju na poddaszu, w którym byłem już podczas poprzedniej wizyty. Gdy dochodziliśmy do drzwi, w progu zjawił się służący Kirby z tacą, na której stał talerz nietkniętej zupy. Spojrzał na swego pana i pokręcił głową, co oznaczało, że pacjentka po raz

kolejny odmówił jedzenia. Weszliśmy do środka. Widok Elizy Carstairs nie napawał mnie optymizmem. Ile czasu minęło, odkąd widziałem ją po raz ostatni? Niewiele ponad tydzień. A przecież dało się dostrzec gołym okiem, jak bardzo pogorszył się jej stan. Przypominała ów żywy szkielet, reklamowany jako atrakcja Domu Cudów Doktora Silkina. Jej skóra była naciągnięta w okropny sposób, jak u ludzi zbliżających się do kresu życia. Suche usta rozwarły się, odsłaniając zęby i dziąsła. Pod kołdrą rysował się kształt skrajnie wychudzonego ciała. Szeroko otwarte oczy niczego nie widziały. Dłonie złożone na piersi mogły należeć do kobiety o trzydzieści lat starszej od Elizy Carstairs.

Holmes przyjrzał się jej raczej pobieżnie.

- Łazienka jest tuż obok? - spytał.

- Tak. Ale Eliza jest już zbyt słaba, żeby z niej korzystać.

Pani Kirby i moja żona myją ją tu, na łóżku.

Holmes nie słuchał. Był już w łazience, a Carstairs i ja siedzieliśmy w kłopotliwym milczeniu, spoglądając na chorą kobietę.

- Możemy już zejść na dół - rzekł Holmes, wróciwszy po chwili.

Lekko poirytowani ruszyliśmy za nim na schody. Wizyta nie trwała dłużej niż trzydzieści sekund.

Gdy weszliśmy do salonu, Catherine Carstairs siedziała przy kominku, grzejąc się przy wesoło trzaskającym ogniu i czytając książkę. Zamknęła ją na nasz widok i wstała pośpiesznie.

- Pan Holmes i doktor Watson! Doprawdy są panowie

ostatnimi gośćmi, których spodziewałam się tu ujrzeć... -

Urwała i zerknęła na męża. - Sądziłam, że...

- Postąpiłem dokładnie tak, jak się umówiliśmy, moja droga. Pan Holmes postanowił jednak, że i tak nas odwiedzi.

- Dziwię się, że nie chciała pani zobaczyć się ze mną,

284

pani Castairs - rzekł Holmes. - Zwłaszcza że pragnęła pani skorzystać ponownie z moich usług, gdy zachorowała pani szwagierka.

-Minęło sporo czasu, panie Holmes. Nie chcę być niegrzeczna, ale dość dawno straciłam nadzieję na to, że będzie pan w stanie pomóc naszej rodzinie. Człowiek, który wszedł nieproszony do tego domu, by skraść pieniądze oraz biżuterię, już nie żyje. Czy chcemy wiedzieć, kto go zasztyletował? Nie! Wystarczy nam pewność, że więcej nie sprawi kłopotu. Jeżeli więc nie ma pan pomysłu na to, w jaki sposób moglibyśmy pomóc biednej Elizie, to chyba nie ma pan tu czego szukać.

- Wierzę, że mogę ocalić pannę Carstairs. Możliwe, że jeszcze nie jest za późno.

- Ocalić przed czym?

- Przed trucizną.

Catherine Carstairs drgnęła.

- Przecież nikt jej nie truje! Nie ma takiej możliwości. Lekarze nie znają przyczyny jej choroby, ale w tej jednej kwestii są zgodni.

- Zatem wszyscy są w błędzie. Czy mogę spocząć? Mam państwu sporo do opowiedzenia i sądzą, że byłoby nam

wszystkim znacznie wygodniej, gdybyśmy usiedli.

Pani Carstairs spojrzała na niego wrogo, ale tym razem jej mąż wziął mego przyjaciela w obronę.

- Niech i tak będzie, panie Holmes. Wysłucham tego, co ma pan do powiedzenia. Ale proszę zapamiętać jedno: jeśli uznam, że próbuje pan mnie zwodzić, bez wahania poproszę, by pan wyszedł.

- Ani myślę pana zwodzić - odparł Holmes. - Wręcz przeciwnie - dodał, sadowiąc się w fotelu stojącym najdalej od kominka.

Ja usiadłem obok niego, państwo Carstairs zaś na kanapie naprzeciwko nas. Wreszcie Holmes rozpoczął swój wielki finał.

- Pojawił się pan w moim mieszkaniu, panie Carstairs, idąc za radą swego księgowego, ponieważ lękał się pan, że jego życie może być w niebezpieczeństwie, a to za sprawą człowieka, którego nigdy pan nie spotkał. Tamtego wieczoru wybierał się pan na operę Wagnera, jeśli dobrze pamiętam

285
tam. Jednak kiedy pan ode mnie wychodził, było już dość późno i przypuszczam, że spóźnił się pan na pierwszy akt.

- Nie. Przyszedłem na czas.

- To nieistotne. W pańskiej opowieści było wiele motywów, które uznałem za szczególnie interesujące, a najważniejszym z nich było oczywiście dziwne zachowanie tajemniczego nieznajomego - Keelana O'Donaghue, jeśli to był on. Byłem skłonny uwierzyć, że podążył za panem aż do Londynu i znalazł pański adres w Wimbledonie, a wszystko

po to, by pana zabić. Był pan wszak przynajmniej częściowo odpowiedzialny za śmierć jego brata bliźniaka, Rourke'a O'Donaghue. Bliźniaków łączy silna więź, panie Carstairs. Wcześniej Keelan dokonał zemsty na Corneliusie Stillmanie, czyli człowieku, który kupił od pana obrazy olejne, a potem zapłacił agentom Pinkertona za to, by wytropili Gang Kaszkietów w Bostonie i odpowiednią porcją ołowiu zakończyli jego działalność. Proszę mi przypomnieć, jeśli łaska, jak się nazywał główny agent, którego zatrudniście?

-Tobył Bill McParland.

- O, właśnie. Jak mówiłem, bliźniaków łączy często silna więź, toteż nie zdziwiłbym się, gdyby Keelan chciał pana uśmiercić. Dlaczego więc tego nie zrobił? Gdy dowiedział się, gdzie pan mieszka, dlaczego nie pojawił się z nienacka, by wbić panu nóż w plecy? Ja bym tak zrobił. Nikt przecież nie wiedział o jego przyjeździe do Anglii. Mógł znaleźć się na pokładzie statku płynącego do Ameryki, zanim jeszcze pańskie zwłoki trafiłyby do kostnicy. On jednak postąpił zgoła inaczej. Stał opodal pańskiego domu, w kaszkiecie na głowie, aby poznać go pan bez trudu. Co gorsza, pojawił się ponownie, tym razem w chwili, gdy wraz z panią Carstairs wychodził pan z teatru Savoy. Jak pan sądzi, o co mu chodziło? Zachowywał się niemal tak, jakby chciał pana sprowokować do pójścia na policję, jakby chciał zostać aresztowany.

- Chciał nas zastraszyć - wtrąciła pani Carstairs.

- To jednak nie mogło być motywem jego trzeciej wizyty.

Tym razem wrócił do państwa domu z liścikiem, który wrę-

286

czył pani mężowi. Prosił o spotkanie w miejscowym kościele, w samo południe.

- I nie pojawił się.

- Być może wcale nie miał takiego zamiaru. Po raz ostatni pojawił się w państwa życiu tej nocy, kiedy włamał się do domu, by ukraść pięćdziesiąt funtów i biżuterię z sejf. W tym momencie muszę wyznać, że moim zdaniem jego zachowanie było wręcz zadziwiające. Nie tylko wiedział dokładnie, które okno powinien wybrać, ale także jakimś sposobem zdobył zaginiony klucz, który pani Carstairs zgubiła kilka miesięcy wcześniej, czyli jeszcze przed jego przybyciem do Anglii. Czyż to nie fascynujące, że bardziej zainteresowały go pieniądze niż morderstwo? Znalazł się w tym domu w samym środku nocy. Mógł wejść po schodach i zabić państwa we śnie...

- Obudziłam się i usłyszałam go.

- W rzeczy samej, pani Carstairs. Ale on tymczasem zdążył już otworzyć sejf. A przy okazji, rozumiem, że państwo śpią w osobnych sypialniach?

Carstairs zarumienił się mocno.

- Nie widzę związku między naszymi prywatnymi sprawami a pańską opowieścią.

- A jednak nie zaprzecza pan. Ale zgoda, pozostajmy przy naszym bardzo dziwnym i lekko niezdecydowanym intruzie. Ucieka do pensjonatu w Bermondsey. Teraz jednak sprawy przybierają niespodziewany obrót, albowiem

pojawia się drugi intruz, o którym nic nie wiemy. Dopada Keelana O'Donaghue - skoro już tak go nazywamy - zabija go nożem i zabiera nie tylko pieniądze, ale także wszystko, co mogłoby pozwolić na zidentyfikowanie ofiary. Wszystko, poza papierośnicą, która wydaje się dowodem kompletnie nieprzydatnym, gdyż widnieją na niej inicjały WM.

- Do czego pan zmierza, panie Holmes? - spytała Catherine Carstairs.

- Chcę tylko uświadomić państwu to, co dla mnie jest oczywiste od samego początku, a mianowicie: ta historia nie ma najmniejszego sensu. Chyba że wyjdziemy z założenia, że tajemniczym intruzem, który włamał się do tego domu, 287

nie jest Keelan O'Donaghue, a osobą, z którą ów intruz chciał się skontaktować, nie jest pani mąż.

- Przecież to nonsens. On sam dał mojemu mężowi tę wiadomość.

- A potem nie zjawił się w kościele. Może wszystko stanie się nieco jaśniejsze, jeśli spróbujemy postawić się w sytuacji naszego tajemniczego intruza. Wyobraźmy sobie, że szuka dyskretnego kontaktu z osobą mieszkającą w tym domu. To wcale nie jest tak prosta kwestia, jak mogłoby się wydawać, ponieważ prócz państwa mieszkają tu jeszcze panna Eliza i liczna służba... państwo Kirby, Elsie oraz Patrick, kuchenny. Na początek więc intruz obserwuje dom z daleka, ale wreszcie decyduje się napisać wielkimi literami wiadomość, której nie składa nawet na pół i nie chowa do koperty. Jasne

jest więc, że zamierza przyczepić ją do drzwi. Możliwe jest jednak i to, że ma nadzieję, iż dostrzeże osobę, do której chce dotrzeć, przez okno jadalni i po prostu pokaże jej list przez szybę. Nie będzie musiał nawet dzwonić do drzwi. Nie będzie musiał się martwić, że wiadomość wpadnie w niepowołane ręce. O sprawie dowie się tylko ta jedna osoba, z którą rozmówi się już wkrótce. Niestety, pan Carstairs nie spodziewanie wrócił do domu wcześniej. Jeszcze kilka sekund, a nasz intruz osiągnąłby swój cel, ale jednak nie zdążył. Cóż więc ma uczynić? Unosi swój list w górę i wręcza go panu Carstairsowi. Wie, że jest obserwowany z jadalni, dlatego teraz jego gest ma zupełnie inny wydźwięk. „Znajdź mnie - chciałby powiedzieć. - Jeśli tego nie zrobisz, powiem panu Carstairsowi wszystko, co wiem. Spotkam się z nim w kościele. Spotkam się z nim, gdzie tylko zechcę. Nie zabronisz mi". Naturalnie nie pojawia się w umówionym miejscu, bo nie musi. Ostrzeżenie wystarczy.

- Ale z kim chciałby się rozmówić, jeśli nie ze mną? - spytał Carstairs.

- A kto przebywał w tym czasie w jadalni?

- Moja żona. - Carstairs zmarszczył brwi, jakby zapragnął nagle zmienić temat. - A kim był ten człowiek, jeśli nie Keelanem O'Donaghue?

288

- Odpowiedź jest całkiem prosta, panie Carstairs. To był Bill McParland, detektyw z agencji Pinkertona. Proszę się zastanowić. Wiemy, że pan McParland został ranny podczas

strzelaniny w Bostonie i że człowiek, którego znaleźliśmy w hotelowym pokoju, miał bliznę na prawym policzku.

Wiemy też, że McParland popadł w konflikt ze swym moco-
dawcą, Corneliusem Stillmanem, który nie chciał mu wypła-
cić całego honorarium. Mamy więc rachunek do wyrówna-
nia. Zajmijmy się jeszcze kwestią imienia. Bill to, jak sądzę,
zdrobienie od imienia William. Przypominam, że inicjały
na papierośnicy znalezionej w hotelu to...

- WM - wtrąciłem.

- Właśnie, Watsonie. Teraz wszystko zaczyna się nam
układać, czyż nie? Prześledźmy teraz losy Keelana O'Do-
naghue. Po pierwsze, co wiemy o tym młodym człowieku?
Pańska opowieść była zaskakująco szczegółowa i spójna,
panie Carstairs, za co niniejszym panu dziękuję. Powiedział
nam pan, że Rourke i Keelan O'Donaghue byli bliźniakami,
ale Keelan był zdecydowanie mniejszy. Na ramieniu każdy
z nich nosił tatuaż z inicjałami brata, jakby mało było do-
wodów potwierdzających ich niezwykłą więź. Keelan golił
się na gładko i był małomówny. Nosił kaszkiet, pod którego
daszkiem, jak miemam, niełatwo było dojrzeć jego twarz.
Wiem natomiast, że był szczupłej budowy. Tylko on był
w stanie przecisnąć się wąskim kanałem prowadzącym do
rzeki i tym sposobem ocalić życie. Moją uwagę przykuł jed-
nak inny detal, o którym był pan łaskaw wspomnieć. Otóż
cały gang dzielił dwie izby w przybudówce nędznej kamie-
nicy w South Endzie - cały z wyjątkiem Keelana, któremu
pozwolono na luksus posiadania własnego pokoju. Od po-

czątku zastanawiałem się nad przyczyną tego stanu rzeczy.

Rozwiązanie tej zagadki jest oczywiście całkiem proste, jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie informacje, które właśnie przypominałem. Dodam jeszcze z niemałą satysfakcją, że uzyskałem potwierdzenie owego rozwiązania i to od nie byle kogo, bo od samej pani Caitlin O'Donaghue, która do dziś mieszka przy Sackville Street w Dublinie, gdzie

289

prowadzi pralnię. Otóż pani O'Donaghue potwierdza, iż wiosną 1865 roku powiła bliźnięta, ale nie jednojajowe, tylko chłopca i dziewczynkę. Keelan O'Donaghue był ową dziewczynką.

Ciszę, która zapadła po tych słowach Holmesa, nazwałbym wprost grobową. Wydawało się, że martwa cisza zimowego dnia wdarła się do salonu, bo nawet ogień w kominku, który wcześniej trząsał tak przyjemnie, teraz jakby wstrzymał oddech.

- Dziewczynką? - Carstairs spojrzął na Holmesa w zdumieniu. Na jego ustach pojawił się złośliwy uśmieszek. -

I dziewczynka rządziła gangiem?

- Dziewczynka, która musiała ukryć swoją prawdziwą tożsamość, jeśli chciała przetrwać w takim środowisku - odparł Holmes. - Zresztą to nie ona, tylko jej brat Rourke dowodził gangiem. Wszystkie dowody wskazują jednoznacznie, że taka jest prawda. Nie ma innej możliwości.

- I co się stało z ową dziewczynką?

- To także proste, panie Carstairs. Ożenił się pan z nią.

Spostrzegłem, że Catherine Carstairs pobladła nagle, ale nie odezwała się ani słowem. Siedzący obok niej Edmund Carstairs zeszywniał. Przez chwilę oboje przypominali mi woskowe figury, które widziałem przelotnie w jednej z sal przy Jackdaw Lane.

- Nie zaprzeczy pani, pani Carstairs? - spytał Holmes.

- Oczywiście, że zaprzeczę! Nigdy w życiu nie słyszałam podobnych bredni. - Odwróciła się ku swemu mężowi i nagle w jej oczach pojawiły się łzy. - Chyba nie pozwolisz, żeby wygadywał o mnie takie rzeczy, Edmundzie? Jak można sugerować, że mam coś wspólnego z jakąś ohydą bandą kryminalistów!

- Mam wrażenie, że pani słowa nie wywierają pożądanego skutku, pani Carstairs - zauważył Holmes.

Miał słuszość. Od chwili, gdy ogłosił zadziwiające rozwiązanie zagadki, Carstairs spoglądał wprost przed siebie z wyrazem głębokiego przerażenia na twarzy. Był to znak, iż jakąś częścią umysłu od dawna domyślał się prawdy, lecz

290

dopiero teraz został zmuszony do tego, by spojrzeć jej prosto w oczy.

- Proszę cię, Edmundzie... - Wyciągnęła ku niemu rękę, |
lecz Carstairs wzdrygnął się i odwrócił głowę.

- Mogę kontynuować? - spytał Holmes.

Catherine Carstairs chciała coś powiedzieć, ale nagle zrezygnowała. Jej ramiona opadły nieco i miałem wrażenie, jakby naraz ktoś zdał z jej twarzy jedwabistą woalkę. Spojrza-

ła na nas twardo i z taką nienawiścią, do jakiej nie byłaby zdolna żadna angielska dama, ale i z nienawiścią, która w dawnym życiu pozwoliła jej przetrwać.

- O, tak, tak! - warknęła. - Czemu nie, wysłuchajmy tej , historii do końca.

- Dziękuję. - Holmes skinął głową w jej stronę. - Po śmierci brata i unicestwieniu Gangu Kaszkietów Catherine O'Donoghue - bo tak się naprawdę nazywała - znalazła się w sytuacji, którą można nazwać rozpaczliwą. Była sama, w Ameryce, poszukiwana przez policję. Straciła też brata, który był jej bliższy niż ktokolwiek inny na tej planecie i którego z pewnością bardzo kochała. Nic więc dziwnego, że pomyślała o zemście. Cornelius Stillman był na tyle głupi, że swoje zamiary ogłosił w bostońskiej prasie. Korzystając z męskiego przebrania, wytropiła go więc w ogrodzie opodal jego domu w Providence i zastrzeliła na miejscu. Ale pod ogłoszeniem widniało jeszcze jedno nazwisko. Catherine przeistoczyła się więc na powrót w kobietę i podążyła za marszandem z Wimbledonu na pokład Catalonii, parowca linii Cunard. Jej intencje były oczywiste. W Ameryce nie miała przed sobą przyszłości. Nadeszła pora powrotu do Dublina. W dodatku nikt nie podejrzewałby o popełnienie zbrodni samotnej kobiety podróżującej ze służącą. Zabrała więc resztę pieniędzy, które zostały jej z bandyckich czasów, i ruszyła w podróż gotowa policzyć się z Edmundem Carstairssem gdzieś na środku Atlantyku. Doprawdy łatwo jest popełnić morderstwo na oceanie. Tak miała się dokonać ze-

msta; pan Edmund po prostu zniknąłby bez śladu.

Teraz Holmes zwrócił się wprost do pani Carstairs.

291

- Coś jednak sprawiło, że zmieniła pani zdanie. Co to było?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Zobaczyłam go takim, jaki jest naprawdę.

- Tak też sądziłem. Oto miała pani przed sobą mężczyznę bez żadnego doświadczenia w kontaktach z płcią przeciwną, od urodzenia zdominowanego przez matkę i siostrę. Był ponadto chory i ciężko przestraszony. Nie wątpię, że świetnie się pani bawiła, biorąc go w opiekę, zaprzyjaźniając się z nim i wreszcie wciągając go w swą sieć. W jakiś sposób namówiła go pani do małżeństwa wbrew woli rodziny - czyż nie była to znacznie słodsza zemsta od tej, którą pani wcześniej zaplanowała? Połączył panią intymny związek ze zniechęconym mężczyzną. Mało tego, postanowiła pani grać rolę oddanej żony, co przyszło pani tym łatwiej, że zdecydowaliście się sypiać w oddzielnych pokojach i, jak się domyślam, małżonek nigdy nie oglądał pani bez ubrania. Bo przecież pozostał ten niewygodny drobiazg - tatuż. Gdyby zaś zdarzyło się kiedyś, że wybralibyście się na plażę, miała pani w zanadrzu wygodną wymówkę: „Nie umiem pływać”.

I wszystko potoczyłoby się jak we śnie, gdyby nie zjawił się Bill McParland z Bostonu. W jaki sposób wpadł na pani trop i poznał pani nową tożsamość? Tego się już nigdy nie dowiemy, lecz przecież był detektywem, i to bardzo dobrym,

więc bez wątpienia miał swoje sposoby. To nie pani mąż był adresatem sygnałów, które McParland wysyłał najpierw w pobliżu domu, a potem przed teatrem Savoy. Szukał kontaktu z panią. Nie zamierzał już pani aresztować. Przyjechał tu po pieniądze, których nie wypłacił mu Stillman. Potrzeba gotówki, poczucie krzywdy, świeża rana - wszystko to potrosze popchnęło go do desperackiego kroku. Spotkaliście się, prawda?

-Tak.

-I zażądał pieniędzy. Gdyby zapłaciła mu pani hojnie, pozwoliłby pani zachować sekret. Gdy wręczył pani mężowi ów list, było to mocne ostrzeżenie dla pani. W każdej chwili mógł ujawnić prawdę.

292

- Powiedział pan już wszystko, panie Holmes.

- Nie, jeszcze nie wszystko. Potrzebowała pani czegoś, by uciszyć McParlanda, ale brakowało pani własnych środków. Należało więc stworzyć pozory włamania. Zeszła pani nocą do gabinetu i światłem naprowadziła pani „złodzieja” do właściwego okna, które w dodatku otworzyła pani, by mógł wejść do pokoju. Następnie otworzyła pani także sejf, używając klucza, który tak naprawdę nigdy nie zaginął. Lecz nawet w takiej chwili nie mogła pani sobie odmówić małej złośliwości. Do pieniędzy dorzuciła pani naszyjnik należący do nieżyjącej już pani Carstairs, mający dla pani męża ogromną wartość sentymentalną. Mam wrażenie, że nie umiała pani oprzeć się pokusie ranienia go przy każdej

sposobności.

McParland popełnił jeden błąd. Uznał, że pieniądze, które otrzymał od pani - pięćdziesiąt funtów - to zaledwie pierwsza rata. Zażądał więcej i, całkiem głupio, podał pani nazwę pensjonatu, w którym się zatrzymał. Możliwe, że widząc panią w roli zamożnej angielskiej damy, dał się zwieść pozorom i zapomniał, jaką kreaturą była pani w dawnym życiu.

Pani mąż przebywał w swej galerii przy Albemarle Street, gdy postanowiła pani wymknąć się z domu i wejść przez okno do pensjonatu. Czekwała pani na McParlanda w jego pokoju, a gdy wszedł, uśmierciła go pani, wbijając nóż w szyję. Zastanawiam się tylko, w jakim stroju pani wystąpiła.

- Ubrałam się tak jak dawniej. Halki i krynoliny to nie najwygodniejsza odzież.

- Uciszyła pani na zawsze McParlanda i uprzątnęła wszelkie dowody jego tożsamości, pomijając jedynie papierośnicę. Teraz już nic nie mogło pani przeszkodzić w realizacji planu.

- To jeszcze nie koniec? - jęknął Carstairs. Cała krew odpłynęła z jego twarzy i obawiałem się, że lada chwila zemdleje.

- W rzeczy samej, panie Carstairs. - Holmes znowu zwrócił się do jego żony: - Małżeństwo z wyrachowania, które sobie pani zafundowała, było bowiem jedynie środkiem do celu. Pani zamiarem było uśmiercenie najbliższych Edmun-

293

dowi osób: najpierw matki, potem siostry, a potem dopiero jego samego. W ostatecznym rozrachunku miała pani

odziedziczyć wszystko, co do niego należało. Dom, pieniądze, dzieła sztuki... to wszystko miało być pani. Trudno sobie wyobrazić ogrom nienawiści, która popchnęła panią do działania, a także ogrom satysfakcji, którą dała pani realizacja dzieła zniszczenia.

- Istotnie, była to rozkosz, panie Holmes. Cieszyłam się każdą jej minutą.

- Moja matka...? - wyjąkał Carstairs.

- Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jej zgonu było to, które mi pan przedstawił: przeciąg zgasił płomień w piecyku gazowym. Niestety, ten wariant nie broni się przy głębszej analizie. Otóż pański służący, Kirby powiedział nam, że czuje się winny, ponieważ osobiście uszczelnił wszystkie otwory prowadzące do pokoju pańskiej matki. Ona nienawidziła przeciągów, panie Carstairs, a w tej sytuacji nie jest możliwe, by to przeciąg zgasił płomień. Pańska siostra miała jednak inne wyjaśnienie tego, co się stało: doszła do wniosku, że jej matka odebrała sobie życie, nie mogąc pogodzić się z pańskim małżeństwem. Szczerze nienawidziła pańskiej żony i instynktownie wyczuwała jej złe zamiary, ale nie odgadła, jak było naprawdę. Otóż to Catherine Carstairs weszła do pokoju pańskiej matki i celowo zgasiała płomień, skazując starszą panią na śmierć. Wszak nie mogła sobie pozwolić na pozostawienie kogokolwiek przy życiu. Wszyscy musieli umrzeć, by majątek przeszedł w jej ręce.

-A Eliza?

- Pańska siostra poddaje się powolnemu działaniu trucizny.

- To niemożliwe, panie Holmes. Przecież już mówiłem...

- Mówił pan, że starannie sprawdza wszystkie potrawy.

Dla mnie to jedynie sugestia, że trucizna jest podawana inną drogą. Odpowiedzią, panie Carstairs, jest wanna. Pańska siostra lubi kąpać się regularnie i stosować silnie pachnącą, lawendową sól kąpielową. Muszę przyznać, że to bardzo nowatorski sposób podawania trucizny, a do tego zaskaku-
294

jąco skuteczny. Zgaduję, że do soli kąpielowej dodawano regularnie małe dawki akonityny. Trująca ta substancja dostawała się do organizmu panny Elizy poprzez skórę, a także, jak przypuszczam, przez płuca, wraz z parą z gorącej wody. Akonityna jest wysoce toksycznym alkaloidem, doskonale rozpuszczalnym w wodzie. Większa dawka zabiłaby pańską siostrę natychmiast. Tu stało się inaczej - widział pan przecież stopniowe, acz nieubłagane zmiany na gorsze. Doprawdy, pani Carstairs, metoda jest całkiem nowa i bardzo pomysłowa; niewątpliwie wzmianka o niej trafi do annałów zbrodni. Poczynała sobie pani także niezwykle śmiało, na przykład odwiedzając mojego kolegę, gdy zostałem uwięziony - choć naturalnie udawała pani, że nic nie wie o moim losie. Jestem pewny, że tym krokiem przekonała swojego męża, że zależy jej na dobru szwagierki. W duchu zaś śmiała się pani do rozpuku, prawda?

- Ty diabolic! - Carstairs odwrócił się do niej plecami, wyraźnie struchlały. - Jak mogłaś? Jak tak można?!

- Pan Holmes ma rację, Edmundzie - odpowiedziała jego żona. Zauważyłem zmianę w jej głosie: brzmiał teraz twardo i znać było mocny irlandzki akcent. - Zamierzałam wszystkich was posłać do grobu. Najpierw twoją matkę. Potem Elizę. Ale nie masz pojęcia, co zaplanowałam dla ciebie! - Catherine zwróciła się teraz do Holmesa: - Co teraz, sprytny panie Holmes? Czy na zewnątrz już czeka policjant? Mam iść na górę i spakować parę drobiazgów?

- Rzeczywiście, policjant już czeka, pani Carstairs, ale ja jeszcze nie skończyłem. - Holmes wstał i zobaczyłem w jego oczach chłód i pragnienie zemsty. Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie. Był teraz sędzią, który lada chwila ma odczytać wyrok. Katem otwierającym zapadnię szubienicy. W salonie dał się wyczuć chłód. Już za miesiąc Ridgeway Hall miał stać pusty. Czy nie popadam w przesadę, pisząc, że dom zdawał się wyczuwać, co się święci? - Musimy jeszcze porozmawiać o śmierci dziecka. Rossa.

Pani Carstairs wybuchnęła śmiechem.

- Nie wiem nic o żadnym Rossie - powiedziała. - Popisał

295

się pan inteligencją, panie Holmes, ale teraz po prostu pan przesadził.

- Ależ ja nie zwracam się już do pani, pani Carstairs - odparł Holmes i spojrzał na jej męża. - Moje śledztwo w pańskiej sprawie niespodziewanie zmieniło kierunek właśnie owej nocy, kiedy Ross został zamordowany. A „niespodziewanie”, pani Carstairs, to słowo, którego nie używam czę-

sto, ponieważ mam w zwyczaju spodziewać się wszystkiego. Każda zbrodnia, którą się zajmowałem, miała w sobie coś, co nazwałbym ciągiem narracyjnym. Mój przyjaciel, doktor Watson, zawsze nieomylnie wyczuwa tę niewidzialną nić. To dlatego jest tak znakomitym kronikarzem moich dokonań. Tym razem jednak miałem świadomość, że dokonałem osobliwego przeskoku. Szedłem wzdłuż jednej nici i nagle, całkiem przypadkowo, zacząłem podążać za inną. Od chwili, gdy pojawiłem się w pensjonacie pani Oldmore, po prostu porzuciłem Boston i sprawę Gangu Kaszkietów. Ruszyłem w nowym kierunku i szczęśliwie dotarłem do rozwiązania sprawy ohydniejszej niż wszystkie inne zagadki, które dotychczas rozwikłałem.

Carstairs drgnął, usłyszawszy te słowa. Żona przyglądała mu się z zaciekawieniem.

- Wróćmy jednak do owej nocy, kiedy tak się złożyło, że przebywaliśmy razem w pańskiej galerii. Bardzo niewiele wiedziałem wtedy o Rossie, poza tym, że był jednym z grupy uliczników, których czule nazywam Nieregularnymi z Baker Street i którzy pomagają mi od czasu do czasu. Zawsze płacę im za te drobne przysługi. Do niedawna zdawało mi się, że to nieszkodliwy układ. Ross miał za zadanie obserwować pensjonat, a jego kolega, Wiggins, przybiegł po mnie. Pojechaliśmy do Blackfriars we czterech - pan, ja, Watson oraz Wiggins. Ross nas zobaczył i od razu wyczułem, że jest przerażony. Spytał, kim jesteśmy, kim pan jest. Watson próbował jakoś go uspokoić, przy okazji podając mu

pańskie nazwisko i adres. Obawiam się, niestety, że właśnie dlatego zginął, ale nie obwiniaj za to siebie, Watsonie, i ja bowiem popełniłem błąd.

296

Przyjąłem założenie, że Ross był przerażony tym, co zobaczył w pobliżu pensjonatu. Było to założenie całkiem naturalne, skoro, jak się okazało, w pensjonacie popełniono morderstwo. Byłem przekonany, że widział zabójcę i z sobie tylko znanych powodów postanowił milczeć w tej sprawie. Myliłem się. Chłopiec istotnie był wystraszony, ale nie zbrodnią, której tam dokonano. Przeraził się, zobaczywszy pana, panie Carstairs. Koniecznie chciał poznać pańską tożsamość i adres, ponieważ pana rozpoznał. Bóg jeden wie, co pan uczynił temu dziecku, a ja wolę nawet o tym nie myśleć. Powiem tylko, że spotkaliście się w Domu Jedwabnym.

Znowu zapadła złowroga cisza.

- Co to jest Dom Jedwabny? - spytała Catherine Carstairs.

- Nie odpowiem pani na to pytanie, pani Carstairs. I nie widzę powodu, by się do pani odzywać, kiedy już wypowiedziałem te ostatnie słowa: cały pani plan, całe to sztuczne małżeństwo mogłoby zakończyć się sukcesem, gdyby trafiła pani na innego rodzaju mężczyznę - takiego, który pragnął żony na złość rodzinie albo po to, by zyskać pozycję w społeczeństwie. Nie zaś na takiego, który szukał miłości i przywiązania. Jak sama pani stwierdziła wielce delikatnymi słowami, w pewnym momencie zobaczyła go pani takim, jaki jest naprawdę. Ja zaś od pierwszego naszego spotkania głęboko

zastanawiałem się, jakim jest naprawdę człowiekiem, ponieważ fascynują mnie ludzie, którzy lękają się spóźnienia na operę Wagnera w dniu, w którym nigdzie w mieście nie wystawiają Wagnera.

Ross pana rozpoznał, panie Carstairs. I było to zaiste najmniej szczęśliwe zrządzenie losu, gdyż wyobrażam sobie, że w Domu Jedwabnym najświętsze było słowo „anonimowość”. Przychodził pan nocą, robił, co chciał, a potem wychodził. Ross zaś był tu ofiarą. Lecz jednocześnie był dojrzały nad wiek, a nędza i desperacja nieuchronnie popychały go na drogę przestępstwa. Zdarzyło mu się wcześniej ukraść złoty zegarek mężczyźnie, który go wykorzystał. Teraz zaś, gdy tylko otrząsnął się z szoku po przypadkowym spotkaniu z panem, dostrzegł sposobność niemałego zarobku. Po-

297

chwalił się tym swojemu koledze, Wigginsowi. Zgłosił się do pana następnego dnia, prawda? Zagroził, że pana zde-maskuje, jeśli nie zapłaci mu pan fortuny? A może już wcześniej popędził pan do Charlesa Fitzsimmonsa i jego bandy, żeby domagać się, by natychmiast opanowali sytuację?

- O nic ich nie prosiłem - wymamrotał Carstairs z widocznym wysiłkiem, jakby usta odmawiały mu posłuszeństwa.

- A jednak poszedł pan do Fitzsimmonsa i powiedział mu, że jest szantażowany. Otrzymał pan w zamian instrukcję postępowania: zwabił pan Rossa na spotkanie, podczas którego, jak mu się wydawało, miał otrzymać pieniądze w zamian za milczenie. Udał się na to spotkanie dosłownie

chwilę przed tym, jak pojawiliśmy się z Watsonem w pubie „Worek Gwoździ”. Było już za późno. To nie pan przybył na spotkanie z Rossem ani nie Fitzsimmons. Stawili się tam dwaj bandyci, znani jako Henderson i Bratby. Postarali się, by dzieciak nie sprawiał panu więcej kłopotów. - Holmes umilkł na chwilę. - Ross był torturowany i umarł, ponieważ był zuchwały. Wokół jego nadgarstka zawiązano białą wstążkę, znak ostrzegawczy dla innych dzieci ulicy, które mogłyby wpaść na podobnie zuchwałe pomysły. Możliwe, że nie wydał pan rozkazu, panie Carstairs, niemniej chcę, żeby pan wiedział: uważam pana za winnego śmierci tego chłopca. Wykorzystał go pan, a potem pozbawił życia. Nie spotkałem jeszcze człowieka bardziej podłego niż pan.

Holmes wstał.

- Za chwilę wyjdę z tego domu, bo już nic mnie tu nie zatrzymuje. Zanim to uczynię, wyznam jeszcze tylko, że moim zdaniem państwa małżeństwo nie było aż tak niedorzeczne, jak mogłoby się zdawać. Przeciwnie, państwo są wprost dla siebie stworzeni. Policyjne furgony już czekają, ale wydaje mi się, że każde z państwa odjedzie w innym kierunku. Gotów jesteś, Watsonie? Proszę nas nie odprowadzać.

Edmund i Catherine Carstairs siedzieli razem na kanapie, w całkowitym bezruchu. Nie odezwali się już ani słowem.

Mam jednak wrażenie, że wpatrywali się w nas intensywnie, gdy wychodziliśmy z salonu.

Z bardzo ciężkim sercem docieram oto do końca mojej pracy. Gdy pisałem te słowa, miałem wrażenie, że na nowo przeżywam stare przygody. I choć były w nich fragmenty, które wolałbym zapomnieć na zawsze, to jednak miło było stanąć znowu u boku Holmesa, pojechać z nim z Wimbledonu do Blackfriars, do Hamworth Hill i do Holloway zawsze trzymając się o krok w tyle (w każdym sensie), a jednocześnie radując się rzadkim przywilejem obserwowania z bliska tak niezwykłego umysłu. Teraz, gdy zbliżam się do ostatniej stronicy, powraca do mnie świadomość miejsca, w którym się znajduję: znowu widzę aspidistra na podokienniku i ten grzejnik, który zawsze jest zbyt ciepły. Boli mnie ręka, ale przynajmniej wszystkie moje wspomnienia są już przygwożdżone do papieru. Żałuję, że nie mam nic więcej do powiedzenia, bo gdy naprawdę skończę, znowu zostanę całkiem sam.

Nie powinienem się skarżyć. Dobrze mi tutaj. Moje córki odwiedzają mnie od czasu do czasu i przyprowadzają wnuki. Jeden z nich dostał na imię Sherlock. Jego matka sądziła, że w ten sposób uczci moją długoletnią przyjaźń, ale dzieciak nawet nie chce używać tego imienia. Cóż, pod koniec tygodnia pewnie znowu przyjdą, a wtedy oddam im rękopis, z surowym przykazaniem, by trafił do sejfu. Wtedy moja praca naprawdę będzie skończona. Cóż mi pozostało? Może przeczytam to wszystko jeszcze raz i poproszę o radę tę pielęgniarkę, która opiekowała się mną z rana.

299

- Już prawie skończone, doktorze Watson? Jestem pewna,

że znajdzie się jeszcze kilka luźnych wątków, które trzeba zakończyć. Postawić kropki nad „i” i poprzeczki w „t”. Wtedy musi nam pan pozwolić przeczytać całą historię. Rozmawiałam już z dziewczynami; nie mogą się doczekać!

Rzeczywiście, coś jeszcze mogę dodać.

Charles Fitzsimmons - nie jestem w stanie nazywać go dłużej wielebny - miał słuszność, gdy opowiadał nam o swojej przyszłości owej ostatniej nocy w Domu Jedwabnym: nigdy nie stanął przed sądem. Ale też nie uzyskał rychłego zwolnienia, którego się spodziewał. Przytrafił mu się przykry wypadek w więzieniu, w którym tymczasowo przebywał - spadł ze schodów i znaleziono go z roztrzaskaną czaszką. Czy ktoś go popchnął? To bardzo prawdopodobne, ponieważ, jak nie omieszkał się nam pochwalić, znał wiele wstydliwych tajemnic dotyczących pewnych bardzo ważnych osobistości, w tym nawet - jeśli go dobrze zrozumiałem - członka rodziny królewskiej. To absurd, wiem o tym, lecz wciąż pamiętam Mycrofta Holmesa i jego niezwykłą wizytę w naszym mieszkaniu. Z tego, co nam wtedy powiedział, a także z jego zachowania, wynika niezbicie, że ulegał wówczas silnym naciskom i... Nie, nie będą nawet brał pod uwagę takiej ewentualności. Fitzsimmons na pewno kłamał. Starał się napompować nieco balon własnej ważności, nim zapakowano go do policyjnego furgonu. Ale ta historia ma swój koniec.

Powiedzmy tylko, że w rządzie znaleźli się i tacy ludzie, którzy wiedzieli, czym się parał, ale nie zdemaskowali go,

ponieważ lękali się skandalu popartego, ma się rozumieć, dokumentacją fotograficzną. Prawdą jest i to, że w kolejnych tygodniach nastąpiła cała seria rezygnacji ze stanowisk na najwyższym szczeblu, która wzbudziła w kraju zdziwienie i niepokój. Przyznam jednak szczerze, że mam nadzieję, iż Fitzsimmons nie został zamordowany. Był bez wątpienia potworem, ale żaden kraj nie może sobie pozwolić na łamanie porządku prawnego z czysto praktycznych względów. Dziś, gdy trwamy w stanie wojny, jest to dla mnie jeszcze

300

bardziej oczywiste niż dawniej. Być może więc jego śmierć rzeczywiście była następstwem wypadku - szczęśliwego dla większości zainteresowanych.

Pani Fitzsimmons zniknęła. Lestrade powiedział mi, że oszalała po śmierci męża i przeniesiono ją do szpitala dla umysłowo chorych, gdzieś na dalekiej północy. I to rozstrzygnięcie nazwałbym szczęśliwym, tam bowiem pani Fitzsimmons może sobie opowiadać dowolne historie, a i tak nikt jej nie uwierzy. O ile wiem, przebywa tam do dziś.

Edmund Carstairs nie został postawiony w stan oskarżenia. Opuścił kraj ze swą siostrą, która - choć ocalała żywie - pozostała inwalidką. Firma Carstairs i Finch zakończyła działalność. Catherine Carstairs została osądzona pod panieńskim nazwiskiem, uznana za winną i skazana na dożywotnie więzienie. Miała szczęście, że nie skończyła na sznurze. Lord Ravenshaw zamknął się w swoim gabinecie i za pomocą rewolweru rozpylił własny mózg. Możliwe, że

doszło do jeszcze jednego lub dwóch samobójstw, ale lord Horace Blackwater i doktor Thomas Ackland uciekli przed sprawiedliwością. Uważam, że należy do tych spraw podchodzić pragmatycznie, ale wciąż irytuje mnie to rozstrzygnięcie, zwłaszcza po tym, co próbowali zrobić Sherlockowi Holmesowi.

Naturalnie pozostaje jeszcze kwestia owego tajemniczego dżentelmena, który kazał porwać mnie pewnej nocy i ugościł niezwykłą wieczerzą. Nigdy nie powiedziałem Holmesowi o tym człowieku; ba, nigdy nikomu o nim nie wspomniałem - aż do tej chwili. Niektórzy mogą to uznać za dziwactwo, ale ja dałem słowo i nawet jeśli ów człowiek był samozwańczym przestępcą, to jako dżentelmen nie miałem wyboru - musiałem zachować dyskrecję. Naturalnie jestem pewien, że był to sam profesor James Moriarty, który już wkrótce miał odegrać tak znaczącą rolę w naszym życiu. Tym bardziej więc mój przymus milczenia nazwać muszę diabelskim dziełem. Holmes z kolei opowiadał mi o tym człowieku całkiem sporo, nim wyruszyliśmy nad wodospad Reichenbach, utwierdzając mnie jedynie w przekonaniu, że

301

to jedna i ta sama osoba. Później często się zastanawiałem nad dwuznacznością postaci Moriarty'ego. Holmes ze zgrozą mówił o jego podłej naturze i niezliczonych przestępstwach, ale także podziwiał jego inteligencję i wierność zasadzie fair play. Do dziś wierzę, że Moriarty naprawdę chciał pomóc Holmesowi i zależało mu na przerwaniu niecnej działalno-

ści Domu Jedwabnego. Jako członek przestępczego świata wiedział o jego istnieniu, ale uważał, że gdyby sam wystąpił przeciwko niemu, złamałby pewne zasady. Z drugiej jednak strony, cierpiała na tym jego wrażliwość - to dlatego wysłał Holmesowi białą wstążkę, a mnie podarował klucz do jego celi. Krótko mówiąc, miał nadzieję, że przeciwnik wykona za niego całą robotę. I tak właśnie się stało, choć o ile mi wiadomo, Moriarty nigdy nie przysłał nam z tej okazji liściku z podziękowaniami.

W Boże Narodzenie nie widziałem się z Holmesem - zostałem w domu, przy mojej Mary, której kondycja bardzo mnie niepokoiła. Jednakże gdy w styczniu wyjeżdżała z Londynu, by spędzić kilka dni z przyjaciółmi, sama zasugerowała, bym wrócił raz jeszcze na stare śmieci i przekonał się, jak żyje Holmes po naszej ostatniej przygodzie. Właśnie wtedy wydarzył się ostatni incydent, który muszę tu odnotować.

Holmes został uniewinniony i wymazano wszelkie wzmianki o stawianych mu zarzutach. Mimo to nie tryskał humorem. Był niespokojny, łatwo się irytował i sądząc po częstych spojrzeniach w stronę kominka (tu nie potrzebowałem wielkiego talentu do dedukcji), wiedziałem, że kusi go roztwór kokainy, choć jak już wspominałem, był to raczej wstydlawy nałóg. Pewnie czułby się znacznie lepiej, gdyby prowadził nową sprawę, ale tak nie było. Jak zawsze w okresach bezczynności, gdy nie mógł skierować swej energii ku kolejnej nierozwiązywalnej zagadce, gubił gdzieś spokój i popadał

w długotrwałe stany depresyjne. Jednakże tym razem czu-
łem, że chodzi o coś więcej. Nie wspomniał o Domu Jedwab-
nym ani o żadnych szczegółach związanych z tą sprawą,
lecz czytając pewnego ranka gazetę, po prostu zwrócił moją
302

uwagę na krótki artykuł o zamknięciu Szkoły dla Chłopców
Chorley Grange.

- To nie wystarczy - mruknął. A potem zmiął w rękach
gazetę i rzuciwszy ją w kąt, dodał: - Biedny Ross!

Z tej sceny, a także z innych zachowań mego przyjaciela -
wspomniał na przykład, że być może już nigdy nie skorzysta
z usług Nieregularnych z Baker Street - wywnioskowałem,
że w głębi duszy nadal wini siebie za śmierć chłopca, a sce-
ny, których byliśmy świadkami owej nocy w Hamworth
Hill, pozostawiły niezatarte znamię na jego sumieniu. Nikt
nie poznał zła tak dobrze jak Holmes, ale istnieją i takie jego
formy, których lepiej nie znać. Mój przyjaciel nie umiał już
radować się sukcesem, mimo woli przypominał mu bowiem
o mrocznych miejscach, które dane nam było odwiedzić.
Rozumiałem go; w końcu i ja miewałem złe sny. Tyle że ja
miałem jeszcze Mary, którą musiałem się opiekować, a także
moją praktykę lekarską. Holmes zaś znalazł się w pułapce
własnego dziwnego świata, w którym musiał rozważać
sprawy bez końca, zamiast o nich zapominać.

Pewnego wieczoru, gdy zjedliśmy razem kolację, nagle
oznajmił mi, że wychodzi. Śnieg już nie powrócił, za to mro-
zy mieliśmy w styczniu takie same jak w grudniu, czyli isticie

polarne. Choć nie miałem najmniejszej ochoty na wieczorny spacer, zapytałem uprzejmie, czy chciałby, żebym mu towarzyszył.

- Nie, nie, Watsonie. To miłe z twojej strony, ale mam wrażenie, że będzie lepiej, jeśli pójdę sam.

- Ale dokąd się wybierasz o tej porze, Holmesie? Siądź lepiej przy kominku, napijemy się razem whisky. Twoje sprawy mogą chyba poczekać do jutra.

- Watsonie, jesteś najlepszym z przyjaciół i doskonale wiem, że ostatnio żaden ze mnie towarzysz, ale teraz muszę po prostu spędzić jakiś czas w samotności, jutro zjemy razem śniadanie i pewien jestem, że zastaniesz mnie w lepszym nastroju.

Tak też uczyniliśmy - i nie pomylił się. Spędziliśmy dzień całkiem przyjemnie, odwiedzając między innymi Isrlisli Museum i jedząc lunch u Simpsona. Dopiero gdy wracaliśmy do domu, spostrzegłem na pierwszych stronach gazet reportaż o wielkim pożarze w rejonie Hamworth Hill. Jak donoszono, budynek dawnej szkoły dla chłopców spłonął aż do fundamentów, a płomienie sięgały tak wysoko, że widać je było na nocnym niebie nawet z tak dalekich przedmieść, jak Wembley. Nie skomentowałem tych informacji i nie zadałem Holmesowi żadnego pytania. Nie wspomniałem nawet jednym słowem o tym, że rankiem jego płaszcz, wiszący na swym stałym miejscu, dość mocno zalatywał spalenizną. Wieczorem Holmes po raz pierwszy od bardzo dawna sięgnął po swego stradivariusa. Usiedliśmy naprzeciwko sie-

bie przy kominku i z prawdziwą przyjemnością słuchałem
wzniosłej melodii.

I wciąż ją słyszę. Gdy odkładam pióro i kładę się do łóż-
ka, wciąż widzę smyczek przemykający ponad mostkiem
i muzyka wznosi się coraz wyżej ku nocnemu niebu. Jest już
taka daleka, że ledwie ją słyszę - ale jednak jest! Pizzicato.
Potem tremolo. Jak ja dobrze znam ten styl. Tak gra Sherlock
Holmes. To musi być on. Mam w sercu nadzieję, że gra spe-
cjalnie dla mnie...

Koniec.